



TADEUSZ PINI

KRASIŃSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ







Zygmunt Krasiński
1850





TADEUSZ PINI

KRASIŃSKI

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Z 8 PORTRETAMI



WYDAWNICTWO POLSKIE
(R. WEGNER)
POZNAŃ



OKŁADKĘ RYSOWAŁ
CZERPER

DRUKARNIA
CONCORDIA



OD AUTORA.

Książka niniejsza opiera się w głównym swym zarysie wyłącznie na źródłach, tj. przedewszystkiem na pismach Poety, pomijając wszelkie tradycje, mające zwykle zabarwienie tendencyjne, i dzięki temu dochodzi często do wyników innych, niż biografje dawniejsze. Wobec tego uwzględnianie obcych poglądów i polemika z niemi były często albo niemożliwe, albo zbyteczne, szczupłość zaś książki nie dozwalała na wciągnięcie w nią drobniejszych zdobyczy naukowych.

Przedmiotem rozważań jest w tej książce wyłącznie twórczość poetycka Krasińskiego i te szczegóły z jego życia, które na rozwój i charakter tej twórczości wpłynęły. Zarówno myślowa praca Poety, opracowana z drobiazgową starannością w świetnem dziele prof. J. Kleinera („Z. Krasiński — Dzieje myśli“), jak historja jego spraw sercowych, omówiona obszernie w książce F. Hoesicka („Miłość w życiu Z. Krasińskiego“), weszły w zakres tego planu — rzecz prosta — w drobnej tylko swej cząstce.



KRASIŃSKI.



I.

W OJCZYŹNIE.

Do wybrańców losu należał już w chwili przyjścia na świat. Na kolebce jego błyszczały dwa herby: „Ślepowron" ojca pod hrabiowską koroną i sławne Radziwiłłowskie „Trąby", herb matki, uwieńczony koroną książęcą. Mówiły one aż nazbyt przekonywająco, że dziecię, nad którem dumnie czuwały, nie zazna nigdy niedostatku, że będzie panem mnogich włości, że otwarte przed niem będzie obszerne pole godności, zaszczytów, wysokich urzędów i tego wszystkiego, co się nazywa życiem szczęśliwem i błogiem. Że w tem właśnie magnackiem otoczeniu lęgły się równocześnie zarodki przyszłej tragedji duchowej młodziutkiego chłopczyny i że z tej tragedji dopiero wyróść miała jego istotna wielkość i sława, tego — rzecz jasna — nikt podówczas przewidzieć nie mógł.

Urodził się w Paryżu dnia 19-go lutego 1812 roku, a zatem w chwili, kiedy wielki Napoleon czynił ostatnie przygotowania do owego potężnego ciosu, który, wymierzony w Rosję, miał ugodzić jego samego. Ojciec poety, hr. Wincenty Krasiński, dowódca przesławnych szwoleżerów, od roku odznaczony stopniem francuskiego generała dywizji, wybierał się wraz z ukochanym Cesarzem w mroczną drogę na północ, krótko więc tylko mógł się cieszyć upragnionym od tak dawna dziedzicem imienia i majątku. Odbył się chrzest, na którym dano dziecku imiona: Napoleon, Stanisław, Adam, Feliks, Zygmunt — potem szereg tygodni spędzono w kwaterze szwoleżerskiej w Chantilly, gdzie niemowlę, przez cały pułk pieszczone, częściej bywało na twardych żołnierskich rękach, niż u piastunki — potem wymarsz wojsk na daleki wschód — i hrabina zostaje w Paryżu sama z jedynakiem.

Rolę swą w ostatnim akcie wielkiej epopei napoleońskiej odegrał generał Krasiński wiernie i wytrwale do końca. W połowie r. 1814, po smutnej scenie abdykacji w Fontainebleau, z polecenia cara Aleksandra odprowadził resztki wojska polskiego do Warszawy. Wtedy też przyszły autor „Nie-

Boskiej Komedji" odetchnął po raz pierwszy ojczystem powietrze .

Kochany tak, jak kochanym być może tylko jedynak, na którym spoczywa cała przyszłość fortuny i sławy dumnego rodu, wychowywany troskliwie, choć początkowo nie bez francuskiego pokostu, pod opieką wybranej na bonę emigrantki francuskiej, baronowej de la Haye, młody chłopczyna pędzi teraz życie częścią w wykwintnym pałacu warszawskim, częścią w otoczonym parkiem dworze opinogórskim. Rozwija się szybko i wkrótce zdumiewać zaczyna wszystkich swą niezwykłą inteligencją, dziwną subtelnością uczuć i sprytnemi odpowiedziami na drażliwe pytania, nie dotykającemi nikogo, a salwującemi silnie rozwiniętą ambicję dziecka. Choroba matki i wynikająca z niej a ciągle wzrastająca jej dokuczliwość, która całemu otoczeniu dawała się we znaki, to może jedyne źródło przykrości w tych sielskich latach życia. Miesiące letnie, spędzane często u babki w Dunajowicach na Podolu, w pobliżu Kamieńca, Chocimia i Okopów św. Trójcy, były miłą rozrywką, bo matka generała, dla wielu przykra, kochała go nad życie i dogadzała, jak mogła. Generał Krasiński, który tymczasem wstąpił do armji polskiej jako generał-adjutant cesarza Aleksandra, nie miał z natury rzeczy w tym okresie jakiegoś większego, decydującego wpływu na kierunek rozwoju jedynaka. Dziecko więc rosło swobodnie, wesołe i szczęśliwe.

Wcześnie, może za wcześnie, zaczęto je męczyć systematyczną nauką, nauczycieli jednak wybierał generał nader troskliwie i trafnie. Pierwszym z nich był głośny później, znakomity dramaturg i powieściopisarz, Józef Korzeniowski; ocenił on dobrze wielkie zdolności swego wychowanka i polubił go bardzo, ale starcia z generałową zmusiły go prędko do usunięcia się. Zastąpił go poważny i szorstki Piotr Chlebowski, który umiał wytrwać na trudnem stanowisku przez czas długi, ale nie umiał znaleźć należytej miary w napełnianiu młodocianej główki wiadomościami. Tylko nadzwyczajne zdolności pozwoliły biednemu dziecku znieść bez szkody te wszystkie zbrodnie pedagogiczne, których się na niem dopuszczano, a o których wyraźnie świadczą przechowane w zbiorach opinogórskich jego wypracowania pisemne. Przygotowywano go w ten sposób do egzaminu z pięciu klas szkoły średniej; ostatnią, szóstą klasę, miał młody

Zygmunt — bo od upadku Napoleona nazywano dziecko nie pierwszem, lecz ostatniem z jego imion chrzestnych — ukończyć w publicznem liceum warszawskiem.

W kwietniu 1822 r. długoletnia choroba jenerałowej zakończyła się jej śmiercią. Chwila rozstania się konającej z ukochanem dzieckiem musiała być bardo rzewną i wzruszającą, kiedy uwieczniono ją w wspaniałym pomniku marmurowym kościoła opinogórskiego. Przedstawia on niewiastę, leżącą na łożu i widocznie nie mogącą się już podźwignąć z poduszek, wyciągającą mdlejącą już rękę nad głowę klęczącego przed nią chłopczyka; napis łaciński wyjaśnia, że jenerałowa Krasińska „w ostatniej chwili życia błogosławiła syna swego Zygmunta". [1]) Gdyby nam wolno było domyśleć się, że hrabina wypowiedziała podówczas do jedynaka słowa: „Bądź poetą, aby cię ojciec kochał!" — mielibyśmy w tym pomniku z małemi tylko zmianami wykutą w marmurze ilustrację do jednej z najważniejszych i najświetniejszych scen „Nie-Boskiej Komedji".

Po śmierci żony jenerał zajął się nader gorliwie wychowaniem syna. Nie o naukę chodziło, ale o sprawę niesłychanie ważniejszą: o duszę dziecka, o zdobycie jej na niepodzielną własność — kto wie, może raz na zawsze? Jenerał wiedział, że dusza dziecka w tym wieku jest wrażliwa i, jak wosk, miękka; pieczęć, starannie na niej wyciśnięta, gdy wosk duszy w epoce urabiania się pojęć stwardnieje, pozostanie już do końca życia. Przypuścił więc gwałtowny atak do strony najsłabszej — do wyobraźni dziecka. Szczegóły tego ataku opowiadają nam biografowie poety, czerpiący z legend rodzinnych. Oto podobno jenerał „zamykał się z synem w osobnym pokoju, tam wpajał weń miłość ojczyzny i nienawiść obcego jarzma (!); kazał powtarzać przysięgi Hannibala przeciw Rzymowi (!). Opowiadał mu dzieje ojczyste, utwierdzał w umyśle jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela, tam kazał sobie przysięgać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wierny pozostanie." [2])

Ta rozczulająca legenda, której autorstwo przypisano samemu poecie, w jednym punkcie koniecznie domaga się poprawki. Jenerał Krasiński w osiem lat później dowiódł aż nadto jasno i dobitnie, że nie było w nim ani krzty Hazdru-

balowej „nienawiści obcego jarzma“ — więc owe „Hannibalowe przysięgi“ trzeba włożyć między bajki. Dalsza część podania, zupełnie zresztą prawdopodobna, aż prosi się o wyjaśnienie, jakie to „wyobrażenia o obowiązkach obywatela“ utwierdzał jenerał w umyśle jedynaka i jak pojętym obowiązkom kazał wobec siebie wierność zaprzysięgać? Wszakże różnica między Rejtanem a Branickim jest tylko różnicą w sposobie pojmowania przez nich obowiązków względem ojczyzny.

Sprawa to nader ważna dla zrozumienia rozwoju duszy autora „Irydjona“ — że zaś legendy rodzinne nie rzucają na nią żadnego światła, spróbujmy poszukać wyjaśnień na ścianach starego dworu opinogórskiego. Możemy zaufać temu świadectwu, bo od czasów młodości poety nic się tam nie zmieniło; troskliwe ręce i kochające serca czuwały nad tem, aby wszystko pozostało w nim tak, jak było w owych niezapomnianych czasach, będących największą chlubą Opinogóry. [3])

Przez ocienioną dzikiem winem werandę i przez halę wchodzimy do pracowni poety. Naprzeciw biurka, przy którem powstało, niejedno arcydzieło uderza nas rozwieszona na ścianie olbrzymich rozmiarów tablica genealogiczna, przedstawiająca ogromne drzewo, wyrastające z rzymskiego bohatera, Valeriusa Corvusa, z mnóstwem odgałęzień i owoców: to najważniejsi przedstawiciele rodu Krasińskich o godności wojewodów, kasztelanów, podkomorzych, biskupów prałatów itd. Na ścianach tego i przyległych pokoi wiszą obrazy, przedstawiając sceny z bliższej już przeszłości. A więc najpierw sceny z konfederacji barskiej z marszałkiem jej, Michałem Hieronimem Krasińskim, i z jednym z jej twórców, biskupem kamienieckim, Adamem Stanisławem Krasińskim na czele. Dalej widnieją w ogromnej ilości obrazy, przedstawiające najważniejsze czyny wojenne szwoleżerów gwardji: Somosierrę, Tudelę, Wagram i inne liście wawrzynu, z których pułk jenerała Krasińskiego splatał sobie wieniec nieśmiertelnej sławy. Wchodzimy wreszcie do obszernego salonu, zwanego „salą Napoleońską“: tu zebrane są obrazy i rzeźby, odnoszące się do wielkiego cesarza, i te wszystkie dowody pamięci i uznania, któremi on obdarzał jenerała.

Wśród tego bogatego zbioru ilustracyj do półwiekowej blisko epoki walk o niepodległość Polski napróżno szukalibyśmy portretu Kościuszki, który „miecz oburącz trzyma“, Rejtana. „żałosnego po wolności stracie“ lub Jasińskiego z Korsakiem, „stojących na szańcach Pragi“. Historja Polski z tych przełomowych lat zapisana jest na ścianach dworu opinogórskiego długim szeregiem czynów bohaterskich, ale czynów, dokonanych wyłącznie przez rodzinę Krasińskich, przedewszystkiem zaś przez jenerała Wincentego. A jest to obojętnem, czy wszystkie te obrazy zajmowały obecne swe miejsca już w latach dzieciństwa poety, czy też jeden lub drugi z nich zawisł tam nieco później: duch, który z wyboru tej kolekcji wyraźnie się przebija, nie uległ z pewnością zmianie, a on przez usta jenerała wyjaśniał wrażliwemu dziecku i sprawę polską, i obowiązki obywatela, on wskazywał mu drogi na daleką przyszłość.

Wróćmy teraz na chwilę do pracowni poety i spojrzyjmy na ścianę nad biurkiem! Wisi tam za szkłem, oprawiony w ramkę, niewielki rysunek, przedstawiający rodzaj pomnika. Na stanowiącym część górną obelisku widzimy złożone na krzyż lance, a nad niemi kaszkiet szwoleżera gwardji — środkowy zaś cokół mieści następujący czterowiersz z charakterystycznym błędem ortograficznym:

Po całej prawie ziemi
Pod obcemi znaki
Za wolność swego kraju
Walczył żołnież taki.

To pierwsza zapewne próba poetycka autora „Przedświtu“. Jenerał Krasiński okazał jej uwagi i szacunku więcej, niż setkom innych pamiątek — i słusznie, bo ten słabiutki rysunek i słabszy jeszcze wierszyk są nader wymownem świadectwem, że dziecięca wyobraźnia syna obrała sobie jego i jego szwoleżerów za główny przedmiot rojeń, że tylko „żołnierz *taki*“, w mundurze szwoleżerskim, był dla niej bohaterem walk o niepodległość. A kiedyś, po wielu latach, u schyłku już działalności Zygmunta Krasińskiego, dziwnie się przypomną owe pacholęce marzenia. Zmieńmy w tym czterowierszu ogólnikowe określenie „po całej prawie ziemi“

na nazwy miejscowości, w których pułk jenerała walczył, a będziemy mieli coś w rodzaju pierwszego rzutu wspaniałego ustępu „Psalmu Miłości“:

Wszędzie, wszędzie na planecie
Braci moich ryty ślad!
....
Na alpejskiej skał wyżynie,
Po śródziemnych fal błękicie,
Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich Sierrów szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuskiem każdem polu,
Po wszechziemiach, po wszechwodach
Siali przyszłej Polski siew,
Boże ziarna — własną krew —
I wy syny tego bolu!

Nie tylko w dzieciństwie zatem postać ojca zasłaniała Krasińskiemu ten bezmiar trudu, krwi i poświęcenia, jaki w pracę nad odrodzeniem Polski włożyły całe pokolenia — jeszcze w ostatniej epoce życia mimo woli i wiedzy zapewne zidentyfikuje w jego osobie całą szlachtę, „braci swoich“, i jemu wyłącznie przypisze ocalenie ducha narodowego od upadku! Da on temu przekonaniu wyraz jasny w pierwszym swym wierszowanym utworze, dedykacji z „Pana Trzech Pagórków“ (r. 1828), mówiąc do ojca:

Oparty mieczem na grobie ojczyzny.
Całun jej w sztandar zmieniłeś zwycięski.

W tym poglądzie historycznym niema miejsca dla Kościuszków, Dąbrowskich i Kniaziewiczów — i o nich też nigdy ani poezja Krasińskiego, ani nawet listy jego mówić nie będą. Wyolbrzymiona postać jenerała Wincentego przysłoniła ich sobą na zawsze. „Ciosy dłuta młodości“ bywają istotnie „wiecznotrwałe!

Że dłutem tem kierował jenerał i że te właśnie poglądy historyczne i podobne im społeczne wykuwał w młodej duszy syna wytrwale i dzielnie podczas owych tajemniczych schadzek i pogadanek w zamkniętym pokoju, to nie ulega wątpliwości. Dalsza tego rodzaju praca jenerała, w pewnych przynajmniej szczegółach znana nam i dostępna naszej kontroli, dowodzi tego niezbicie. A trzeba przyznać, że cel osiągnął: syn, rozkochany w jego rycerskiej postaci, oddał mu się całą duszą i zaufał ślepo. I dopiero straszliwe gromy życiowe zachwieją tem zaufaniem i zburzą zbudowane na niem gmachy wierzeń i poglądów.

Tymczasem niezależnie od politycznej i społecznej akcji jenerała nauka przedmiotów szkolnych szła pod kierunkiem surowego Chlebowskiego nieubłaganie naprzód. Chłopak uczył się znakomicie, a próżny ojciec — lepszy żołnierz, niż pedagog — urządzał uroczyste popisy, na których najznakomitsi literaci i uczeni warszawscy podziwiali niezwykłe zdolności i rzadką w tym wieku wiedzę egzaminowanego dziecka. Dzięki tym produkcjom literatura polska po raz pierwszy zanotowała nazwisko Zygmunta Krasińskiego. Oto Niemcewicz napisał „eklogę dramatyczną“ p. t. „Nasze Verkery“, gdzie w szeregu komicznych scen przedstawia, jak całe „towarzystwo“ warszawskie zajmuje się jedynakiem jenerała i jak go uważa za ósmy cud świata. [4])

We wrześniu 1826 r. zdał Krasiński egzamin wstępny do 6-tej, najwyższej, klasy liceum warszawskiego, którego dyrektorem był S. B. Linde, a które mieściło się w części pałacu Krasińskich, co naturalnie dla młodego chłopca było bardzo dogodnem i miłem. Ten rok pracy w szkole publicznej miał go przygotować do przyszłego życia akademickiego. Jakoż w jesieni r. 1827-go nazwisko Zygmunta Krasińskiego było już zapisane w liście słuchaczów wydziału prawniczego na uniwersytecie warszawskim.

Rzecz prosta, że ani obowiązkowa praca szkolna w zakresie programu licealnego, ani tem mniej wykłady z dziedziny prawa nie zdołały opanować umysłu młodego chłopca całkowicie i wyłącznie. W tej wrażliwej głowie roją się myśli, powstają uczucia i snują się obrazy, które ze światem szkolnym nie mają nic wspólnego, a których źródła i podniety wynurzają się raz po raz niespodziewanie z najbanalniejszej nawet rzeczywistości. „Co ujrzysz, jest twojem“ — powie

później Krasiński we wstępie do „Nie-Boskiej Komedji“, określając istotę poety. Ale te rojenia, będące wynikiem wrodzonej ruchliwości umysłu, nie były bynajmniej równoznaczne z twórczością poetycką i mogły nigdy do niej nie doprowadzić. Był to materjał, z którego równie dobrze mógł skorzystać poeta, jak mąż stanu, filozof, mowca lub astronom, materjał, który w młodej duszy powstawał i gromadził się bez jej wiedzy i woli z nasionek, rzucanych przez rozmowy lub przeczytane książki, tak, jak nie posiane ręką ludzką kwiatki powstają na łące. Ujęcie go jednak w jakąś całość, zawarcie w pewnych ramach, złożenie w obrazy z zastosowaniem prawideł sztuki było już pracą celową, do której podnieta musiała przyjść z zewnątrz.

Podniet tych było mnóstwo, a niosła je z sobą atmosfera czasu. Wszak była to epoka wielkich, potężnych poetów, którzy pod koniec XVIII i z początkiem XIX wieku zjawili się na horyzoncie europejskim w niebywałej dotąd liczbie i w aureoli wyjątkowego genjuszu. Wojny napoleońskie przysłoniły sobą ich twórczość, gdy jednak opadł dym bitew i życie wchodzić zaczęło na normalne tory, spostrzeżono ze zdumieniem, że przez literaturę przeszła także jakaś burza, nie mniejsza od politycznej, że ona w krajach germańskich zmiotła zupełnie konwencjonalną poezję pseudoklasyczną a na jej miejscu postawiła inną, świeżą i nawskroś oryginalną, o zdumiewającej sile wyrazu i uczucia. Odgłosy tej burzy zbliżały się zwolna do Warszawy, przedostawały się poza chiński mur, wzniesiony przez obóz klasyków w obronie skostniałej, lecz uświęconej tradycją poetyki francuskiej, i zaczęły podniecać umysły, zwłaszcza młodych. Nazwiska Goethego i Schillera, Byrona i Waltera Skotta górują nad całem mnóstwem innych i zwolna stają się czemś więcej, niż pustym dźwiękiem, bo łączą się ze znajomością choćby pewnych, nielicznych ich dzieł. Niemcewicz tłumaczy ballady angielskie, Brodziński utwory niemieckie, a potem w sławnej rozprawie „O Klasyczności i Romantyczności“ zagaja dyskusję na temat właściwości i wartości obu kierunków. Z Wilna nadchodzą pierwsze odgłosy walki w rozprawie Śniadeckiego, a wkrótce potem zjawiają się pierwsze jaskółki odrodzenia się poezji polskiej, dwa tomiki dzieł Mickiewicza.

Młodzi romantycy warszawscy zaczynają wrzeć i gotują się do ataku na obóz klasyków. Walka staje się nieuniknioną.

Dla Zygmunta Krasińskiego pierwszorzędne znaczenie musiał mieć fakt, że pierwsze starcia obu wrogich sobie kierunków literackich nastąpiły w salonie jego ojca.

Zaraz po przybyciu do Warszawy po smutnym końcu napoleońskiej epopei jenerał Krasiński otworzył szeroko swe wspaniałe salony dla całego naukowego, literackiego i artystycznego świata stolicy. Do grona tego sam zresztą należał jako autor kilku prac z dziedziny wojskowości, spraw społecznych, a nawet artystycznych i literackich, żywy zaś, nieco encyklopedyczny umysł i namiętności zbieracza łączyły go z niem jeszcze ściślej nicią zainteresowania i sympatji. Zbierał gorliwie obrazy, sztychy, książki i zbroje, nie żałując pieniędzy; jego bibljoteka i galerja obrazów miały nie pierwszorzędną wprawdzie, ale też nie małą wartość. Właściwa mu hojność, przechodząca często w rozrzutność, w połączeniu z wygórowaną ambicją uczyniły go protektorem sztuki i literatury, a wielkie zalety towarzyskie, wesołość, dowcip, serdeczna gościnność sprawiały, że był gospodarzem niezwykle miłym i ujmującym. Spieszyli więc do domu jenerała i najzasłużeńsi w pracy publicznej mężowie, i dawni towarzysze broni, i uczeni, i literaci, i malarze, i artyści dramatyczni, ludzie różnego wieku i rozmaitych kierunków, wytrawni i rutynowani obok początkujących, zupełnie jeszcze młodzi obok osiwiałych. W tej rzeszy częstych gości jenerała najgłośniejsi byli: Woronicz, Niemcewicz, Brodziński, Morawski, Osiński, Kajetan Koźmian, Fr. Salezy Dmóchowski, Kiciński, Kwiatkowski i Grzymała z pośród starszego pokolenia poetów i literatów, Lelewel, Linde i Bentkowski z pośród uczonych, nowe zaś prądy literackie reprezentowali: Odyniec, Tymon Zaborowski, Ksawery Godebski, Dominik Lisiecki i Konstanty Gaszyński. Początkowo, za życia żony, zapraszał jenerał swych gości raz w tygodniu na śniadania, później poranne godziny zebrań zmieniono na wieczorne. W każdą sobotę, po prelekcji Osińskiego, na które cały świat literacki Warszawy uczęszczał, odbywał się w salonach Krasińskiego obiad, a podczas niego lub po nim, wśród dymu fajek, toczyły się

rozmowy poważne lub żartobliwe, dotyczące spraw bieżących, naukowych lub literackich.

Ton tych rozpraw i dyskusyj, początkowo nader spokojnych i wesołych, ożywianych dowcipami Żółkowskiego, później zaś czerpiących w znacznej części tematy z komicznej postaci wierszokletv Marcinkowskiego, który na obiadach u jenerała częściej bywał potrawą, niż gościem — ten jowialny ton pogadanek uległ znacznej zmianie, gdy do Warszawy dostały się pierwsze hasła romantyczne, a zaognił się od czasu ukazania się pierwszych utworów Mickiewicza. Klasycy, mający na tych zebraniach olbrzymią przewagę, drwili niemiłosiernie z nowego kierunku; nieliczni wielbiciele Mickiewicza z Odyńcem na czele odcinali się, jak mogli, więcej posługując się zapałem, niż rzeczowemi argumentami. Jenerał Krasiński z upodobaniem podjudzał przeciw sobie oba obozy przeciwników, Morawski rzekomo łagodził zapędy swem stanowiskiem pośredniem i bezstronnem, w istocie zaś dolewał tylko oliwy do ognia. Spory zaostrzały się coraz bardziej, aż doszło do tak ostrej wymiany zdań pomiędzy Osińskim a Odyńcem, że odtąd rozpraw tych zaczęto starannie unikać.

Zygmunt Krasiński zbyt jeszcze był młody, aby w tych zebraniach uczestniczyć, ale też zbyt był wrażliwy, aby ta atmosfera literacka, którą jego otoczenie oddychało, nie miała na niego działać podniecająco. A gdy już pierwsze zarodki padły w jego subtelną duszę, gdy zbudziły się pragnienia i ambicje literackie, gdy dziecięcą ręką zaczął spisywać swe dziecinne powiastki, jakżeż odtąd zajmować go musieli ci w powagę i dostojeństwo przybrani „koledzy“, którzy w salonie jego ojca rozprawiali o prawidłach twórczości, jakże bardzo musiało go interesować to wszystko, co tam mówiono! Miał zresztą o tych rozprawach i sporach wiadomości dosyć dokładne. Raz po raz zdawał mu z nich sprawę Odyniec, stałym zaś referentem był kolega i przyjaciel, o dwa lata starszy od niego Konstanty Gaszyński, który, jako gość, pomimo młodego wieku uczestniczył w zebraniach. Te opowiadania przyjaciół, te gorączkowo wyczekiwane relacje o staczanych niemal za ścianą walkach na słowa musiały mieć znaczenie tem większe, że były jednostronne, że zabarwiał je

bezwzględny zapał dla nowego kierunku w połączeniu z lekką pogardą dla jego przeciwników.

Romantyzm przemawiał zresztą do wyobraźni Krasińskiego także bezpośrednio, przez lekturę. Najpotężniej oddziaływali na niego podówczas: Mickiewicz i Walter Skott.

Poezja mickiewiczowska nie mogła jednak służyć za wzór twórczości młodziutkiemu chłopakowi. Ludu nie znał, bo oddzieliło go od niego arystokratyczne wychowanie poprostu przepaścią niedostępną, więc „Ballady i romanse“ mógł tylko podziwiać, iść jednak ich torem dalej, jak Odyniec lub Witwicki, nie potrafił. Zresztą brakło mu nader ważnego czynnika: łatwości rymowania. Nie umiał złożyć wiersza zgrabnego, potoczystego, nie umiał w nim wyrażać się choćby tylko poprawnie — i po kilku nieudałych próbach, a zapewne po wielu potokach gorzkich łez zawodu, nie mając dosyć cierpliwości do zdobycia wprawy usilną pracą, zrezygnował ze składania rymów, aby dopiero w późnych latach życia, po stworzeniu najdojrzalszych dzieł, nabrać w tym kierunku wprawy i zyskać powodzenie. Wobec tego „Sonety“ ze swą wyrafinowanie kunsztowną formą, wybuchy uczucia w „Dziadach“ i w „Odzie do młodości“ pozostały poza obrębem wzorów jego dziecięcej twórczości. Jedynie kilka obrazów „Grażyny“ odbije się w jego powiastkach jako dowód, że ją znał i że nią się przejmował, a uwielbienie swe dla Mickiewicza objawi Krasiński w sposób tak dziwny, tak naiwny, jak przekład „Świtezianki“ na język... łaciński, naturalnie prozą. „Wallenrod“ był dla szesnastoletniego chłopca dziełem zbyt głębokiem i zbyt potężnem, aby go porwać za sobą, ale sprawi na nim wrażenie wielkie, które na razie uwidoczni się tylko w pełnem zachwytu sprawozdaniu, złożonem listownie ojcu, będzie jednak tkwiło głęboko w duszy, będzie w niej rosło, aż, nabrawszy sił, wybuchnie nagle i niespodziewanie jako pomysł wielkiego poematu. Będą to narodziny wielkiego poety.

Zupełnie inny był wpływ, jaki na niego wywierała lektura Waltera Skotta. Przedewszystkiem stawał wobec niej bez tej lękliwości, jaką budziła w nim poezja wierszowana, a z tą radością w duszy, która wypływa z przekonania, że jakiś upragniony cel potrafimy osiągnąć. Przykład „wielkiego niezna-

jomego" mówił mu, że można tworzyć świetne dzieła poetyckie, władając jedynie prozą, że można niemi zachwycić cały świat i zyskać sławę, jakiej nikt przedtem nie zdobył. Ileż jednak poezji przemawiało z poza niewyszukanej formy tych powieści do wyobraźni młodzieńca! Widział tam z dotykalną niemal wyrazistością życie zamierzchłych już a tak pięknych czasów, gdy silne namiętności rządziły ludźmi i nadawały kształt losom świata, gdy nieustraszeni, w stal zakuci rycerze dokonywali bohaterskich czynów i zdobywali sobie miłość anielskich dziewic, gdzie nad brojącem hultajstwem i uciemiężaną cnotą unosił się duch surowej sprawiedliwości. Ta rycerska przeszłość, o której tyle opowiadał mu ojciec, wychylała się ku niemu z dzieł wielkiego Szkota, przybrana w taką siłę plastyki, barwności i prawdy psychologicznej, że pozyskała sobie jego bezwzględną miłość i wzbudziła chęć naśladowania.

Nie dostrzegł, bo wówczas dostrzec tego jeszcze nie zdołał, że ten zachwycający go obraz złożony jest misternie z wystudjowanych dokładnie i opracowanych z wielkim artyzmem szczegółów, że te barwne mozaiki charakterów stworzył pierwszorzędny znawca duszy ludzkiej; romantyczna anegdota w połączeniu z tłem historycznem wydała mu się rdzeniem dzieła, podstawą jego wartości — i postanowił tę metodę zastosować we własnej twórczości. Owocem takiego poglądu są powiastki i powieści historyczne Krasińskiego, napisane przed rokiem 1830-tym.

Dzięki wydaniu jubileuszowemu, ogłoszonemu przez rodzinę Poety w setną rocznicę jego urodzin, liczba tych utworów wzrosła znacznie, nie przysparzając jednak (z jedynym wyjątkiem) materjału, godnego baczniejszej uwagi. Spróbujmy ułożyć te owoce dziecinnej jeszcze twórczości w szereg chronologiczny. Oto one: „Rozmowa 1824-go z 1825-tym rokiem", napisana niewątpliwie około 1-go stycznia 1825 r., „Rozmowa Napoleona z Aleksandrem I. na polach Elizejskich", mająca datę: „1. stycznia 1826", „Syn Botzarisa" (data: „19. lutego 1826"), przekład ustępu z dzieła Raffenela o powstaniu greckiem p. t. „Zniszczenie Ipsary", „Joanna d'Arc" (data: „1827") i „Wiliam Wallas", pochodzący najprawdopodobniej również z r. 1827, „Pan trzech Pagórków" (data: „6 kwietnia 1828"), „Grób rodziny Reichstalów", drukowany w połowie roku 1828-go, „Mściwy karzeł i Masław, książę Mazowiecki", zakwestjonowana w swej autentyczności „Małgorzata z Zembocina", trzytomowy „Władysław Herman i dwór jego", wszystkie trzy z r. 1828-go, „Zamek Wilczki", przekład „Parysyny" Byrona i wreszcie „Sen Elżbiety Pileckiej", wszystkie trzy z r. 1829-go.

Zestawienie to wymaga pewnych wyjaśnień i choćby krótkiego uzasadnienia, nie godzi się bowiem z układem wydania jubileuszowego i opinjami biografów poety. Przedewszystkiem zaznaczmy, że najobszerniejszy z tych utworów, „Władysław Herman i dwór jego", musiał powstać w r. 1828-ym, a nie 1829-ym, jeżeli, jak najwyraźniej stwierdza autograf, młodziutki autor ofiarował to dzieło swemu ojcu dnia 1-go stycznia 1829 roku. Fakt ten, potwierdzony nadto podpisem jenerała Krasińskiego, nie może podlegać żadnej kwestji, a doszukiwanie się w „Władysławie Hermanie" wspomnień wypadków uniwersyteckich z r. 1829-go [5]) nie jest niczem usprawiedliwione. „Mściwy Karzeł", „Małgorzata z Zembocina" i „Zamek Wilczki" nie mogły powstać po „Śnie Elżbiety Pileckiej"; świadczy o tem ich słabiutka, nieudolna forma, wobec której „Sen" jest istnem arcydziełem, a nadto trudność przypuszczenia, aby owe foljały czasopism polskich, na których oparta jest ich treść, woził z sobą Krasiński do Genewy. Napisane w Warszawie — czy w tym porządku, w jakim je wyżej wymieniono, czy w nieco odmiennym, to określić trudno, ale w każdym razie w Warszawie — pozostały te powiastki po wyjeździe Krasińskiego w ręku Gaszyńskiego i ukazały się w r. 1830 w wydawanym przez niego „Pamiętniku dla płci pięknej". Rzecz prosta, że porządek, w jakim je wydrukowano, mógł być zupełnie przypadkowy i że o chronologji ich napisania nic nie mówi.

W spisie powyższym brak niewykończonego szkicu lirycznego, któremu wydawca dał tytuł „Polska", a który jest najcenniejszą zdobyczą pierwszych tomów wydania jubileuszowego. Gdzie go jednak umieścić, pod jaką datą? Pierwszy wydawca [6]) na podstawie podobieństwa pisma podał jako czas napisania r. 1829-ty, w wydaniu jubileuszowem przyjął drugi wydawca na tej samej podstawie jako czas powstania

rok 1826-ty, bez żadnego znaku zapytania, a więc jako rzecz zupełnie pewną. Przeciw temu grafologicznemu argumentowi przemawia i treść i forma utworu — a zwłaszcza jego forma — tak głośno i dobitnie, że, opierając się na przesłankach, dyktowanych przez psychologię twórczości literackiej, trzeba czas napisania „Polski" zgodnie z opinją pierwszego wydawcy przesunąć raczej na rok 1828-y lub nawet 1829-ty, niż pozostawić urywek ten, mający już wyraźne ślady artyzmu, pomiędzy „Synem Botzarisa" i „Wallasem".

Pomińmy dwa pierwsze z tych utworów, będące dziecinną reprodukcją tego, co trzynasto- i czternastoletni chłopiec słyszał w rozmowach swego otoczenia, pomińmy dwa przekłady z języków obcych, a zostaną nam jako owoc pracy wyobraźni przyszłego poety od piętnastego do osiemnastego roku jego życia powiastki i obszerna powieść historyczna. Tematów do tych powiastek dostarczają początkowo wyłącznie dzieje obce. „Syn Botzarisa" przedstawia epizod z ówczesnego powstania greckiego, a pozostaje zapewne w ścisłym związku z dziełem Raffenela, którego ustęp („Zniszczenie Ipsary") równocześnie Krasiński przełożył; „Wallas" mówi o walkach szkocko-angielskich, „Joanna d'Arc" o dziejach Francji, „Grób rodziny Reichstalów" o dziejach niemieckich z epoki wojny trzydziestoletniej. Zbyt wielki to zakres „badań" kilkunastoletniego studenta, aby w oryginalność tych prac literackich można było uwierzyć. Zródła ich tkwią prawdopodobnie w drugorzędnych naśladowcach Waltera Skotta, którzy dostarczali Krasińskiemu, jeżeli nie samej fabuły, to przynajmniej tła, opisów uzbrojenia, strojów itd. Treść właściwą można było przy pomocy szablonu ówczesnego nader łatwo skomponować z krótkiej nawet wzmianki historycznej, a reminiscencje z pochłanianych chciwie romansów zagranicznych nie mąciły zapewne zbytnio spokoju sumienia młodemu autorowi. Tę samą metodę przenosi później na dzieje ojczyste. Wybierze z nich jakieś drobne, nieznaczne, ale bardzo krwawe zdarzenie, zgrupuje wokoło niego kilka postaci, stworzy z nich akcję niezwykłą, sensacyjną, ze zbrodnią lub przynajmniej z zabójstwem jako konieczną częścią składową i „powieść" jest gotowa. Tak powstanie „Mściwy karzeł", istna „powiastka kryminalna", i mniej już okropności zawie-



Jenerał Wincenty Krasiński
(w stroju kawalera maltańskiego)



rająca „Małgorzata z Zembocina“, tak wreszcie wyłoni się z dziecinnej wyobraźni naiwny pomysł „Pana trzech pagórków“, z tą chyba tylko różnicą, że, kiedy w poprzednich opowiadaniach dobierał nazwiska zamków polskich do nie zawsze rodzimej fabuły, tutaj rodzinna Opinogóra była podstawą pomysłu, który miał wyjaśnić jej nazwę (góra Opina) i zbrodniami założyciela powiększyć jej wartość w oczach czytelników, poprostu uszlachetnić ją, tak, jak opowiadanie Gerwazego wywołuje podziw i miłość Hrabiego dla zamku horeszkowskiego.

Dopiero w „Władysławie Hermanie“ można poznać właściwe cechy powieści Waltera Skotta. Akcja i tutaj jest naiwnie sensacyjną, ale nie spieszy już tak gwałtownie ku katastrofie, toczy się wolno i pozwala czytelnikowi rozejrzeć się w zwyczajach ówczesnych, a czasami wględnąć nawet w dusze bohaterów. Bitwy, oblężenia, pojedynki, sztylety, trucizny odgrywają naturalnie i tutaj decydującą rolę, ale nie służą już do jak najszybszego i najłatwiejszego rozwikłania sytuacji, lecz raczej są same przedmiotem i celem troskliwych opisów, są środkiem do nakreślenia „kolorytu czasu.“ Powieść musi być za wszelką cenę bardzo obszerną. Kiedy błahy pomysł zasadniczy, tajemniczość małżeństwa Zbigniewa z Hanną, już w żaden sposób nie da się przedłużyć, kiedy zdaje się, że rozwikłanie musi już nastąpić, występuje najniespodziewaniej w świecie Męstwin, oświadcza swą namiętną, niepohamowaną miłość ku Hannie — i akcja wchodzi na nowe tory, na których autor potrafi ją utrzymać długo, bardzo nawet długo. Pewna rozlewność epicka i dbałość o dokładną psychologję bohaterów nadają temu obszernemu dziełu pozory powagi — ale z poza tych pozorów przebija się zbyt często zadziwiająca naiwność życiowa autora i lekkomyślność w traktowaniu, a raczej fabrykowaniu objawów kultury ojczystej opisywanej epoki. W dwa lata zaledwie po wydrukowaniu „Władysława Hermana“ nazwie go sam Krasiński surowo lecz zupełnie słusznie „nikczemnem dziełem“, „płodem dzieciństwa, gdzie kilka iskierek ledwo że tleje wśród perzyny i gnoju.“

Od tego szarego tła sensacyjnej treści a banalnej formy, pospolitego, codziennego języka i tanich efektów dramatycznych, pozbawionych wszelkich uroszczeń do sięgania w dzie-

dzinę prawdziwej poezji — jednem słowem od wszystkich tych „powieści oryginalnych" odbijają dziwnie dwa utwory: „Polska" i „Sen Elżbiety Pileckiej." Wyróżnia je przedewszystkiem subtelniejsza, silnie zaprawiona uczuciem treść — a następnie forma zewnętrzna, dążąca do wyżyn artyzmu poetyckiego. Oto np. ustęp z „Polski":

„...Królowo niebios i Polski, Ty, która panujesz sercom naszym, ubłagaj Pana piorunu!... O, wróć nam Twe serce! Imię twe wielkie. Wieniec z gwiazd nieśmiertelnych wieńczy Twe skronie. Wiosna uśmiecha się na Twych licach. Pod nogami Twemi rozlewają się strumienie jasności i światła. Ogień słońc tysiącznych toczy się u Twej stopy. Panujesz całemu światu — czyż jedną tylko odrzuciłaś Polskę?" [7])

Zupełnie podobnie modlić się będzie za lat kilka Orcio nad grobem swej matki, „odmieniając słowa modlitwy." Ale nie tylko brzmi tu szczere i silne uczucie — ten modlący się chłopak ze starannie dobranych wyrazów składa plastyczne cząstki i grupuje je w harmonijny obraz, który przed sobą widzi. A nie zmieni tego faktu możliwość, że w oczach majaczył mu sztych jakiś z głośnego obrazu Murilla — w każdym razie mamy tu i w wielu innych ustępach „Polski" do czynienia z wizją poetycką. A z tą chwilą rodzi się poeta!

O wiele bardziej charakterystyczny a równie ważny zwrot widać w „Śnie Elżbiety Pileckiej." Już nie ton liryczny, nie szczegóły, złożone w plastyczne obrazy, lecz całość utworu, jego kompozycja, sposób pojęcia i ujęcia przedmiotu, ulegnie tu zasadniczej zmianie. Bo przedmiot opowiadania nie różni się chyba niczem od poprzednich powiastek, a w owej chwili przełomowej był może nawet już opracowany w ten sam sposób, co „Mściwy karzeł" lub „Zamek Wilczki": są to pełne niezwykłych przygód i przejść dzieje Elżbiety Pileckiej, żony Władysława Jagiełły i królowej polskiej. Uwiezienie młodej dziewczyny przez obcego rycerza, pościg, śmiertelny pojedynek, zmuszenie bohaterki do małżeństwa z niekochanym, może znienawidzonym człowiekiem, wczesna śmierć jego, a potem nowe małżeństwo, wkładające jej koronę królewską na głowę — to temat, który mógł się podobać autorowi „Władysława Hermana." Jakże jednak inaczej temat ten jest tu opracowany! Zamiast trywialnych, pozornie realistycznych scen znajdziemy w tym małym obrazku senne marzenie, w którem złagodnieją ostre tony rzeczywistości i zmienią się w szereg obrazów, dziwnie wysubtelnionych i uszlachetnionych, przesuwających się przez wyobraźnię śpiącej dziewczyny. Oto np. scena uwiezienia:

„Zdało się marzącej dziewicy, że przy świetle lampy, z trudnością przedzierającem się przez ciemną komnatę, widzi klęczącego u kolan rycerza — i zaraz go poznała dziewica i imię Archelda z Heldy wyszło z jej ust uśpionych...

„O luba — mówił rycerz — już stoją na podworcu konie. Słyszysz? tętnią ich kopyta. Noc piękna — śpi zamek — księżyc patrzeć tylko będzie na naszą ucieczkę. Nie zwlekaj, zaślubiona mi już sercem oblubienico, nie zwlekaj!" — A słowa młodzieńca podobne były do miłego szmeru błyszczącego strumienia; przenikały one aż do duszy Elżbiety, jak promienie wiosennego słońca do kielicha świeżo rozwitej róży, i jakaś moc nadludzka rzuciła ją w objęcia Archelda"...

Coś się najwidoczniej zmieniło w poglądach autora „Grobu Reichstalów" na twórczość; jakiś wyższy, doskonalszy wzór stanął mu przed oczyma i porwał go za sobą. Wzorem tym był Byron. Znał go Krasiński już przedtem, ale patrzał na niego oczyma, szukającemi sensacyjnej treści, a że treść tę pojmował naiwnie, więc chwytał z niej jedynie najwyraźniejsze, najgrubsze jej zarysy: rozgoryczenie, odsuwanie się od świata, nienawiść do znikczemniałych ludzi i t. d. Tego rodzaju „bajronistyczną" postacią jest Opin, bohater „Pana trzech pagórków", przypominający swą żądzą niszczenia młodszego o rok „Araba" Słowackiego. Ale teraz, po napisaniu „Władysława Hermana", przemówił do niego Byron już nie fabułą swych powieści, lecz artyzmem ujęcia jej i przedstawienia, a przemówił z kart niewielkiego „Snu", przełożonego na język polski przez Mickiewicza. Przekład ten ukazał się był wprawdzie jeszcze w r. 1826 w „Dzienniku Warszawskim, ale Krasiński nie tam go widocznie czytał, bo jako *motto* „Snu Elżbiety Pileckiej" przytoczył cztery początkowe wiersze utworu Byrona w tej formie, w jakiej ukazały się dopiero w zbiorowem petersburskiem wydaniu dzieł Mickiewicza z r. 1829 [8]) Wydanie to mogło znaleźć się w Warszawie najwcześniej w kwietniu[9]), a już 13-go maja 1829 r. wydru-

kowany był „Sen Elżbiety Pileckiej“ w „Rozmaitościach Warszawskich.“ Widać stąd, jak bardzo silne musiało być wrażenie, wywołane poemacikiem Byrona; podziałał on na Krasińskiego po prostu jak objawienie nowej, prawdziwej sztuki.

Powody tego silnego wrażenia leżały nie tylko w Byronie, w wysokiej artystycznej wartości jego utworu, lecz i w Krasińskim samym, w jego upodobaniach, czy może nawet w jego organizacji psychicznej. Od dzieciństwa już marzą mu się sceny fantastyczne, oderwane od ziemskiej rzeczywistości: w czternastym roku życia, pisząc o Napoleonie i Aleksandrze I, przedstawia ich na polach Elizejskich, na które unosi go marzenie senne. To VI. księga „Eneidy“ porwała za sobą wyobraźnię młodzieńczą i zmusiła do naśladowania. Później nasuwają mu się pomysły podobne („Pan trzech pagórków“, proroctwa „Joanny d'Arc“ i astrologa w „Grobie Reichstalów“), nie umie jednak podołać im, ująć ich artystycznie. Dopiero „Sen“ Byronowski pokaże mu urok wizji poetyckiej i wywoła pierwszą próbę opracowania całego wątku powieściowego w tej formie — i odtąd już przez całe swe życie będzie Krasiński hołdował temu właśnie kierunkowi, tej formie twórczości. Wszystkie wielkie jego dzieła, od „Nie-Boskiej Komedji“ aż do t. zw. „Niedokończonego Poematu“ będą nosiły na sobie wybitne piętno wizjonerstwa.

„Pan trzech pagórków“ zawiera w sobie drobny, ale charakterystyczny szczegół, dotyczący autorstwa tej powiastki. To nie Krasiński ją napisał — to prastara jakaś historja, którą otrzymał, zabłądziwszy wieczorem w lesie, od tajemniczego widziadła; on ją zatem wydaje tylko, wiernie przepisując nadpsuty już rękopis. Istotnie, w opowieści są luki, są wykropkowane miejsca!

Jest to zupełnie w duchu owych dziwnych czasów, gdy wielcy nieraz poeci wypierali się autorstwa znakomitych poematów i twierdzili stanowczo, że odnaleźli je w starych foljałach, a sami są tylko wydawcami. Zadowolenie z udania się takiej sztuczki bardziej ich nęciło, niż sława poetycka. Rozpoczęli tę manję w Anglji Macpherson i Chatterton — zmierzch jej wydał w Słowiańszczyźnie „Słowo o pułku Igora“ i falsyfikaty Hanki. Ten dziwaczny kierunek doszedł widocznie do Krasińskiego i odbił się naiwnem echem w jego dziecinnym utworze. Nie skończy się jednak na tem. Nim jeszcze zjawią się jakiekolwiek powody osobiste do ukrywania się z własną twórczością, wejdzie on już w zwyczaj autora „Nie-Boskiej Komedji“, a zmarły w Morreale Henryk Ligenza będzie tylko świetnem powtórzeniem owej „białej postawy“ odzianej w „lekkie szaty“, podającej dumnemu z swej strzelby i swych „łowów“ chłopakowi „czarniawy“ rękopis powiastki o Opinie.

* * *

W to bujne, niemal radosne życie zabawiającego się twórczością literacką młodzieńca wdziera się nagle i niespodzianie pierwiastek nowy, a nader ważny, ten, który sam jeden posiada moc wydobywania z dusz ludzkich prawdziwej poezji — ból. Kropla po kropli sączyć się będzie w duszę Krasińskiego, dopóki nie nabierze siły, nie wstrząśnie nią i nie przekształci jej zupełnie. Zawdzięczać go będzie przyszły poeta człowiekowi, złączonemu z nim węzłami najsilniejszej i najszczerszej, wzajemnej miłości — ojcu.

Jenerał Wincenty Krasiński należał do najwybitniejszych osobistości Warszawy. Uczestnik świeżej jeszcze legendy napoleońskiej, związany ze wspomnieniami walk o niepodległość, opromieniony aureolą wiekopomnych czynów swego pułku, miał wszelkie podstawy do zjednania sobie miłości i uwielbienia całego narodu. Mąciła ten stosunek do społeczeństwa tylko zbytnia uległość i usłużność wobec rządu rosyjskiego. Dzięki temu bożyszczem był tylko dla syna, ulubieńcem dla „towarzystwa“ warszawskiego, które podbijał wspaniałemi przyjęciami, pańską rozrzutnością i ciętym dowcipem — dla tych zaś wszystkich, którzy patrzyli głębiej i starali się badać pobudki czynów, był zagadką. Zagadkę tę odsłaniać i wyjaśniać zaczęły wypadki polityczne, przedewszystkiem sprawa t. zw. „Sądu sejmowego“.

Śledztwo petersburskie, wywołane zamachem Dekabrystów, przyniosło dowody istnienia w Polsce Towarzystwa Patrjotycznego i jego związków z rewolucjonistami rosyjskimi. Na

podstawie reskryptu cara Mikołaja przedsięwzięto w lutym r. 1826 aresztowania w Warszawie i ustanowiono komisję śledczą, złożoną z pięciu Rosjan i pięciu Polaków ze znanym ze swych ugodowych poglądów prezesem senatu, Stanisławem Zamoyskim jako przewodniczącym. Dzięki przedstawieniom Lubeckiego zgodził się jednak Mikołaj na oddanie sprawy, zgodnie z postanowieniami konstytucji Królestwa Polskiego, osobnemu Sądowi Sejmowemu Senatu; na jego czele stanął marszałek Piotr Bieliński, zastępcą zaś jego mianowano Wincentego Krasińskiego. W czerwcu r. 1827-go rozpoczął Sąd swe obrady, którym cały kraj przypatrywał się z łatwo zrozumiałem napięciem. Chodziło przecież już nie tylko o Krzyżanowskiego i jego siedmiu towarzyszy, którym groził straszliwy los Dekabrystów, ale o godność narodową i konstytucyjną odrębność Królestwa. Wyrok sądu miał rozstrzygnąć, czy Polak, dążący do zapewnienia niepodległości swej ojczyźnie, spełnia swój obowiązek, czy też dopuszcza się zbrodni zdrady stanu — miał patrjotyczne dążności jakby ulegalizować, stając na stanowisku odrębności Królestwa, lub potępić je, uznając równocześnie, że Królestwo Polskie jest, pomimo swej pozornej odrębności, tylko prowincją Rosji.

W przeciwieństwie do ohydnych praktyk sądu petersburskiego nad Dekabrystami rozprawy odbywały się jawnie, a oskarżonym pozostawiono możność korzystania z prawnej obrony, opinja publiczna zatem mogła śledzić dokładnie przebieg sprawy, która bardzo powoli posuwała się naprzód. Dopiero w maju r. 1828-go przystąpił Sąd do wydania i zredagowania wyroku. Olbrzymią większością, niemal jednogłośnie, uwolnił oskarżonych od zarzutu „zbrodni stanu", ukarał ich jedynie, stosunkowo bardzo łagodnie, za należenie do zabronionych związków tajnych. Honor narodowy był ocalony — wyrok Sądu Sejmowego był manifestacją uczuć i praw Królestwa, protestem przeciw narzucanej systematycznie niewoli. Zapadł ten wyrok prawie jednomyślnie: przeciw niemu głosowali, żądając dla oskarżonych kary śmierci, tylko dwaj ludzie: pogardzany powszechnie wojewoda Czarnecki i — jenerał Krasiński.

Fakt ten był jawnem, publicznem opowiedzeniem się przy rządzie rosyjskim a przeciw społeczeństwu, był otwartem od-

stępstwem i zdradą nie polskości wprawdzie, ale idei niepodległości Polski. Do zupełnej zdrady narodowej stąd już krok tylko jeden — i jenerał Krasiński w chwili decydującej krok ten w obłędzie swym wiernopoddańczym uczyni. Teraz, po głosowaniu w Sądzie Sejmowym, pozyska sobie łaskę i zaufanie w ks. Konstantego i cara Mikołaja; jemu przypadnie po obrzędzie koronacyjnym w r. 1829-ym zaszczytna misja dyplomatyczna o charakterze ściśle rosyjskim, rola specjalnego posła carskiego do Wiednia, którą odegra z zapałem i ku zupełnemu zadowoleniu Mikołaja I. Zyskawszy jednak łaski rządu, musiał stracić sympatje społeczeństwa polskiego. Opinja publiczna zwróciła się gwałtownie przeciw niemu, łącząc z faktem głosowania w Sądzie Sejmowym smutniejsze może od niego, bo jaskrawsze w swej wyrazistości, składanie w. ks. Konstantemu po każdem posiedzeniu Sądu dokładnych sprawozdań z jego przebiegu. Niemcewicz, nie znający nigdy kompromisów z swem polskiem sumieniem, pierwszy przestał bywać w domu Krasińskiego, za nim poszli inni; gwarne dotychczas salony jenerała opustoszały, zebrania czwartkowe przestały istnieć — coś w rodzaju klątwy narodowej zawisło nad pałacem przy Krakowskiem Przedmieściu.

Jak przedstawił jenerał tę sprawę synowi, jak usprawiedliwiał swoje postępowanie i jak wyjaśniał tę przepaść, która otwarła się nagle między nim a nieskazitelnym Niemcewiczem i całem niemal społeczeństwem — nie wiadomo. Prawdopodobnie już wówczas wskazywał mu na różnice społeczne jako na przyczyny zatargu — w każdym jednak razie argumentował sprytnie i wymownie, bo bezgraniczne zaufanie jedynaka w jego szlachetność pozostało niezachwianem. Zbliżała się chwila, w której kara za winy ojca spaść miała nielitościwie na syna.

Z początkiem marca 1829-go roku zmarł prezes Sądu Sejmowego, Piotr Bieliński. Jasnem było, że Warszawa zechce złożyć dowody czci, jaką go otaczano, i że pogrzeb jego będzie wielką manifestacją patrjotyczną. Aby temu zapobiedz, wydał w. ks. Konstanty cały szereg zarządzeń i zakazów, które tem bardziej jeszcze podnieciły publiczność. Między innemi zabroniły władze uniwersyteckie młodzieży brania udziału w pogrzebie. Zakaz ten wywołał skutek wręcz przeciwny:

cała młodzież akademicka związała się słowem, że na wykłady ranne w dniu pogrzebu nie pójdzie i że bez wyjątku weźmie udział w uroczystości narodowej. W chwili jednak, kiedy akademicy tworzyli straż honorową przy zwłokach wśród nieprzejrzanych tłumów publiczności, jeden z nich, nie dotrzymawszy przyrzeczenia, siedział w pustym gmachu uniwersyteckim i słuchał lekcji prawa polskiego, którą pedantyczny Bandke przez dwie godziny przed nim samym wygłaszał. Był to Zygmunt Krasiński. Na rozkaz ojca złamał solidarność koleżańską, opuścił swych towarzyszy i poddał się pokornie niewymownej męce, na jaką rozkaz ojcowski go skazywał: miał, spełniając wolę rządu, przeciwstawić się woli i uczuciom ogółu. Był do pewnego stopnia przedstawicielem losów swego ojca: w miniaturowych rozmiarach spełniał pod przymusem to, co jenerał uczynił dobrowolnie w czasie Sądu Sejmowego.[10])

Rzecz prosta, iż to wyzywające złamanie solidarności wywołało wśród kolegów Krasińskiego ogromne oburzenie, które zapewne potęgował jeszcze fakt, że winowajca był synem człowieka, będącego smutnem przeciwieństwem zmarłego. Młodzież postanowiła ukarać śmiałka. Nazajutrz po pogrzebie, dnia 14-go marca, odbyła się przykra nad wyraz scena: znieważenie Krasińskiego przez tłum kolegów, oddarcie mu odznak uniwersyteckich, których okazał się niegodnym.

Jenerał czuł zapewne dobrze, że syn jest ofiarą za jego winy, że to właściwie jemu, niegdyś dowódcy szwoleżerów, oddzierano z kołnierza munduru szlify oficerskie. Może szeptało mu sumienie, że poświęca biedne dziecko swej hardej dumie, czy raczej pysze, że skazuje je na niesłychaną mękę i że ojciec prawdziwie kochający nie tak postępuje. Ale jenerał zaciął się; jak sam udawał obojętność wobec odsunięcia się od niego niedawnych przyjaciół i towarzyszy, tak i synowi rozkazał nie zważać na opinję kolegów i uczęszczać dalej na wykłady. Scena z 14-go marca powtórzyła się jednak w formie jeszcze przykrzejszej i bardziej hańbiącej, a wtedy wdała się w tę sprawę władza uniwersytecka. Przeprowadzono śledztwo, spisano protokoły i ostatecznie — zapewne pomimo usilnych zabiegów jenerała — relegowano z uniwersytetu Zygmunta Krasińskiego oraz Leona Łubieńskiego, dotych-

czas jego przyjaciela, a teraz głównego podobno podżegacza młodzieży przeciw niemu.

Takie chwile pozostają w pamięci na całe życie jako gorzka, ohydna plama i koloryt wspomnień młodzieńczych czynią ponurym. Nie zapomni ich też Krasiński. Długo nie będzie mógł wspominać o nich, bo zbyt wielki ból mu sprawiają, ale dozgonną a gorącą wdzięczność zachowa dla tych dwu kolegów, którzy ujęli się za nim wobec rozgorączkowanej młodzieży: w pierwszym wypadku uczynił to Konstanty Gaszyński, w drugim Konstanty Danielewicz. Ta wdzięczność serdeczna i to głębokie milczenie świadczą wymownie, jak bolesną była rana. Dopiero w ostatniej epoce życia, w ostatniem swem większem dziele opisze drugie z tych smutnych zajść: „Przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą, lecz czemu, nieświadom. Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej. Krzyczą: „Panicz, panicz!“ — jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! W piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło“...

Jeżeli Krasiński — co wobec wyjątkowej dla niego wagi tych wypadków nie ulega chyba wątpliwości — wiernie opisał swe ówczesne poglądy i uczucia, to ustęp ten zawiera charakterystyczne świadectwo, jakie wpływy na jego duszę młodzieńczą działały. Byłoby rzeczą zupełnie zrozumiałą, gdyby przyszły poeta co do kolegów swoich był „nieświadom, czemu go nienawidzą“ — chociaż słowo „nienawiść“ jest tu użyte niewłaściwie. Niezrozumienie położenia, niemożliwość głębszego wniknięcia w istotę tragicznej sytuacji byłyby aż nadto usprawiedliwione u siedemnastoletniego młodzieńca. Wyrażenie „panicz“ zastępuje tu zapewne przykre, obraźliwe wykrzykniki młodzieży, których dosłownie przytaczać nie chciał, a może ze względów artystycznych nie mógł. A jednak słowo to dobrane jest tak, że staje się symbolem, hasłem młodzieży i odsłania powody jej postępowania. Powodem zaś miał być fakt, że Krasiński „mógł wskazać, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z przodków jego i w jakim leży pochowan kościele“ — inaczej mówiąc, że trwa przy patrjotyźmie przodków.

Czy to żart? Wszakże młodzież uniwersytecka właśnie w obronie tradycji narodowej i narodowego honoru karała w nim, w lubianym dotychczas koledze, naruszenie i zaprzeczenie uczuć patrjotycznych! Wszak oni, czyniąc tak, narażali się wrogiemu polskości despocie, jego zaś czyn był na zewnątrz właśnie wyrazem uległości dla tego despoty. Wielki Książę nie pozwolił na pogrzebie Bielińskiego urządzić manifestacji patrjotycznej, więc jenerał zakaz ten powtórzył synowi, a syn usłuchał. Cóż mu zatem dawało prawo mówienia w ten sposób?

Ażeby to zrozumieć, zwróćmy się do utworu, który powstał zaledwie w cztery lata po smutnych wypadkach uniwersyteckich z r. 1829-go, do „Nie-Boskiej Komedji.“ Przypomnijmy sobie, w jaki sposób hrabia Henryk przeciwstawia swój rzekomy patrjotyzm przewrotowym dążeniom Pankracego i jak uzasadnia różnice tych poglądów: „Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — powiada do dowódcy demokratów — bo każden z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. (*Wyciąga rękę ku obrazom.*) Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami, a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. Ale ty, człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja?“

Więc szeregi przodków, poległych za ojczyznę, i kościoły, kryjące w sobie ich prochy, są warunkiem nie bezwzględnego jakiegoś patrjotyzmu, ale pewnego sposobu pojmowania go — konserwatyzmu, a brak ich rodzi lub też może zrodzić przewrotowców, socjalistów czy nihilistów. Od sprawy politycznej przechodzimy w ten sposób do spraw społecznych, do różnicy stanów — i na tej płaszczyźnie przedstawia Krasiński wypadki uniwersyteckie z r. 1829-go. Szary, nie mogący wykazać się przodkami tłum kolegów zazdrościł jemu, arystokracie, chwały imienia i dostatków i skorzystał ze sposobności, aby nienawiść swą brutalnie objawić.

W tym poglądzie widać rękę jenerała. Nie mogąc pominąć milczeniem wobec dorastającego syna wypadków, które zaszły po Sądzie Sejmowym, przedstawił mu je zapewne jako wynik różnicy społecznej, jako skutek zawiści warstw uboższych ku warstwie uprzywilejowanej. Człowiek, który miał niezwykłą odwagę określenia powstania listopadowego jako akcji, dążącej do tego, „żeby ci, co posiadają, nie posiadali, a ci, co nie posiadali, aby posiedli“, czyli jako rewolucji społecznej z rabunkiem dóbr jako wypisanym na sztandarze celem — ten człowiek nie tylko mógł, ale musiał, odważając się na takie kłamstwo, któremu przeczyły głośno znane w całej Europie fakty, opierać się na przygotowanym już poprzednio gruncie, uzupełniać tylko konsekwentnie już poprzednio dawane synowi nauki i wskazówki — inaczej nie możnaby wprost tej odwagi pojąć. Cel takiego postępowania był jasny i zrozumiały. Wszak tylko odwrócenie uwagi młodego syna od terenu politycznego na inny, mniej niebezpieczny dla rozmyślań i porównań mogło opinję jenerała w oczach zacnego młodzieńca uratować.

Krasiński uwierzył ubóstwianemu ojcu i sceny uniwersyteckie stały się dla niego czemś w rodzaju bolesnej lekcji stosunków społecznych. Nie potrzebuje czynić rachunku sumienia ani za siebie, ani za ojca, bo to, co czuł głęboko w duszy, że jest niewinnym, potwierdza mu teraz wiedza, przeświadczenie. Bolesne wizje tych zajść stawiać mu będą przed oczy rozgorączkowany tłum kolegów, dyszących nienawiścią ku niemu, ofierze stanowiska, majątku i zasług rodowych, może nawet — wyższości moralnej. A wśród tych wspomnień jedno szczególnie silnie utrwaliło mu się w pamięci i najczęściej powraca. Oto on, znieważony przez „demokratów“ przedstawiciel „panów“ staje odważnie przed tłumem zebranych w sali wykładowej kolegów, „z niemałym zapałem“ zaprzecza stanowczo, jakoby miał odmawiać szacunku zmarłemu marszałkowi Bielińskiemu i nazywa potwarcą tego, któryby śmiał to twierdzić. Drży cały ze wzruszenia, przemawia z siłą, jaką daje głębokie oburzenie, szlachetna duma brzmi w jego słowach. A wtem wysuwa się z tłumu postać dotychczasowego przyjaciela, pozornie spokojna i zimna, i zapewnia, ręcząc słowem honoru, że to jemu właśnie powiedział Krasiński słowa, których się obecnie wypiera. Stoją obaj naprzeciw siebie i mierzą się wzrokiem; wreszcie on, Krasiński, wybucha, nazywa przeciwnika swego „kłamcą i potwarcą“ i rzuca mu wyzwanie na pojedynek.

Potem zjawia się profesor, przemawia do nich, każe im sobie podać ręce, a tłum woła: „Zgoda, zgoda! Niech wszystko będzie zapomnianem!“ Machinalnie ulega nakazowi, podaje przeciwnikowi rękę, ale nie zapomni i — nie przebaczy.[11])

Scena ta często stawać mu będzie przed oczyma, a z biegiem czasu w tym obrazie blednieć będzie otoczenie, a na plan pierwszy wysuwać się zacznie i rość coraz bardziej ten jeden człowiek, który do niedawna był jego przyjacielem, a teraz stał się jego krzywdzicielem i wrogiem — Leon Łubieński. W nim skupiać się zaczną właściwości całego tłumu, on stanie się ich reprezentantem, ich uosobieniem, przewrotowcem w najwyższej jakiejś potędze. Im, kolegom, szaremu tłumowi, gotów Krasiński przebaczyć, jemu — nie.

Zajścia te zbyt były przykre i brutalne, aby władza uniwersytecka mogła była przyjąć je spokojnie do wiadomości. Rozpoczęto śledztwo, spisano protokoły i ostatecznie skazano obu głównych bohaterów tych smutnych wypadków, Krasińskiego i Łubieńskiego, na relegację z uniwersytetu.

Nie z lekkiem zapewne sercem przeżywał te wypadki jenerał Krasiński. Ściągnął na syna przez swój upór, z jakim trwał na raz obranej drodze, możliwie największe przykrości i cierpienia, uczynił z niego niewinną ofiarę swoich przekonań i swej fałszywej dumy i nie mógł nawet zapobiec hańbie wydalenia go z uniwersytetu. Pozostawić go w Warszawie, poprzestać na lekcjach prywatnych nauczycieli, kazać mu przebywać wśród dotychczasowego otoczenia, któreby ustawicznie jątrzyło bolesną ranę — było wprost niepodobieństwem. Postanowił więc pójść śladem Łubieńskich, którzy syna swego wysłali za granicę, i zapisać jedynaka na jeden z obcych uniwersytetów. Po głębokim namyśle wybrał Genewę.

Długie wakacje, spędzone częścią w Opinogórze, częścią w Dunajowicach, u babki, upłynęły zapewne Krasińskiemu na smutnych rozmyślaniach. Zdawał sobie aż nadto dobrze sprawę z doniosłości wypadków uniwersyteckich. W głosie i czynie lżących go kolegów widział głos społeczeństwa, głos całej Polski. Władze uniwersyteckie, skazując go na roczną relegację, były tylko wykonawcą głosu opinji publicznej — zdawało mu się, że to Polska skazała go na wygnanie, że wyparła

się go na zawsze, że „rzuciła na niego przekleństwo.“ Czyż może do niej jeszcze powrócić? Czy duma pozwoli mu na to?

Rozsypały się w proch wszystkie jego marzenia — nie, nie marzenia: przewidywania, projekty na przyszłość. Bo dotychczas był zupełnie pewnym, że czeka go wielka przyszłość, że u boku ojca zdobędzie sławę wojenną i że zajmie wśród narodu stanowisko wybitne, pierwszorzędne, należne przedstawicielowi rodu Krasińskich. Czuł w sobie dosyć energji i dosyć siły, aby podołać najcięższym nawet obowiązkom. Teraz, zhańbiony, odepchnięty, pożegnać się musi z tą przyszłością, którą zapewnić mu miał świetny ród, a zdobywać sobie sławę jedyną bronią, jaka mu pozostała — swym genjuszem poetyckim, który w sobie odczuwał i w którego siłę wierzył.

Z tak czarnemi myślami i z takim programem wybrał się w październiku 1829-go roku w towarzystwie poważnego i zacnego pedagoga, Jakubowskiego, do Genewy.

* * *

II.

W GENEWIE.

Dobry jakiś duch podszepnął jenerałowi Krasińskiemu plan wysłania syna właśnie do Genewy. Trudno było o szczęśliwszy wybór miejsca pobytu dla przyszłego poety.

Genewa jest jednem z najpiękniejszych miast Europy, a okolice jej należą do najbardziej czarujących zakątków ziemi. Starożytny, czasów Caesara sięgający gród rozsiadł się nad południowo-zachodnim brzegiem wspaniałego jeziora, którego błękitna barwa nasuwała Krasińskiemu podobieństwo tych wód do „roztopionego lapis lazuli"; dalsza część miasta leży już nad Rodanem, który w tem właśnie miejscu wartko wypływa z jeziora. Ponad domami wznosi się wieża starożytnej katedry gotyckiej, a nad nią ciągną w oddali się potężne pasma alpejskie, uwieńczone szczytami Mont-Blanc'u. Imponujący ten widok nabiera niemal nieprawdopodobnego, fantastycznego czaru wieczorem, gdy grzbiety górskie pogrążą się już w mroku, a ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlą lodowce najwyższej w Europie góry i „zapalą" je, jakby pochodnię. Krasiński tak opisuje wrażenia, jakie ten widok na nim wywarł, w jednym z pierwszych swych listów genewskich do ojca:

„Nigdym jeszcze takiego uczucia *Piękna* nie był doznał, jak wtenczas. Niech Papa sobie wystawi pasmo gór czarnych, w cieniach wieczoru pogrążonych. Za temi ogromami ciemnemi dopiero białawe wierzchołki wysmukłych skał się ukazują i szczyty gór odleglejszych: na nie właśnie wtenczas padały promienie słońca. Złoto, purpura, drogie kamienie niczem nie są w porównaniu złudzeń, sprawionych śniegiem, lodem i igrającem po nich światłem. Wszystkie farby tęczy, potrójnej mocy i blasku, świetniały na ciągu szczytów; każdy kawałeczek lodu przez chwilę diamentem się stawał, każda chmura morzem ze srebra i złota, każda kropla wody w perłę się zmieniła, każdy wierzchołek skał, podług swej bliskości lub oddalenia, to w ametystowe, to w rubinowe ustroił się

blaski. A nad tem wszystkiem łukiem zakrzywiła się tęcza, obejmująca pół widnokręgu, jak gdyby nieba jeszcze przyłożyć się chciały do świetności ziemi... Jasność i cienie, woda i zmrożenie składały pierwiastki tych dziwnych, bogatych, fantastycznych widoków, co chwila się zmieniających. W tem miejscu zdawała się góra promieńmi okryta krwawemi, w tamtem bladawą ciemnością migała wśród nadchodzących cieniów; w tej chwili chmura oblana była potokami ognia, w następującej złotą przybrała barwę, a potem darmo śledziły ją oczy: roztopiona w błękicie lub zapadła w miejsca, nocą już zagarnięte, zniknęła na zawsze. Tysiączne zmiany, to zwolna, to w mgnieniu oka następowały po sobie, lecz coraz słabiej oświecone skały i lody traciły z rażącego blasku — nareszcie złoto i purpura rozeszły się w powietrzu, a słabszy, fiołkowy kolor i srebrna barwa zostały przez jakiś czas panami przestrzeni..." [1])

W tym nieudolnym jeszcze obrazku widać wyraźnie entuzjazm, jaki w Krasińskim wywołała przyroda szwajcarska. Te wrażenia pogłębią się jeszcze w czasie wycieczek do okolicznych miejscowości, gdy pozna całą rozmaitość tego świata czarów, który obok śniegiem i lodem okrytych kolosów górskich pociąga widza sielanką gajów kasztanowych. I to była pierwsza zdobycz genewska: objawiło mu się Piękno, piękno przyrody, zmusiło go do zajmowania się sobą, do wnikania w siebie i budziło w nim prawdziwą poezję. Nic w tem dziwnego. Wszak te właśnie okolice natchnęły Rousseau'a potężną miłością natury, miłością, którą „Nowa Heloiza" rozniosła po całym świecie jako hasło, mające przynieść literaturze odrodzenie.

Genewa była jednak nie tylko prześlicznem miastem, lecz także ważnem ogniskiem życia umysłowego. Dla literatury francuskiej była jak gdyby drugą stolicą, bo zajmowała pierwsze miejsce po Paryżu — więc rzecz jasna, że temu, kto był tylko obserwatorem tego życia, dostarczała wrażeń obfitych i pozwalała zapoznać się z niem dokładnie. Poważna bibjoteka uniwersytecka i bogata czytelnia czasopism ułatwiały to zadanie. Silniejszą jednak podnietą, niż zbiory ksiąg i czasopism, były głośne pamiątki i świeże jeszcze wspomnienia, łączące Genewę i jej okolice z ruchem umysłowym europejskim ostatnich lat kilkudziesięciu. W pobliskiem Ferney

wznosi się sławna rezydencja Voltaire'a, na jej kaplicy widnieje jeszcze dumny napis: „Bogu zbudował Voltaire". Tu powstawały pisma, które wstrząsały światem i obalały trony. Wszak sama Genewa jest miejscem rodzinnem drugiego mocarza słowa, tego, który wypędził z literatury dworską galanterję, a na jej miejsce wprowadził namiętność. Zapomnieć o nim w tem mieście nie można. Tu „wyspa Rousseau'a", tu jego dom rodzinny, ówdzie, „gaj Heloizy", tam znowu miejsce, gdzie za sprawą Voltaire'a palono uroczyście jego „kacerskie" pisma. Duch Rousseau'a panuje nad Genewą, tak, jak, wytrąciwszy berło wszechwładnemu Voltaire'owi, zapanował już nad literaturą świata. Jego następcy prowadzą dalej dzieło wyzwalania ludzkości z niewoli martwych, konwencjonalnych przepisów i zwyczajów, a i oni związali swe imiona z brzegami Lemanu. Oto Coppet. Przebywała w niem niedawno jeszcze, otoczona całym dworem wybitnych literatów i uczonych, wielka „rywalka Napoleona", pani de Stael. Autorka „Delfiny", „Korynny" i książki „O Niemczech", entuzjastyczna wielbicielka Rousseau'a, bojowniczka o wolność niewieścią, najgenialniejsza kobieta owych czasów; tu spędzała gorzkie chwile wygnania w ciągłej tęsknocie za ukochanym Paryżem, tu, spojrzawszy na jezioro Genewskie, miała zawołać: „O ileż piękniejszy jest ściek kamienny na Rue du Bac!" Niedaleka Lozanna jest miejscem rodzinnem Benjamina Constanta. Ten wielki mąż stanu i znakomity pisarz kończy teraz swą polityczną karjerę w Paryżu, ale nad Lemanem głośno o nim. Bywał w Coppet codziennym gościem, o bliskim jego stosunku z autorką „Korynny" wiedzieli wszyscy. Zresztą jedyna jego powieść, „Adolf", jest tego stosunku historją; zna ją każdy, bo utwór to równie znakomity, jak sensacyjny. Nie znać go — poprostu nie wypada!

Zresztą zjawiają się tu także żywi wielcy ludzie, w których nazwiskach mieszczą się całe kierunki literackie. Widział więc Krasiński spacerującego nad jeziorem Chateaubrianda, który „przypiąwszy białą różę do czarnego fraka i w onę różę wlepiając oczy, przechadzał się dosyć smutny; pono wspominał sobie „Męczenników" swoich". To jeden z tych, którzy stworzyli podkład dla romantyzmu, Po nim zjawi się sztandar i głowa francuskiego romantyzmu, Wiktor Hugo; wkrótce wyda się on Krasińskiemu „cieniem nędznym i znikomym w dziejach sztuki, żadnej prawdy nie mającym za podporę" [2]) — ale właśnie atmosfera genewska każe mu się zapoznać z jego dziełami i umożliwi wyrobienie sobie o nim własnego zdania.

Obok francuskich, wymawia się nad Lemanem także wielkie nazwiska angielskich twórców. W zamku Chillon pokazują z namaszczeniem kolumnę, na której Byron umieścił swe nazwisko. W „Villa Diodati" przebywał przez czas dłuższy i spędzał długie wieczory na rozmowach z Shelleyem, który mieszkał w hotelu Sècheron; stąd czynili łódką wycieczki do okolicznych miejscowości. Trzecia księga „Harolda" tu powstała, a każda jej karta wiąże się z cudami przyrody tych okolic. W Lozannie wreszcie przeżywał lat kilka głośny autor „Historji upadku Rzymu", Gibbon.

Tak więc sama atmosfera literacka Genewy, sama tradycja lokalna, nawet anegdoty i ploteczki, zwracały uwagę Krasińskiego na te zjawiska w piśmiennictwie francuskiem, które zawierały nowe, ożywcze pierwiastki. Że zaś książki i czasopisma paryskie przynosiły z sobą echa działalności Chateaubrianda, a jako najświeższą, sensacyjną nowość początkowe nowele Merimécgo i pierwsze powieści genialnego Balzaka — więc Krasiński znalazł się nagle wśród fal tego prądu, który przez długie dziesiątki lat nadawał kierunek jednemu odłamowi literatury europejskiej, powieściopisarstwa. A właśnie ten dział interesował go najbardziej. Zniechęcony do wierszy, których pisanie szło mu opornie i nie dawało zadowolenia, uważał powieść za najwłaściwsze dla siebie pole działania. Kierunek walterskotowski olśnił go był i porwał za sobą — a kiedy objawił mu się genjusz Byrona w mickiewiczowskim przekładzie „Snu", on tę poezję starał się zamknąć w obrazku powieściowym, podnosząc poziom stylu opowiadania, aby potem powrócić znowu do pobieżnych powieści i powiastek historycznych. Poza powieścią nie widział dla siebie pola twórczości literackiej, a poza Walter-Skottem nie widział w powieści nic godnego uwagi.

W Genewie objawił mu się świat nowy, którego istnienia nawet nie przeczuwał w Warszawie. Jakże bliską, jak imponującą musiała mu się wydać romantyczna powieść francuska!

Nieskazitelnie piękna w swej misternie opracowanej formie, zajmowała się nie snami o dawnych, zamierzchłych czasach, lecz współczesną rzeczywistością, odtwarzała nie urojone cierpienia miłosne i walki orężne zakutych w żelazo rycerzy i książąt, ale ciężkie zmagania się wewnętrzne nowożytnego człowieka. Nie zabawa była jej celem, lecz walka — walka o szczęście ludzkości. Z przedziwną bystrością i subtelnością świetnego psychologa wglądała w dusze ludzkie, przyglądała się ich cierpieniom, wyszukiwała ich przyczyny i starała się podać na nie zbawcze lekarstwo. A kiedy powody tych cierpień odkryła w ustroju społecznym, w jego niesprawiedliwościach i przesądach, wytaczała im walkę namiętną i bezlitosną. Stosunek do religji, nierozerwalność małżeństwa, stanowisko społeczne kobiety — oto sprawy, które poruszała najczęściej, rzucając w dusze czytelników zarodki nowych poglądów, a na uczuciowem podłożu opowiadania zarodki te kiełkowały silnie i rozradzały się bujnie. Jednem słowem: Krasiński zetknął się w Genewie z ruchem literackim, który posługiwał się metodą psychologiczną, a miał charakter wybitnie społeczny. Powoli zacznie się z nim zaznajamiać i przyswajać sobie jego zdobycze.

Na razie, przybywszy 3-go listopada do Genewy i zamieszkawszy w jednym z najwykwintniejszych pensjonatów, młodziutki autor „Władysława Hermana“ rozgląda się energicznie w otoczeniu. Ogląda ciekawie okolicę i troskliwie notuje swe wrażenia, równie ciekawie przypatruje się ludziom, którym składa wizyty lub których poznaje na wieczorkach w pensjonacie, a równocześnie układa program nauki. Z pośród osób, poznanych w pierwszych zaraz dniach po przyjeździe, zwracają jego szczególną uwagę młody Anglik, Henryk Reeve, słuchacz uniwersytetu genewskiego, i młoda Angielka, Henrjeta Willan, bawiąca tam chwilowo z rodziną. Tych dwoje ludzi miało odegrać w genewskim epizodzie jego życia wcale poważną rolę.

Wiele czasu i trudu poświęca korespondencji. Pisze obszerne listy do babki, do znajomych, przedewszystkiem zaś do ojca. Są tam sprawozdania z tego, co czyni, co myśli i co czuje — sylwetki poznanych osób, opisy zabaw i widoków przyrody, ogółem dokładny dziennik pobytu w Genewie,

ujęty w formę listów. Rzecz prosta, że pewne epizody tego wesołego i bujnego życia nie znajdą dla siebie miejsca w sprawozdaniach synowskich; będzie je musiał podawać do wiadomości jenerała Jakubowski w tonie rozpaczliwych często skarg, a wtedy z Warszawy spadać będą na młodego przestępcę ojcowskie nauki i reprymendy. W oczach jenerała jednak na równi z temi wybrykami stoją i na naganę zasługują wszelkie objawy poetycznych uniesień syna. Ile razy styl listu jedynaka przyozdabia się większą ilością przenośni i porównań poetyckich, jenerał natychmiast karci go za to. „Znowu spuchła ci fantazja“ — szydzi rubasznie a nielitościwie i prosi syna, aby pisał do niego poprostu, bez poetycznych frazesów. Widocznie aspiracje poetyckie przyszłego dziedzica jego imienia i fortuny były mu nie na rękę i nie zgadzały się z jego aż nazbyt, niestety, trzeźwym poglądem na świat. Że Krasińskiego musiało boleć wyszydzanie tego, co w sobie cenił tak wysoko i co kochał namiętnie, świadczy choćby przedziwna scena w „Nie-Boskiej Komedji“, kiedy hr. Henryk strofuje Orcia za jego poetyczną parafrazę modlitwy i widzi w niej dowód braku miłości ku matce, za której duszę ma się Orcio modlić. Scena ta innym jeszcze szczegółem łączy się z listami jenerała. Jest w nich rys jeden piękny, bo niewątpliwie szczery: pamięć o zmarłej żonie. Zawsze prawie tuż przed zbliżającą się rocznicą jej śmierci jenerał przypomina synowi, że matka tak bardzo go kochała, że zatem należy się jej serdeczne wspomnienie i modlitwa. Połączenie w owej scenie cmentarnej dwu tych rysów, wzruszającej miłości ku zmarłej żonie i uważania poetycznego daru syna za ciężki dopust boży, mówi wiele o tem, jak jenerał zapatrywał się na „poetyzowanie“ swego jedynaka.

O ile takie uwagi ojcowskie mogły oddziaływać ostudzająco na zapał twórczy Krasińskiego — choć nie zdołały powstrzymać go nawet od spowiadania się z toku prac rozpoczętych lub wykańczanych — o tyle świeża znajomość z Henrykiem Reevem działać musiała na talent Krasińskiego niezwykle podniecająco. Reeve bowiem również był poetą. W kilka miesięcy po poznaniu się Krasiński tak go opisuje ojcu: „Zdaje mi się, że znam jego duszę: jest ona piękna, wzniosła, pełna myśli poetycznych i religijnych, nie unosi się w dumie

nad światłem wieku nowego, ale umie się unosić nad szlachetnością, nad ofiarami — i jest poetą; sądzę, że za lat kilka pierwsze miejsce będzie trzymał w literaturze angielskiej, a na to nie małego, nie niskiego, nie pospolitego umysłu potrzeba." „Do poezji — pisze innym razem — ma wielki, wielki talent; inny to człowiek od Odyńców, Gąsiorowskich etc... poecików warszawskich; nie kuje wierszy, nie stara się o nie, ale natchnienie samo do niego zawitać umie." [3]) A poza temi zdolnościami poetyckiemi, może trochę przesadnie określonemi, widzi w nim niepospolity rozum i wielką erudycję, więc coraz chętniej rozprawia z nim i dysputuje o kwestjach „filozoficznych, religijnych, poetycznych i literackich." Dzieje się to zwykle podczas wycieczek, które konno lub łódką odbywali — i powoli dwaj niezwykli młodzieńcy zaczynają lgnąć ku sobie coraz bardziej, aż wreszcie znajomość zmieni się w szczerą, serdeczną przyjaźń. A w tych sporach i dysputach przyjacielskich, w tem ścieraniu się dwu temperamentów i dwu sposobów patrzenia na świat zaczną się wyrabiać poglądy, ustalać opinje, hartować przekonania przyszłego autora „Nie-Boskiej Komedji", zarówno poglądy literackie, jak społeczne.

Tok życia genewskiego był naturalny i miły. Po wspólnem śniadaniu w pensjonacie odbywał Krasiński lekcje języka angielskiego i francuskiego z p. Roger, często lekcje szermierki, i słuchał wykładów uniwersyteckich — po obiedzie następowały spacery i wycieczki. Reeve, prawdziwy Anglik, urządził lekkie czółno z żaglem trójkątnym — pierwsze podobno tego rodzaju na Lemanie — więc często odbywali w niem dalekie wycieczki. Gdy łódź, chwytając podmuchy wiatru w żagiel rozpięty, szła po błękitnych wodach ogromnego jeziora, jak strzała, Reeve kładł się w niej i w rozmarzeniu deklamował dawne swe wiersze lub tworzył nowe, Krasiński zaś, pilnując steru, szedł za marzeniami przyjaciela lub jego porywał za sobą. Wieczorem zaś, po kolacji, o ile nie było zaproszenia na zabawy z tańcami, zwane szumnie „balami", do jakiegoś ze starych domów genewskich, odbywał w swoim pokoju, wśród przywiezionych z domu pamiątek, wśród dymu fajek lub cygar żywą, serdeczną pogawędkę z Reevem i młodym Augustem Zamoyskim, bliskim mu jeszcze z czasów warszawskich. Wreszcie następowało pisanie listów lub czytanie, przeciągające się często do późnej nocy.[4])

Życie takie było prawdziwą sielanką. Czyżby miało w niej braknąć miłości, ideału niewieściego? Naturalnie — nie. Obaj młodzieńcy, jak wypadało szanującym się poetom, byli zakochani — Reeve w córce zamożnego Szwajcara, Konstancji Sauterre, Krasiński w ciemnowłosej Angielce, Henrjecie Willan.

Zbliżyła ich pierwsza zaraz rozmowa. Tematu dostarczyła rozprawa „O literaturze polskiej", którą Krasiński w formie listu do Bonstettena wydrukował w genewskiej „Bibliothèque Universelle"; rozwinęła się żywa dyskusja, która, przy podnieceniu młodego autora, doprowadziła do sprzeczki, poczem nastąpiły serdeczne i czułe przeprosiny, przebaczenie i zgoda. Wycieczki i spacery dostarczały potem częstych sposobności do widywania się — spotkania stawały się coraz częstsze, wyobraźnie i uczucia zaczęły płonąć. Wreszcie przychodzi do otwartych, gorących wyznań.

„I tak się zgrabnie zaczął romans klecić..."

Ale w tym romansie ośmnastoletniego poety z młodziutką, wesołą i żywą cudzoziemką jest coś nienormalnego i sztucznego. Brak tu zupełnie tego oddania się całą duszą uczuciu, tego pragnienia wspólnego szczęścia za wszelką cenę, choćby wbrew całemu światu, tych niebiańskich marzeń o przyszłości, które są cechą młodocianej miłości. Krasiński nie poddaje się uczuciu, on niem kieruje, nadaje mu kształt i zakreśla granice. Przedewszystkiem dramatyzuje je. Więc najpierw wynajdzie motyw tragiczny, nieprzezwyciężoną przeszkodę. Oświadcza z pewną brutalnością swej ukochanej, że należeć do siebie nie mogą, bo on jest synem magnata, a ona nie jest nawet szlachcianką i jego ojciec na takie małżeństwo nigdyby się nie zgodził. Wobec tego pozostaje im tylko bolesna rozłąka na ziemi, a szczęście kiedyś, w niebie... Panna Henrjeta godzi się na ten romantyczny program, przysięgają sobie dozgonną wierność, a w kilka dni później, w kwietniu 1830-go roku, ona odjeżdża z rodziną do Anglji.

Po jej wyjeździe Krasiński rzuca się gorączkowo do twórczości. Nieszczęśliwa miłość dała mu do niej świetną podstawę; teraz może brnąć w rozpaczy i wylewać ją w rozmowach

z Reevem, wybranym na powiernika i pośrednika, lub w niewielkich utworach, pisanych po francusku albo jako wypracowania dla p. Rogera, albo z tem przeznaczeniem, aby dostały się do rąk ukochanej.

Przeglądnijmy te liczne „fragmenty", w których z gestem Wertera, Manfreda lub Renégo mówi o swem nieszczęściu. Znajdziemy w nich takie ustępy:

„Został z nią rozłączony i zrozumiał, że nie miał ujrzeć jej już nigdy. Piorun z nieba nie strzaskał jego serca, i teraz serce jego pękło, odwaga jego omdlała, kolana drżały, wzrok ściemniał. Góry zdały się wirować wkrąg niego kołem. Skały zdawały się chwiać i walić na jego głowę. Krew biła mu do skroni. Myśli jego tonęły w tym gwałtownym potoku. Padł bez myśli, bez ducha, miał jeno uczucie, że rozstał się z swą jedyną nadzieją, i na zawsze! Był nieszczęśliwy. Leżał na ziemi, a lawiny spadały wkrąg niego, i fale igrały jego ciałem, i ziarnka piasku wciskały mu się pod powieki. Grom huczał w niebiosach — cały wszechświat był w zwadzie z sobą, a jego serce z rozpaczą." [5])

Tak pisał w kilka dni po „katastrofie"; a oto początek innego „fragmentu", mający datę: „8. maja 1830, blisko 4 tygodnie po jej wyjeździe":

„Cmentarze i podziemia stały się jego przybytkiem. I czemużby miał szukać innego, gdy zwiędła nadzieja jego zstąpiła do grobu? A nadzieja jego była mu życiem. Bez niej był już jeno prochem, jeno ziarnem piasku martwego, który lśnić jeszcze może w promieniach słonecznych, lecz nie da już życia zieleniejącemu nasieniu, przyniesionemu wiatrem. Och, jakże mogą uczucia, wtłoczone znów w serce i spętane w piersi więzami posępnej i milczącej rozpaczy, zmienić człowieka i odebrać najszlachetniejsze tchnienie, które ożywiało jego ducha! Przeżył wiele dni, uśmiechając się, zrywając róże, myśląc o wielkich przedsięwzięciach, i teraz dość było jednego, zgasłego na zawsze spojrzenia, by zgnębić go i rzucić w pył jego wyniosłą dumę i przybić do ziemi jego pyszne oczy i wycisnąć na czole jego piętno wiecznego nieszczęścia.

„I upodobał już sobie tylko w tych polach żałobnych, gdzie kwiat każdy rozwity czerpie swe skrzące barwy z bladych kości, leżących pod spodem... Krzyże wilgotne i mchem zielonym pokryte stały się jedynymi jego przyjaciółmi." [6])

Zauważyć należy, że owa „zwiędła nadzieja", która „zstąpiła do grobu" wraz z odjazdem ukochanej, a która „była mu życiem", jest tylko zmyśleniem, potrzebnem dla udramatyzowania sytuacji, bo w rzeczywistości on sam ją odrzucił, przenosząc ją aż w życie pośmiertne. Czy jednak ośmnastoletni poeta nie ma przed sobą wzoru, który naśladuje? Czy nie jest przypadkiem wzorem tym głośny wówczas poemat rozczarowania, melancholijnej rozpaczy miłosnej i ubóstwienia siebie samego — „René" Chateaubrianda? Jesteśmy bowiem w dalszem już stadjum rozwoju rousseauwskiego motywu, niż „Werther", który cierpieniom miłosnym położył kres za pomocą samobójstwa; oparcie się o wiarę każe w tej epoce odżywającego katolicyzmu bohaterowi Chateaubrianda i wszystkim bez wyjątku wcieleniom Krasińskiego z jego ówczesnych utworków zdać się na wolę bożą. Obaj będą błagali Boga, aby zabrał im ich nędzne życie, ale sami go nie skrócą; obaj będą oskarżali świat i siebie, błądzić będą w czarnej rozpaczy, obaj wreszcie będą uważali siebie za niezwykłe, genialne istoty, nie tylko o wyjątkowej duszy („wyniosła duma"), ale i o wyjątkowym wyglądzie („pyszne oczy"). Prawda — młodziutki wiek Krasińskiego sprawił, że utwory, o których mowa, wyglądają czasami na karykaturę arcydzieła Chateaubrianda, tak nadmiernie przeciągnięto w nich strunę rozpaczy, ale mimo to nawet w wypaczonej swej formie przypominają wzór francuski zasadniczemi pierwiastkami treści.

Z pośród fantazji i rojeń poetyckich, związanych z Henrjetą Willan, wyróżniają się dwa utwory, pisane po polsku i drukowane współcześnie w Warszawie: „On" i „Ułomek z dawnego rękopismu słowiańskiego."

„On", w formie swej niezwykle wyrobione i subtelne opowiadanie, pozbawione najbardziej naiwnych okropności, wygląda tak, jak gdyby było warjantem zakończenia „Renégo". Jesteśmy nad brzegiem oceanu, który szaleje straszliwą burzą w chwili, kiedy René ma odjechać do Ameryki, aby dla zbolałej duszy szukać ukojenia w dziewiczych lasach, zdala od

ludzi. Wyobraźmy sobie, że René zmienia nagle plan, że postanawia umrzeć, że w tym celu wyjeżdża w kruchej łodzi na rozhukane morze, że Bóg wreszcie lituje się nad nim i pozwala łódce jego wraz z nim zatonąć — to będzie „On.“ Będzie to zgodne z poglądami obu bohaterów. Jeżeli zrozpaczony młodzieniec Krasińskiego, brzydząc się samobójstwem, „wzniósł do Boga modlitwę z zapałem lat dziecinnych i prosił go o śmierć“, to naśladował tylko Renégo, który „często rzucał się na kolana do stóp Boga i prosił Go, aby go uwolnił od ciężaru życia“ — który wołał: „Powstańcie szybko, upragnione burze, aby Renégo jak najrychlej przenieść w lepsze życie!“ Obaj są równie niezwykli, wyżsi nad otoczenie, „wyniośli postawą i myślą“, obaj wreszcie z tego samego powodu pragną śmierci: noszą w piersiach „przekwitłe serce.“ Młodzieniec Krasińskiego zna jednak Byrona — więc na wzburzonem morzu (!) będzie widział w śnie obrazy zabaw opinogórskich, Genewy „posępnej“ przed poznaniem Henrjety i wreszcie przeżytej z nią sielanki — wszystko na wzór „Snu“, który już w Warszawie kształtował obrazy z życia Elżbiety Pileckiej.

Odrzucając zgóry możliwość połączenia się z ukochaną, wskazał jej Krasiński życie pozagrobowe jako epokę spotkania się i szczęścia; może dlatego to uczynił, że inne postawienie sprawy równałoby się zupełnemu zerwaniu. Mówił jej to bez wiary, bez przeświadczenia o możliwości tego, co czynił jedynym pomostem pomiędzy sobą a swą wybraną. Wyczerpawszy więc w pierwszych, Henrjecie poświęconych, utworach wszystkie okropności bezgranicznej rozpaczy, dotyka w następnych motywu życia pośmiertnego. Z początku porusza ten temat nieśmiało, a opracowuje naiwnie. W „Fragmencie dziennika“, w „Marzeniu“ są tylko fantastyczne wizje spotkania się po śmierci, w grobie i — na sądzie ostatecznym. Urywek „W nocy“, zaopatrzony w polski przypisek: „Z uczuciem i bojaźnią w nocy pisane“, a pochodzący z września r. 1830-go, zawiera już próbę wniknięcia w samo zagadnienie, krytycznego rozważenia wątpliwości i możliwości dojścia do jasnego, stanowczego poglądu. Jakaś drugorzędna rozprawa filozoficzna [1]) poddaje mu wreszcie garść pożądanych argumentów; on je przemyśli z niebywałą starannością i zapałem, opracuje starannie — i tak powstanie najlepszy z utworów,

pisanych podczas pierwszego pobytu w Genewie, „Ułomek z dawnego rękopismu słowiańskiego.“

Jest to rozmowa z ukochaną lub raczej do niej zwrócony wykład. Treść jego zawarta jest w zdaniach ostatnich: „...Teraz wierz całą duszą i sercem mojej wierze, wierz, że cię już (!) nie zwodzę, żem prawdy pewny, ogłaszam ci prawdę świętą! Wierz, że to słońce rozpryśnie się w odłamki, ta ziemia w proch się rozsypie, potoki głos swój a wichry skrzydła swe potrącą, a my nad burzą, przestrzeń zalegającą, unosić się będziem przy sobie, nierozdzielni, otoczeni wieczności powagą i blaskiem nieba, złożonego z uczuć dusz naszych własnych.“ Ten pogląd, to głębokie przekonanie uzasadnia Krasiński szeregiem argumentów, którym, wiedziony trafnym instynktem poetyckim, nadaje charakter o ile możności uczuciowy — i dzięki temu „Ułomek“ staje już na pograniczu prozy i poezji. Kiedyś, po latach, odżyją te rozumowania młodzieńcze; genjusz poetycki przybierze je w plastyczne obrazy, w rytmiczną i rymową melodję wiersza, w czar subtelnie dobranych słów i wcieli w jedno ze swych najbardziej dojrzałych dzieł. Będzie to w ostatnim okresie twórczości. Teraz, w „Ułomku“, mają one urok szczerości i prostoty, tych dwu zalet, których napróżno szukalibyśmy w dotychczasowej twórczości Krasińskiego. Im zawdzięcza „Ułomek“ swą wartość.

Tajemnicę tej nagłej a korzystnej zmiany tłumaczy nam fakt, który na dalszą twórczość Krasińskiego wywarł wpływ znaczny: oto w sierpniu 1830-go r. zjawił się w Genewie Mickiewicz. Odyniec, który mu towarzyszył, niegdyś uczestnik zebrań literackich w salonach jenerała Wincentego, przedstawił Mickiewiczowi Krasińskiego i odtąd wspólnie z Reevem, przyszłym tłumaczem „Farysa“ na język angielski, w jego czółnie odbywali wycieczki po Lemanie. Później, gdy Mickiewicz wracał do Włoch przez nieznaną jeszcze Krasińskiemu część Szwajcarji, towarzyszy mu wraz z Jakubowskim i odbywa wspólną wycieczkę w Alpy Berneńskie. Rozmowy z autorem „Wallenroda“ pokazują mu drogę do prawdziwej poezji. W listach do ojca nazwie towarzystwo Mickiewicza w czasie wycieczki „niezmiernie pożytecznem“. „Nauczyłem się od niego — pisze — zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych

wyobrażeń się pozbyłem i — niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie, wpływ dobry i szlachetny". „Zupełnie mi wyperswadował — pisze w innym liście — że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowie, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w życiu, że wszystkie ozdoby, kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli niema, że wszystko na tej myśli polega i że, chcąc być czemś, trzeba się uczyć, i uczyć, i uczyć i prawdy wszędzie szukać."

„Tylko prawda może być piękną." Zdanie to musiało Krasińskiego zastanowić, a zapewne i zawstydzić, bo dotychczas opierał swą twórczość tylko na zmyśleniu poetyckiem, na kłamstwie. Zdawało mu się, że wystarczy sztucznie ustawić akcesorje poetyckie, aby sprowadzić natchnienie. Więc udawał miłość namiętną, bo poeta musi się kochać; nadał jej cechy miłości nieszczęśliwej, bo to podnosiło jej poetyczność; oparłszy się zaś na tak zbudowanej podstawie, opisywał zmyślone rozpacze lub sztuczne ekstazy i sądził, że idzie śladem Byrona. Takiego poglądu i takiego sposobu tworzenia najmędrsze nawet zdanie, choćby rozsądek przyznał mu zupełną słuszność, odrazu zmienić nie potrafi. To też wpływ rozmów z Mickiewiczem będzie narazie tylko powierzchowny, później zaś stanie się ta nauka, dana młodzieniaszkowi przez dojrzałego już, wielkiego poetę, jedynie podłożem dla lekcji, jaką mu zgotuje życie. Ono nauczy go cierpienia prawdziwego, a wtedy Krasiński zrzuci z twarzy maskę sztucznego bolu, odtrąci szczudła poetyckie i odnajdzie piękno w prawdzie życiowej. Ta bolesna, lecz wielka chwila już się zbliżała.

Tymczasem paryska rewolucja lipcowa zaniepokoiła jenerała o los jedynaka. Chciał go odsunąć od granic Francji i polecił mu wyjechać do Włoch. W rocznicę przyjazdu swego do Genewy wyrusza Krasiński przez Simplon do Medjolanu, a stąd przez Florencję do Rzymu. Wrażenia nowe, silne; najsilniejszem i najważniejszem jest to, jakiego doznał w Koloseum, zwiedzanem przy świetle księżyca. Nic dotychczas nie przemówiło do jego wyobraźni z taką potęgą, jak krzyż, zatknięty w środku areny tego olbrzymiego cyrku. Stanęło mu jasno przed oczyma, że ten krzyż drewniany jest symbolem największego w dziejach świata przewrotu, a radość z odkrycia

czyni mu sam obraz tem droższym. Krótko i możliwie prosto, choć z entuzjazmem, pisze o tem do ojca — obszernie maluje scenę zwiedzenia w liście do bratniej duszy poetyckiej, do Reeve'a. „Kościół św. Piotra — pisze do przyjaciela 9-go grudnia 1830-go roku — jest arcydziełem, stworzonem przez ludzi. Wszystko w nim harmonijne i proporcjonalne. Niezmierzone bogactwa są tu nagromadzone nie w nieładzie, lecz tworzą całość surową i wielką. Lecz, gdybym był Turkiem, podziwiałbym je tak samo, jak będąc chrześcijaninem, gdyż, wszedłszy tam, uczułem kunszt ludzki, a nie obecność boską.

„Co innego Kolizeum.

„Przy pięknem i jasnem świetle księżyca wszedłem pod te arkady, które widziały tyle pokoleń, nad któremi ciążył lud królujący w dniach swej potęgi i które nie zwaliły się pod ciężarem ni ludzi, ni czasu. Księżyc stał jeszcze nisko na widnokręgu, wnętrze budynku było ciemne — starałem się wzrokiem przebić ciemności. Serce mi biło, gdyż czułem się bliskim zamierzchłych czasów. Pogrążyłem się we wspomnieniach. Powoli zaczęły promienie przenikać przez szczeliny murów, przez aleje portyków, i z podziwem patrzałem, jak załamywały się w zakątkach, na kapitelach i kolumnach.

„W kilku miejscach igrały znowu z bluszczem, który zastąpił purpurę i jedwab cyrku. Wszedłem na pierwsze piętro, potem na drugie — wszędzie było ciemno i czarno... Niebieskie niebo było nade mną, gwiazdami włoskiemi usiane, poniżej przepaść o całej wysokości Kolizeum. Wspomnienia biegły ku mnie za wspomnieniami i wyobraźnia moja stopniowo się rozpalała... Zdawało mi się, że słyszę zmieszane odgłosy: przenikliwy krzyk gladjatora, później oklaski całego ludu — szmery pochwalne następowały po wściekłych wrzaskach, ryki lwów i tygrysów, a potem wśród tego wszystkiego muzyka greckiej fletni i dźwięki trąbki wojskowej. Nagle jęki się podniosły i zapadły w ciszę — czułem, że nie podniosą się więcej. Wtem rozległ się pod sklepieniami szczęk mieczów starożytnych, a potem zdawało mi się, że słyszę to tu, to tam upadek ciała, pokrytego pancerzem, lub staczanie się na piasek puklerza, a później jakby szmer wielu strumieni, wolno spływających, i uczułem zapach krwi. Lecz ponad temi wszystkiemi krzykami i całym hałasem panował głos jeden, choć

cichy był i drżący. Pełen harmonji, unosił się w powietrzu, rzekłbyś: hymn nadziei, a jednak na zawsze miały się zamknąć wargi, z których wychodził. Możnaby powiedzieć: hymn śmierci, który śpiewa dziewica chrześcijańska przed połączeniem się z Bogiem.

„W tej chwili ukazał się na murach Kolizeum księżyc, jak gdyby wychodził z kępy bluszczu, opadającego w festonach ze szczytu budynku.

„Kolumny, arkady, portyki, ławki cezarów, senatorów, ludu ukazały się blade i w ruinach. Arena wystąpiła z ciemności. W jej środku wznosi się krzyż z czarnego drzewa. Krzyż ten wart dla mnie katedry medjolańskiej i kościoła św. Piotra. Przed wielu wiekami był on prześladowany w tem właśnie miejscu, kiedy Kolizeum przedstawiało całą wielkość tych, którzy je wznieśli. A od owych dni krwi i żałoby krzyż ten nie zmienił wcale swego wyglądu, nie przybrał się w ozdoby, i dziś stoi tam, gdzie go niegdyś nogami deptano, a pyszne Kolizeum, które spoglądało z dumą na jego poniżenie, rozsypuje się dokoła niego w proch. Lecz on nie chełpi się swym tryumfem. W milczeniu wyciąga czarne ramiona ku dwom stronom gmachu, jakby rzucał cień pokoju i błogosławieństwa na ziemię, w której śpią prześladowcy i prześladowani.

„Kto nie wierzy w Chrystusa, niech w piękną noc idzie do Kolizeum, a jeśli tam nie padnie na kolana przed symbolem wiary, człowiek ten, zaręczam, nie ma ni duszy, ni serca.“

Ten symbol zwycięstwa idei miłości nad brutalną siłą pozostanie w duszy Krasińskiego zawsze świeży i zawsze równie wymowny, odegra dużą rolę we wszystkich niemal najważniejszych jego dziełach i jeszcze pod koniec życia krzepić go będzie, mocą analogji, nadzieją zmartwychwstania Polski. W epoce wielkiej twórczości będzie on dla niego głównym drogowskazem etycznym.

Drugim ważnym dla niego wypadkiem z czasu pobytu w Rzymie było zbliżenie się do Mickiewicza, a nawet pewne zżycie się z nim, chociaż tak różni byli wiekiem. A w miarę zbliżania się, postać autora „Wallenroda“ rosła mu w oczach i zadziwiała nie tyle wiedzą niezwykłą, ile swą miłością prawdy. „Szuka prawdy i jedynie prawdy; umrze z głodu, a nie będzie

zmyślał fałszywych uczuć“ — napisze o nim do jenerała Morawskiego. Niestety, młody adept poezji nie zdołał jeszcze pójść w ślady mistrza i tej podziwianej zasady zastosować w praktyce.

W tę pełną wzruszeń sielankę rzymską spadła nagle, jak grom, wiadomość, że w Warszawie rozgorzało powstanie.

* * *

III.

POWSTANIE LISTOPADOWE.

Wybuch powstania listopadowego postawił przed jeneralem Krasińskim dwie ewentualności: albo połączyć się z ruchem rewolucyjnym i odzyskać szacunek narodu, zdobyty w wojnach napoleońskich, albo też pójść dalej drogą służalstwa wobec rządu rosyjskiego, drogą, na którą otwarcie wstąpił podczas Sądu Sejmowego, i opowiedzieć się przy w. ks. Konstantym. Przypuszczając widocznie, że powstanie będzie można w zarodku opanować, jenerał Krasiński wybrał drugą ewentualność. Na pierwszą wiadomość o wybuchu rewolucji stanął na czele pułku strzelców konnych, zgłosił się z nim po rozkazy do w. ks. Konstantego, na jego polecenie szarżował organizujących się powstańców, poczem wrócił do carewicza i wytrwał przy jego boku do końca, do jego odjazdu. Pociągnięty przez wojsko do miasta, przechodzi całe piekło bolesnego upokorzenia. On, najwyższy dygnitarz wojskowy Królestwa, jedzie wśród swych podwładnych jak jeniec, słucha słów obelżywych, widzi zwrócone ku sobie lufy karabinów, a wreszcie na placu Bankowym dostaje się w ręce tłumu. Ściągnęły z konia, stratowany, ma już stryczek na szyi — ocalenie zawdzięcza Chłopickiemu, który go osłonił i uprowadził do pałacu ministrów. Musiał jednak ukazać się na balkonie i wobec wzburzonego tłumu, mierzącego do niego z karabinów, złożyć uroczystą przysięgę, że „krew swoją przeleje za ojczyznę“ — „przysięgę — dodaje Mochnacki — przyjętą z równą wzgardą od narodu, jak nieszczerze ofiarowaną, a potem nikczemnie niedotrzymaną.“ Istotnie, w nocy ucieka jenerał w przebraniu do Skierniewic i tam przez czas jakiś się ukrywa, następnie przekrada się do Mławy, w chłopskiej siermiędze przechodzi do Prus, a stamtąd jedzie do — Petersburga.

Jaką rolę odegrał w stolicy Rosji, przyjmowany serdecznie przez cara jako wzór „wiernego poddanego“ wtedy, kiedy jego dotychczasowi koledzy i podwładni staczali rozpaczliwą

walkę z caratem — trudno określić stanowczo. Bezpośrednio jednak po upadku powstania podejmuje się ten dumny niegdyś dowódca szwoleżerów misyj haniebnych, świadczących aż nadto wyraźnie, że był na usługach rządu rosyjskiego przeciw swemu narodowi. I tak otrzymał polecenie objechania kraju wraz z dygnitarzem rosyjskim Krusenstierną w celu zdania sprawy z wielkości szkód, wywołanych wojną. Był to jednak pozór tylko — w rzeczywistości miał Krasiński „zaznajomić się z nastrojem umysłów“ w Polsce i zdać o tem raport Paskiewiczowi. Sprawozdanie bohatera z pod Wagram brzmiało, że „trzecia część Polaków jest jeszcze źle myślącą.“

Charakterystycznem i nader wymownem jest świadectwo, jakie w liście do cara Mikołaja wystawia Krasińskiemu Paskiewicz. Chodziło o znalezienie senatora polskiego, chcącego należeć do „najwyższego sądu kryminalnego“, mającego sądzić tych wszystkich, którzy brali jakikolwiek udział w powstaniu, a nie byli objęci amnestją; udział Polaka miał temu sądowi nadawać pozory bezstronności. Nikt jednak nie chciał się takiej roli podjąć; nie podjął się jej także Krasiński, warto jednak posłuchać, dlaczego. „Proponowałem generał-adjutantowi Krasińskiemu — pisze Paskiewicz do cara — udział w sądzie; on jednak prosi, by go zwolnić, mówiąc: „Ja się jeszcze przydam Najjaśniejszemu Panu do służby w tym kraju;“ jeśli jednak będzie się znajdował w tym sądzie, straci zupełnie zaufanie Polaków. Należy on do tych, którzy okazali największe oddanie się Tronowi. Dodać do tego należy, że miało to już raz miejsce przy pierwszym sądzie (przed rewolucją), gdzie on sam jeden domagał się, by uznać podsądnych za winnych (można to stwierdzić z aktów) i dlatego, gdy wybuchła rewolucja, zupełnie mu nie dowierzali i nie miał żadnego wpływu. „Jeśli ja jeszcze — mówił mi Krasiński — będę w sądzie, stracę zupełnie wszelkie zaufanie i stanę się przez to bezużyteczny dla rządu.“ Car Mikołaj uznał łaskawie te argumenty i wyraził w odpowiedzi do Paskiewicza zdanie, że „może to wyjdzie na lepsze.“ [1]) W tem rozwikłaniu sprawy leżało zapewne źródło nowych zaszczytów, które odtąd na jenerała spływały.

Te względy carskie cenił jenerał bardzo wysoko. W liście

do hr. Wincentego Regulskiego z dnia 1 marca 1834 r. zaznacza z dumą: „Monarcha zawsze równie łaskaw na mnie, ojciec nie mógłby być czulszym i łaskawszym.“ [2]) Fakt, że ten „monarcha“ był najzawziętszym wrogiem Polski, nie psuł mu widocznie radości.

Takie zająwszy stanowisko wobec sprawy narodowej, musiał jenerał Krasiński bardzo dbać o to, aby jedyny jego syn przynajmniej w czynach swych nie zajął innego. Wszak kochał go szczerze, całem sercem: być może, że właśnie dla niego, dla jego przyszłości, przyjął na siebie tę upokarzającą rolę, bo ona mogła zapewnić synowi fortunę i zaszczyty. Znając syna i rozumiejąc jego położenie, wywołane zajściami uniwersyteckiemi, mógł przypuszczać, że roić mu się będzie plan wzięcia udziału w powstaniu. Trzeba było temu przeszkodzić za wszelką cenę. Więc już w kilka dni po wybuchu powstania pisze do niego krótki list, zawierający sprawozdanie z wypadków warszawskich. „Rewolucja wybuchła w Warszawie, przez pięciu akademików, czterech podchorążych zaczęta i trzech poetów, jakoż oficerów tyluż.“ Następuje wyjaśnienie powodów ruchu: „Narodowości poznikały, dwa kolory rządzą światem, porządek i rozruch, a to nato, aby ci, co posiadają, nie posiadali, a ci, co nie posiadają, aby posiedli. Stąd ten ruch nieznośny partyj, któren w całym świecie się rozszerza, a przybiera preteksta najszczytniejszej miłości ojczyzny, by dojść do celu. Dosyć już ofiar padło w Polsce dla ambicji niektórych naczelników partyj — na pretekstach nie zbywa.“ [3])

Jak widzimy, list obmyślony był dobrze i napisany z niezwykłym sprytem. Najpierw obniżał nim jenerał w oczach syna znaczenie tych wypadków do możliwie najmniejszych granic, a następnie jako powód ich wymieniał sprawy społeczne. Na podstawie takiej relacji można było wyobrazić sobie, że celem tych nieznacznych rozruchów jest zwykły rabunek lub może walka całych klas społeczeństwa o dostatki i władzę, ale nie sprawy narodowe, nie walka o zrzucenie jarzma moskiewskiego. A właśnie chodziło jenerałowi najbardziej o to, aby wierzącego mu ślepo syna zbałamucić i co najmniej podać w wątpliwość to, co wyczyta w gazetach zagranicznych.

Z Królewca następuje relacja druga. Opisuje w niej jenerał synowi swe przejścia z dnia 2-go grudnia, jak omal życia nie stracił, a opisuje je kłamliwie i samochwalczo, otaczając się aureolą bohatera. Nacisk położony na „kluby jakobińskie“, które „przysięgły jego śmierć“ — usprawiedliwieniem postępowania ma być „wierność“, to, że „żaden Krasiński nie był zdrajcą, i on nim nie będzie.“ Oczywiście nie roztrząsa jenerał pytania, czy powinien być wiernym carowi, czy narodowi, i milczy dyskretnie o przysiędze, złożonej na wierność rewolucji, co prawda, przed lufami karabinów.

Listy te doszły do rąk Zygmunta Krasińskiego dopiero po kilku miesiącach. Co on wtedy czynił, co czuł i co myślał?

Gdy wieść o wybuchu powstania w Warszawie doszła do Rzymu, znajdował się tam przyjaciel Mickiewicza, młody Stefan Garczyński. Zelektryzowany wiadomością, nie mając na razie pieniędzy, wpadł do mieszkania Mickiewicza w czasie jego nieobecności, zabrał mu jego gotówkę, wyjechał natychmiast do kraju i, przekradłszy się przez granicę pruską, zaciągnął się w szeregi powstańcze. Uczucie powiada nam, że tak powinien był postąpić każdy Polak, ale chłodna rozwaga każe na te sprawy zapatrywać się inaczej.

Czyn wojenny jest wypadkową najrozmaitszych właściwości moralnych i fizycznych, wśród których decydującym niemal czynnikiem jest temperament. Jeżeli on nie porywa w wir walki, jeżeli nie wskazuje jej jako najodpowiedniejszego terenu dla rozwinięcia bujnych sił i wyładowania zasobów energji, w takim razie do czynu nie przyjdzie, albo też zjawi się on jako rodzaj ofiary. W tym drugim jednak wypadku koniecznym warunkiem jest poczucie obowiązku tak zrosłe z duszą i tak bezwzględnie silne, że potrafi opanować wszystkie jej władze i stać się ich absolutnym władcą. Im bardziej złożonym i wysubtelnionym jest organizm duchowy, tem trudniej zdobyć mu się na czyn jakikolwiek, a na czyn wojenny, ten brutalny akt udziału w ohydnej rzezi ludzkiej, chyba najtrudniej.

Udział w zbrojnym ruchu narodowym lub też wstrzymanie się od tego udziału nie może też być bezwarunkowym sprawdzianem miłości ojczyzny lub braku uczuć patrjotycznych, bo ojczyźnie nie tylko orężem się służy. Michał Anioł był nie-

wątpliwie dobrym patrjotą; gdy jednak rodzinna Florencja powierzyła mu swą obronę w wojnie z papieżem i cesarzem niemieckim, on, przygotowawszy jak najstaranniej i najtroskliwiej fortyfikacje i wszelkie inne środki obronne, tuż przed nadejściem nieprzyjaciół — uciekł. Widocznie nie mógł przemódz wstrętu do rzezi. A może sądził, że nie wolno mu tej iskry bożej, którą czuł w sobie, narażać na groty nieprzyjacielskie — może rozumiał, że lepiej służy Florencji, wykuwając z marmuru swe arcydzieła, niż walcząc nieudolnie na jej szańcach, że w tej walce zastąpi go skutecznie pierwszy lepszy najemnik, a w pracowni rzeźbiarskiej nikt go zastąpić nie potrafi.

I oto stajemy wobec zagadnienia, jakie stanowisko zajmuje genjusz artystyczny — rzeźbiarz, poeta czy muzyk — wobec walki orężnej? Historja uczy, że, o ile chodzi zwłaszcza o walkę nowożytną, w której środki techniczne biorą górę nad siłą i męstwem jednostki i w której króluje przypadek — wszyscy niemal genjalni poeci i artyści odwracali się od niej ze wstrętem. I u nas więc tak było. Mickiewicz, który tyle już był złożył dowodów swego patrjotyzmu, wzywany i oczekiwany z upragnieniem przez młodzież warszawską, nie może się zdecydować na wyjazd z Rzymu, zwleka i odkłada go, a kiedy wreszcie przybywa w Poznańskie, nie może przebyć granicy, którą przed nim przeszły tysiące, a po nieudałej jego próbie co najmniej setki. Słowacki, przebywający wówczas w samem sercu ruchu rewolucyjnego, w Warszawie, ofiarowuje rządowi narodowemu swe zdolności pisarskie, do wojska jednak nie wstępuje, a gdy miastu grozi oblężenie, wyjeżdża za granicę. Chopin nie myślał nawet poważnie o powrocie do kraju. Wszyscy oni cierpią niewymownie, walczą ze sobą, starają się przemódz i zmusić do czynu, a jednak pozostają bezczynni. W szeregach powstańczych walczą Garczyńscy, Goszczyńscy, Gaszyńscy, Polowie i Gosławscy, ale niema w nich ani Mickiewicza, ani Słowackiego, ani Chopina, ani — Krasińskiego.

Krasiński miał w chwili wybuchu powstania lat ośmnaście i kilka miesięcy, więc wobec dojrzałego już Mickiewicza i starszego od siebie o trzy lata Słowackiego był jeszcze napół dzieckiem. Temperament, choć niezwykle wybujały, nie porywał go do walki, w której mógł odgrywać nie wymarzoną rolę

dowódcy choćby oddziału, lecz chyba tylko zwykłego ochotnika, szeregowca, a z obrazów rozbujałej wyobraźni, wypełniających mu życie, trudno było ukuć czyn orężny. Mógł był więc, podobnie, jak Chopin, będący z nim w równym niemal wieku, przepędzić czas wojny za granicą, nie doznając większych, niż on, wyrzutów sumienia. Było jednak inaczej.

Położenie Krasińskiego komplikowały niesłychanie zajścia uniwersyteckie z r. 1829-go. Znieważony za brak patrjotyzmu, napiętnowany jako zwolennik jarzma rosyjskiego, powinien był teraz swą miłość ojczyzny okazać czynem, dopomagając do zrzucenia tego jarzma. Jeżeli niesława wygnała go z kraju, powinien był teraz dobijać się sławy orężem, okazać czynem, że zarzuty były oszczerstwem. Innego sposobu zmazania hańbiącego piętna nie było, a Krasiński odczuwał niezawodnie, że go prawdopodobnie później już nie będzie, że to sposobność jedyna. A jednak — pozostał w Rzymie. Na to, aby postąpić tak, jak Garczyński, brakło mu energji, a przykład Mickiewicza ośmielał do bezczynności, potem zaś z dniem każdym gromadziły się nowe trudności, sytuacja gmatwała się coraz bardziej i decyzja była coraz trudniejsza.

Jakkolwiek zapatrywał się na stanowisko polityczne swego ojca, czy poglądy jego — naturalnie w tej formie, w jakiej mu je jenerał przedstawił — podzielał w zupełności, czy też w głębi serca jego pełzały wątpliwości w ich bezwzględną słuszność i zacność, w każdym razie rozumiał to dobrze, że, jeżeli nie jest ofiarą ojca, podziela jednak los jego. Obu ich oskarżono o to samo, obaj byli okryci jednaką niesławą. W miarę nadchodzenia szczegółów o wypadkach warszawskich świadomość tej wspólności niesławy rosła w sposób bolesny. Krasiński dowiedział się z dzienników o roli, jaką jego ojciec odegrał, o jego haniebnej ucieczce do Petersburga i czuł, że także obecnie dzieli los ojca, że straszne słowo „zdrajca“, jako fatalne dziedzictwo, przylgnie do niego, nieobecnego na polu walki. Więc wstyd i oburzenie podniecają go do wyjazdu, do czynu. Czuł, że musi z siebie zetrzeć tę hańbę za wszelką cenę! Ale cóż będzie z hańbą ojcowską? Czy jego udział w powstaniu nie byłby podkreśleniem i potwierdzeniem przez syna winy ojca? Czy wolno mu tak postąpić? Wszakże ten ojciec kocha go nad życie i postępku jego możeby nie przeżył?

Myśli plączą się i tworzą węzeł tragiczny. Trzeba go było rozciąć — Krasiński, nie mając na to odwagi i energji, próbuje go rozwikłać i gmatwa go coraz bardziej.

Widać to wyraźnie w listach do Reeve'a, które roją się od pozornych sprzeczności.

W jednym z pierwszych tych listów, na kilka jeszcze miesięcy przed wybuchem powstania, Krasiński, zestawiając siebie z przyjacielem, zaznaczył z przyciskiem więzy, któremi czuł się związanym z ojczyzną. Dla Reeve'a „serce może być całym światem", jemu, Krasińskiemu, miłość osobista nie może wypełnić życia, ona może być „tylko pieśnią, nuconą w przerwach pomiędzy czynami życia." „Twoje królestwo — pisał do przyjaciela — może być, jeżeli zechcesz, nie z tego świata. Moje jest w części przykute do ziemi przez mój kraj".[4]) Pod wpływem wypadków listopadowych wybucha jednak w listach z 18-go i 20-go grudnia rozpaczą, połączoną z objawami zupełnej bezradności. O czynach niema tu mowy — owszem, w obawach, że okryje go hańba, że przyjaciele opuszczą go i potępią, widać rezygnację z czynów. Natomiast są już próby ujęcia tragedji tego położenia w wymowne obrazy. „Och, wszystko, wszystko jest dla mnie torturą i cierpieniem. Kocham kobietę — nie dla mnie ona. Kocham ojczyznę — ona odpycha mnie od siebie (?). Kocham sławę — a sława okrywa się mrokiem." Widzi w swem położeniu coś „szatańskiego", mówi ogólnikowo o jakichś trudnościach, ale nie chce ich określać, bo to rzecz „zbyt długa."

W odpowiedzi na ten list Reeve, który nie rozumiał wahania się wtedy, gdy obowiązek jest tak prosty i jasny, streszcza przyjacielowi artykuł, zamieszczony w „Galignani Messenger." Pisano w nim z oburzeniem o tych młodych a zamożnych Polakach, którzy, zapominając o swych najświętszych obowiązkach, nie spieszą do szeregów powstańczych, lecz za granicą trawią czas na zabawie. Aluzja była bardzo wyraźna: była to wskazówka dla Krasińskiego, co zdaniem Reeve'a powinien uczynić. Krasiński odpowiada, że musi pozostać w Rzymie, dopóki ojciec go nie wezwie do powrotu. Wie wprawdzie, jak jego ojciec postąpił, że „uniknął niebezpieczeństwa 29-go listopada" [5]), pomimo to zapewnia Reeve'a, że jenerał jest dobrym Polakiem i że poleci mu przybyć do Polski. [6]) Równocześnie jednak „układa dramat" ze swego położenia. Przyjaciele nazwą go tchórzem, a ona, Henrjeta, zdrajcą. Niegdyś na jej zapytanie, co ich rozdziela, odpowiedział: „Moja ojczyzna". A teraz ucieka z pola walki i drzemie między ruinami Rzymu, kiedy pora budować cementem krwi nowy gmach. Na wiadomość zaś, że August Zamoyski, przebrany za służącego, przekradł się do Polski i wstąpił do wojska narodowego, odpisuje: „W moich pismach, a może także i w mojej duszy jest bardzo wiele uczucia poetyckiego — on, Zamoyski, ma je w czynach." [7])

To lubowanie się w tragizmie własnego życia, w poetyczności tego tragizmu, połączone z brakiem energji i zdecydowania się na czyn nie uszło uwagi Reeve'a. Widząc w tem objawy egoizmu, napisał przyjacielowi szczerze a bezlitośnie: „Mojem zdaniem zdziałałbyś o wiele więcej dobrego dla swej ojczyzny i dla ludzkości, gdybyś chciał mniej dobrego wyświadczyć sobie samemu." [8]) Oskarżenie było straszne — ale Krasiński nie przeczy, owszem, przyznaje się w pokorze. „Masz słuszność, mój drogi. Twój ostatni list jest okrutny. Przypomniałeś mi to, co na moją wieczną hańbę jest prawdą. Zobacz jednak, jaką jest kara boża! Mój grzech sprowadził na mnie upokorzenie. Powiedziałem swej ukochanej kłamstwo, a kiedy to, co było kłamstwem w moich ustach, stało się prawdą w ramionach stu tysięcy ludzi, nie mogę się już utrzymać w swej roli. Gdy nadszedł czas ekspiacji za kłamstwo, nie mogę jej dokonać, a ono całym ciężarem hańby spada na moje serce." [9])

Ci dwaj przyjaciele rozumieją się wybornie, więc w niewielu słowach zawierają treść olbrzymią. Że zaś Krasiński mówi tu z bezwzględną szczerością, można zatem zaglądnąć przez nie w głąb jego duszy i odtworzyć sobie jej ówczesny obraz.

Jest to portret nader interesujący. Młody poeta, znajdujący się w wyjątkowo tragicznych warunkach życia, przyznaje się do winy, którą mu zarzucano, do egoizmu, i kreśli obraz kary, jaką Bóg zesłał za to na niego. Kara polega na upokorzeniu, upokorzenie zaś na tem, że on „nie może już utrzymać się w swej roli." Wobec ukochanej bowiem podnosił wysoko swój patrjotyzm, a teraz nie może go udowodnić

czynami; wpadł w pułapkę własnego kłamstwa, a to jest hańbą!

Winą więc tragiczną Krasińskiego jest — według jego wyznania — poetyzowanie życia, przybieranie pięknej, dostojnej pozy; kara zaś boża polega nie na rzeczywistych klęskach życiowych, ale na tem, że on tej pozie nie może nadal nadawać pozorów prawdy. Wynika z tego najpierw, że Krasiński pozy poetyczne przybiera świadomie — co więcej, wtedy nawet, kiedy staje niby ponad zwyczajnym, grzesznym sobą i osądza swe winy, uważa zachowanie pozorów poetyczności za najważniejsze niemal swe zadanie, a fakt, że w obranej roli nie potrafi się utrzymać, za karę bożą!

Zasadniczo nie byłoby w tem nic dziwnego i nic nadzwyczajnego — owszem, jest to objaw, zgodny z duchem czasu. U romantyków niemieckich można znaleźć przykłady sztucznego poetyzowania życia może bardziej jeszcze rażące, a i w naszej literaturze nie brak ich wcale. Słowacki np., kiedy oskarżał się publicznie, mówiąc o pierwszych swych utworach: „Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył“ — wypowiada zdanie, które Krasiński bez wahania mógł podpisać. Ale Słowacki myśli o braku związku swych pierwszych dzieł z życiem narodu, o tem, że bawił się w nich „połyskiem, słońcem, kształtami“, a nie widział „okropnej tragedji rzeczywistej“, jaka się wokoło niego rozgrywała. Krasiński idzie w tej epoce swego życia znacznie dalej: on tragedję narodu widzi, ale dba tylko o to, aby siebie przystroić w jej draperje i, nadawszy sobie pozory bohaterstwa, opiewać w pięknych słowach swe nieszczęście i swą wielkość. „Najwyższą doskonałością uczuć — napisze wkrótce do Reeve'a — jest... pod formą natchnienia ogłosić ludziom, co się przez lata w pocie czoła zebrało.“ A to „zbieranie w pocie czoła“ jest dla niego wówczas równoznaczne ze sztucznem przeżywaniem urojonych, siłą wyobraźni przyrządzonych sytuacyj. Mickiewiczowską zasadę, że „prawda i tylko prawda może być piękną“ uznawał jeszcze tylko w teorji.

Tymczasem nad Rzymem gromadzą się chmury politycznych zawikłań. Rząd papieski rozkazuje poddanym Królestwa Polskiego opuścić granice państwa kościelnego i Krasiński wraca z p. Jakubowskim do Genewy. Przybyli tam 25-go marca 1831 roku.

Dwa pierwsze listy ojcowskie już znał, ale pomimo, że one tak wyraźnie mówiły o stanowisku, jakie jenerał zajął wobec powstania, wysłał do niego prośbę o wskazówki, co ma począć, i teraz czekał odpowiedzi. Nareszcie w połowie maja przybywa list jenerała, a w nim jedyna wskazówka, jakiej można było od niego oczekiwać: pozostać w Genewie, do rewolucji się nie mieszać. Wtedy Krasiński zdobywa się na energję i pisze do ojca list, który mógłby być przełomowym, gdyby był szczerym. Mówi w nim najpierw wiele o swojem niesłychanem cierpieniu, wypływającem z tego, że nie może brać udziału w powstaniu, przyczem tragiczność swego położenia określa przeważnie na podstawie aluzyj, zawartych w listach Reeve'a. Następnie zaś pisze:

„Ale to są przyczyny mniej więcej egoistyczne, bo można zrobić ofiarę z siebie i wstyd znosić przez poświęcenie. Takiej ofiary podjąć się jestem gotów, choć wiem, coby z niej po kilku miesiącach wynikło: śmierć lub szaleństwo. Lecz nie o to idzie. Wracam teraz do tego, com wzwyż powiedział, do obowiązku świętego, który góruje nad wszystkiemi inszemi i który mnie woła do Polski, między szeregi moich braci.

„Teraz nadchodzi dla mnie uroczysta chwila. Zmuszony jestem powiedzieć ojcu, którego kocham i kochałem zawsze nadewszystko, że pójdę przeciw jego woli, że będę się starał do Polski wrócić, że to jedynym od dzisiaj staje się celem wszystkich moich myśli i działań.

„Ojcze drogi, niechaj Bóg mnie sądzi, a Ty nie odmawiaj mi swojego błogosławieństwa!

„W tych dniach będę się starał dostać do Paryża, a stamtąd jak najprędzej do Warszawy... Stało się!

„Na kolanach błagam, wspominając obraz matki mojej, której śmierć po dziesiąty raz obchodziłem miesiąc temu w Genewie, błagam mego ojca o przebaczenie i błogosławieństwo.“

List nosi datę 14-go maja; ale dobry syn, nie chcąc widocznie, aby ojciec niepokoił się zbytnio jego losem, nie wysłał go zaraz, a nazajutrz umieścił pod nim wymowny przy-

pisek: „15-go maja. Pan Jakubowski zamknął mi wszystkie drogi do wyjazdu“. [10])

Gdyby postanowienie wyjazdu z Genewy i przedostania się do Polski było szczerem, byłby Krasińskiego zapewne bardzo ucieszył list Reeve'a, wysłany z Paryża 24-go maja. Reeve, przechodząc od ogólnych aluzyj i uwag o konieczności wzięcia udziału w powstaniu do praktycznych rad i czynów, wzywa przyjaciela do Paryża, obiecując mu dostarczyć paszportu i dwu tysięcy franków na koszta podróży do Polski. [11]) W ten sposób usuwa mu zacny Anglik z drogi najważniejszą część przeszkód, jakie mógł stawiać p. Jakubowski.

W dniu następnym pisze znowu. „W Genewie nie jesteś jeszcze Polakiem — trzeba, abyś coś poświęcił.“ Żałuje, że poprostu nie zabrał go przemocą z sobą — ale jeszcze nie jest zapóźno: „bramy zbawienia powoli się zamykają, przejdziesz jeszcze przez nie“. Przypomina mu, że Zamoyski jest także w Petersburgu, a pięciu jego synów walczy w powstaniu. Nakoniec dodaje w przypisku: „Powiedziałem Morawskiemu, żeś chory. „Jeżeli nie jest umierający — odpowiedział — może ruszyć w drogę, a jeżeli jest umierający, niech się każe zanieść, aby umrzeć w wolnej Polsce“.

Odpowiedź Krasińskiego jest bardzo charakterystyczna. „Tak, wiem o tem, przyjacielu, że moje ocalenie jest w Paryżu. Morawski powiada słusznie, że każdy dzień jest wiecznością. Ale“... I oto nastąpią argumenty, po liście do ojca z przed dwu tygodni zadziwiające. Czyż on może swem postępowaniem dobijać ojca, dorzucić jeszcze jeden kamień do tych, któremi go kamienują? Czyż ma marzyć o tem, aby czytać o sobie hymny pochwalne w tej samej gazecie, w której imię jego ojca będzie otoczone infamją? „Tak, przyznaję to jednemu tylko Henrykowi Reeve'owi, a nikomu innemu na tym świecie: mój ojciec zbłądził bardzo, straszliwie, ale ja nie mogę go za to pociągnąć do odpowiedzialności.“ Przyszłość widzi przed sobą okropną; Polska będzie wielką i wolną, on jednak będzie biednym i wzgardzonym. Ale już pogodził się z tem i krzyż ten ciężki weźmie na siebie.

Taką jest pierwsza część listu. Wynikałoby z tych słów, że Krasiński zmienił swe zdanie i że wbrew przesłanej ojcu zapowiedzi wyjechać nie chce z miłości dla niego. Dalej jednak czytamy: „W Genewie będę oczekiwał odpowiedzi ojca. Jeżeli będzie przychylną, pojadę, jeżeli nie, także pojadę, obowiązki bowiem moje wobec ojca będą przynajmniej w części spełnione.“

Sprzeczność, zachodząca między temi ustępami, wskazuje wyraźnie, w jak przykrem i niezdecydowanem położeniu znajdował się ich autor. Wobec szczerego, serdecznego przyjaciela jest nieszczerym, chwyta się wybiegów. Udaje, że odpowiedzi na swe zapytanie nie otrzymał jeszcze od ojca, kiedy przed dwoma tygodniami odpisał już na nią energicznym listem — zapewnia Reeve'a tak samo, jak zapewniał ojca, że mimo wszystko pojedzie do Polski, ale koniecznością oczekiwania wiadomości z Petersburga uzasadnia równocześnie odwlekanie tego wyjazdu, usuwanie go w daleką przyszłość. A kiedy następnie rozpoczyna żale słowami: „Moje marzenia o sławie skończyły się“ — rozumiemy już, o co mu chodzi: jak ów kotek w bajce, który chciałby złowić rybkę bez zamaczania nóg, tak on pragnąłby zdobyć sobie sławę bohatera narodowego, nie wyjeżdżając z Genewy. Może tego dokonać tylko w wyobraźni — więc podnieca fantazję swą, jak tylko może, ale nie stara się zupełnie o spotęgowanie woli, o dokonanie zapowiedzianego już czynu.

W kilka tygodni później, 1-go lipca, posyła mu niestrudzony Reeve nowy plan dostania się do Polski. Ma się przez Paryż dostać do Londynu, a tam otrzyma paszport i pieniądze. Aby mu ułatwić decyzję, podaje opinję Jerzmanowskiego i Walewskiego, z którymi się porozumiewał; sądzą oni, że jenerał Krasiński w gruncie rzeczy byłby bardzo rad, gdyby syn jego bił się za Polskę, ale nie może mu tego otwarcie powiedzieć, nie może mu kazać. Że ta opinja była bardzo daleką od prawdy, to pewna — ale dla Krasińskiego mogła być pretekstem tem lepszym, że zgodnym z jego przekonaniami o ojcu, mogła być podnietą do czynu. Na list ten jednak wyraźnej odpowiedzi Krasiński przyjacielowi nie daje. Narzeka ogólnikowo na Jakubowskiego, oczekuje odpowiedzi ojca. Nakoniec odpowiedź przychodzi i odbiera biednemu poecie resztę energji. Jenerał nie rozkazywał już, lecz błagał i zaklinał syna, aby w Genewie pozostał. Przygotowany na walkę z groźbami, wobec próźb był bezsilnym — „cała jego siła

rozpłynęła się w łzach". Pomimo to wierzy, że jeszcze będzie walczył za Polskę... przy boku ojca i... czeka tej chwili.

W czasie tych przejść i walk wewnętrznych oddaje się Krasiński twórczości poetyckiej. Podnieca swe cierpienia do możliwie najdalszych granic, a potem, przybrawszy odpowiednio piękną pozę, ogląda się w lustrze i maluje słowami swój obraz. Już sam ten fakt, że może obserwować i opisywać swą rozpacz, dowodzi niezbyt wielkiej jej siły. Kochanowski, piszący „Treny" przy trumnie Orszuli, byłby potwornym. Prawdziwą boleść może poeta odtworzyć dopiero po uspokojeniu się i tylko na podstawie wspomnień. Ale Krasiński, widzący cały swój świat w poezji, stara się cierpieć jak najbardziej, aby ten ból wyzyskać dla twórczości. Stąd pochodzi metoda postępowania. Pisze więc utwór bardzo rozpaczliwy i daje mu wstrząsający tytuł: „Adam Szaleniec".

Urywki tej powieści przesyłał Krasiński Reeve'owi, aby go wtajemniczyć w bezdenność swych cierpień, mając przytem trochę nadziei, że któryś z nich dojdzie może tą drogą do rąk ukochanej. Ale Reeve był dobrym psychologiem i w lot zrozumiał sytuację. Przeczytawszy lamenty na temat grożącego przyjacielowi szaleństwa, odpisuje: „Złe przepowiednie, tyczące się ciebie, odrzucam. Nikt nie staje się szaleńcem, myśląc o szaleństwie; można nim zostać tylko przez nagły napad rozpaczy lub przez długą bezczynność, zupełną bezczynność ciała i ducha. Z tego musisz się koniecznie otrząsnąć, to pewna." Po drugim fragmencie, mówiącym o grożącej Krasińskiemu hańbie, pisze bezlitośnie: „Dosyć mi się podobała twoja dyletancka podróż w okolice obłędu. Uważam jednak, że za wiele w niej czasem wschodniej przesady... Zdaje mi się, że uważasz hańbę za sławę w żałobie; najczęściej jest ona sławą uśpioną. Mało jest rodzajów hańby, obiegających ziemię, zwykle tkwią one w sercu ofiary. Taką jest przedewszystkiem hańba bezczynności. Twoja, mój kochany, nie biegła dość szybko, abyś jej nie mógł dogonić, skoro tylko ruszysz."

Nie umiejąc być nieszczerym, a nie chcąc być brutalnym, formułuje Reeve w jednym z następnych listów pogląd swój w liczbie mnogiej, oskarżając niby i siebie także o nieszczerość. Widzi bowiem wyraźnie, że „Adam Szaleniec" nie jest

szczerym wyrazem istotnych uczuć i przekonań przyjaciela. „Biblja mówi — pisze — że źle jest śpiewać pieśni nad cierpiącymi i wylewać na nich ocet. W braku jednak innej pociechy zapełniam swoje listy własnemi wierszami, które są raczej płodami męczącego siebie ducha, niż towarzyszami prawdziwego bolu. Chcieliśmy obaj wymyślić czarodziejski napój, któryby nam mógł zjednać podziw świata i który równocześnie „mógłby uspokoić rozpalone czoło i ochłodzić palące lica". — W tym celu otworzyliśmy tajemne źródła bolu i płakaliśmy niekiedy, bo chcieliśmy opiewać łzy. Jak ów ptak pustyni, zadaliśmy sobie głęboką ranę w łono, aby dziecię naszego ducha było mocne i silne. Jakąż to wszystko miało dla nas wartość!"

Tak oceniał pamiętnik duchowy Krasińskiego, zawarty w „Adamie Szaleńcu", najlepszy i najlepiej znający go przyjaciel. Jakie jednak wnioski możemy my wysnuć z niego dzisiaj?

Fragmenty tej powieści, zachowane w listach do Reeve'a, pozwalają określić charakter całości, która zaginęła. Łączą się tu dwa pierwiastki: nieszczęśliwej miłości osobistej i uczucia patrjotycznego. Pierwszy jest naturalnie w łączności z tym prądem literackim, który, wyszedłszy z „Nowej Heloizy", wydał „Werthera", „Walerję" i „Dziadów część IV" — drugi mógł wypłynąć z sytuacji, w jakiej Krasiński się znajdował, z jego własnych uczuć. Pierwiastki te jednak połączyły się już dawno przedtem w harmonijną całość w głośnem dziele Foscola „Listy Jakóba Ortis", a ten patrjotyczny Werther włoski jest dziwnie podobny do Adama Szaleńca. Stanowczo rozstrzygnąć sprawy nie dozwala fragmentaryczność i szczupłość tego, co nam z utworu Krasińskiego pozostało.

Trzy postaci występują w tych urywkach: Adam, bohater utworu, to naturalnie Krasiński — przyjaciel jego, lord Gram, to Reeve, a ukochana Adama, Marja, to Henrjeta Willan. Rozpacz Adama z powodu niemożności walczenia za kraj i pogardy, jaką jego bierność wywołuje w Marji, a wreszcie beznadziejna miłość jego do niej — to zasadnicze i jedyne motywy powieści. Oto dla przykładu początek ustępu, mającego tytuł: „Rozpacz".

„Szatanie! Szatanie! Władco ciemności i potępionych!

Daj mi nieco archanielskiej siły, bym mógł znieść nieszczęścia, co zewsząd walą się na mnie!

„Wzgarda ludzi jest mi niczem. Cóż mi do nich? Czyż już zniewagi ich nie skrzepły lodem wokół mego serca, nie pokryłyż go nieprzenikliwą tkaniną? Wyzywam wszechświat do walki; jeżeli padnę, dobrze. Zdepcą mnie nogami, też dobrze. Lecz ta, którą kochałem, w której oczach byłem bohaterem, przeznaczonym do męczeństwa, pogardza mną również! Ta myśl jest zbyt ciężka dla mej głowy.

„I zatrułem jej życie. Kiedy odwróci oczy ku latom minionym, ujrzy klęczącego u swych stóp nędznika, okrytego wstydem, szyderstwem, złorzeczeniem. Dziewczyno, co uczynisz wówczas? Zadrżysz we wszystkich członkach, aż pukle twych włosów rozwiążą się i spadną wzdłuż twej kibici; zakryjesz czoło dłonią i, kiedy ręka ta spocznie na czole, uczujesz, jak każda żyła błękitna twego czoła tętni, drży i płonie.

„Zaprawdę, zaprawdę, dziewczyno, pierwsza twa miłość była nieszczęśliwa! Z pośród wszystkich, ubiegających się o twój uśmiech, wybór twój padł na tego jednego, który okrywa się wstydem, choć mówił ci zawsze o sławie. Ach, nie przebacz mu nigdy! Przeklinaj go, znieważaj, nienawidź z wszystkich sił swoich, gdy kochałaś go z całej duszy. Jeśli kiedy kwiat wzrośnie na jego grobie, wyrwij go z korzeniem i zdeptaj stopami! Lecz nie milcz tak złowieszczo, tak długo! Żyjesz jeszcze, a już zdaje mi się, że niema ciebie. Ach, przemów do mnie, powiedz jedno słowo!“

W ten mniej więcej sposób i w tym rozpaczliwym tonie snuje się wątek rozmyślań o miłości osobistej. Motyw patrjotyczny mniej zajmuje miejsca, a występuje zwykle jako przedmiot uboczny, jako pole, na którem wzrasta pogarda Marji dla Adama; tak jest przynajmniej w zachowanych fragmentach. Przyjmijmy jednak, że oba te motywy, miłości osobistej i miłości ojczyzny, traktowane są równomiernie, że i w utworze, i w duszy autora odzywają się z równą siłą i równą szczerością. Wolno nam wówczas będzie z siły i szczerości jednego uczucia sądzić o drugiem. Otóż korespondencja z Reevem oświatla nam stosunek Krasińskiego do jednego z dwu składowych pierwiastków „Adama Szaleńca“ i współczesnych mu drobnych utworów z niezwykłą jaskrawością.

Otrzymując od przyjaciela stosy listów, przepełnionych wybuchami gorącej miłości do Henrjety Willan, prośby serdeczne o wieści, choćby najdrobniejsze, dotyczące jej życia i jej uczuć, pełne rozpaczy utwory, które miał jej wręczać — Reeve darzył biednego, zakochanego aż do szaleństwa poetę szczerem współczuciem. Wiedział od niego o nieprzezwyciężonych przeszkodach, stojących na drodze zakochanych, więc milczał. Ale niespodziewanie poznaje w Londynie Walerjana Krasińskiego i słyszy z ust jego, że jenerał Krasiński byłby zapewne przeciwny takiemu małżeństwu, ale ze względu na szczęście syna dałby niewątpliwie swe przyzwolenie. Uradowany, pisze do przyjaciela list, w którym, powołując się na opinję Walerjana Krasińskiego, rozumuje mniej więcej tak: „Jeżeli tak bardzo kochasz Henrjetę i jeżeli, jak słyszę, przeszkody nie są niepokonalne, to przezwycięż je, przyjedź do Londynu i ożeń się!“ [12])

Krasiński czuje się tą propozycją poprostu obrażonym. W pełnej godności odpowiedzi przedstawia ją jako niewczesny żart. „Jeżeli pomysł mego małżeństwa z H. mógł cię na chwilę rozweselić i na francuski sposób zabawić, rad temu jestem.“ Ale Reeve nie wie widocznie, kim jest on, Krasiński. „Mój ojciec jest jednym z ostatnich przedstawicieli arystokracji polskiej. Połącz-że to z neufchatelskiem marzeniem, z tanim sklepem korzennym!“

„Czym ci kiedy powiedział, ja, którym ci wszystko mówił, że w miłości mej dla H. tkwił jakiś cel wyraźny i dotykalny, uwiedzenia czy małżeństwa? Mówiłem o niej przed tobą jako o uwielbionej przeze mnie istocie, której nigdy swoją na ziemi nazwać nie miałem, a kochałem stokroć bardziej jako duszę, aniżeli jako kobietę. Miłowałem ją, jak jej nikt miłować nie potrafi. Gotów byłem za nią zginąć, poświęcić dla niej fortunę, karjerę, ale nigdy nie śniłem o jej ręce, nigdy nie chciałem zamieniać złudzeń w jarzmo rzeczywistości. Henrjeta Willan nigdy dla mnie małżonką być nie miała, jeno poetycznym punktem wyjścia dla całego mego żywota. Dziś jest ona moją mitologiczną przeszłością, wiekiem bohaterskim, i ku niej też, choć wzgardzony, zwracam spojrzenia i myśli, bądźto gdy chcę w pieśń, bądź gdy w czyn uderzyć. Ale, gdy mówisz mi o małżeństwie, nasuwasz mi przypomnienie no-

tarjusza i kontraktu, starego ojca, i siostry, i brata urwisza, i wszystkie przygotowania, i cały ciężar uprzęży, którą małżeństwo na człowieka wkłada, wierzaj mi, wtedy zbeszczeszczasz miłość moją, bryzgasz błotem i piaskiem na moje sny... Smutne są dzieje młodości mojej, a wskrzesić ich niepodobna; niechże zostaną takiemi, jakiemi je Przeznaczenie uczyniło. Nie, kochanka moja i oblubienica — moja ukochana i żona moja nie mogą się zlać w jedno. Jedna była aniołem, czemś nad kobietę górniejszem — drugiej może nigdy nie będzie, a jeśli się znajdzie kiedy, będzie to prosta śmiertelnica, dobra na to, aby mi bieliznę cerować lub podać leki w razie choroby." Nakreśliwszy dzieje swego stosunku do Henrjety, tak pisze dalej: „Gdy wybiły dla mnie dni próby, nie chciała mi zawierzyć. Wzięła mnie za nikczemnika, biedna dziewczyna. Nie domyślała się ani burz, które mnie czekały, ani rozrostu sił moich. Nieodrodna Angielka, zamknęła się w dumnej pogardzie, ja zaś w jej pamięci, niosącej mi pociechę i natchnienie poezji." [13])

Trudno o wierniejszy i bardziej wymowny wizerunek duchowy poety romantycznego. Jedynym celem jest twórczość poetycka; epizody życia o tyle mają wartość, o ile ją wzmagają i podnoszą, dostarczając zajmującego i podniecającego materjału, inaczej są bez znaczenia. Rzeczywistość jest godna pogardy — jedynie marzenie poetyckie jest czemś wielkiem, godnem prawdziwego człowieka.

Aby ten ideał osiągnąć, rozdmuchuje Krasiński drobne iskierki uczucia w olbrzymi płomień i w jego blasku, podnieciwszy się aż do egzaltacji, tworzy poematy. Te iskierki, jak np. przelotne uczucie dla Henrjety Willan, są dlatego cenne, że można je rozdmuchać — same przez się i dla siebie są niczem. Są to tylko „poetyczne punkty wyjścia", nic więcej.

Tak było z uczuciem miłości osobistej. A miłość ojczyzny? I o tem wiele nam mówi ten list, i to nie tylko drogą nader wymownej analogji. „Wzięła mnie za nikczemnika, biedna dziewczyna! Nie domyślała się ani burz, które mnie czekały, ani sił moich rozrostu." Ileż w tem zdaniu, napisanem 6-go grudnia 1831 roku, a więc w kilka zaledwie miesięcy po wybuchach „Adama Szaleńca", tkwi lekceważenia dla tego

posądzenia „biednej dziewczyny", posądzenia, które, zdawało się, o szaleństwo go przyprawiało, i ile dumy z powodu przejścia owych burz duchowych, przeżytych w wyobraźni! A logiczny sens tego zdania jest taki: „Wzięła mnie za nikczemnika, a ja nim nie byłem, bo niespełnienie obowiązku wobec ojczyzny przywiodło na mnie chwile istnych burz duchowych, wspaniałych natchnień poetyckich, które uczyniły mnie większym poetą — a poza tem cóż jest godnego uwagi?"

W ten sposób patrzał na życie i tak tworzył Zygmunt Krasiński podczas powstania listopadowego. Nie zapominajmy, że miał wówczas lat dziewiętnaście.

Uzasadnieniem takiej twórczości są następujące zdania, przesłane Reeve'owi: „Cierpimy, a rozkoszujemy się swem cierpieniem i nie zamienilibyśmy swych katuszy na tętna wesela, ani na uśmiech radości, bo czujemy się wywyższonymi nad rzesze tych, którzy nie mają serca przywalonego kamieniem. W bolu tkwi rozkosz, podobnie, jak w szczęściu." [14])

Upadek Warszawy nie wywołuje zbytniej rozpaczy w młodym poecie. Jeżeli w wydaniu korespondencji z Reevem daty listów z dnia 21-go i 25-go września są podane wiernie, a tylko w porządku ich zaszła dowolność, trudno byłoby oprzeć się wrażeniu przykremu. W liście wcześniejszym bowiem jest o wzięciu Warszawy skromna tylko, pobieżna wzmianka, ginąca niemal w obszernych, rozwlekłych wiadomościach o zbliżaniu się do Genewy cholery; dopiero, gdy Reeve zapytuje go, co myśli o upadku Warszawy, Krasiński pisze o tem obszernie i pięknie. Bądź co bądź, wśród tych słów jest jak gdyby jasnowidzenie, szczerze, zupełnie szczerze zanotowane: „Polska upadła, ale klątwa tym, co zapomnieli o wszystkiem oprócz własnego interesu i krzyczeli głośno, a teraz przypatrują się głupio, jak naród kona. Ale i ja chyba jestem przeklęty! Ja się popisuję stylem! Boże miłosierny, czemże ja jestem? Któż może pisać przy łożu śmiertelnem matki, w pierwszej godzinie po jej śmierci? Na to trzeba być mniej, niż człowiekiem — gazeciarzem!" [15]) To głębokie, krytyczne spojrzenie na własną twórczość mogło było już wówczas wywołać epokową zmianę w poglądach i w działalności Krasińskiego; widocznie jednak przykryły je zbyt szybko fale no-

wych wrażeń i uśpiły ten chwilowy, niespodziewany wyrzut sumienia, aby go obudzić wtedy, gdy tragizm życia da mu siłę wielką, zdolną do stworzenia form nowych.

Tymczasem twórczość nie ustawała, zmieniała tylko swe formy. Po „Adamie Szaleńcu“, naśladującym „Werthera“ lub raczej „Jakóba Ortis“, bierze sobie Krasiński za wzór „Manfreda“ Byrona. Zdaje mu się, że rozpacz, oddana tam z tak niezwykłą siłą, odpowiada wybornie jego położeniu, więc stara się dla wyrażania jej użyć tych samych sposobów. Tak powstaje „Widzenie“, pomyślane już we Włoszech; pisane po polsku, zachowało się jedynie w francuskiem streszczeniu, przesłanem Reeve'owi.[16]) Próba się nie udała; z wielkiego, potężnego wzoru zdołał młody poeta ująć i przenieść do swego utworu zaledwie pomysł wzywania duchów przyrody, aby znaleźli lekarstwo na cierpienie bohatera, nadał jednak scenom swym naiwne formy kabalistyki średnowiecznej, a zatracił ich siłę. Porzuca więc usiłowania bezpośredniego, lirycznego wypowiadania swych uczuć, ujętego jednak zawsze w formy powieściowe, i wraca do ulubionej swej niegdyś powieści historycznej. O rozpoczęciu jej donosi Reeve'owi już 20 października.

Rzecz jasna, że temat musiał być tak dobrany, aby mógł dostarczyć Krasińskiemu przynajmniej pozoru zajmowania się Polską; wszakże obmyślał plan powieści wtedy, kiedy dochodziły go świeże wieści o ostatnich chwilach listopadowego powstania, a bezpośrednio po wybuchach rozpaczy patrjotycznej w „Adamie Szaleńcu“ i w „Widzeniu“. Pozoru tego dostarczała epoka Dymitra Samozwańca, którą zapewne już w Warszawie się zajmował, a która pozwalała mu kreślić obraz Moskwy, zdobytej i tratowanej przez rycerstwo polskie; będzie w tem pewne zadośćuczynienie, jakby odwet literacki za zdobycie Warszawy przez Paskiewicza. Ale przedewszystkiem zapala się wyobraźnia myślą o Wschodzie, o jego bujnem życiu i rwać się będzie do fantastycznych opisów „pożogi i walk, zabaw i rozkoszy“ wschodnich.[17]) Nie będzie to już jednak — bo nie może nią być — powieść w rodzaju „Władysława Hermana“; będzie to „poemat“, bo Krasiński zastosuje w nim wszystkie swe zdobycze literackie okresu genewskiego, wszystkie środki techniczne poetyckiej twórczości, podpatrzone



Henryk Reeve
1830

u najznakomitszych autorów współczesnych. Tak powstanie „Agay-Han“.

W parze z tą pracą wyobraźni idzie praca myśli w kierunku społeczno-politycznym. Dzieje się to sporadycznie, mimochodem, drogą dyskusji z Reevem. Wróciwszy do Londynu, znalazł się Reeve nagle w ognisku gwałtownej walki społecznej; klasy pracujące, które od czasu wojen napoleońskich nie mogły podźwignąć się z upadku i nędzy, walczyły zacięcie o prawa obywatelskie z wszechwładną a wszechwładztwa swego nie myślącą się zrzekać kastą lordów. Ministerstwo Greya czyniło właśnie wysiłki, aby za pomocą „bilu reformy“ burzę zażegnać. Reeve, poeta-marzyciel, patrzał na te zapasy z niechęcią i trwogą o przyszłość ojczyzny i, uogólniając je, wysnuwał z nich wnioski o charakterze nadchodzących czasów, Krasiński zaś myśli te częścią przyswajał sobie bez zmiany, częścią przetwarzał lub na ich podstawie snuł własne poglądy — w każdym jednak razie wyrabiał sobie zdanie o tych sprawach, zdobywał sobie nowy punkt widzenia.

Nader interesującym jest pierwszy dokładniej sprecyzowany pogląd, zawarty w liście z dnia 29 września 1831. Krasiński próbuje w nim scharakteryzować współczesne sobie życie. „Podzielam twe zdanie o życiu w XIX wieku — pisze do przyjaciela. — Wiek nasz jest dla starej Europy tem, czem wiek XVIII był dla starej Francji. Przesyt społeczny, zepsucie, zbytek i nędza, ubytek wiary a przyrost szałów, kilka zasad, oderwanych od swych niewzruszonych źródeł, a rzuconych w potok, który nas rwie naprzód, nie bacząc, czy nie zmyli drogi lub nie zmieni natury — oto nasze położenie. Znajdujemy się na przełęczy czasów, ciśnięci z jednej strony przeszłością, z drugiej przyszłością, i to jest ta straszna walka dwu potęg, które nam rozrywają duszę.“ Sympatje łączą go z przyszłością; czuje „niezaspokojoną tęsknotę do tego, co będzie, co przeczuwamy, a czego nie doczekamy“. Równocześnie jednak żal mu przeszłości, którą nadchodzące czasy pogrzebią w niepamięci, żal mu tych „pamiątek, które dziś jeszcze u wielu górują nad nadziejami“, bo te „szlachetne pamiątki sięgają wyżyn Golgoty i stamtąd opromieniają czoła bohaterów“. Życie wśród takiej walki wewnętrznej ciężkie jest i przykre. „Jedynym środkiem, aby nie upaść przed czasem,

jest wierzyć w słowo boże i wiedzieć, że należy walczyć z ludźmi, a nigdy nie spocząć.“ [18])

„Należy walczyć z ludźmi.“ Ale o co walczyć, o jakie ideały? Tego Krasiński nie wie i zresztą — mniejsza o to! Może to być walka dla walki. Bój taki czyni człowieka pięknym, nadaje mu cechy bohaterstwa i poezji. To też, kiedy Reeve waha się, czy wziąć udział w walce społecznej i po czyjej stronie, jako obrońca ludu, czy arystokracji — Krasiński z całą konsekwencją prześle mu radę: „Nie pozostań neutralnym w wielkiej walce, jeżeli walka będzie. Pomnij na prawo Solona, które obojętnych skazywało na śmierć. Rzuć się w ramiona arystokracji lub ludu.“ [19]) Wybór stronnictwa jest obojętny — byleby wziąć udział w tym „wielkim poemacie ducha“, jakim jest rewolucja, byleby wraz z nią przeżyć chwile natchnienia i wielkości. „Jedynym celem, ku któremu warto siły ducha wytężyć, to wielkość, to jakabądź wyższość“, że zaś można ją osiągnąć tylko w walce, więc Krasińksi powtarza przyjacielowi swą radę, aby w żadnym wypadku nie pozostał neutralnym.

A Reeve przedstawia sobie przyszłe dzieje swego kraju dziwnie tragicznie. Zdaje mu się, że ta walka o prawa człowieka, walka ludu z arystokracją angielską, przemieni się w wielką jakąś rewolucję, w której lud zniszczy wszystko, co zbudowała przeszłość. „Ludzie walczą i wrzeszczą z początku *wolność*, a potem *zemsta* i będą walczyli z furją nienawiści przeciw arystokracji, a potem zapragną sami zasiąść na krzesłach kurulnych, które oblali krwią, i wówczas wpadną w ten stan politycznego kretynizmu, który poprzedza zanik wielkiego narodu.“ [20])

Młody Anglik tworzy tu horoskopy, którym bardzo niewiele już brakuje, aby przetworzyć się w wielki poemat — polski. Brak ten uzupełni Krasiński. „Powiedz mi, Henryku — pisze do przyjaciela — czy masz żywą, najwyższą wiarę w siebie samego, gorącą wiarą, że jesteś poetą — że Bóg dał ci lutnię, byś śpiewał wspaniałe myśli dni przeszłych i łączył w śpiew przeczucia i przepowiednie dni, które mają nadejść? Czy masz w tajnikach duszy, w ukrytem świętem miejscu swej moralnej istoty coś, co cię pcha, co ci, gdy piszesz, palce na

piórze przymyka — coś, co ci powtarza, że musisz spełnić cel, zdziałać coś szlachetnego i pięknego?“ [21])

To jasnowidzenie celów prawdziwej poezji, ten genialny błysk myśli, odezwie się za lat niewiele; wtedy pytanie brzmieć będzie krótko: „Powiedz mi, czy jesteś pięknością, czy też tylko przepływa przez ciebie strumień piękności?“ Ale myśl będzie ta sama.

Z rozmyślań dorywczych, snutych na kanwie zdań przyjaciela pomiędzy jednym a drugim ustępem pisanej z zapałem powieści o carycy Marynie, rośnie zwolna cały gmach, do którego wyobraźnia zaczyna się wkradać i cegiełkę po cegiełce dorzucać. Te społeczne sprawy przypominają jednak Krasińskiemu, że w kraju, bliższym mu o wiele od Anglji, stosunki nie bardzo się pod tym względem różnią od angielskich. Stają mu w pamięci dawne pogadanki z ojcem, który mu w dziejach Polski pokazywał czyny chwalebne szlachty i tylko szlachty — i powoli dawniejsza jego sympatja ku czynnikom rewolucyjnym zaczyna znikać. Już nie będzie mu obojętnem, czy stanąć po stronie ludu, czy po stronie arystokracji — teraz szlachta wydaje mu się poetyczniejszą, niż pionierzy przyszłości. „Dantonowie i Lamarquowie są marnością tam, gdzie byli Zamoyscy i Sobiescy. Ich potomkowie są niewdzięcznikami. Cała przyszłość ludzi dzisiejszych zblednie przed jednym z grobów tych ludzi przeszłości.“ [22]) Arystokracja przywodzi mu na myśl bohaterów Homera i „Nibelungów“, „którzy są przeznaczeni na zagładę, a jednak walczą“.

Ale jenerał Krasiński nie tylko przysłonił synowi szlachtą wzrok, ją jedną tylko każąc mu widzieć i cenić w dziejach Polski — on także o powstaniu listopadowem pouczał go w sposób dziwny, pamiętny, świetnie godzący się z tem, co Reeve mówił o Anglji. „Idzie o to — pisał jenerał do syna o wypadkach listopadowych — aby ci, co nie posiadają, posiedli, a ci, co posiadają, nie posiadali więcej.“ A syn nie zapomni tego zdania i będzie na niem budował swe poglądy. „Jedni, ci, co posiadają, pragną spokoju, drudzy żądają walki, by posiąść — i postęp rodzi się wszędzie, gdzie wre walka, ale ma wielkość wyłącznie pogańską“ — pisze do Reeve’a, mówiąc o zbliżających się czasach jakichś straszliwych walk, podniecony rozruchami robotniczemi w Lyonie, pożarami fabryk i walką

ludu z wojskiem. „Gniew boży odnowi ziemię — przewiduje dalej — kościoły upadną, aby się znowu podnieść, lecz równocześnie upadną domy gry, uciech i rozpusty, uciski i więzienia.“ Myśli te łączy przedewszystkiem z Polską. Z początku będzie widział wybitną różnicę pomiędzy zmaterjalizowanym Zachodem, a idealistyczną Polską, pragnącą jedynie dóbr moralnych. Z biegiem miesięcy jednak poglądy te, zapewne wraz z nadchodzącemi listami jenerała, zmieniają się zasadniczo. W styczniu 1832 roku wyraża już przekonanie, że to „członkowie klubu patrjotycznego zgubili Polskę“, nazywa ich też „zbrodniarzami i głupcami“ — a w pół roku później napisze do przyjaciela: „Klubiście nas zgubili. Nie masz pojęcia o ich szaleństwie i wściekłości. Ci nędznicy, szewcy, przechrzty, krawcy, łakomi na pieniądze, nie znając zupełnie Polski i jej przeszłości, chcieli wypłynąć, zyskać, wieszając, oczerniając, burząc, a teraz rozsiewają broszury przeciwko wszystkiemu, co u nas naprawdę szlachetne i wielkie. Oni nazywają to arystokracją, ale, jeśli mnie kochasz, wierz mi i wiedz, że poza arystokracją niema w Polsce ani talentów, ani wiedzy, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci mdły, nasi chłopi to maszyny. My sami jesteśmy Polską. Nadejdzie dzień, w którym po wielu poświęceniach wywieszają nas naprzeciw ołtarza ojczyzny. Taki jest bieg rzeczy, a jest nieodwołalny. Kiedy czasy nadeszły, trzeba, aby się wypełniły. Radykalizm nas podniesie, aby nas przygnieść i wymazać z ziemi. Oby choć po nas przyszły szczęśliwsze chwile dla tego nieszczęsnego kraju! Oby ci nowi ludzie rozwijali się i stali się znowu wielkim narodem. Ale my, my pracujemy na swoją zgubę; jednak pracujemy. To jest naszym obowiązkiem, a Bóg nas widzi. Później przyjdzie szubienica i wieczność. — Rozważ dobrze te słowa, pomyśl o nich dwa razy. To nie jest nagły wybuch, to owoc długich rozmyślań“.[23])

Polemizowanie z tym wywodem jest zbyteczne, natomiast podkreślić w nim należy kilka charakterystycznych i ważnych szczegółów. Przedewszystkiem Krasiński łączy jak najściślej powstanie listopadowe z przyszłym ruchem rewolucyjnym, którego dla Polski się obawia, i zarówno powstaniu, jak przyszłym wypadkom przypisuje charakter wybitnie społeczny. Drugim ważnym faktem jest to, że Krasiński staje już wyraźnie w szeregu arystokracji, a tem samem, gdy przypisuje jej jakąś nieokreśloną bliżej działalność, wyznacza w myśli także sobie rolę czynną w przyszłej tragedji dziejowej, złączonej tak ściśle z upadłem powstaniem. Że te poglądy i ta rola przyszła są złączone z wewnętrzną potrzebą usprawiedliwienia własnej bezczynności, to rzecz jasna i niewątpliwa.

W ten sposób gromadzi się zwolna materjał do dramatu społecznego, walki arystokracji z demokracją. Dramat jednak, choćby był oparty na najlepiej i najgłębiej ujętej idei, musi mieć postaci żywe, podpatrzone, zaobserwowane, gdyby zaś nie z pamięci, ale z wyobraźni poety miały się zrodzić, to i ta wyobraźnia musi je złożyć ze znanych sobie cząstek. Arystokrację znał Krasiński dobrze — ale skąd weźmie materjał dla odtworzenia ludu?

Ile razy zmuszeni jesteśmy mówić o czemś, czego dobrze nie znamy, radzimy sobie w ten sposób, że drobne, nieznaczne fakty, które nam przypadkiem utkwiły w pamięci, potęgujemy, uogólniamy i przypisujemy im znaczenie zasadnicze. Pierwsze lepsze wspomnienie, lada przygoda dostarczają nam wtedy budulcu do ogólnych, a często kategorycznych wniosków. Jedna taka nieznaczna, drobna przygoda utkwi w pamięci Krasińskiego, bo w niej zetknie się z ludem.

Było to w Ferney, pod Genewą. Krasiński wchodzi do gospody, aby oczyścić fajkę, i widzi dwie dziewczyny, czyszczące naczynia kuchenne. Wdaje się z niemi w rozmowę i zapytuje, co sądzą o wypadkach w Lyonie, o gwałtach, których dopuszczali się robotnicy. „Dobrze uczynili, panie — odpowiada mu jedna z nich — chcą równości. Już od dawna obiecują nam równość w niebie, niechże naprzód zacznie się ona na ziemi.“ Krasiński zauważył, że im chodzi nie o równość, bo ta jest niemożliwa, ale o tyranję. „Ach, tak — odrzekła dziewczyna — wiemy dobrze, że równość jest niemożliwa na świecie. Czyśmy jednak nie dość długo zginali przed wami kolana? Każdy niech odegra swą rolę, na każdego przyjdzie czas!“ „Chcecie zatem — przedkłada Krasiński — abyśmy byli waszymi niewolnikami, i to dlatego tylko, abyście mogli jeść, pić i wygrzewać się; mówicie wtedy: Będziemy szczęśliwi. Nie wierzcie temu — szczęścia na ziemi niema.“ „E, ja to wiem — odpowiedziała dziewczyna — ale w każdym

razie lepiej jest jeść dobrze, niż jeść źle. A zresztą czas już, abyśmy zajęli wasze miejsca. Odkądże to już zajmujecie je?“ [24])

Ta krótka scena stanie się w przyszłości wskazówką dla Krasińskiego, dokumentem niemal, świadczącym niezbicie, jakie stanowisko zajmie lud wobec arystokracji.

Przeżył jednak chwile, które wstrząsnęły nim znacznie silniej i trwalej też zarysywały mu się w pamięci. Były to rozmowy z Leonem Łubieńskim.

Łubieński przybył do Genewy pod koniec października 1831 roku i odwiedził Krasińskiego w jego mieszkaniu. Pragnął pogodzić się z nim, uzyskać jego przebaczenie — Krasiński wręcz odmówił. Pierwsza, pięciogodzinna rozmowa nie doprowadziła do porozumienia, schodzili się jednak jeszcze kilkakrotnie; ostatni raz rozmawiali z sobą w mieszkaniu Łubieńskiego — widocznie Krasiński chciał go poznać dokładnie i wybadać, ale mimo prośb i wybuchów płaczu nie przebaczył mu. Posłuchajmy, jak go scharakteryzował w liście do Reeve'a:

„Ten człowiek chce ze mnie uczynić swoje narzędzie i usiąść na mnie, jak szatan na trupie swej ofiary; ma on tęgą głowę, o wiele więcej środków praktycznych, więcej zręczności i panowania nad sobą, niż ja... To genjusz w zdobywaniu sobie powodzenia na świecie; ma na zawołanie cały świat intryg, wybiegów, zdolności, które spoczywają w tym mózgu, pod tą długą czupryną republikańską, poza temi rysami, na pierwszy rzut oka filuternemi, fałszywemi na drugi, twardemi, niedobremi, chciwemi krwi na trzeci. To tchórz na polu walki, ale nie będzie tchórzem na trybunie. To człowiek, który nie zadrży na widok otaczających go deputowanych, krzyczących, wyjących, uzbrojonych w sztylety... Mówiliśmy długo o literaturze, polityce, filozofji: rozległe wiadomości, olbrzymie zdolności i spryt, ale żadnego pojęcia o tem, co to jest poświęcenie, zaparcie się, co obowiązek, co cierpienie powolne, straszne, a nikomu nie znane, poświęcenie dla rodzaju ludzkiego. Zrozumiesz łatwo, że jest moim kontrastem... To dusza wielka, ale bez szczypty poezji, tej poezji, która nam każe kochać groby ojców, wspomnienia przeszłości i która może sobie utworzyć bohatera z nieznanego ludziom człowieka... Całe średnie wieki są martwe dla niego; niema

w nim ani odrobiny uczucia rycerskości. Chwalił się tem przede mną: „Jestem człowiekiem przyszłości, a nie przeszłości.“ [25])

„To rzecz nadzwyczajna — pisze, wracając do tej sprawy, w liście następnym — jest to człowiek, którego nienawidzę, a on przychodzi do mnie; wie, że go nienawidzę, a mówi ze mną o wszystkiem: o swojej przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, o swoich środkach, zamiarach, o swoich wierzeniach i systemach; to człowiek, który nie zniechęca się, widząc mą nienawiść i znosząc wybuchy mego uniesienia; po którym gniew mój spływa, jak woda po ceracie; który w milczeniu albo z miłym uśmiechem słucha moich wyrzutów i oskarżeń; który zwierza mi się, podczas gdy ja mówię mu co chwila, że jestem jego zaprzysiężonym, wiecznym wrogiem; który mówi mi o jakiemś przeznaczeniu, łączącem mnie z nim, o jakimś losie, popychającym nas nawzajem ku sobie, łączącym lub dzielącym nas wedle potrzeby; ten to los miał nie dozwolić ani mnie, ani jemu bić się za Polskę, ażeby żaden z nas nie miał wyraźnej wyższości nad drugim, ażebyśmy mogli walczyć z sobą o równych siłach.“ [26])

Czy ta charakterystyka jest prawdziwą, czy przesadzoną, czy sytuacja była istotnie taką, czy też ją Krasiński w liście do przyjaciela upoetyzował — to rzecz obojętna. Bądź co bądź, życie dostarczyło mu spotkania dziwnego, oryginalnego: kazało mu prowadzić długą dyskusję polityczną i społeczną z człowiekiem, którego nienawidził i którego uważał za zupełne swe przeciwieństwo. Rozmowy nie przynoszą żadnego widocznego wyniku — wrogowie rozchodzą się nieprzejednani. Tylko wyobraźni Krasińskiego przybyła nowa, oryginalna postać; w chwili największego napięcia sił swoich jego fantazja twórcza wydoskonali ją, wyolbrzymi i włączy w dzieło genjalne jako jedną z najpotężniejszych swych kreacyj.

* * *

IV.

AGAJ-HAN.

W latach 1831 i 1832 powstaje „Agaj-Han“. Wydany w październiku r. 1833-go [1]) w Wrocławiu, przed oddaniem do druku uległ niewątpliwie przeróbkom i poprawkom stylistycznym już w epoce tworzenia „Nie-Boskiej Komedji“, bo Krasiński słusznie przykładał do niego znaczną miarę i cenił go wysoko — ale poprawki te nie mogły zmienić zasadniczego charakteru dzieła. Jest ono najważniejszym i najświetniejszym owocem epoki genewskiej — i dlatego tu właśnie należy mu się wzmianka.

Stworzony w pierwszem zaledwie dziesięcioleciu istnienia historycznego powieściopisarstwa polskiego, „Agaj-Han“ wybija się nie tylko ponad wszystkie swe poprzedniczki, ale i ponad długi szereg następnych i jest najlepszą chyba z romantycznych naszych powieści. Jest to pierwsza ogółem powieść nasza, do której napisania użyto całego aparatu techniki poetyckiej, naturalnie techniki ówczesnej fazy kierunku romantycznego, i która skutkiem tego jest czemś pośredniem pomiędzy zwyczajną opowieścią awanturniczą, a bajronistycznym poematem. Niewątpliwie, istnieje pewien brak proporcji między wyszukaną, przesadnie świetną formą, a stosunkowo błahą, nie pogłębioną należycie przez dwudziestoletniego autora treścią. Brak tu tej iskry genjalności, która bohaterów podnosi na wyżyny symbolu, a z ich czynów, ich zmagań się i cierpień wyciska jakąś wielką myśl — mimo to jednak jest to dzieło bardzo niepospolite, objaw prawdziwego, wielkiego talentu poetyckiego.

Widać to przedewszystkiem w kompozycji. Cała powieść składa się z szeregu obrazów, które z małemi tylko wyjątkami mają zwartość scen realistycznego dramatu. Żadnych wstępów, żadnych dopowiedzeń autora — wszystko zawarte w ramach akcji, wszystko ściśle z nią połączone. Z tego, co się przed rozpoczęciem akcji działo, dowiadujemy się jedynie najważniejszych faktów z życia bohaterki, Maryny Mniszchównej, ale cały ten konieczny materjał uzupełniający zawarty jest wyłącznie w jej rozmyślaniach, a więc zgodnie z wymaganiami techniki dramatycznej. Tę samą zasadę stosuje Krasiński do tych części opowiadania, które nie mieszczą się w ramach obrazów: albo zaznacza je zgrabnie a krótko, jednem zdaniem lub kilku słowami, albo pomija zupełnem milczeniem, pozostawiając je domyślności czytelnika. On stawia przed oczy czytających tylko cykl obrazów, zawierających w sobie najważniejsze fazy akcji dramatycznej — o drugorzędne szczegóły i szczególiki nie dba zupełnie.

Natomiast w obrębie każdego obrazu interesuje go najmniejszy nawet drobiazg. Ze starannością mistrzów holenderskich maluje tło i występujących na niem bohaterów, zaznacza każdy szczegół ubioru, czy uzbrojenia, każdy promień światła, odbity w zbroi, każdy cień, który to światło swym kontrastem uwydatnia, a zwłaszcza każdy rys twarzy, bo z niego będzie się starał subtelnie wysnuć, co się dzieje w głębi duszy opisywanych postaci. Jest to metoda, którą posługuje się stale.

Wszystko to dowodzi niezbicie jednego, nader ważnego faktu: sceny „Agaj-Hana“ nie są już mniej lub więcej mozolnem wypracowaniem na temat pewnego szczegółu wymyślonej poprzednio fabuły, jak bywało np. w „Władysławie Hermanie“, lecz są poprostu wizjami poetyckiemi. Krasiński widzi już to, co opisuje, i przedewszystkiem dlatego opisuje, że widzi, że te postaci dumne, zawadjackie, a zwłaszcza dziwnie barwne, stoją mu przed oczyma i proszą się, aby je malował — więc on, jak wprawny malarz, chwyta paletę i kreśli scenę, która zjawiła się przed nim tak wyraźnie, jak kawał istotnego życia, raduje się każdym jej, najdrobniejszym nawet rysem — ale maluje wyłącznie to, co widzi. Stąd właśnie wynika, że szczegóły, dla oczu nieuchwytne, to, co odbywa się w duszy tych zjaw, stara się zapomocą wnioskowania wydobyć ze szczegółów widzialnych, bo w ten sposób najmniej odstąpi od roli malarza, najwierniejszym zostanie swym wizjom. To, co w „Śnie Elżbiety Pileckiej“ było zręcznem naśladowaniem „Snu“ Byrona, staje się w „Agaj-Hanie“ naturalnym i koniecznym wypływem rodzącego się genjuszu poetyckiego.

Rodzi się jednak ten genjusz w młodzieńcu, który życie zna dopiero powierzchownie, który kosztował dotychczas wielu przyjemności i rozkoszy, doznawał przykrości i zmartwień, ale nie zaznał jeszcze prawdziwego cierpienia, prawdziwego bolu. A tylko z bolu rodzą się perły, czyto w małży skorupiaka, czy w wyobraźni artysty — więc też ten niezwykły utwór, przez który już „przepływa strumień piękności", jeszcze „sam nie jest pięknością".

A dziwną jest ta powieść i kryje w sobie niemało zagadek.

Z tego, co Krasiński o swym nowym utworze opowiada Reeve'owi w liście z dnia 6-go grudnia 1831, wynikałoby, że główną podnietą twórczą były losy powstania listopadowego. Wieści o zwycięskim pochodzie wojsk moskiewskich pod mury Warszawy wywołały w nim chęć przypomnienia światu czasów, kiedy kopyta polskie tratowały wzdłuż i wszerz całe państwo moskiewskie, kiedy carów jego prowadzono do Warszawy jako jeńców i kiedy z Kremla padały polskie rozkazy. Oto ów ustęp:

„Piszę ciągle mój poemat polski. Są w tym poemacie pożary i walki, zabawy i rozkosze. Ulegam wpływom czasów, w których żyję. Akcja rozgrywa się w chwili, gdy olbrzymie państwo rosyjskie kruszyło się od Bałtyku do morza Kaspijskiego w żelaznych rękawicach polskich wojowników. Był to wówczas również świat ginący, a zwycięzcy miotali się na jego gruzach z chciwością i odwagą Hiszpanów, Korteza w Meksyku. To też można tworzyć wspaniałe obrazy z tych dni tryumfu i żałoby, z tych nocy pożarów i rozpusty. Starałem się przedewszystkiem odmalować istotę fantastyczną, prawie dziecię, pochodzące ze Wschodu i przepalone namiętnościami, a następnie ducha niepodległości i awanturnicze życie wodza kozackiego, który, w wątłej łodzi popłynąwszy z biegiem Dniepru, przebył morze Czarne, aby palić przedmieścia Konstantynopola, podczas gdy sułtan, widząc z okien seraju dym i płomienie, kruszył z wściekłości w zębach bursztyn swego cybucha — a wreszcie zamęt w Rosji, wyprawy wodzów polskich, zapuszczających się awanturniczo aż do Azji i niszczących ten świat klejnotów, kwiatów i światła, w którym ludy muzułmańskie zmieszały się z narodami chrześcijańskiemi.

Wiek ten był naszem średniowieczem. Wszystko jest w nim bohaterskie i nosi cechy energji. W Polakach, którzy na koniach swych przebiegali Rosję od morza do morza, odnajdujemy olbrzymie szaleństwo, wiarę w siebie i poczucie siły własnej, właściwe barbarzyńcom, którzy runęli na Rzym i pod nogi go sobie rzucili. Tak samo padła Moskwa przed moimi przodkami. Ach, przodkowie moi byli wielcy!..." [2])

Pomysł był świetny. Mógł on dostarczyć pewnego zadośćuczynienia zgnębionej dumie narodowej, a nieprzebranego bogactwa motywów wyobraźni. Ale właściwie są tu wymienione dwa tematy, niewspółmierne i historycznie niełatwe do złączenia: opanowanie Moskwy przez Polaków i wyprawy kozackie na Konstantynopol. Temat drugi — jeżeli istotnie wchodził w plan powieści, a nie znalazł się w liście do Reeve'a jedynie przygodnie, pod wpływem lektury lub rozmyślań o „polskiem średniowieczu" — mógł złączyć się z walką o tron moskiewski chyba jako podrzędny motyw z dziejów Zaruckiego, poprzedzających akcję; w ścisłym związku z dziejami Maryny trudno go sobie wyobrazić. W każdym razie miała ta powieść przedstawić w szeregu obrazów bohaterskie a zwycięskie walki dawnej Polski z późniejszymi jej ciemięzcami.

Jeżeli jednak istotnie taki był plan i cel powieści, dlaczegoż Krasiński z dziejów dumnej Maryny usunął zupełnie tę właśnie świetną epokę zwycięstw polskich, a rozpoczyna swe opowiadanie od chwili upokarzającej klęski, od uwięzienia Maryny i jej ucieczki? Dlaczego nie wspomina nawet o Kłuszynie, a wielkiemu Żółkiewskiemu, Sapieże, Rożyńskiemu i innym bohaterom zaledwie wzmiankę poświęca w VI. rozdziale, w obrazie tła historycznego? W planie zatem powieści były opisy tryumfów polskich, w wykończonem dziele są tylko obrazy upokorzeń i upadku; celem jej miało być krzepienie serc wspomnieniem dawnych zwycięstw, które kiedyś wrócić jeszcze mogą, a ona przygniata czytelnika opisem klęsk i ostatecznej katastrofy. Te sprzeczności między pomysłem a jego wykonaniem są tak rażące, że podają w wątpliwość szczerość posłanego przyjacielowi sprawozdania. Motywem twórczym musiało być coś innego, a słowa listu do Reeve'a były raczej usprawiedliwieniem treści utworu, niż jej wykładem.

Sam zresztą fakt, że na ziemi szwajcarskiej powstaje w Krasińskim pomysł powieści, opartej na dziele Niemcewicza, wydaje się nieprawdopodobnym. W Genewie studjował młody poeta Europę, rozglądał się po niej z nad Lemanu szeroko rozwartemi oczyma, wchłaniał w siebie jej potężne prądy literackie, zapoznawał się z postępem wiedzy, wczytywał się sumiennie w dzieje starożytnego Rzymu, próbował rozwiązywać zagadnienia filozoficzne, wcielał swe przejścia życiowe w obrazki powieściowe, ale o walterskotowskiej powieści historycznej nie myślał, a nowych wzorów w tej dziedzinie nie widział. Plan zatem musiał być dawniejszym. Jeżeli przywiózł z sobą z Warszawy trzy potężne tomy niemcewiczowskich „Dziejów Panowania Zygmunta III", to niezawodnie wiózł wraz z niemi gotowy już plan powieści, do której dzieło to miało dostarczyć wiadomości. Powieść o losach wojewodzianki sandomierskiej, której piękną głowę ozdobiła korona carska, zaświtała mu zapewne zaraz po ukończeniu „Władysława Hermana" jako odpowiednik tego „wielkiego" dzieła. W pomyśle jej były prawdopodobnie te motywy, które swą nadzwyczajnością i wdziękiem uderzyły wyobraźnię Schillera i Hebbla: stary dwór polskiego magnata, nieznany młodzieniec, kochający skrycie piękną wojewodziankę, odkrycie jego pochodzenia, wyprawa na Moskwę, tryumfy oręża polskiego i wreszcie koronacja polskiej szlachcianki w Kremlu. Na taki to zapewne plan zaczęły padać silne wrażenia genewskie i wreszcie przykryły go sobą zupełnie. Po dwu latach miał ten pogrzebany już pomysł warszawski zmartwychwstać, ale w zupełnie innej formie.

Czy tak było dosłownie, czy też z pewnemi drobnemi zmianami, czy pomysł powieści historycznej o Marynie i Dymitrze powstał istotnie jeszcze w Warszawie, czy też wbrew wszelkim prawom psychologicznym pojawił się dopiero w Genewie — rozwój pomysłu w ogólnych zarysach takim być musiał. Wizja Napoleona na wyspie św. Heleny, jeżeli nie jest naiwną i płytką, może powstać dopiero jako kontrast wizji bohatera z pod Marengo i Austerlitz. Pomysł „Agaj-Hana" mógł się skrystalizować tylko w ten sposób, że z długiego szeregu obrazów, obejmujących dzieje Maryny, wyobraźnia Krasińskiego usuwała stopniowo jeden po drugim, aż wreszcie obrazy końcowe skupiły na sobie całą jego uwagę, cały zapał twórczy i zaokrągliły się w odrębną całość.

W jaki sposób do tego przyszło i jakie czynniki na to dosyć dziwne ukształtowanie pierwotnych rojeń wyobraźni wpłynęły, o tem sam utwór mówi bardzo wyraźnie. Przedewszystkiem nie Maryna jest główną postacią opowieści, nie ona stwarza bieg akcji i nie ona nią kieruje; akcja toczy się raczej o nią, o jej posiadanie, ale osobista rola szlachcianki-carowej w toku wydarzeń jest po największej części bierna. Bohaterem właściwym jest Kozak Zarucki, zdobywca Astrahanu, twórca nowego państwa, wszechwładny pan losów Maryny — obok niego zaś staje i walczy z nim o piękną carowę fantastyczna postać eks-książątka tatarskiego, giermka czy pazia Maryny, namiętnego Agaj-Hana. Z licznego grona wybitnych osób, które dumnej szlachciance zdobyły koronę carską, a które zdolne są do rozpalenia wyobraźni największego nawet poety i zapewne doczekają się jeszcze swego Homera, pozostał w powieści Krasińskiego jeden tylko Zarucki, a ten wyidealizowany Kozak otrzymał jako współzawodnika — wyidealizowanego Tatara. Kozak i Tatar — oto jedyni bohaterowie powieści. Sam ten fakt określa już dokładnie charakter „Agaj-Hana" i wskazuje powody takiego właśnie skrystalizowania się tragedji Maryny Mniszchówny w umyśle Krasińskiego.

Rzecz jasna, że motorem tym był prąd orjentalistyczny, jeden z najwybitniejszych kierunków romantyzmu. Od wieków średnich począwszy zapładniał on wyobraźnię Europy zachodniej fantastycznemi pomysłami, ale przy końcu XVIII. wieku zmartwychwstał w nowej postaci. Pod wpływem uczonych francuskich i angielskich zaczął przedstawiać życie Wschodu z dbałością o ścisłość i wierność obrazów, opierając się o bezpośrednią obserwację lub o studja literatur wschodnich, przyswajanych właśnie językom europejskim. Że zaś w kształtowaniu go brali wybitny udział najwięksi ówcześni poeci z Goethem i Byronem na czele, więc nic dziwnego, że zdobywał sobie coraz więcej chciwych nowości zwolenników wśród twórców i czytelników i coraz szerszym strumieniem przepływał Europę. Krasiński już w kraju widział, nie zdając z nich sobie zapewne należytej sprawy, objawy jego w Mickie-

wiczowskich „Sonetach krymskich“, gdzie obok nadmiaru niemal słów wschodniego pochodzenia uwydatniała się bardzo wyraźnie charakterystyczna wschodnia przesada, a następnie w harmonijnym już „Farysie“. Zaleski, Malczewski i Goszczyński zwrócili zapewne jego uwagę na pierwiastki wschodnie w dziejach Polski, na Tatarów i na splecionych z nimi dziejowo Kozaków. Kiedy zachwycał się w Genewie wschodniemi powieściami Byrona i Moore'a, musiał zapewne dojść do przekonania, że poeta polski może i powinien tych barwnych a modnych motywów szukać w obrębie swojej ojczyzny, w bohaterskich walkach rycerstwa polskiego i Kozaków z Tatarami i Turkami i że na tem tle stworzyć można narodowy poemat, czego już zresztą dowiódł Malczewski. Im bardziej interesowały go egzotyczne utwory literatury angielskiej i francuskiej, tem łatwiej mogła upodobać sobie jego wyobraźnia w tym właśnie, jakby rodzimym zakresie orjentalistycznego kierunku, tem chciwiej też musiał szukać dla niej oparcia w źródłach historycznych, dotyczących bliskiego nam Wschodu. Powstanie listopadowe dołącza do tych motywów jeszcze Moskwę — i ostatecznie zrodzi się pomysł powieści historycznej, czy poematu prozą, w którym na tle zwycięskich walk Polski z Moskwą wystąpią dokładnie, realistycznie skreślone postaci Kozaka i Tatara.

Tak więc należy „Agaj-Han“ do utworów prądu orjentalistycznego, który od „Sonetów krymskich“ do powieści Sieroszewskiego tyle w naszej literaturze wydał dzieł i tylu podlegał przeobrażeniom. Postacią, która cechy wschodnie w najwyższym stopniu w sobie jednoczy i ton nadaje powieści, jak jej nadała tytuł, jest Agaj-Han. Możnaby wszystkie te ekscentryczne właściwości zebrać w dwu określeniach: przesada wschodnia i namiętna zmysłowość. Te dwie cechy jego charakteru podkreśla Krasiński z niezwykłą starannością.

Pierwsza z nich występuje najwyraźniej w przemowach Agaj-Hana, zwróconych do Maryny, w jego opowiadaniach. Oto przykład:

„Skarby carów? Śmiej się z nich, harda pani — to błoto i kurz! Ich korony naszych krymek nie warte. Ich kamienie nie warte kwiatku polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Dalbeku-by się przedrzyźniały. Gąsienicę z nad brzegów Hindu okręć wokoło palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni!

„O, chodź ze mną! Pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga!“

Trzeba przyznać Krasińskiemu, że Tatar jego umie przesadzać. Cześnik powiedziałby zapewne o nim, jak o Papkinie: „Jak ten *nequam* ostro kłamie!“ — ale musiałby dodać, że kłamie ładnie, a o to przecież chodzi. Mickiewicz, który podczas pobytu w Rosji poezję wschodnią studjował a potem w „Wykładach“ paryskich tę właśnie jej właściwość obszernie omawiał, nie jest w zaznaczaniu tej przesady o wiele powściągliwszy. Kiedy jego Mirza mówi o pobycie na Czatyrdachu: „Tchnąłem — z ust mych śnieg leciał“, lub kiedy on sam przypuszcza, iż gromady gwiazd powstały w ten sposób, że tęskny wzrok Potockiej „na niebie jasne powypalał ślady“ — wtedy staje chyba u granic przesady; krok jeszcze, a popaść może w śmieszność. Tego kroku Krasiński także nie uczyni; tem się jedynie od Mickiewicza różni, że nie ma jego miary artystycznej i że tych nieprawdopodobieństw gromadzi w jednym nieraz ustępie zbyt wiele. Określenia te jednak są barwne, plastyczne i cel swój, podkreślenie wschodniego pochodzenia bohatera, spełniają ogółem wybornie.

Drugą cechą zasadniczą tatarskiego książątka jest jego namiętna zmysłowość.

Miłość namiętna nie tworzy w literaturze żadnego prądu; raczej możnaby powiedzieć, że literatura piękna jest jednym z jej objawów, jednym ze stworzonych przez miłość prądów. Ta najpotężniejsza dźwignia czynów ludzkich, to wiecznie żywe źródło poezji stworzyło w niej w ciągu wieków nieprzebrane bogactwo swych wcieleń i obrazów; z tych, które otaczały Krasińskiego i które jako najnowsze wyrazy genjuszu poetyckiego najbardziej go interesowały, najsilniej może wypowiadała ją „Dziadów część IV“. Wszystkie niemal jednak te dzieła, Rousseau'a czy Byrona, Goethego czy Mickiewicza, o ile, jak „Don Juan“, nie przedstawiały swawoli, owiane były jakąś mgłą sentymentalizmu. Gustaw np. posuwa się

w tym kierunku tak daleko, że nie marzy nawet, aby Maryla „była mu wzajemną“:

Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko, żeby była ze mną,
Choćby jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bratem!
Bóg świadkiem, przestałbym na tem!

Nie idąc tak daleko w zaparciu się siebie, cele swoje znacznie nawet realniej pojmując, są bohaterowie romantycznej literatury w określeniach tych celów bardzo sentymentalni lub przynajmniej bardzo salonowi.

W „Agaj-Hanie“ sentymentalizm ten znika zupełnie i — po raz pierwszy w naszej literaturze — wybucha żądza miłosna, wyrażona z brutalną szczerością. I Tatar Krasińskiego będzie prosił Marynę tylko „o względy, świadczone drobnej muszce“, którą ona, obumarłą z zimna, „do ust przytuliła, oddechem obwiała, głosem nęciła“ do życia — gdy jednak odmaluje w śmiałych słowach „raj na ziemi, któremu niemasz równego w niebie“, stworzy obraz tak jaskrawy w swej zmysłowości, że jaskrawszego nie znajdzie się chyba w najnowszej literaturze naturalistycznej.

Nie ulega wątpliwości, że jest w tem objaw bujnego temperamentu Krasińskiego, że, jak w „Adamie Szaleńcu“ i w długim szeregu powiastek genewskich wyrażał swe sztuczne, pełne sentymentalizmu uczucia miłosne do Henrjety Willan, tak w „Agaj-Hanie“ przedstawił szczerze, i dlatego zapewne z lepszym o wiele wynikiem artystycznym, inną stronę swego świata uczuciowego, inną jego część składową. Genewa bowiem otworzyła mu oczy nie tylko na literaturę europejską, ale i na uciechy tego świata. Dziecinny, naiwny jeszcze w „Władysławie Hermanie“ pogląd na miłość zmienia się w „Cholerze“ w cynizm przeżytego młodzieńca, zaznaczony wprawdzie ze samochwalstwem, ale i ze znajomością rzeczy. Gdy Reeve'owi, towarzyszowi zabaw genewskich, spowiada się z grzechów swego młodego życia, mówi o „namiętności serca, której żadna cnota, żadna zasada nie mogła pohamować na drodze grzechu. Tu młoda dziewczyna, której nieszczęścia byłem sprawcą, tam kobieta, wydana na łup oszczerców... tu nocne hulanki z kielichem w dłoni...“ [3]) W słowach tych niema przesady. Świadczą o tem rozpaczliwe nieraz skargi i lamenty p. Jakubowskiego, który jenerałowi Krasińskiemu w jaskrawych słowach przedstawiał swą bezsilność wobec erotycznych wybuchów pupila. Jenerał pisał długie morały, przepowiadał, że namiętności będą przyczyną przedwczesnej jego śmierci, błagał i groził, z niewielkim jednak skutkiem. Ten właśnie bujny temperament młodego poety, który tyle kłopotów sprawiał jego wychowawcom, objawił się w sposób artystyczny w „Agaj-Hanie“.

Przedmiotem tej namiętnej miłości Tatara jest Maryna. Nie jest to jednak młodziutka, niewinna córka wojewody sandomierskiego, ale caryca moskiewska, wdowa po dwu Dymitrach i matka małego synka, jednem słowem poważna niewiasta w sile wieku.

Fakt ten, na pozór drobny i nieznaczny, zasługuje na baczną uwagę. W poezji i powieści romantycznej i przedromantycznej królowała wszechwładnie i wyłącznie młodziutka, dziewicza bohaterka, kilkunastoletnie dziewczątko, pozostające pod władzą pierwszych drgnień budzącego się serca. Laura, Beatrycze, Julja, Desdemona, Ofelja, Gretchen, Lotta, Haida, Gulnara, Zulejka, Hilda, Maryla, Heloiza, Łucja z Ashton, Korynna, Attala itd., itd., są wszystkie takiemi rozwijającemi się dopiero pączkami róży, nawet wtedy, gdy je ślub zwiąże z ukochanym — czaru róż rozwiniętych poezja ta nie uznawała. Ten zwyczaj czy pogląd trwał przez wieki i nikt się z tej tradycyjnej zasady nie wyłamywał. Dopiero wielki Balzak „odkrywa“ trzydziestoletnią kobietę, wprowadza ją do literatury i zdobywa jej rozgłos i niezwykłą wziętość — stało się to jednak dopiero w r. 1833. Z tego zatem „odkrycia“ Krasiński skorzystać nie mógł. Balzaka wyprzedził jednak niewątpliwie dobrze znany naszemu poecie Benjamin Constant, autor „Adolfa“, wydanego w r. 1816-ym, dzieła, które dało początek dzisiejszej powieści psychologicznej. Bohaterka „Adolfa“, Eleonora, z pochodzenia Polka, tem właśnie odróżnia się od swych poprzedniczek, że „nie jest już w pierwszym kwiecie młodości“: jest matką dwojga „szybko podrastających“ dzieci. Do Maryny Mniszchównej, wdowy po dwu carach, krok już stąd

tylko. Jeżeli zaś dodamy, że powieść Constanta jest właściwie studjum psychologicznem nad rozwojem namiętnej miłości, że nacisk pada w niej na obrazy stanów uczuciowych — co Krasiński przeprowadza konsekwentnie w całej niemal postaci Agaj-Hana — wtedy związek tych dwu dzieł wyda się nam więcej, niż prawdopodobnym. Łatwiej bowiem przypuścić, że dwudziestoletni nasz poeta wzorował się na głośnem dziele Constanta, niż, że o własnych siłach zdobył się na krok, który w dziejach powieści uważa się za epokowy.

Co prawda, nie byłoby to zupełnie niemożliwem, działały tu bowiem niewątpliwie, i to w wysokim stopniu, także czynniki wewnętrzne, własne przejścia duchowe Krasińskiego. Nie może być bez głębszego powodu dziwny fakt, że namiętną, zmysłową miłością ku poważnej Marynie płonie młodziutki chłopiec, pacholę, w którem było „coś dziecinnego“. Motto „Agaj-Hana“, zamieszczone w pierwszem wydaniu: „Kochałem ją, będąc dzieckiem, kochałem ją, będąc młodzieńcem, ona jednak nie kochała mnie nigdy“ — może odnosić się jedynie do p. Amelji Załuskiej, przedmiotu pierwszych, dziecięcych jeszcze uczuć Krasińskiego. Gdy w r. 1832-ym przybył do Opinogóry, zastał tam p. Załuską — i dawna miłość odżyła z niezwykłą siłą, grzebiąc w zapomnieniu sztuczne afekty do Henrjety Willan. Krasiński miał wtedy lat dwadzieścia, p. Amelia zaś, od lat dziesięciu żona przyjaciela jego z czasów genewskich, Romana Załuskiego, była o lat osiem od Krasińskiego starsza — stosunek ich wieku przypomina zatem wyraźnie Agaj Hana i Marynę. Pozatem zaznaczyć należy, że — jak świadczy list do Reeve'a [4]) — na namiętne wybuchy Krasińskiego p. Załuska odpowiedziała, iż będzie mu zawsze siostrą, ale niczem więcej. Przez czas dłuższy trwała walka; p. Załuska była niewzruszona, a namiętny młodzieniec nie chciał ustąpić i niepokoił ją swemi oświadczynami. Sprawa musiała się przedstawiać poważnie, skoro aż jenerał uważał swą interwencję za konieczną; pod jego naciskiem napisał Krasiński list do p. Załuskiej, w którym „zrzekał się tego, czego najgoręcej pragnął“ i wyrażał nadzieję, że na drugim świecie nic ich nie będzie dzieliło. [5]) Ale to przymusowe zrzeczenie się pragnień nie mogło ani mu wystarczyć, ani rozbudzonych uczuć ostudzić — więc skargę swą i poetyckie „liberum veto“ wypowiedział w „Agaj-Hanie“.

O ile w tego rodzaju subtelnych a w korespondencji wyjątkowo tylko poruszanych sprawach można z jakąś stanowczością i dokładnością stwierdzać wyjątkowość przeżytych wrażeń, to opinogórski dramacik z p. Załuską był dla Krasińskiego czemś dotychczas nieznanem: po raz pierwszy walczyła jego namiętność przez czas dłuższy o dopięcie celu — bezskutecznie. Zgodnie ze swym zwyczajem genewskim młody poeta stara się wyzyskać te wrażenia dla twórczości i przenosi uczucia, których doznawał, na jednego z bohaterów, owo pacholę ze Wschodu, już w początkowym planie przedstawione jako „przepalone namiętnościami“. Wymagało to pewnych uzupełnień i przeróbek, wymyślania nowych sytuacyj, uwydatniających należycie uczucia giermka, wyjęte z duszy autora, a usunięcia scen, które mogłyby uwagę czytelnika zbytnio rozpraszać.

Pierwotny plan powieści musiał w tych warunkach ulec zupełnej zmianie. Miłość giermka dla królowej Maryny, otoczonej nimbem potęgi, byłaby tematem, odpowiednim chyba dla sentymentalnej ballady. Jeżeli miała uwydatnić się prawdziwa walka namiętności, musiała być nadzieja zwycięstwa, a więc los musiał najpierw zrównać dumną królowę z jej paziem. Dlatego sceny tryumfów polskich i wszechwładztwa Maryny — o ile istotnie odgrywały poważną rolę w powieści — odpadły teraz, a opowiadanie rozpoczyna się śmiercią drugiego samozwańca i chwilą, kiedy carowa błaga rycerstwo o litość i pomoc.

Zmiany te mogły nastąpić dopiero w drugiej połowie roku 1832-go, a praca nad nową redakcją przeciągnęła się zapewne w długie miesiące zimowe, spędzone w Petersburgu.

Trudno się tu powstrzymać od pewnej uwagi. Po upadku powstania pisał Krasiński do Reeve'a: „Wszystko dla niej, dla tej ziemi: i życie moje, i trudy moje, moje dni i noce, smutki i radości. Wszystko dla niej: i szabla moja, i lutnia, wszystko, aż do ostatniego tchnienia.“ Zdawało się, że „Agaj-Han“ powstał właśnie pod tą dewizą, że miał „zalać serca rodaków poezją“ narodową, ożywczą, szukającą w chwale przeszłości nadziei na przyszłość. Tymczasem, jeżeli nawet

plan „poematu prozą“ istotnie te motywy zawierał, a pierwsza jego redakcja miała je już naszkicowane — wystarczyło jedno doświadczenie życiowe, jedna walka z namiętnością, aby sceny te przekreślić i narodowe cechy utworu zatrzeć. Świadczy to bardzo chlubnie o Krasińskim-pisarzu, o ścisłej łączności jego twórczości z własnem życiem — ale jakie smutne świadectwo wystawia jego patrjotycznym uniesieniom genewskim z czasów po upadku powstania! Było to „układanie dramatu“, któremu brakło szczerości.

Wróćmy jednak do rzeczy.

Jak widzimy, geneza „Agaj-Hana“ nie jest wcale prosta. Na dzieło to złożyło się kilka pierwiastków, zbiegły się w niem nici prądów literackich, które przepływały wówczas zachodnią Europę. Język, styl wzoruje się tu już nie na prozie powieściowej Walter-Skotta, czy Chateaubrianda, ale na poezji rymowanej Byrona i jego współczesnych, wchłania w siebie pierwiastki formy poetyckiej i zdobywa sobie całe ich bogactwo; używa ich jeszcze często niezręcznie, ale już ich używa — a gdy obudzi się w nim genjusz, z tych samych form, przy pomocy tych samych środków literackich, z większą tylko używanych subtelnością, powstaną arcydzieła. I tu leży główne może znaczenie „Agaj-Hana“ w historji rozwoju poety: jest to jakby egzamin dojrzałości, składany z technicznego opanowania stylu poetyckiego, jakby świadectwo, czego w tym zakresie nauczyła go obfita lektura genewska. Następnie zaś „Agaj-Han“ łączy twórczość Krasińskiego z wielkim, zasadniczym prądem romantyki, z orjentalizmem, i w przyszłej historji tego kierunku w Polsce zajmie niewątpliwie miejsce ważne i zaszczytne. Są w nim nareszcie ślady tych kierunków i tych zdobyczy powieściopisarstwa, które współcześnie zajmowały Europę zachodnią (powieść psychologiczna), do Polski jednak miały się dostać dopiero znacznie później, przeważnie za pośrednictwem Korzeniowskiego. Podkreślić należy, że zdobycze te przenosi Krasiński na grunt własnych przejść duchowych, łączy je ściśle z swem życiem.

W kilka miesięcy po ukazaniu się „Agaj-Hana“ pisały „Rozmaitości“ lwowskie o tej „nieporównanej“ powieści, że „polskie nie czytało oko, ani ucho nie słyszało jeszcze takich tonów, dźwięków, melodji tak czarującej, tak zachwycającej,

tak bijącej w każdą tkankę uczuć, w każdą żyłkę serca. Jest to kometa na horyzoncie literatury naszej.“ [6])

Autor tej wzmianki, A. G(orczyński), miał zupełną słuszność, naturalnie, o ile w założeniu już wykluczał poezję rymowaną: formy tak starannej i tak w swej rozlewności poetyckiej pięknej proza polska nie znała jeszcze. Na tę też formę kładł nacisk sam Krasiński i w niej widział wartość dzieła. „Sądzę, że nie było jeszcze po polsku dzieła formy takowej“ — pisał z pewną dumą do Gaszyńskiego o „Agaj-Hanie“, poczem dodał zaraz: „zresztą może być głupstwem“. Kiedy ten sąd wypowiadał, „Nie-Boska Komedja“ była już w pierwszym swym rzucie gotową.

* * *

V.

PRZEŁOM.

Z początkiem marca 1832-go roku otrzymuje Krasiński od ojca wezwanie, aby przed 15-ym sierpnia wrócił do kraju, do Opinogóry. Ten rozkaz ojcowski, od dawna zapewne z lękiem przeczuwany, ale usuwany z myśli starannie, zjawia się wśród rozbawionego grona genewskiego, jak wróżba nieszczęścia. Krasiński drży na samą myśl o powrocie do Polski, jak winowajca, który ma stanąć przed ofiarą... może w części swą własną. Budzić się w nim zaczyna sumienie polskie i oskarża go, że nie spełnił powinności Polaka. „Dreszcz mnie porywa na myśl odwiedzenia Warszawy i Polski — pisze do ojca — tej drogiej, nieszczęśliwej ofiary.“ Wyrzuty sumienia przygłusza wybuchami nienawiści do Moskali, nienawiści szczerej i silnej, która pozostanie mu do końca życia, i którą później nazwie „swojem dobrem całem“. Wyobraża sobie, że, gdy po powrocie do kraju spotka dumnych zwycięzców, urągających nieszczęściu pokonanych, nie potrafi powstrzymać się od zabicia którego z nich, a za to powloką go na Sybir; w ten sposób nagrodzi swą bezczynność podczas powstania. Jest to ta sama żądza czynu, którą w tym samym czasie i w tych samych warunkach zapłonął Mickiewicz i która później odezwie się w Słowackim, tylko, że kształt jej nadaje rozgorączkowana wyobraźnia dwudziestoletniego młodzieńca. „Za dwa miesiące muszę wracać tam, gdzie brzęczą kajdany, do krainy mogił i krzyżów — pisze do Gaszyńskiego. — Tam na grobie Polski modlić się będę. Mam przeczucie, że nie dotrzymam oburzeniu mej duszy. Sybir mnie czeka. Tam zastanę rodaków.“ [1]) „Ha, jakże ich nienawidzę, niecierpię tych Moskali! — pisze do niego w tydzień później. — Pamiętaj plunąć na moją pamięć, jeśli kiedy posłyszysz, żem od nich co przyjął, żem któremu z nich rękę ścisnął lub ukłonił się!... Jadę niedługo do Polski; tam ich szarańcza zaległa nasze niwy. Przejdę między nimi z dumą człowieka, pana zwierząt; w Warszawie trzech dni nie pobędę, do Opinogóry

pojadę. Jeśli będę mógł wydobyć się z ujarzmionego kraju po kilku miesiącach, to wrócę do Europy... Ale wątpię; tygrys swych ofiar nie wypuszcza nigdy. Mam przeczucie, że Sybir zamknie mój zawód zmarzłemi wroty. Znasz mnie, wiesz, że mam duszę ognistą, niespokojną w łonie; to łono za drobną jest dla niej chatą, ona zawżdy pnie się na lica: w słowach, w spojrzeniach, w rumieńcu na wierzch się wydobywa. Nie wytrzymam. Zresztą niechaj wola Boga się dzieje: jeślim nie walczył z bracią, niechaj przynajmniej wycierpię to, co oni.“ [2])

W tym samym liście znajdziemy zdanie, w którem jest już ślad poważnego osądzenia dotychczasowej twórczości. „Napisałem tego roku dużo rzeczy, wszystkie gorączką i rozpaczą napiętnowane, ale teraz czas nadchodzi, by wziąć się do poezji czynów, a poezja pióra niechaj mi służy tylko za piosnkę, nuconą przez mamkę.“ Postanowienie to przychodzi co najmniej o rok zapóźno, bądź co bądź jednak tkwi w niem myśl, że poetyzowanie w bezczynności, upajanie się jedynie marzeniem o czynach, jest rzeczą niegodną prawdziwego poety, który nie powinien „oddzielać się od swej miłości przepaścią słowa“. Jest to ta sama zasada, na podstawie której potępia Francuzów za to, że „o kochankach piszą, a nigdy nie kochali“. Marzy zatem o poetycznych czynach w życiu. „Nie mam dosyć mocy duszy, by stać się „Szpiegiem“ Coopera, ale będę tem, czem Bóg mnie stworzył: dobrym Polakiem, zawżdy i wszędy. O kajdany, o śmierć nie dbam: ciało moje w ich ręku, ale dusza — nie!“ [3])

Tego tragicznego tonu listów do Gaszyńskiego nie należy uważać za bezwzględnie wierne odbicie rzeczywistości. Pisał je do przyjaciela lat ubiegłych, który stanął przy jego boku w dniu hańby, więc czuje się zobowiązanym do szczerych wynurzeń — że zaś ten przyjaciel spełnił swój obowiązek wobec ojczyzny i teraz jako bezdomny tułacz błąka się po świecie, więc Krasiński, traktujący go zawsze z pewną wyższością, jaką daje świadomość tlącego w piersiach genjuszu, czuje się wobec niego zakłopotanym, usprawiedliwia się i może mimowoli wpada w ton tragiczny. Listy do Reeve'a, pisane w tym samym czasie, mają charakter spokoju i pogody. Prawda leżeć będzie zapewne w środku; ale tej przesady, którą widać

w kreślonych dla Gaszyńskiego rozpaczliwych nastrojach, nie można żadną miarą stawiać na równi ze sztucznemi uniesieniami, przesyłanemi przed rokiem Reeve'owi. Tam była zmyślona ekstaza poetycka, tu jest przesadzona rzeczywistość.

Co Krasiński myślał wówczas o swym ojcu?

Na to pytanie odpowiadają listy do Reeve'a wyraźnie i jasno: osądzał go bardzo surowo i potępiał jego postępowanie całą swą duszą. Oczy mu się otworzyły i patrzał nareszcie trzeźwo.

Złożyło się na to przedewszystkiem wiele wieści o postępowaniu jenerała, krążących wśród emigracji i zamieszczanych w obcych czasopismach, nie najmniej zaś przyczynił się do tego Reeve. Obracając się w Paryżu i w Londynie między wybitnymi Polakami, poinformowany był o wszystkiem wybornie, a szczerość nie pozwalała mu ukrywać przed synem, co myśli o ojcu. Z początku czynił to bardzo oględnie, później zaś, gdy widział zaślepienie Krasińskiego i jego niezdolność do spełnienia obowiązku wobec ojczyzny, staje się otwartym, nawet brutalnym. „Jeżeli ci ojciec napisze, byś do Wiednia jechał i jeżeli Jacky (Jakubowski) go poprze, zaklinam cię na wszystko, co ci święte, na naszą przyjaźń i na miłość naszą, byś uciekł, choćbyś miał żebrać po drodze, i byś tu przyjechał. Twój ojciec może tak napisze, lecz tego nie pragnie. Bądź o tem przekonany. Nie jest już panem swojej woli." [4]) A po upadku powstania, w grudniu 1831-go roku, donosi mu bez ogródek: „Ojciec twój otrzymał polecenie zwiedzenia Królestwa Polskiego. Wyjechał, by złożyć raport w tym przedmiocie. Car dał mu wstęgę św. Anny czy św. Aleksandra." Te i tym podobne opinje i wieści, które go niewątpliwie dochodziły z rozmaitych stron, wpłynęły na wyrobienie w Krasińskim trzeźwej opinji o zbłąkanym ojcu. Zasłania go przed przyjacielem, broni, jak może — ale raz po raz słowo jakieś nieostrożne, szczere wskazuje, co o nim myśli. „Wszystko jest dla mnie stracone: imię, sława, *ojciec*, ojczyzna" — skarży się przyjacielowi, a w innym liście marzy, że wróci do kraju o kiju pielgrzyma, „nieznany, aby raz jeszcze ujrzeć ziemię, na której wznosi się mogiła jego matki, lecz gdzie nigdy nie wzniesie się mogiła jego ojca". Wreszcie zdobywa się na to, aby wyraźnie mówić o tej tragicznej sprawie. „Ojciec mój, on, który niegdyś, bogaty, potężny, syt pochlebstw i sławy, widział się pierwszym obywatelem Polski ... dziś, powalony, utracił wszystko, nie posiada nic, prócz mnie, na szerokim świecie. Jeżeli i tę zaporę straci, co się z nim stanie? Nie śmierci się lękam dla niego — ona byłaby dobrodziejstwem dla nas obu — jeno długich lat starości, pełnych rozdzierających wspomnień, wstrętu i goryczy... spojrzenia, które rzuci wokoło siebie, nie znajdując nikogo, ktoby dłoń wyciągnął ku niemu. A kiedy sobie przypomni, że trzydzieści lat temu on był tym, który zatknął orła polskiego na szczycie Somo-Sierry, czy sądzisz, że to jedno wspomnienie nie wystarczy, aby, zgrzytając zębami, padł zrozpaczony na ziemię? Tej długiej agonji obawiam się dla niego i pragnę mu jej oszczędzić." [5])

Jest to obraz niemal dantejski. Przybrany w formę poetycką mógłby otrzymać tytuł: „Ostatnie chwile zdrajcy". Nic więc dziwnego, że jadąc do kraju, Krasiński nastraja się tragicznie. Daje do zrozumienia Gaszyńskiemu, że to ojciec jest przyczyną jego rozpaczliwego położenia i że musi uwolnić się od jego tyranji politycznej i zdobyć sobie niezależność. „Mimo chęci mojej jadę do Polski — pisze do niego 29-go marca 1832 — ale muszę, bo to jest obowiązkiem, a gdybym nawet tego za obowiązek nie uważał, musiałbym jeszcze, bom otoczony takimi, którzy mnie nie wypuszczą — i właśnie, by raz na zawsze się uwolnić, muszę pojechać do ojca i długie, długie mieć z nim rozmowy".[6])

Z takiemi energicznemi planami, z troską i obawą w sercu wyruszył Krasiński 4-go maja z Genewy i przez Turyn, Medjolan, Wenecję i Wiedeń zdążał do Polski. Choroba oczu, której się nabawił w Genewie, w czasie podróży zwiększała się i zmuszała do zajmowania się raczej sobą, niż otoczeniem. Coraz bardziej gnębi go i ściga myśl, że wobec ojczyzny, do której dzień każdy go zbliża, nie spełnił swego obowiązku. „Przejeżdżało tędy dziesięciu oficerów polskich z pułkownikiem Gawrońskim na czele — pisał z Genewy do Gaszyńskiego na dziesięć dni przed wyjazdem — przypomnieli mi Polskę i żem za Polskę się nie bił. Źle, źle mi jest..." Z Wiednia, gdzie na dłuższy czas się zatrzymał, aby leczyć chore oczy, płyną echa bolesnych rozmyślań i surowych sądów o sobie. „W ciemnym pokoju, sam jeden, otoczony lekami.

mam czas rozmyślać nad przeszłością i przyszłością, mam czas rozpamiętywać, żem za Polskę się nie bił. Nie wiem, co ze mną będzie; oczy zagrożone ślepotą, całe ciało rozstrojone; może niedługo pójdę tam, gdzie tylu poszło, bez sławy, bez miłości i żalu ludzi, bom nic nie zrobił, bom żył na świecie, jak kawał deski, co płynie po morzu, aż wreszcie zgnije i pójdzie na dno.“ [7])

W oznaczonym przez jenerała terminie, 15 sierpnia, przybył Krasiński do Warszawy, lecz bał się widocznie nieszczęśliwego miasta, bo tegoż dnia wyjechał już do Opinogóry.

Jenerał przyjął syna z taką serdecznością, w przygotowaniach na jego przybycie tyle było wzruszającej troskliwości i miłości, że Krasiński poddał się wrażeniom, zapomniał o troskach i obawach i czuł się szczęśliwym. Z dziecięcą radością i dumą opisywał Reeve'owi swe wspaniałe mieszkanie, gotowalnię ze szczerego srebra, w złoto i kość słoniową oprawne rogi myśliwskie i szkatułkę, w której zastał 4000 złotych, hojny dar ojcowski. Opisuje mu następnie zameczek gotycki, który jenerał rozpoczął budować dla syna obok starego dworu, i w zapale przedstawia przyjacielowi ten mały, jednopiętrowy pałacyk jako „trzypiętrowy gmach“. List kończy się wzmianką o „arabskim rumaku“, który czeka osiodłany. Młody chłopiec czuje się widocznie szczęśliwym, że go „pasowano na wielkiego pana“.

Pierwsza rozmowa z ojcem odbyła się w sposób wielce uroczysty, ale była krótka. Jenerał zaprowadził go na grób matki i tam udzielił mu swego błogosławieństwa — o przyszłości jednak, o swych planach nic mu nie wspomniał.[8]) Ale już w kilka dni później nastąpiła rozmowa druga, przełomowa. Treść jej jest nam znana tylko w małej części: jenerał zapowiedział synowi, że zabiera go z sobą do Petersburga, że go tam przedstawi carowi, że poleci go jego łasce i opiece i w ten sposób otworzy mu wrota do karjery w służbie carskiej.

Cios był potężny. Krasiński, jadąc do kraju, miał złe przeczucia i mógł się spodziewać rzeczy przykrych, nawet złych; list ojca, zapytujący o zamiary na przyszłość, mógł mu poddać przypuszczenie, że jenerał zechce go pozostawić w Polsce i każe mu dosługiwać się urzędu, dlatego nie odpowiedział nań otwarcie, wykręcał się, oddalał decyzję na czas rozmowy

z ojcem. Mógł sobie w swej młodzieńczej wyobraźni przedstawiać, że rząd rosyjski odmówi mu paszportu na wyjazd za granicę, że go zmusi do pozostania w kraju i pozbawi koniecznej poecie wolności i swobody słowa — i na to był przygotowany. Ale jechać do Petersburga, do stolicy znienawidzonego tyraństwa, jechać tam nie z przymusu, z konieczności, ale dobrowolnie, od najbardziej zawziętego wroga Polski wyżebrać sobie dostojeństwa, aby w jego imieniu móc kiedyś rządzić własną, zdeptaną przez niego a okrwawioną jeszcze ojczyzną — takiej hańby dożyć nie spodziewał się chyba nigdy. Nie mógł znać jeszcze tych gorzkich słów, które Mickiewicz napisał dla „przyjaciół Moskali“, a które właśnie składano w drukarni paryskiej:

Innych może dotknęła sroższa niebios kara:
Może kto z was orderem, urzędem zhańbiony,
Duszę wolną na wieki przedał w łaskę cara
I dziś na progach jego wybija pokłony?

Ale to pojęcie, że order lub urząd carski jest większą hańbą i sroższą dla uczciwego człowieka (a cóż dopiero dla Polaka!) karą niebios, niż stryczek lub katorga, to pojęcie żyło w całej Polsce i było wówczas zasadą lepszej części społeczeństwa — i Krasiński znał je niewątpliwie. Wszak pisał niedawno do Gaszyńskiego: „Pamiętaj plunąć na moją pamięć, jeżeli usłyszysz, żem od nich co przyjął, żem któremu z nich rękę ścisnął lub ukłonił się.“ A teraz ma „wybijać pokłony“ przed carem, ma wypraszać sobie u niego karjerę! Zmusza go zaś do tego ubóstwiany do niedawna ojciec, zaślepiony w swem szaleństwie politycznem, w zdobywaniu fortuny za cenę pogardy ziomków. Służalstwem chce zdobyć dostatki dla syna! Uzyskał już zatwierdzenie starostwa opinogórskiego, a dzienniki głosiły, że za „zasługi“, położone w czasie powstania, otrzymał od cara znaczne dobra na Litwie. Więc może i ten przepych, jakim go teraz otoczył ojciec, te srebrne gotowalnie i zameczki gotyckie pochodzą ze szczodrości, z jaką car nagradza swe wierne sługi? Wszak to wieczna sromota i hańba!

Jeżeli są chwile, w których młodzieniec może osiwieć, to chwile takie przechodzić musiał Krasiński na wiadomość o tem, jaka hańba czeka go z niezłomnej woli ojca. Jakże

śmiesznemi i dziecinnemi, jak niegodnemi wydać mu się wtedy musiały marzenia o sławie, rojone w dostatniej ciszy genewskiej, gdy koledzy jego ginęli na szańcach Warszawy — jak bolesną ironją były one wobec twardej rzeczywistości, wiodącej go nieubłaganie go straszliwej hańby! Snił pięknie, przedstawiał sobie siebie „po klęsce wrogów, wobec pomordowanych ich szeregów, wśród trofeów zwycięstwa, błogosławieństw nieba i pochwalnych hymnów ludzi“ — a teraz ma u tych wrogów kupić sobie pokorną prośbą dostatki i wygodne życie!

Takie myśli snuć się musiały w rozgorączkowanej głowie Krasińskiego na myśl o czekającej go podróży. Kiedy jednak w Genewie, będąc stosunkowo spokojnym, udawał rozpacz, teraz możnaby przypuszczać, że, bliskim będąc rozpaczy, sili się na spokój. Takie wrażenie wywołują pisane w tym czasie listy do Reeve'a, pełne goryczy jakiejś i melancholji, ale zawierające obok suchej wiadomości, że wkrótce jedzie do Petersburga, jedną tylko wzmiankę o bliskim „upadku“, łączącą się bezpośrednio z sytuacją. Zresztą wiedział dobrze, że policja otwiera listy, zwłaszcza wysyłane za granicę, więc szczerze pisać nie mógł. Stosunek do p. Załuskiej przybiera formy tak namiętne i tak natarczywe, że możnaby domyślać się w tem uczuciu jakiegoś umyślnego podniecania się i rozegzaltowania, aby znaleźć w niem zapomnienie i ulgę.

10. września opuszcza wraz z ojcem i Konstantym Danielewiczem Opinogórę i wyjeżdża do stolicy Rosji; stają tam w połowie października. Na szczęście choroba oczu wzmagała się. Lekarze petersburscy przepowiadali mu utratę wzroku. Musiał zatem jenerał, chcąc nie chcąc, odłożyć upragnioną audjencję u cara Mikołaja, dopóki stan zdrowia syna nie poprawi się choć trochę. Więc Krasiński przebywał dniami całemi w napół ciemnym pokoju i „uczył się myśleć“. „Sam jestem i smutny przez dzień cały, wieczór spędzam we własnym pokoju, niczem nie mogąc się zająć; życie to cięży mi“ — pisał do przyjaciela.

Groźba utraty wzroku dręczy go naturalnie i przeraża. „Naprzód, wiecznie naprzód, dopóki nie wybije godzina ostatecznego spoczynku, dopóki mnie nie ogarnie noc ociemniałego! Wątpię, ażebym miał siłę żyć ślepym. O Boże, odwróć ten kielich ode mnie! Ale czyż mam prawo wzywać Boga?“ [9]) Ogarnia go coraz większy smutek i rozgoryczenie. „Daj mi nicość, abym w niej mógł złożyć zmęczoną głowę — ale nicość jest złudą!“

„Gorycz wielka zalała mi serce — pisze do Reeve'a 20 stycznia 1833. — Nie są to już owe młodzieńcze smutki, w których zawsze tkwi jakaś słodycz na dnie, ani też owe przekleństwa i wściekłe porywy, które wyczerpały mi moje zdrowie i wydały bezrozumną poezję „Adama Szaleńca“; jest to raczej smutek męski, pozbawiony uroku, bez szału, spokojny i mężny, a silniejszy i stalszy od moich dawnych rozkoszy.“ Żeby zaś przyjaciel nie mylił się co do powodów tego smutku, których myśl o cenzurze podać mu nie dozwala, zamieszcza niespodzianie i pozornie bez związku z tokiem myśli następujące zdanie w języku angielskim: „I anioł wziął głaz wielkości młyńskiego kamienia i rzucił go w morze, mówiąc: Tak upadnie wielki Babilon i więcej już znaleziony nie będzie.“ [10])

Że to proroctwo, jakby z ksiąg Jeremiasza wyjęte, nie odnosiło się do Jerozolimy, to Reeve zrozumiał zapewne wybornie. W zdaniu tem, przemyconem przez czujną cenzurę, tkwiły nie tylko „przekleństwa na Moskali“, o których pisał do Gaszyńskiego, ale równocześnie klucz do rozwiązania treści i tendencji utworu, o którego rozpoczęciu donosił właśnie przyjacielowi.

Już 22 października, a więc w tydzień zaledwie po przybyciu do Petersburga, pisze: „Przed kilku dniami, w nocy, znalazłem pomysł nowego poematu, i to pomysł wielki. Wyskoczyłem z łóżka, wołając: *Anch'io sono pittore!* Tak jest, poezja tworzy nieodłączną część mojego jestestwa. Źrenice me płoną, mózg pęka, dusza się rozszerza — cierpię!“ A w trzy miesiące później, 23 stycznia 1833 r., znajdzie się jakby uzupełnienie tej krótkiej wiadomości: „Tej zimy czytałem Ballanche'a, Damirona, Quineta; potem zagłębiłem się w Piśmie św. i doszedłem do przekonania, że filozofja tyle warta, co i miłość: można być Wertherem w obu kierunkach. Później napisałem coś, co tkwiło we mnie, w moim rozstroju oraz w kilku głębszych myślach. Tytuł dość dziwny: *Irydion Amphilochides*. Grek to, zabłąkany w Rzymie, *et dulces moriens reminiscitur Argos*.“ W przypisku zaś dodał: „Jest to

moja pierwsza próba dramatyczna. Całość w połowie dramatyczna, w połowie opisowa lub opowiedziana."

Pobyt więc w Petersburgu oddziaływa na Krasińskiego tak samo, jak na Mickiewicza pobyt w Moskwie. Uczucie nienawiści do Rosji, które w Szwajcarji wybuchało prosto i otwarcie, tu przybierze kształt alegoryczny. Mickiewicz, rozkochany w dziejach Litwy, przedstawi je w obrazie duszy gnębionego przez Krzyżaków Litwina — Krasiński, obznajmiony z historją Rzymu, wyrazi je w uczuciach Greka, „zabłąkanego w Rzymie". Ile w tym pomyśle, który w bezsennej nocy zaświtał mu nagle w wyobraźni, było wpływu „Wallenroda", z tego Krasiński nie zdawał sobie jeszcze sprawy, tożsamość bowiem uczuć, już nie, jak w „Adamie Szaleńcu", na zimno tworzonych i z przesadą formułowanych, ale szczerych, istotnych, z bolem wydzierających się z duszy, zasłaniała mu wzrok i nie dozwalała dojrzeć tożsamości pomysłu. Kiedy gorączka twórcza ustąpi, Krasiński zobaczy tę zależność i zniechęci się na czas jakiś do swego dzieła; na razie „Irydjon" zajmował go tem bardziej, że z odczuwaną głęboko treścią łączył w sobie nową zupełnie formę, formę dramatyczną, przeplataną ustępami opisowemi, na wzór „Ahaswera" Quineta.

Chociaż praca nad „Irydjonem" zajmowała poecie wiele czasu, skoro zdołał w Petersburgu napisać połowę utworu, nie zajmowała mu jednak wszystkich myśli. Krążyły one uporczywie około niego samego, zaglądały mu w głąb serca i formułowały ciężkie oskarżenia. W samotności petersburskiej Krasiński bada krytycznie ostatnie lata swego życia, czyni rachunek sumienia.

„W duszy mej dokonał się przełom jakoby lat wielu — pisze do Reeve'a 5-go lutego 1833. — Gwałtowne wzruszenia zrazu mną wstrząsnęły, potem nastąpiły gorączkowe sny i rojenia, dalej wyrzuty sumienia... nareszcie rozmyślania i rozumowania, będące prawie zawsze wynikiem długiego cierpienia; wiele myślałem wówczas o ludziach. Niech mi Bóg wybaczy, jeżeli doszedłem do poniżających ludzkość wniosków: że masy znają tylko ślepą żądzę, a nigdy się nie kierują rozumem, że człowiek jest wszystkiem i wszystkiego też dokonywa, podczas gdy ludzie są niczem. A jednak człowiek obowiązany jest zawsze poświęcać się dla ludzi, zamiast ich dla siebie poświęcać. A choć sam jest przekonany, że szczęście jest na ziemi nieosiągalnem, powinien w nie wierzyć dla drugich i wszystkiemi siłami zmierzać do tego urojonego celu. Wielka to, ale święta mistyfikacja"...

Treść główna tego wyznania tkwi zapewne w tem, że to „wyrzuty sumienia" doprowadzają go do przekonania o konieczności altruizmu, poświęcania się dla ludzi. Widocznie nie dostrzegł go w swem życiu. Jest to początek zmagań się i przeobrażeń duchowych, które wydadzą wspaniałe owoce w twórczości poetyckiej.

Związek przytoczonych powyżej wynurzeń z poglądami na poezję występuje wyraźniej w innych ustępach ówczesnej korespondencji Krasińskiego.

„...Trzeba się pogodzić z życiem i cierpieniem — pisze dnia 25-go stycznia — nawet bez możności przykładania na rany nasze balsamu złudzeń. Niegdyś chcieliśmy stać się istotami poetycznemi, dziś powinniśmy zostać istotami moralnemi, żyć na łonie rzeczywistości, to znaczy ustawicznie toczyć walkę, która nas zwolna spala, walkę między naszemi pomysłami a naszemi czynami, wywołującą zmianę naszych pojęć i ustępstwa, czynione z konieczności przez dusze nasze... na rzecz świata materji, czynu, korzyści itd. Jednak i w tem jeszcze tkwi ogrom poezji. To już nie miłość, sława, potrzeba pieśni i opowiadań; przeciwnie, jest to poczucie, że wypełniamy swe obowiązki w cieniu, nieznani, zapomniani, niedocenieni, że pracujemy w pocie czoła, nie myśląc o żadnej ludzkiej nagrodzie, ani o spojrzeniu piękności, ani o wieńcu laurowym, lecz zadawalając się własnem przeświadczeniem, tem wewnętrznem a głębokiem poczuciem własnej godności... W tem wyrzeczniu się, w tej pełnej miłości dumie, w której niema nic z gorzkiej pogardy, okazywanej ludzkości przez niektórych genjuszów, widzę ogrom poezji i ku niej wyciągnę ramiona; bo przez całe życie pozostanę poetą... Urodziłem się poetą, i nie dbam, czy mnie kto podziwia i rozumie, prócz ciebie." Ażeby zaś zaznaczyć, że te słowa są owocem długich rozmyślań i głębokiego przekonania, dodaje: „W tych kilku słowach wypowiedziałem obszerną teorję; zastanów się nad nią przez kilka chwil." [11])

Te same przekonania znajdziemy w liście do jenerała Fr. Mo-

rawskiego, pisanym 30-go stycznia 1833. Tu będą one ujęte w obraz pozytywny, przedstawiający jakby ideał poety — Mickiewicza. „Poznałem... zagranicą Mickiewicza. W nim jest prawdziwa poezja, bo szuka prawdy i jedynie prawdy, umrze z głodu, a nie będzie zmyślał fałszywych uczuć... Do tego jest wielka harmonja między jego wyobraźnią a jego sercem; tamci wszyscy, francuscy, mają wyobraźnię, ale serca nie mają, wyobraźnia zaś bez serca prowadzi nieraz kobiety do zbrodni, a mężczyzn zawsze do głupstwa.“ [12])

Prawdziwy zatem, doskonały poeta przedewszystkiem „nie będzie zmyślał fałszywych uczuć“, będzie pisał to tylko, co istotnie czuje — a powtóre będzie „harmonja między jego wyobraźnią a jego sercem“. To drugie zdanie wyrazi później Krasiński pięknej i zrozumialej: prawdziwy poeta będzie poezję „nosił gdyby gwiazdę na czole swojem, a nie oddzieli się od jej miłości przepaścią słowa“.

Tymczasem z nieubłaganą koniecznością zbliżała się chwila krytyczna, a najboleśniejsza w życiu Krasińskiego, chwila przedstawienia się na dworze carskim. Zdrowie poprawiło się nieco, jenerał niecierpliwił się zapewne — trzeba było kielich straszliwej goryczy wychylić. O fakcie tym jedno tylko źródło wspomina: „Krótki rys życia i pism Z. Krasińskiego“, napisany przez długoletniego, serdecznego przyjaciela poety, Stanisława Małachowskiego, a przeznaczony tylko dla najbliższego koła znajomych i krewnych i dlatego drukowany jako rękopis. Otóż Małachowski tak opisuje tę chwilę:

„Oślepły prawie zupełnie, pędził (Krasiński) smutne godziny w ciemnym pokoju i w samotności. Skoro tylko uczuł się nieco silniejszym na zdrowiu i wzroku, ojciec zawiózł go do Cesarza Mikołaja. Cesarz go przyjął z niezwykłą uprzejmością, oświadczając mu całą życzliwość swoją i obiecując mu wszelkie ułatwienie w otrzymaniu posady u Dworu, w dyplomatycznym lub jakimby chciał zawodzie. Trudne i bolesne było położenie Zygmunta w tej chwili, którego umysł i serce w innym znajdowały się kierunku, który inne powołanie w sobie czuł, inną przyszłość przewidywał — i niełatwe wyjście z niego. Jedynie smutny stan zdrowia i wzroku, coraz się pogarszającego, ułatwił je i wybawił z niebezpieczeństwa. Cesarz, uznawszy jego istotną potrzebę, zezwolił na wyjazd zagranicę, do łagodniejszego klimatu i poratowania tak wątłego zdrowia.“ [13])

Mimo całej subtelności dyplomatycznej Małachowskiego, który nie chce nikogo dotknąć i dla wszystkich „słabostek“ jest wyrozumiały, widać w tych słowach dramat, który się rozegrał między synem i ojcem. Jenerał, który poprzednio „zamierzył przedstawić go Monarsze“ i „w tym celu przedsięwziął podróż do Petersburga“, zniecierpliwiony chorobą syna, przygotowuje audjencję, wyjawia carowi swe plany i prośby — boć przecież car Mikołaj, „obiecując wszelkie ułatwienia w otrzymaniu posady“, musiał wiedzieć już, o co go syn tak bardzo wiernego poddanego ma prosić — a wreszcie, „skoro tylko“ Krasiński nieco był zdrowszy, „zawiózł go do Cesarza“. Czy już poprzednio coś zaszło między synem i ojcem, czy były jakieś energiczne zapowiedzi syna, czy też milczące tylko postanowienie — nie wiadomo. Bądź co bądź w czasie audjencji rozgrywa się scena decydująca: Krasiński, zamiast prosić o intratną posadę, jak mu polecał ojciec, prosi o pozwolenie na wyjazd zagranicę. Plany ojcowskie były raz na zawsze udaremnione, swoboda odzyskana, a godność narodowa ocalona.

Był to pierwszy prawdziwie męski czyn Krasińskiego; czyn ten, zakończony świetnem zwycięstwem, rozpoczyna okres cichej, ale uporczywej walki z otoczeniem, ze zgnilizną moralną sfery, do której młody poeta należał. W życiu będzie to rodzaj biernego oporu, w poezji zjawią się głośne, wymowne protesty.

W stosunku do ojca okaże Krasiński niezwykłą subtelność i wyrozumiałość. Na jego wielką, prawie wzruszającą miłość odpowiadać będzie pomimo wszystko równie serdecznem uczuciem — ale sprawy narodowe wyłączy niemal z tego zakresu i twardo, nieugięcie zachowa przez długi czas swe własne poglądy. Nigdy nie będzie w listach do najbliższych nawet przyjaciół poruszał ani jednem słowem, ani jedną aluzją bolesnego rozdźwięku, jaki panuje pomiędzy nim a jenerałem; w listach do jenerała będzie po dawnemu oddanym, wdzięcznym, kochającym synem, na cierpiącą duszę odepchniętego przez większość społeczeństwa zaprzańca narodowego kłaść będzie, niby kojące balsamy, słowa bezgranicznej miłości —

ale każdy jego utwór poetycki będzie okrzykiem protestu przeciw stanowisku politycznemu ojca, potępieniem jego egoizmu rodowego i jego służalstwa. Twórczość poetycka Krasińskiego będzie dla jego ojca najsroższą karą za grzechy przeciw narodowi.

Samotność petersburska przekształciła Krasińskiego. Przyjechał nad Newę dorastający młodzieniec, powracał z nad niej dojrzały mężczyzna. Poważny, zbolały wzrok skieruje teraz w swą przeszłość i ze stanowiska niezłomnej energji, którą zdobył sobie w niedawnych walkach duchowych, oceniać będzie jej słabostki i błędy. Zaczął się ten okres krytycyzmu już pod wpływem ojcowskiego wezwania do kraju, w Petersburgu spotężniał, ale szczytu swego dosięgnął w Warszawie.

W Genewie przedsięwziął sobie Krasiński, że przybywszy „tam, gdzie brzęczą kajdany“, „na grobie Polski modlić się będzie“. Nie miał jednak dosyć siły, aby spojrzeć w oczy nieszczęsnemu miastu, którego nie osłaniał swą piersią, i poprostu uciekł do Opinogóry. Teraz, wracając z Petersburga, nie ucieka już, lecz miesiąc cały przepędza w Warszawie. Jakie smutne i ciężkie musiał tam przechodzić chwile! Już nie z fałszywą genewską egzaltacją, ale z tą smutną powagą, którą zdobył sobie nad Newą, patrzał w głąb swej duszy i bił się z pokorą w piersi, ponownie czynił rachunek sumienia i powtarzał bolesne, ale dobroczynne *mea culpa!* A wielka jest jego wina, bo wtedy, kiedy tysiące braci ginęło za ojczyznę, on bawił się tragizmem chwili, spokojnie, na zimno układał dramaty poetyczne! Czcił tylko swoje myśli, kochał i uwielbiał siebie samego w poetycznych pozach, ale poza tem czyż kochał jeszcze coś więcej, wielką ideę, którą miał na ustach? I znowu sumienie odpowiadało mu, że znał wszystkie uczucia tylko po imieniu, ale żadnej wiary, żadnej miłości nie było w nim. Dlatego właśnie niezdolny był do czynu i łudził tylko siebie i drugich marzeniami o nim. To fałszywa, źle pojęta poezja zgubiła go i teraz niema dla niego ratunku ni na ziemi, ni w niebie. „Poezjo, bądź mi przeklętą, jako ja sam będę na wieki!“

Czy jednak ta wina jego nie jest w związku przyczynowym z jego zdolnościami poetyckiemi? Czy nie każdy poeta jest egoistą? Bo wszakże i Mickiewicz, chociaż nigdy fałszywych uczuć nie zmyśla i dzięki temu jest tak wielkim, na czyn

jednak się nie zdobył. A prawdziwa, wielka poezja wymaga koniecznie czynu, poświęcenia się dla drugich. Nikt więc nie jest zupełnie doskonałym, nikt nie osiągnął tego ideału prawdziwego poety i obywatela równocześnie, a ta niedoskonałość genjuszu poetyckiego prowadzi z sobą niedoskonałość poety w życiu politycznem, społecznem, nawet w życiu domowem. Więc on nie jest wyjątkiem, podlega tylko regule. Nie brał udziału w powstaniu — ale czyż, będąc poetą, mógłby wogóle coś zdziałać? Czy potrafiłby, on, poeta, być dobrym mężem i dobrym ojcem? Nie. Egoizm, właściwy każdemu twórcy, nie pozwoliłby mu niczego ukochać, prócz swych utworów, a bez miłości, bez poświęcenia się dla dobra drugich niema wogóle żadnej doskonałości ludzkiej.

Taki był tok rozmyślań Krasińskiego w Warszawie w pierwszych dniach wiosny 1833 roku.

Ślady tych dumań znajdujemy w listach do Reeve'a.

„Opisana przez ciebie śmierć żyda-poety — pisze do przyjaciela 4 kwietnia 1833 — przypomina fantastyczne bajki Janina czy Balzaca. Tkwi w niej coś dziwnie suchego na dnie. Bawiłeś się w artystę tam, gdzie należało ci być chrześcijaninem. Piękny jest ten obraz śmiertelnego łoża, ale brakuje mu czegoś, co jest nie sztuką, lecz prawdą. Bo wierzaj mi, sztuka jest tylko prawdą prawdy, uczuciem uczucia, nie zaś samem tylko uczuciem. Artysta miewa chwile niewypowiedzianych rozkoszy, ale jest zarazem jego przeznaczeniem więcej od innych cierpieć na tym świecie. Egoizm jego bywa wprawdzie wzniosłym, ale bądź co bądź jest egoizmem. Cóż jednak pocznie, gdy znajdzie się w położeniu, w którem, jeżeli się chce być szczęśliwym, trzeba przestać być sobą? Tu zaczyna się jego piekło. Nie zazna nigdy prawdziwej miłości kobiety, bo sam jest dla siebie wszystkiem. On twórcą wszystkiego, świata czy posągu, wiersza czy kochanki. Kocha swe arcydzieła, ale poza niemi nie kocha niczego. Dlatego rzeczywistość jest dla niego trucizną. Oto dlaczego nigdy i nigdzie nie może znaleźć ani urzeczywistnienia swych pragnień, ani końca swych marzeń. Wszystko, co nie jest nim samym, budzi w nim jedynie rozpacz i wstręt. Błąka się wśród ludzi, jak Kain, z piętnem przekleństwa na czole. A jednak kocha aż do szaleństwa, a jednak pragnie dobra

i szczęścia ludzkości, chociaż go ten świat na każdym kroku odpycha. Ale szczęśliwym się czuje dopiero wtedy, gdy jest sam sobą, silnym, jak pół-bóg. Dlatego to wielki artysta nie będzie nigdy ani dobrym małżonkiem, ani dobrym ojcem. Straszna to rzecz! To było powodem nienawiści Byrona do świata. Oto, co nas obydwu mierzi tam, gdzie inni ludzie znajdują rozkosz i mądrość... Wszystko to piszę w stanie niewypowiedzianego rozstroju nerwów, w gotyckiej sali naszego pałacu, gdzie dookoła mnóstwo tarcz herbowych, starych zbroic, szabli i lanc zdobi ściany". [14])

Jest to ta sama sala, w której hr. Henryk przyjmować będzie Pankracego.

Jakby dalszy ciąg tych samych wyznań i rozmyślań napisze Krasiński w rok później pod wpływem wieści o ślubie Henrjety Willan. Myśląc o swych uniesieniach i zapałach ku niej, zaznacza z goryczą, że „rozpasana wyobraźnia rozpala wszystkie głowy, a trudno o pierś, w którejby biło serce." Serce jest „pierwiastkiem twórczym", więc bez niego niema czynu, a bez czynu, bez niestrudzonej pracy, wszystko marnem być musi. „W tem jest tajemnica słabości i rojeń awanturniczych, niedostatku sztuki w poezji, energji w polityce i wiary w wierzeniach." [15]) Wkrótce potem znowu powraca do tej sprawy. Mówi o miłości, „opartej tylko na wyobraźni", i przeciwstawia jej miłość prawdziwie męską. „Miłość męska, miłość dojrzała, powinna być ugruntowana na prawdzie, z jednej strony opierając się na piękności i ponęcie, z drugiej na mocy charakteru. Bez mocy charakteru, bez panowania nad sobą, niczego się na świecie nie osiągnie, ani kobiety, ani ojczyzny, ani sławy. Panowanie nad sobą jest właściwą poezją męskiego wieku — jest to siła, jest to potęga. Starajmyż się ją posiąść! A wszystkiego, co ci tu mówię, sam doświadczyłem. Przeszedłem przez wszystkie te stopnie, aby wkońcu przyznać rozumnie, iż dotąd przez całe życie robiłem same głupstwa. Zapewne, w świecie rozlany jest ogrom poezji, ale nie jest to bynajmniej ta poezja, którąśmy pisali i wymyślali, Jest to ta, którą odczuwamy w chwili natchnienia, ale wtedy, *per Dio*, wyraz „poezja" nawet się nam nie śni. Szkaradną rzeczą jest poetyzować na zimno, kalać każde wrażenie sztucznem udramatyzowaniem... A z ręką na sercu: cośmy innego czynili, jeśli nie naśladowali Byrona?" [16])

Te rozmyślania, rozpoczęte w Warszawie, a snute dalej w Wiedniu i we Włoszech, nie pozostaną bez silnego wpływu na wyobraźnię. Zapatrzony w siebie, w swą tak świeżą jeszcze przeszłość, z epoki najboleśniejszej, z epoki powstania listopadowego, widzi teraz Krasiński w swem życiu już nie zmyślony, ale istotny dramat. Pod wpływem cierpień moralnych budzi się drzemiący dotąd genjusz poetycki, dojrzewa z zadziwiającą szybkością i stawia mu przed oczy tak plastyczne, tak zwarte i tak śmiało usymbolizowane obrazy z jego własnego życia, że wobec nich bledną wszystkie jego dotychczasowe pomysły poetyckie. Przywiózł był z sobą z Petersburga doprowadzony już do połowy rękopis „Irydjona", teraz jednak, w Warszawie, poemat ten wydaje mu się „marnym", więc drze go i rzuca w ogień, a sam tonie poprostu w nowym poemacie, który wyobraźnia wysnuwa mu, scena po scenie, z jego własnego życia.

Ważny, zasadniczy wpływ na ukształtowanie się chaosu nowych pomysłów wywarła druga część „Fausta" Goethego, która właśnie ukazała się w druku i którą w Warszawie przeczytał. Zakończenie dzieła, sąd nad Faustem i ocalenie jego duszy za to, że, chociaż upadała w drodze, dążyła jednak wśród mozołu do celów wyższych — ten ustęp wprawia go w zachwyt. Na tej podstawie dochodzi do wniosku, że „Goethe istotnie wielkim był wieszczem, większym od Byrona samego", bo kiedy u Byrona zawsze „potępienie wieńczy dzieło", Goethe „objął wszechświat cały, walkę złego i dobrego, temu ostatniemu przyznając wkońcu zwycięstwo." [17]) Teraz, pod wpływem „Fausta", zniknie przedewszystkiem jego pesymizm co do siebie samego, bo wszakże i on dążył, jak Faust, do celów wyższych, więc, chociaż często błądził, i jemu uśmiechnąć się może łaska niebios. Że zaś i w sobie, w swem życiu, widział walkę dobrego i złego, więc ten faustowski schemat stanie się ową nitką, która, rzucona w rozczyn wyobraźni, zacznie skupiać wokoło siebie kryształki pomysłu.

Zagadnienie to zajmuje go długo; pogłębia je i zastanawia się nad sposobem wyrażenia go w poezji. Pomaga mu muzyka. „Odkąd człowiek (Danielewicz), z którym jadę, grywa mi



Wolnego Strzelca, zrozumiałem walkę złych i dobrych duchów" — pisze do Reeve'a przed wyjazdem z Warszawy i opisuje mu wrażenia swe z tej głośnej opery. „Każ sobie tę muzykę zagrać, a staniesz się podwójnie poetą. Rozumiem tę walkę równie dobrze, jak Dante, jak sam Goethe, ale nie umiem jej wyrazić. A jednak wyrażę ją kiedyś, jeśli nie padnę przedwcześnie." [18])

Z rozgoryczonem sercem i z płonącą głową jedzie Krasiński wraz z Danielewiczem do Wiednia i tam poddaje się znowu kuracji oczu. Ale zły stan zdrowia nie tamuje twórczości. W lipcu 1833 r. donosi Danielewicz jenerałowi o nowej pracy poetyckiej Krasińskiego. „Ponieważ nigdy nie może obejść się bez marzenia o jakim poemacie, więc i teraz to samo się dzieje, ale bohaterem tego dzieła ma być poeta, który, wzięty jako człowiek, w sferze wypadków jest wiecznie zerem — żonę zaniedbuje i do grobu wpędza, dziecko robi nieszczęśliwem, nareszcie wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą, i trochę na arlekina zakrawa. Wprawdzie i publikum, co się koło niego rusza, nie wiele więcej warte od poety, ale i to wielki krok, że mu *tragico-bouffo* daje postać." [19])

Rzecz charakterystyczna, że Krasiński, który poprzednio donosił zawsze ojcu o swych pracach literackich — jak się zdaje — o nowem swem dziele milczy zupełnie i wobec niego, i wobec przyjaciół. Dopiero, gdy po spędzonej w Wenecji jesieni znalazł się w Rzymie, zwierza się Gaszyńskiemu, zaklinając go, aby dochował bezwzględnej tajemnicy: „Mam dramat, tyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch principjów: arystokracji i demokracji; tytuł *Mąż*. Prześlę ci manuskrypt... Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religji i chwały przeszłości. Bezimiennie powinno być wydrukowane; nikt nie powinien domyślić się autora..." [20])

Tytuł dzieła uległ zmianie — i w dwa lata później ukazało się ono jako „Nie-Boska Komedja."

* * *

VI.

NIE-BOSKA KOMEDJA.

Na rękopisie „Nie-Boskiej Komedji", przepisanym przez kogoś do druku, napisał Krasiński własnoręcznie: „Zaczęte w Wiedniu na wiosnę, skończone w Wenecji w jesieni 1833 r." [1]) Czas zatem napisania tego arcydzieła jest określony ponad wszelką wątpliwość, tem bardziej, że potwierdzają go także szczegóły z korespondencji poety. Czy jednak w czasie tym powstała „Nie-Boska Komedja" w tej postaci i z zupełnie tym samym tekstem, jaki ukazał się w druku?

Na to pytanie trzeba z całą stanowczością odpowiedzieć: nie.

Od chwili pierwszego pomysłu aż do chwili wydania przechodziło to dzieło niewątpliwie przez rozmaite fazy i ulegało rozmaitym, nieraz zasadniczym przeróbkom. Nie możemy ich śledzić na autografie tak, jak odtworzono całą historję powstania „Pana Tadeusza", bo autografu „Nie-Boskiej Komedji" niema, ale zarówno z korespondencji poety i bliskich mu osób, jak z samego dzieła dojść można do niezłomnego przekonania, że tak było istotnie — co więcej, możemy nawet rodzaj tych zmian określić.

Pierwszą taką fazę zaznacza przytoczony powyżej urywek z listu K. Danielewicza do jenerała Krasińskiego. Jest to stan z pierwszych dni lipca 1833 roku. Danielewicz zaznacza, że bohaterem jest „poeta", który „żonę zaniedbuje i do grobu wpędza, dziecko robi nieszczęśliwem, nareszcie wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą". Wzmianka ta odnosić się może do dzisiejszego stanu części pierwszej („żonę... do grobu wpędza") i części drugiej („dziecko robi nieszczęśliwem") — dwie ostatnie jednak części dzieła w obecnej postaci nie zgadzają się bezwarunkowo z rolą „arlekina", jaką bohater miał dalej odgrywać. Jedno tylko jest niewątpliwie wspólne opracowaniu, o którem pisze Danielewicz, i ostatniej, ogłoszonej drukiem redakcji: po dwu częściach czy aktach dramatu,

pokazujących bohatera jako męża (cz. I) i ojca (cz. II), następowała co najmniej jedna jeszcze część, charakteryzująca jego działalność polityczną (nie społeczną!) W tej właśnie części utworu miała być rola poety-bohatera „bardzo zabawną“ a on sam, nic w świecie ważnych wypadków nie znacząc i nic nie działając, „zakrawał na arlekina“,

Skonstatujmy najpierw, że ta ogólna charakterystyka zgadza się najzupełniej z dzisiejszym stanem dwu pierwszych części „Nie-Boskiej Komedji“. Hrabia Henryk, który, jak Don Kichote, podlega często złudzeniom, który nie dostrzega prawdziwego piękna, a rzeczom nawet wstrętnym nadaje pozory ideałów (scena z dziewicą), który sam nazywa siebie „igrzyskiem szatanów“ — ten poeta, kierujący się tylko urojeniami, jest w swem życiu domowem istotnie podobny do arlekina. „Publikum, co się około niego rusza“, jest w tej części także, zgodnie z relacją Danielewicza, „nie wiele więcej warte od poety“, czy to będzie wyborny ojciec chrzestny, czy goście, którzy przybyli na chrzciny, czy filozof, czy wreszcie lekarz. Możemy zatem przyjąć, że dwie pierwsze części, napisane w Wiedniu, nie uległy już później poważnym, zasadniczym zmianom. Tymczasem w dwu częściach ostatnich, wprost przeciwnie, niż podaje Danielewicz, hr. Henryk nabiera coraz więcej powagi, zyskuje coraz więcej sympatji autora i wreszcie przybiera nawet cechy bohaterstwa w scenach, w których przechodzi przez obóz Pankracego. Przypatrzywszy się utworowi uważnie, spostrzeżemy jednak, że postać hr. Henryka rośnie w naszych oczach przedewszystkiem mocą kontrastu: marny wobec żony i syna, staje w rozmowie z Pankracym na równi z nim, a wobec przechrztów, rzeźników i szewców, gotujących się do wymordowania szlachty, staje się bohaterem. Zapatrywania Krasińskiego, znane nam z listów do Reeve'a, dowodzą, że tak być musiało, że wstręt do rzezi musiał pociągnąć za sobą, jeżeli nie wyidealizowanie, to przynajmniej pewne uszlachetnienie bohatera-arystokraty z chwilą, kiedy zaczął występować wśród zbrodniarzy politycznych. Ale w takim razie słowa Danielewicza dowodzą, że bohater Krasińskiego w lipcu 1833 roku wśród takiego otoczenia, jakie widzimy w dzisiejszej „Nie-Boskiej Komedji“, znajdować się nie mógł, że opisywane wtedy wypadki musiały być zupełnie inne, poecie sympatyczne i drogie, skoro bohater jego na ich tle okrywał się śmiesznością.

Co to mogły być za wypadki? Jakie było polityczne tło poematu w jego pierwotnej fazie?

Zanim na to pytanie odpowiemy, musimy najpierw sformułować jasno, kto jest jego bohaterem.

Od okresu genewskiego począwszy twórczość Krasińskiego opierała się niemal wyłącznie na literackiem opracowaniu tego, co sam przeżył. Uważał wtedy za zadanie poezji „pod formą natchnienia głosić ludziom, co się w pocie czoła zebrało.“ Pisał szczerze lub nieszczerze, z mniejszą lub większą przesadą, czynił na sobie eksperymenty psychologiczne i wyniki ich przenosił do utworów — bądź co bądź jednak pisał o sobie, o swoich przejściach duchowych. O jednym z ostatnich utworów tego okresu pisał do Reeve'a: „Adam Szaleniec nie jest mną, mną i znowu mną. Moje *ja* było punktem wyjścia, alem rzeczywistość posunął do krańców ostateczności.“ Nawet w „Agaj-Hanie“ jest niemało pierwiastku osobistego. W pomyśle „Irydjona“ własne uczucia poety odgrywają rolę zasadniczą i znajdują już w poemacie wyraz symboliczny. Jeżeli dzieło to, dla Krasińskiego tak bardzo aktualne, o formie tak świeżej i niezwykłej, wydało mu się „nędznem“ i ustąpić musiało miejsce drugiemu, to rzecz jasna, że owo drugie musiało być jeszcze bardziej aktualnem i niezwykłem. Przytaczane powyżej urywki z listów wskazują wyraźnie, co młodemu poecie najbardziej ciężyło na duszy: nieszczerość życia i twórczości w czasie powstania i bezczynność w ruchu narodowym. Do sprawy tej wraca co chwila, oskarża się boleśnie, a wreszcie znajduje usprawiedliwienie w przekonaniu, że jako poeta nie mógł w życiu realnem niczego dokonać. Jak Goethe, jak Mickiewicz, tak chce i Krasiński zrzucić z siebie ciężar gniotących go myśli za pomocą twórczości. „Wszystko jedno poecie — pisze do Reeve'a — czy ujście potoku myśli, który mu z duszy wytryska i szumi, prowadzi do uszu ludzkich, czy do nicości, byłeby on pozbył się ognia, który go pali i ani na chwilę odetchnąć mu nie pozwala.“ W myśl tej zasady, wysnutej z doświadczenia podczas pisania „Nie-Boskiej Komedji“, dzieło to musi odzwierciedlać jego przejścia duchowe, jego skargi, żale i oskarżenia samego sie-

bie, usymbolizowane w losach bohatera-poety. W „Nie-Boskiej Komedji“ Krasiński odpowiada sobie na pytanie, jakim byłby on, poeta, w życiu domowem i jako działacz polityczny?

Na pytanie, jaki mógł być teren działalności politycznej bohatera „Nie-Boskiej Komedji“, odpowie nam teraz wyraźnie i jasno zwierciadło ówczesnych myśli Krasińskiego, jego korespondencja. Od chwili wybuchu powstania listopadowego przez lat kilka ono właśnie jest jedyną sprawą polityczną, która go interesuje, która od czasu zdobycia Warszawy staje się jego zmorą, głównym powodem jego trosk i nieszczęść. Powstanie zadecydowało o jego losach, odsłoniło duszę jego ojca, okryło ich obu hańbą, uczyniło go wygnańcem. Nie było w całem życiu Krasińskiego sprawy politycznej ważniejszej, donioślejszej w fatalne dla niego skutki; myśl o niem tak zaciężyła wreszcie nad nim, że stała mu się wstrętną i znienawidził wkońcu zarówno sam ruch zbrojny 1830 roku, jak i jego uczestników. [2]) Zwłaszcza w dziele, które miało być potępieniem dawnych poglądów i bezczynności („ale sam co tworzysz?“), nie mogło być absolutnie mowy o innym terenie działalności politycznej, niż o tym, którego zlekceważenie wywoływało właśnie zmagania się duchowe i wyrzuty sumienia.

Gdybyśmy nawet przez jakąś przekorę chcieli koniecznie wyszukać w korespondencji Krasińksiego z tych czasów jakiś inny motyw polityczny, aby spróbować, czy, wstawiony w poemat, nie odpowiadałby lepiej jego warunkom, znajdziemy się w kłopocie: innego tematu politycznego ten obszerny zbiór listów nie zawiera. A jednak listy te mówią niemal o wszystkiem, co przechodziło przez myśli ich autora, do tego stopnia, że na ich podstawie można wyjaśnić drobne nawet poszczególiki dzieła. Czyż zatem byłoby możliwe, aby szczegół tak ważny, tak bardzo zajmujący i przejmujący poetę był w nich pominięty, nawet nie wspomniany? Nie może więc ulegać żadnej wątpliwości, że pod postacią hr. Henryka przedstawiał Krasiński siebie samego, a terenem jego działalności politycznej, na którym wedle zdania Danielewicza zakrawał na arlekina, było powstanie listopadowe.

Wobec niezwykłej powagi takiego faktu politycznego, śmiertelnej walki o wolność i cześć narodu, rola poety, za-

patrzonego jedynie w swe natchnienie, musiała być bardzo śmieszna, chociaż symbol, ujmujący powstanie, obniżał zapewne jego doniosłość, choćby w tym celu, aby stać się dla czytelnika mniej dostępnym i mniej zrozumiałym. W tem stadjum rozwoju dzieło odpowiadało ściślej pierwotnemu zamiarowi Krasińskiego: było raczej usprawiedliwieniem się, niż oskarżeniem. Milczenie Danielewicza o postaci tak ważnej, jak Pankracy, świadczy, że istniał wówczas jeden tylko bohater, a utwór składał się tylko z trzech części, czy trzech aktów; czwarta część (dzisiejsza trzecia) będzie — według świadectwa, zawartego w liście do Reeve'a — w całości poświęcona Pankracemu i powstanie, rzecz prosta, dopiero po wprowadzeniu drugiego bohatera. Z jego wejściem na arenę sytuacja się zmieni, bo tło polityczne ulegnie zupełnemu przeobrażeniu.

Tyle możemy wysnuć z relacji Danielewicza o pierwszej redakcji „Nie-Boskiej Komedji“. Przedstawiał w niej Krasiński siebie jako małżonka, jako ojca i wreszcie jako działacza politycznego na tle powstania r. 1830-go. Była to najprostsza i najbardziej szczera forma spowiedzi czy oskarżenia się; materjał gniotących go myśli, ten ciężar duchowy, który młody poeta chciał z siebie zrzucić, był tu jeszcze w treści swej bardzo mało przetworzony. W najbliższym już jednak czasie nastąpiły w sposobie ujęcia politycznej części dzieła zasadnicze zmiany.

Chronologicznie drugą wiadomość o nowem dziele przynosi cytowany list do Gaszyńskiego, w którym dramat ma tytuł „Mąż“. Określa go Krasiński jako „walkę dwu pryncypiów, arystokracji i demokracji“ — widocznie zatem urosła ostatnia część utworu tak dalece, że przysłoniła sobą poprzednie i nadała całemu utworowi piętno społeczne, Do poematu wszedł Pankracy ze swem otoczeniem.

Droga, którą przyszła ta przemiana, jest prosta i ze stanowiska poety bardzo logiczna. Wypadki z r. 1830 i 1831 miały — dzięki naukom jenerała — w wyobraźni Krasińskiego zabarwienie społeczne, które on sam ujął w zdanie: „Kluby zgubiły Polskę“. Bardzo jest prawdopodobnem, że na silniejsze uwydatnienie tego właśnie pierwiastka w opisie powstania listopadowego wpłynęło przedewszystkiem wprowadzenie

postaci Leona Łubieńskiego jako drugiego bohatera, co nastąpiło w każdym razie po relacji Danielewicza. Łubieński stał się antytezą poety — że zaś Krasiński uważał go za skrajnego przewrotowca, i tak go niezawodnie charakteryzował, więc tem samem podkreślić musiał silniej pierwiastki społeczne także w postaci hr. Henryka, który z nim walczy. Nacisk, położony na zapatrywaniach dwu przeciwników, sprawił, że stali się oni symbolami dwu kierunków polityczno-społecznych; te zatem kierunki skupiły na sobie całą uwagę poety, a cechy charakterystyczne powstania listopadowego, usuwane w cień, powoli nikły zupełnie. Dziś już tylko z trudem można zrozumieć, że pomiędzy przedstawionym w poemacie światem Pankracego i hr. Henryka a wypadkami r. 1830-go istnieć mogła jakakolwiek łączność, a przekonanie takie oprzeć trzeba wyłącznie na mozolnem zestawieniu szczegółów „Nie-Boskiej Komedji" z listami poety, w których czyta się np., że upadek powstania listopadowego sprowadzili „szewcy, przechrzty, krawcy, łakomi na pieniądze, a nie znający zupełnie Polski i jej przeszłości." [3])

Krasiński był jednak przeświadczony o tem głęboko, że działalność przewrotowych „klubów" dopiero się rozpoczęła, że r. 1831 był tylko jednym z etapów jej zgubnego rozwoju; wierzył, że już wkrótce, jeszcze za jego życia, zgotuje ten ruch społeczny warstw uciemiężonych zagładę arystokracji, a z nią całej Polski. Od przeczuć tych i przepowiedni, natchnionych przez Reeve'a, roją się poprostu ówczesne jego listy, a przegląd ich chronologiczny wskazuje, jak te obawy z zupełnie objektywnych zmieniają się w coraz bardziej subjektywne, jak koło ich zakresu zacieśnia się coraz bardziej i z Europy, Polski, arystokracji przechodzi do poety samego i jego najbliższych. Oto jedna z ostatnich faz, zawarta w liście do Reeve'a z dn. 3 maja 1835: „Im dojrzalszy jestem, tem wyraźniej w myśli mojej i przeczuciu rozwija się fatalny rzeczy porządek, straszliwa plątanina politycznego i społecznego stanu, który wkońcu, o ile cud jaki nie zajdzie, zgotuje upadek mej rodziny i własną moją zagładę. Ostatnim będę ja z rodu..." W tem właśnie stadjum skrystalizowane są te pojęcia społeczne i przeczucia w „Nie-Boskiej Komedji" (por. słowa chóru: „Na tobie kończy się ród przeklęty...").

Ale Krasiński dołącza do wzmianki o „dwu pryncypiach" jeszcze wyjaśnienie: „jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religji i chwały przeszłości." Czytając te słowa, nie chcemy oczom wierzyć. „Nie-Boska Komedja" ma być „obroną chwały przeszłości?" Raczej wszystkiem innem, tylko nie tem właśnie! Obroną religji może być w tem znaczeniu, że wykazuje konieczność stosowania w życiu chrystusowej zasady miłości bliźniego — ale przeszłość nie ukazuje się w tem dziele w aureoli chwały i wraz z przedstawicielem i obrońcą swym, hr. Henrykiem, jest raczej potępiona, niż apoteozowana. Jak zatem wytłumaczyć te słowa, tak przeciwne charakterowi utworu? Ponieważ trudno uważać je za *lapsus calami* lub objaw chwilowego kaprysu, pozostaje więc jedynie przypuszczenie, że odnosiły się one do ówczesnego, chwilowego stanu rękopisu, do redakcji, którą poeta uważał już za ostateczną („mam dramat... prześlę ci manuskrypt..."). Być może, że wprowadzenie postaci Łubieńskiego tak dalece przechyliło szale sympatji ku zapatrywaniom bohatera-poety, że „obrona chwały przeszłości" wydawała się Krasińskiemu przez czas jakiś koniecznością artystyczną i obywatelską i że istotnie poświęcił jej w poemacie wiele miejsca. Dziś śladem tego przejściowego stadjum są jedynie ostatnie zdania hr. Henryka w zakończeniu części trzeciej („Mylisz się, mieszczański synu" itd.)

W cztery tygodnie po liście do Gaszyńskiego opowiada Krasiński Reeve'owi treść dzieła, które właśnie pisze. Tytułu nie podaje; dawny, „Mąż", był już niestosowny dla zmienionego zupełnie dramatu, nowego widocznie jeszcze nie obmyślił. Treść jest obszerna i zasadniczo odpowiada dzisiejszemu stanowi utworu, są w niej jednak ustępy i wzmianki, świadczące, że „Nie-Boska Komedja" i później jeszcze ulegała zmianom i przeróbkom.

Najważniejszą jest różnica w sposobie ujęcia i przedstawienia Pankracego, który odgrywa w tem streszczeniu rolę nie tylko ważną, ale ważniejszą i poważniejszą nawet, niż w redakcji ostatecznej. Powiada Krasiński, że bohaterem jest „hrabia i poeta zarazem" i że „postawił go w kontraście z przywódcą ludu, człowiekiem genjalnym niskiego pochodzenia". Zdaje się, że genjalność tego przywódcy ludu była

wtedy podkreślona silniej, istniała bowiem jakaś scena, w której, na tle śpiewów i obrzędów swych podwładnych występował Pankracy jako „wódz, rozumiejący swą rzecz.“ O ile można wnioskować z układu streszczenia, cała część trzecia poświęcona była Pankracemu i jego obozowi, część czwarta zaś hr. Henrykowi („później nakreśliłem postać hrabiego“) i jego otoczeniu; o spotkaniu się obu wodzów niema ani wzmianki, chociaż Krasiński ważniejszych scen nie omija i nawet ustępy ich załącza w przekładzie. Trudno więc przypuścić, aby scenę tak bardzo ważną, jaką jest rozmowa Pankracego z hr. Henrykiem, pominął milczeniem, gdyby była już wówczas istniała. I jeszcze jeden szczegół interesujący: Pankracy był wodzem nietylko proletarjatu, ale także „wieśniaków.“ Później zmienił Krasiński to ugrupowanie sił i przydzielił hr. Henrykowi część chłopów „ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt“, drugą część ich tylko zamieszczając w obozie Pankracego.

Orcio miał, jak się zdaje, w redakcji tej inną i trochę podrzędniejszą rolę. Mówi o nim Krasiński, że odziedziczył „obłąkanie (l'aliénation d'esprit) swej matki“ — nie zdolności poetyckie, ale obłąkanie. Śladem tego jest dziś jedno tylko zdanie hr. Henryka: „Boże, zmiłuj się nad dzieckiem naszem, które... przeznaczyłeś szaleństwu i zawczesnej śmierci.“ To obłąkanie było zapewne potrzebne poecie dla uzasadnienia sceny, którą następnie przekreślił, a w której Orcio „śpiewał o przyszłej zagładzie swej kasty“; Krasiński wkładał mu więc w usta proroctwa, które w listach do Reeve'a sam często wygłaszał. Scena w podziemiu zaś, w której hr. Henryk słyszy sąd nad sobą samym, odbywała się zapewne bez udziału Orcia, niema bowiem o nim żadnej wzmianki, chociaż właśnie w obecności i roli Orcia leży obecnie genjalna tragiczność tej sceny.

Jak widzimy, plan „Nie-Boskiej Komedji“ ulegał w ciągu kilku miesięcy, od lipca do grudnia 1833 roku, zmianom zasadniczym, a tak częstym, że każda wzmianka o dziele przynosi inne szczegóły i charakteryzuje inną fazę przetwarzającego się ustawicznie pomysłu. Słusznie zaznaczał Danielewicz w przypisku do Gaszyńskiego [4]), że w Krasińskim była

„*furibunda vena* poetyczna, a przytem szalona wytrwałość.“ Niestety, brak nam dalszych wzmianek o utworze; młody autor otaczał go tajemniczem milczeniem. Niewątpliwie jednak ulegał poemat i później przeróbkom częściowym, ale ważnym.

Najważniejszą z nich jest ustęp, w którym hr. Henryk przegląda obóz Pankracego.

Ustęp ten, stanowiący szóstą część całego dramatu, jest rażąco odmienny od reszty scen. Wszystkie sceny „Nie-Boskiej Komedji“ komponowane są w ten sposób, że obejmują takie tylko tło, jakie jednem spojrzeniem można ogarnąć, że zatem można je zawrzeć w jednym obrazie czy rysunku — w tym tylko ustępie scenerja obrazów zmienia się co chwila i dla ujęcia go na papierze potrzebaby całej serji rysunków. Jest więc zasadnicza różnica w pojęciu kompozycji całego utworu, a tego jedynego ustępu, istnienie jej zaś można wyjaśnić wyłącznie przypuszczeniem, że napisanie ich przedziela dosyć znaczna przestrzeń czasu. Dalsza różnicę stanowi styl. Jędrność i zwięzłość zdań, dochodząca czasem do skąpstwa, liczenie się z każdem słowem i odrzucanie wszystkiego, co nie jest nieodzownie konieczne dla jasnego wyrażenia myśli — to są cechy stylu całego dramatu; i znowu w tym jedynym ustępie znajdziemy wiele zdań, które są zupełnie zbyteczne, wskutek czego sprawia on wrażenie, jeżeli nie gadatliwości, to w każdym razie braku zwięzłości, właściwej całemu dziełu.

Nie tylko forma, ale i treść tego ustępu kłóci się z całością. Charakterystyka hr. Henryka, oparta na opisie jego wycieczki w obóz Pankracego, nie zgadza się w zasadniczych nawet rysach z obrazem jego, wysnutym z dwu pierwszych części. Tam widzieliśmy egoistę, marzyciela i niedołęgę życiowego — tu staje przed nami człowiek energiczny, sprytny, przezorny i chytry, nieustraszony w niebezpieczeństwach, oddany całą duszą obronie porządku społecznego — słowem: ideał bohatera. Jakże daleko jesteśmy od chwili, kiedy hr. Henryk w rozpoczętym właśnie utworze wśród walk politycznych „na arlekina zakrawał!“ A o ile, hr. Henryk wzbił się na wyżyny niepokalanego bohaterstwa, o tyle obniżyła się wartość moralna tłumu „demokratów.“ W całym utworze mówi o nich Krasiński z powagą, nawet z współczuciem —

w tym ustępie doprowadza obraz ich do karykatury i drwin. We wstępie do trzeciej części np. czytamy o tym tłumie: „wszyscy nędzni, ze znojem na czole, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu... Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiędłe przed czasem...“ — a teraz te biedne łachmaniarki mówią do hr. Henryka, jak przekomarzające się piękności salonowe: „Prosimy cię ślicznie o głowę arystokraty.“ Te zdania nie mogą chyba pochodzić z jednego odlewu.

Nawet na proporcji, na objętości poszczególnych części poematu wprowadzenie tej sceny odbiło się destrukcyjnie. Bez niej są wszystkie części mniej więcej równej wielkości — z nią część trzecia wzrasta tak bardzo, że równa się dwu pierwszym, razem wziętym.

Najdobitniej jednak przemawia za późniejszem pochodzeniem tego ustępu fakt, że on w akcji poematu jest najzupełniej zbyteczny, co więcej, nawet przeszkadza jej zrozumieniu, Bez niego, po usunięciu z dzieła tych kilku kartek, budowa całości i myśl zasadnicza występują niezwykle wyraźnie — natomiast, rzecz charakterystyczna, przed tym właśnie ustępem, jakby przed nieprzenikalną zasłoną, gubili wszyscy bez wyjątku krytycy trafnie odnaleziony wątek konstrukcji artystycznej dzieła i już go potem w części czwartej odszukać nie mogli. Jest to najsłabszy ustęp dzieła, psujący jego wartość artystyczną, bo niezwykłością motywów i wysuwaniem na plan pierwszy sensacyjnych szczegółów zwraca na siebie uwagę czytelnika niemal w najwyższym stopniu, a tymczasem skromnem jego zadaniem jest wyłącznie podmalowanie tła poematu. Nie mniej fatalnie oddziaływują te sceny na ideę poematu. W pierwszej i w drugiej części utworu poznał czytelnik krzyczący egoizm bohatera i już w myśli potępił go, domyślając się surowego sądu autora — w tym jednak ustępie wyidealizowana postać hr. Henryka miesza czytelnika, zmusza go do sympatji dla siebie i, gdyby nie przedostatni monolog hr. Henryka (przed widzeniem Orcia), zbałamucony czytelnik nie byłby pewny, czy ma darzyć bohatera sympatją, czy pogardą.

Ustęp, który takie zamieszanie artystyczne sprawia w poemacie, niewątpliwie musi być wtrętem późniejszym, a pochodzić może tylko z tego czasu, kiedy poeta, ukończywszy dzieło, przestał już żyć wyłącznie myślą o niem, kiedy jego idea i jego kompozycja nie wypełniały mu już całej duszy, lecz stały się czemś odległem i po części obcem. Stało się to zapewne już w czasie powtórnego pisania „Irydjona“, bo i styl, i optyczne ujęcie tych scen przypominają ten właśnie utwór. Dodajmy, że w przesłanem Reeve'owi streszczeniu niema o tym ustępie wzmianki i że niektóre z zawartych w nim obrazów były tam podane jako tło, na którem występował „wódz, znający się na swej rzeczy“ — Pankracy. Początek pierwszego monologu Pankracego („Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą...“ itd.) pozwala się domyślać, że sceny te były umieszczone bezpośrednio przed nim. Proces usunięcia ich stamtąd, rozszerzenia i ugrupowania około postaci hr. Henryka odbył się prawdopodobnie w drugiej połowie r. 1834-go, tuż przed ostatecznem przepisaniem rękopisu i oddaniem go do druku. Z początkiem marca 1835-go roku „Nie-Boska Komedja“ była już w rękach publiczności.

Przypatrzmy się teraz kompozycji tego dzieła i uwydatnionej nią jego idei.

Budowa poematu jest taka, jakim był pierwszy pomysł „Irydjona“: naprzemian dramatyczna i opisowa. Składa się zatem, według nomenklatury rękopisu, z czterech „prologów“ i z czterech „aktów“. [5]) Pierwszy prolog zawiera już w sobie jakby zarodek lub może raczej minjaturowe odbicie idei całego dzieła: mówi o udanej i o prawdziwej poezji. Fałszywym, udającym natchnienie jest ten poeta, który „gra cudzym uszom niepojęte rozkosze“, ale sam nic nie czuje, przez którego „płynie strumień piękności“, który sam jednak „nie jest pięknością“. On „potrafi udać anioła chwilą, nim zagrzęźnie w błoto“ — więc te rzekome natchnienia i udane jego boleści tylko „szatan zbiera i dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń", ale Bóg, pan natchnienia, wyprze się ich. Prawdziwym poetą jest ten, w kim poezja „zamieszkała, jako Bóg zamieszkał w świecie“, kto przepojony jest cały tą poezją i objawia ją w czynach: „on nie oddzieli się od jej miłości przepaścią słowa“. Taki poeta „będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich“. I jedynie ten, który miłość do ludzi ukaże nie tylko w słowach, lecz także w czynach,

otrzymać może najwyższą nagrodę, jaką rozporządza poeta chrześcijański — zbawienie.

Akt pierwszy rozpoczyna się, jak w „Fauście", walką dwu światów, dobrego i złego, o duszę bohatera-poety. Anioł stróż głosi „pokój ludziom dobrej woli", tej dobrej woli, która chce i umie objawić się czynem miłości: „błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce — on jeszcze zbawion być może". Zbawienia tego pragnie dla hr. Henryka, więc zapowiada mu „żonę dobrą i skromną" i dziecię, które im się urodzi. W tej chwili jednak występuje chór złych duchów i przygotowuje środki, zapomocą których będzie się starał sprowadzić hr. Henryka, poetę, z drogi miłości: cień zmarłej nałożnicy, mający przedstawiać „dziewicę-kochankę poety", sławę, „starego orła, wypchanego w piekle" — i wreszcie „spróchniały obraz Edenu", cuda przyrody.

Następuje ślub hr. Henryka. W chwili, kiedy on przysięga żonie, że będzie ją zawsze kochał i nigdy jej nie opuści, wypowiada anioł stróż swój pierwszy szczegółowy warunek zbawienia: „Jeżeli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego". Hr. Henryk łamie jednak wkrótce swą przysięgę. Żony nie kocha (scena balowa!) i porzuca ją, aby pójść za nasłaną mu przez złych duchów dziewicą. Opuszczona przez męża dlatego, że nie miała w sobie poezji, hr. Marja modli się o „ducha poezji" i ostatecznie, popadłszy w obłąkanie, umiera; wprzód jeszcze przeklina swego syna, Orcia, na wypadek, gdyby nie miał być poetą. Kiedy hr. Henryk w swej pogoni za widziadłem dziewicy poznaje wreszcie, że padł ofiarą fatalnej złudy i stał się „igrzyskiem szatanów", zjawia się anioł stróż i stawia mu warunek drugi: „nie grzesz więcej... i kochaj dziecię twoje". Ale i tego przykazania nie spełni hr. Henryk. Jest dla synka swego troskliwym i czułym, ale sam wyznaje, że łaska boża „spadła na rozum, nie na serce" jego i dlatego modli się do Boga, prosząc, aby mu „pozwolił ukochać dziecię". A kiedy zupełnie otwarcie przyzna się, że „odkrył próżnię grobową w swem sercu", że zna wprawdzie wszystkie uczucia, ale tylko z imion ich, z nazw, ale „żadnej wiary, żadnej miłości niema" w nim, wtedy jest już jasnem, że warunku drugiego nie spełnił, że syna swego nie kocha.

Wówczas zjawia się anioł stróż po raz trzeci i wobec niedotrzymania dwu pierwszych, stawia trzeci warunek zbawienia: „Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz". Ale szatan, zjawiający się w postaci orła, podsuwa mu inny cel: „Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę. Nie ustępuj, nie ustąp nigdy, a wrogi twe, podłe wrogi twe pójdą w pył!" Mając do wyboru miłość i zbawienie lub nienawiść i sławę, hr. Henryk wybiera radę orła: „bądź co bądź, fałsz, czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, uwierzę tobie, posłanniku sławy".

W ten sposób, za radą szatana, występuje hr. Henryk na widownię walk społecznych, aby „bić się o cześć i potęgę ojców", on, który „żadnej wiary, żadnej miłości" nie miał w sobie. Wzgardzony anioł stróż nie zjawi się więcej — zacznie się natomiast kara. Kiedy, przebiwszy się przez obóz demokratów, hr. Henryk stanie w zamku św. Trójcy i nareszcie władzę osiągnie, uczuje się szczęśliwym, chociaż wie, że wkrótce będzie musiał zginąć. Jak gdyby drwiąc sobie z ostatniego warunku anioła stróża, woła, patrząc na obóz „schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających bliźnich swoich": „Całą nienawiścią serca obejmuję was, wrogi". Za te urągające słowa spotka go natychmiast straszliwa kara. Jedyny syn, Orcio, który jest poetą i ociemniał, prowadzi go do podziemia zamku, gdzie wśród narzędzi tortur i kajdan hr. Henryk słyszy sąd, odbywający się nad nim samym i zapowiadający mu, iż „za to, że nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli swoich, potępion jest, potępion na wieki". Pomimo to tli jednak w jego duszy iskierka nadziei, że na drugim świecie czeka go przebaczenie; kara jest tak surowa, tak straszna, że i tę iskierkę mu gasi: umierając, zostawi mu Orcio pewność, że w niebie niema dla niego miejsca. Więc też przygotowuje się hr. Henryk na śmierć, patrząc w swą przyszłość „całą czarną, obszarami ciemności płynącą" do niego, a Bóg wydaje mu się słońcem, które się „wiecznie pali, wiecznie jaśnieje, a nic nie oświeca". Rzuca się w przepaść, przeklinając poezję, która go sprowadziła z drogi obowiązku, i pewnym będąc, że sam „przeklęty będzie na wieki."

Losy drugiego bohatera, Pankracego, są zupełnie podobne. I jemu kiedyś szeptał zapewne anioł stróż do ucha prze-

strogi i rady, on drwił z nich jednak i w poemacie występuje jako niedowiarek, wierzący jedynie w wyniki pracy i genjuszu ludzkiego; walka światów dobra i zła już się w nim nie odbywa — brak jej jeszcze tylko epilogu. Dlatego zapewne nazywa hr. Henryk Pankracego „człowiekiem bez anioła stróża“. Ale w stosunku do otoczenia, do ludzi, którymi dowodzi, jest Pankracy tylko nowem wydaniem hr. Henryka — ma także tylko „pustkę grobową w sercu“ i „żadnej wiary, żadnej miłości“ w nim niema. Ludzi, o których szczęście prowadzi walkę, nazywa „bydłem“ (*servile imitatorum pecus*), a o myśli, o idei, która mu w tej walce przyświeca, wie dobrze, że jest tylko zbiorem pustych frazesów bez treści; „myśli moja — przemawia do niej — czyż nie zdołasz łudzić siebie, jako drugich łudzisz?“ Brak mu miłości, bez której nic trwałego nie można zbudować — i dlatego Pankracy tak długo tylko zwycięża, dopóki wystarcza burzenie i niszczenie, gdy jednak trzeba będzie z gruzów utworzyć gmach nowy, zabije go widzenie Chrystusa, który zasadę miłości uczynił podwaliną świata.

Tak się przedstawia ideowy szkielet dzieła. Wokoło niego ugrupował Krasiński sceny, zadziwiające genjalnością koncepcji i jędrnością wykonania. Tworzą one szeregi przesłanek, z których poeta wysnuwa raz po raz wnioski ogólniejsze, wreszcie zaś ostateczną konkluzję, potępienie bohatera. W części pierwszej i drugiej niema w nich niczego zbytecznego, możnaby niemal powiedzieć: niczego, co nie jest konieczne; w trzeciej i czwartej części są już odstępstwa od tej zasady i stosunkowo wiele miejsca zajmuje podmalowanie tła. W jędrności stylu dwu pierwszych części dochodzi Krasiński tak daleko, że niekiedy jedno zdanie stanowi całą scenę (początek aktu pierwszego) — i pod tym względem są te sceny chyba unikatami.

Obowiązkiem dramaturga jest przedstawienie czytelnikowi czy widzowi całej walki, jaką stacza bohater, w działaniu, w szeregu rozwijających się czynów. Krasiński idzie jednak dalej: nie tylko fabułę, ale drobne nawet jej cząstki, ważniejsze właściwości bohaterów, które zwykle określa się jednym wyrazem, zmienia w obrazki i przedstawia je w akcji, w działaniu. Nie wystarczy mu nazwa egoisty, dana hr. Henrykowi — on

przedstawi nam scenę, drobny skrawek życia, i na wymownych czynach bohatera wykaże nam jego egoizm. Charakterystyczna jest pod tym względem pierwsza scena części drugiej, odgrywająca się na cmentarzu. Oto jej początek:

M ą ż:

Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki.

O r c i o:

Zdrowaś Panno Marjo, łaskiś bożej pełna, królowa niebios, pani wszystkiego, co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami...

M ą ż:

Czego odmieniasz słowa modlitwy? Módl się, jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skonała.

O r c i o:

Zdrowaś Panno Marjo, łaski bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś między aniołami i każdy z nich, kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. Ty na nich, jak gdyby na falach...

M ą ż:

Orcio!...

O r c i o:

Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak, że, proszę papy, muszę je powiedzieć.

Otóż w tym prostym obrazku mamy wykazane, niemal udowodnione, proste zupełnie i pozornie nie wymagające wyjaśnień zdanie: Orcio jest poetą. Równocześnie staje czytelnikowi przed oczyma romantyczne pojęcie poety, przedstawione z genjalną prostotą.

Ta umiejętność przetwarzania nawet abstrakcyjnych pojęć w jasne, proste, przystępne dla wyobraźni a łatwo uchwytne dla oka sceny dramatyczne nadaje „Nie-Boskiej Komedji“ odrębne, specjalne jakieś piętno. Wir zagadnień etycznych i społecznych, z jakich w istocie rzeczy dzieło to się składa, zaklęty czarodziejską władzą genjuszu poetyckiego, zamienia się w naszych oczach w szereg obrazów żywych, barwnych i dziecięco prostych. Poeta nie tłumaczy, nie wyjaśnia swych poglądów, on pokazuje nam je tylko, przesuwa je nam przed oczyma w kształtach plastycznych. Zamiast mozołu myślenia,

doznajemy rozkoszy oglądania, a refleksje powstają w nas jako produkt uboczny i łatwy, bo symbole są proste i dostępne.

Są proste — a jednak równocześnie dziwnie złożone i splątane, zależnie od tego, czy oglądamy je tylko, czy też wnikamy w nie głębiej, coraz głębiej. Tak jest np. ze sceną sądu. Obraz jest niezwykle plastyczny. Lochy podziemne; Orcio stoi na głazie, u stóp jego hr. Henryk z pochodnią w ręce; na ziemi kajdany i połamane narzędzia do tortur. Z ciemnej głębi lochów dochodzą westchnienia, żale, wyroki i groźby — podniecony zaś aż do ekstazy Orcio maluje słowami obraz, który on, ślepiec, widzi oczyma duszy. Oto z pod ciasnych sklepień wychodzą jedna po drugiej blade, poważne postacie sędziów i zasiadają w głębi, a przed niemi staje oskarżony, drugi hr. Henryk, i z załamanemi dłońmi słucha wyroku. Słowa tego wyroku dochodzą uszu hr. Henryka, który nic nie widzi z opisywanej przez syna sceny — poczem Orcio mdleje i ojciec wynosi go z podziemia. Obraz to prosty i silnie przemawiający do wyobraźni, a nawet pobieżne uchwycenie i zapamiętanie słów dwukrotnie powtórzonego wyroku wystarcza do zrozumienia tej sceny i jej znaczenia w całości utworu.

Uważniejsze wglądnięcie w szczegóły odkrywa nam jednak w tej scenie nowe dziedziny. Uderza nas tragiczność sytuacji: bohater słyszy straszliwy wyrok na siebie w chwili, poprzedzającej rozstrzygającą walkę, a świadomość potępienia odbierze mu spokój i siły ducha. Cios ten sprowadza na niego ukochany i kochający go bardzo syn. Orcio jednak dlatego tylko może tego dokonać, że widzi tę scenę w swej wyobraźni, że jest poetą, poetą zaś uczyniła go pogarda hr. Henryka dla wszelkiej rzeczywistości, dla prozaicznej żony i życia rodzinnego. Jest więc ścisły związek każdego niemal szczegółu tej sceny ze scenami poprzedniemi, z całą treścią i ideą poematu; tragizm sytuacji rośnie w naszych oczach, a wreszcie widzimy jasno, że ów sąd jest bezprzykładnie surową karą za wszystkie przewinienia bohatera.

Gdy wszakże wglądniemy w korespondencję Krasińskiego i niektóre jej szczegóły zestawimy ze szczegółami tej sceny, dochodzimy do przeświadczenia, że Krasiński potępia tu siebie samego za swój artystyczny egoizm z epoki genewskiej.

Czy jednak nie jest to może raczej potępienie jenerała Wincentego za jego przewinienia narodowe? Kimże bowiem jest Orcio w stosunku do hr. Henryka, jeżeli hr. Henryk jest Krasińskim? I oto tą drogą dochodzimy do dziwnych głębin tej sceny, a równocześnie stajemy wobec jednego z najbardziej interesujących zagadnień, jakich dostarcza nasza literatura. Spróbujmy tę zagadkę rozwikłać.

Jeżeli przytaczane powyżej urywki listów — nie wyczerpujące zresztą bynajmniej bogatego materjału, jakiego dla sprawy tej dostarcza korespondencja z Reevem — zestawimy z zasadniczą ideą „Nie-Boskiej Komedji" i z treścią najważniejszych jej scen, okaże się jasno, że w postaci hr. Henryka przedstawił Krasiński samego siebie. Udana, wmawiana w siebie miłość do Henrjety Willan, szukanie w niej „poetycznego punktu wyjścia" dla życia i dla utworów, „układanie dramatu" z zapałów i uniesień, robionych z zimną premedytacją, lubowanie się w słowach i tylko w słowach, a lekceważenie czynów, przedewszystkiem zaś zupełny brak szczerych uczuć, z których te czyny mogłyby wyniknąć — oto zasadnicze cechy, wspólne Krasińskiemu z epoki powstania i hr. Henrykowi; osądzenie ich i potępienie jest celem utworu i ma zastąpić poecie religijne akty spowiedzi i otrzymania rozgrzeszenia. Hr. Henryk jest więc niewątpliwie Krasińskim — ale nie w całym utworze: w części drugiej sytuacja się gmatwa. Kiedy widzimy Orcia-poetę przy grobie matki i gdy słuchamy jego rozpaczliwych skarg z powodu grożącej mu ślepoty lub rozmów z lekarzami, nie możemy ani na chwilę wątpić, że Krasiński jest Orciem, że swoje uczucia, myśli i wspomnienia w części pewnej (natchnienie poetyckie, grożąca ślepota) zawarł w postaci tego chłopca. Wtedy zaś z natury rzeczy zmienia się hr. Henryk w jenerała Wincentego: jak on, strofuje syna za styl poetycki, jak on, sprowadza do niego w czasie choroby sławnych lekarzy i drży na myśl o czekającem go nieszczęściu, pragnie je okupić choćby połową majątku — ale, jak on także, nie waha się dla własnej ambicji narazić go na nieszczęścia, jakie sprowadzą na nich obu fałszywe kroki polityczne, przedsiębrane bez wewnętrznej konieczności. Postać hr. Henryka załamuje się zatem i przedstawia w tej części raz Krasińskiego (np. rozmowa z filozofem),

to znowu jego ojca — Krasiński zaś sam raz odgrywa rolę hr. Henryka, drugim zaś razem rolę Orcia. W części trzeciej, w rozmowie z Pankracym, jest hr. Henryk znowu wyłącznie Krasińskim. Scena ta jest aż do drobnych szczegółów odtworzeniem rozmowy z Łubieńskim, dostosowanej naturalnie do wymagań poematu.

A scena w podziemiu?

O ile chodzi o bohatera, który ma wysłuchać strasznego wyroku za to, że żył udaną poezją, że nie czcił i nie kochał niczego, prócz poetycznych myśli swoich, wtedy, rzecz prosta, hr. Henryk jest Krasińskim. Wszakże w tym przedewszystkiem celu pisał ten dramat, aby swoje postępowanie potępić i w ten sposób zrzucić z serca gniotący go ciężar. Mimo to jednak, że Krasińskiego przedstawia hr. Henryk, Orcio nie traci w tej scenie bynajmniej tych cech osobistych Krasińskiego, które miał poprzednio jako przedstawiciel jego prawdziwych, istotnych zdolności poetyckich — i w stosunku do Orcia jest tu hr. Henryk jenerałem Wincentym. Dochodzimy zatem do wniosku dziwnego: hr. Henryk jest tu równocześnie Krasińskim i jego ojcem, Krasiński zaś równocześnie Orciem, i hr. Henrykiem. A nie oznacza to bynajmniej tego znanego aż nadto dobrze faktu, że poeta zaobserwowane na sobie samym właściwości psychiczne rozdziela pomiędzy kilku bohaterów — tu są rozdzielone części tragedji życia Krasińsińskiego, aby złożyć się następnie w jedną z najtragiczniejszych scen, jakie zna literatura świata. Czy nie należy przypuszczać, że był w tem cel jakiś, że Krasiński, potępiając siebie, potępił równocześnie swego ojca, który także „nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie", że przynajmniej w tej fikcji poetyckiej wypowiedział swemu ojcu słowa straszliwej prawdy, które w rozmowach z nim nie mogły mu przejść przez usta, a które były drugim ciężarem, gniotącym mu duszę i domagającym się zrzucenia.

Czy taki istotnie był cel poety, trudno osądzić; ale brak wyraźnego celu nie oznaczałby wcale, że tak nie jest lub że tak być nie mogło. Drogi, któremi chadza genjusz poetycki, są nam prawie zupełnie nieznane, faktem jest jednak, że ta siła, którą nazywamy natchnieniem, wyrzuca często z piersi poety nawet bez jasnej jego świadomości takie sploty myśli i uczuć,

które oddawna leżały tam zagrzebane i niedostępne dla jego wzroku, aż wydobędą się na zewnątrz w postaci symbolu tak głębokiego i tak wielu nićmi ideowemi związanego z jego życiem, że rozwikłać go i wyjaśnić zupełnie on samby zapewne nie umiał. Freudowska teorja kompleksów życiowych mogłaby tu wiele powiedzieć, a „Nie-Boska Komedja" nadaje się dla niej wybornie jak nader interesujący przedmiot badań.

Zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę przy scenie sądu i rozważmy sprawę jej oryginalności.

Jeżeli oryginalnym nazwiemy utwór, nie opierający się na żadnem literackiem opracowaniu danego motywu, to w tem znaczeniu scena ta oryginalną nie jest. Z całą niemal pewnością można stwierdzić, że pomysł jej pochodzi z noweli Mérimé'ego „Wizja Karola XI", jednego z najlepszych utworów tego pisarza. „Wizja" ukazała się najpierw w czasopiśmie „Revue de Paris" w r. 1829, a następnie w zbiorku „Mozaika" w r. 1833. Krasiński, który poprostu pochłaniał współczesną sobie literaturę, znał niewątpliwie ten głośny zbiorek, zaliczany do arcydzieł francuskiej nowelistyki; zresztą już pisany w Genewie „Teodoro, król borów" dziwnie przypomina o wiele lepszą naturalnie nowelę Mérimé'ego „Mateo Falcone". W sprawie jednak, o której mówimy, niech rozstrzyga zestawienie.

Karol XI, król szwedzki, spostrzegł pewnej nocy z okna swego pokoju, że znajdująca się w przeciwległem skrzydle pałacu sala posiedzeń stanów jest rzęsiście oświetlona. Zaciekawiony, udaje się tam w towarzystwie dwu dworzan; zbudzony odźwierny przynosi klucz i ostatecznie, pokonawszy uczucie strachu, znajdują się wszyscy w wielkiej sali. Jest ona obita kirem, a zapełniona tłumem ludzi, zwróconych z powagą ku estradzie, gdzie na wyniosłym tronie siedzi jakiś trup, przybrany w insignia królewskie, mając za towarzyszy po jednej stronie dziecię w koronie królewskiej, po drugiej zaś marę starca. Naprzeciw tronu zasiada grono czarno ubranych sędziów; jeden z nich daje znak, zgromadzenie się ucisza, a z bocznych drzwi wchodzi kilku dostatnio ubranych ludzi. Na ich czele kroczy człowiek z podniesioną dumnie głową; podchodzi na środek sali, staje przy znajdującym się tam pniu, spogląda na niego z pogardą, a potem klęka i kładzie

na nim głowę — kat podnosi topór, uderza nim i głowa skazańca spada, toczy się aż pod stopy króla Karola i opryskuje je krwią. Wtedy Karol XI postępuje kilka kroków ku estradzie i wypowiada odważnie zwykłą formułę zaklęcia, używaną przeciw złym duchom. Na jego słowa odzywa się mara starca uroczystym głosem: „Królu Karolu, ta krew będzie płynęła nie za twego panowania, ale w pięć pokoleń później. Biada, biada, biada krwi Wazów!“ Po tem wyjaśnieniu światła gasną, zjawisko całe znika, na pantoflu jednak królewskim pozostają ślady krwi skazańca.

Taka jest krótka treść noweli Mérimé'ego. Pozornie niema ona nic prawie wspólnego ze sceną sądu u Krasińskiego — zmienimy jednak zdanie, gdy rozważymy jej szczegóły. Charakterystycznym, a poza podaniami religijnemi wyjątkowym rysem „Wizji“ jest fakt, że opisany w niej sąd i następująca po nim kara mają się odbyć dopiero w przyszłości. Drugą cechą jest dziwne pomieszanie fantazji z rzeczywistością. Karol i jego towarzysze widzą cały przebieg dziwnego posiedzenia, słyszą szmer rozmów i wprost do siebie zwrócone słowa, zawierające groźbę dla domu Wazów, nawet krople krwi skazańca pozostają realnym dowodem, że nie była to złuda. Otóż te właśnie wyjątkowe szczegóły opowiadania Mérimé'ego powtarzają się w scenie widzenia Orcia. I tam mamy rzeczywistość zmieszaną z grą wyobraźni: Orcio widzi i opisuje to, co się dzieje, hr. Henryk słyszy jednak głosy sędziów i słyszy wydany na siebie wyrok. A ten wyrok jest tylko zapowiedzią tego, co kiedyś, po śmierci hr. Henryka, ma go oczekiwać. Do tych zaś szczegółów zasadniczych, bo będących rdzeniem niezwykłego pomysłu, dołącza się kilka drobiazgów, wspólnych obu utworom: więc dumne, pogardliwe zachowywanie się obu skazańców i fakt, że obaj widzowie sądów, Karol XI i hr. Henryk, ze słowami zaklęcia odważnie postępują ku widziadłom.

Według zasad krytyki literackiej jest ta wspólność wyjątkowych, niezwykłych motywów niezaprzeczalnym dowodem zależności utworu późniejszego od wcześniejszego. A jednak jakaż różnica zachodzi między temi scenami! Kiedy Słowacki w swych młodzieńczych, a nawet późniejszych utworach czerpie z Szekspira lub Byrona, powtarza często całe sytuacje,

całe sceny w formie tak mało zmienionej, tak przypominającej wzór, że wpływy przybierają niekiedy charakter niemal plagjatu — tutaj z trudem odnajduje się źródło pomysłu i to dopiero przy pomocy odrzucenia cech dodatkowych i zestawienia najbardziej zasadniczej podstawy wspólnej. Dowód w tem, jak bardzo zmieniały się obce motywy wyobraźni Krasińskiego, jak on umiał dostosowywać je do swoich potrzeb i celowo przekształcać. Pomysł Mérimé'ego nabiera w „Nie-Boskiej Komedji“ zupełnie innego charakteru dzięki temu, że Krasiński główną rolę widza odda ślepemu poecie, Orciowi, a hr. Henrykowi każe tylko słyszeć szmery zebrania i słowa wyroku. W ten zaś sposób obraz ten nie tylko nabiera cech dramatycznych w znaczeniu scenicznem, ale nadto staje się jednym z najbardziej tragicznych motywów całego dzieła. Z interesującej fantazji pisarza francuskiego tworzy Krasiński jedną z najbardziej subtelnych scen, jakiemi literatura dramatyczna może się poszczycić.

W ten mniej więcej sposób wyglądają w „Nie-Boskiej Komedji“ i wyglądać będą w następnych dziełach wszystkie niemal wpływy obce. I tak, przejęty z „Fausta“ motyw walki dwu światów o duszę bohatera, zachowawszy cechy ideowe, zmienił znacznie pod wpływem „Wolnego Strzelca“ formę zewnętrzną. W dziele Goethego pierwiastek dobra jest bierny, tkwi w duszy Fausta, i dopiero w ostatniej scenie części drugiej widzimy go uzewnętrznionym, wcielonym w Małgorzatę, Mefistofeles zaś, przedstawiciel świata, który „wiecznie przeczy“, nie opuszcza swej ofiary prawie nigdy. Ostatnią scenę „Fausta“ przeniesie Krasiński do „Irydjona“, w „Nie-Boskiej Komedji“ zaś obok czynnego świata szatanów umieści widomy pierwiastek dobra, anioła stróża; oba te pierwiastki będą ze sobą walczyły, starając się w chwilach decydujących uzyskać wpływ na duszę bohatera, na jego postanowienia. Prawda, że zmiany te są tylko pozorne i w istotę rzeczy nie sięgają, bo świat dobra jest także zamknięty w duszy hr. Henryka i, podczas gdy szatan oddziaływa silnie na jego wyobraźnię, anioł stróż przypomina mu jedynie, co powinien uczynić — ale bądź co bądź schemat jest odmienny i ma pewne znamiona oryginalności. Dodatkowo zaznaczmy, że program oddziaływania szatana na hr. Henryka był początkowo obszerniejszy

i obejmował oprócz miłości (dziewica) i sławy (orzeł) także wpływ przyrody; świadczy o tem początek części pierwszej, a nadto słowa hr. Henryka, wyrzeczone po rozmowie z orłem: „Matko naturo, bądź mi zdrowa“ itd. Zapewne z powodu trudności technicznych w dramatycznem ujęciu tego pomysłu usunął go Krasiński z poematu. Zresztą w rzeczywistości odgrywała przyroda w jego poezji rolę niewielką, i tu więc nie była niezbędną.

Pewnym wyjątkiem w tej regule jest scena choroby Orcia, jego nocny monolog, podsłuchiwany przez lekarza i krewnych. Wpływ sławnej sceny „Makbeta“ jest tu widoczny na pierwszy rzut oka.

Widzieliśmy, że idea „Nie-Boskiej Komedji“ jest prosta i jasna: jest to potępienie twórczości i życia, w którem miłość chrześcijańska nie objawia się w czynach, inaczej mówiąc — potępienie wszelkiego rodzaju egoizmu, czy to w stosunku do osób najbliższych, czy też do społeczeństwa. Sprawa społeczna była więc tylko przykładem, wydobytym z cierpień własnych i z własnych przewinień, a była symbolem ruchu zbrojnego w r. 1831-ym. Ale ten symboliczny obraz rozrósł się w ciągu pisania utworu tak bardzo, że przysłonił sobą sprawy inne i nadał całemu dziełu wybitne piętno społeczne. Troski Reeve'a o Anglję, której groziło widmo rewolucji społecznej, rozruchy robotnicze w Lyonie, teorje Saint-Simonistów, rozmowa z dziewczyną służebną w Ferney i wysnute z niej refleksje, rozmowy społeczne z Leonem Łubieńskim, opowiadania ojca i przyjaciół o „klubach“ i ich zgubnej działalności w czasie powstania, szczegóły z czasów wielkiej rewolucji francuskiej, przekonanie, że walka klas musi się u nas zaognić i doprowadzić do upadku arystokracji, dziwne jakieś przeczucie, że w tej nadchodzącej już walce on sam zginie — wszystkie te sprawy, dla nas bynajmniej nie współmierne, obejmujące sobą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, złączyły się w wyobraźni Krasińskiego w jednolity obraz i stworzyły tło społeczne „Nie-Boskiej Komedji“. Obserwacja bezpośrednia dostarczyła mu materjału tylko dla cząstki tych ścierających się ze sobą światów: do postaci Pankracego (Łubieński), do rozmowy hr. Henryka z dziewkami (gospoda w Ferney) — przedewszystkiem zaś do całego świata arysto-

kracji, której przyglądał się od dzieciństwa. I właśnie te ustępy są znakomite — wszystkie zaś „chóry“ rzeźników czy chłopów, twórców nowej religji lub przechrztów, ogółem cały świat proletarjatu, do którego Krasiński nigdy się nie zbliżał, wypadł bardzo słabo, a niektóre szczegóły jego są w naiwności swej poprostu śmieszne.

W charakteryzowaniu tych dwu obozów politycznych stara się Krasiński o możliwie największą bezstronność. Pankracego przedstawia tak, jak w liście do Reeve'a opisywał Łubieńskiego: z szacunkiem dla jego rozumu, z wstrętem dla jego cynicznych zasad; przyznając mu jednak istotną troskliwość o przyszłość oddanych mu tłumów (scena ostatnia), daje do zrozumienia, że potępia w nim nie cele, ale środki, których używa. Obóz Pankracego — z wyjątkiem przechrztów — wygląda jak zbiór nędzarzy, których jakiś fatalizm, jakaś siła dziejowa pędzi do strasznego czynu i którzy dlatego właśnie zasługują raczej na litość, niż na potępienie; dopiero dodane później sceny z wędrówki hr. Henryka wśród chórów lokai i rzeźników zmieniają to wrażenie i odbierają tym nieszczęśnikom resztki sympatji czytelnika. Widocznie jednak nie poprawił już Krasiński po wtrąceniu tego ustępu innych części utworu i dawniejszego swego zdania nie zmienił, bo w rozmowie hr. Henryka z Pankracym sąd o „motłochu“ nie wypada surowiej, niż sąd o arystokracji: „Widziałem — powiada hr. Henryk — wszystkie stare zbrodnie świata, ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam, co przed tysiącami lat: rozpusta, zło i krew.“ Rzecz jednak charakterystyczna: właśnie wśród otoczenia Pankracego znajduje się jedyna sympatyczna postać poematu, jedyny człowiek, który dla idei, dla dobra sprawy wolności gotów poświęcić swe życie — Leonard.

Zupełnie inaczej przedstawia się obóz arystokratów. Z wyjątkiem hr. Henryka, który w dwu ostatnich częściach zyskuje trochę sympatji autora, wszyscy zresztą przedstawiciele tej grupy mają rysy wprost karykaturalne. Nieporównany Ojciec Chrzestny, deklamujący z patosem najbardziej utarte komunały patrjotyczne i społeczne, książęta i baronowie, nie mający za grosz godności własnej w obliczu niebezpieczeństwa, a pełni zarozumiałości i zawiści, wszyscy ci „nędzarze,

co zapomnieli o wielkich ojcach swoich“ i których hr. Henryk przeklina „za ich podłość“ — to obraz, przygniatający poprostu ponurym swym kolorytem. Ani jednego Leonarda-entuzjasty, ani jednego rysu jasnego, dodatniego — zupełne znikczemnienie, oto charakterystyka tych ludzi. Do nich stosuje się groźne *motto* poematu: „Do błędów, nagromadzonych przez przodków, dodali to, czego nie znali ich przodkowie: wahanie się i bojaźń; i stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi i wielkie milczenie jest po nich.“ W rękopisie jednak „Nie-Boskiej Komedji“ mowa jest nie o „błędach“, lecz o „zbrodniach“; tak bardzo surowo osądzał wówczas Krasiński przeszłość i teraźniejszość kasty, do której sam należał. Zdanie to mówi nadto, że właśnie te dawne i nowe zbrodnie czy błędy spowodują („i stało się *zatem*“...) zniknięcie arystokracji z powierzchni ziemi — a więc zgładzi ją jej własny upadek moralny, nie przemoc Pankracych; widać z tego, jakim dodatkiem, ze stanowiska idei zbytecznym, jest w poemacie ta przemoc.

Gdyby taki odrażający obraz arystokracji wyszedł z pod pióra jakiegoś demokraty, np. Goszczyńskiego, nazwalibyśmy go poprostu paszkwilem — jako dzieło Krasińskiego jest on czemś innem. Jest to namiętny protest przeciw bezduszności otoczenia, przeciw jego moralnej marności — bolesny, rozpaczliwy bunt przeciw węzłom, które go z takimi ludźmi złączyły. Duchowo zrywa Krasiński w „Nie-Boskiej Komedji“ te węzły i staje poza kastą, w której los go umieścił; przedtem pisał do Reeve‘a o arystokracji: „my“ — teraz powinienby pisać: „oni“. Rozumiał to wybornie i dlatego taką tajemnicą otaczał swe autorstwo, dlatego zaklinał Gaszyńskiego na wszystkie świętości, aby go nie zdradził. Względy polityczne nie mogły przeszkadzać wydrukowaniu tego właśnie dzieła z pełnem imieniem i nazwiskiem autora choćby w Warszawie — do ostrożności zmuszały względy towarzyskie, aby śmiałego buntownika, jego dzieło, a może i jego ojca, uchronić od niemiłych komentarzy.

„Nie-Boska Komedja“ jest w całem tego słowa znaczeniu dziełem genjalnem. Potężne natchnienie twórcze wyrzuciło ją z piersi 21-letniego młodzieńca z taką siłą, że znalazły się w niej strzępy jego duszy, jego najistotniejsze i najskrytsze myśli, dumne marzenia i bolesne wyznania o własnej nicości, karykatura własna, kreślona poto, aby go bolała i tą boleścią dawała zadośćuczynienie za winy życia. Ale żar natchnienia był tak wielki, że stopił wszystkie te najrozmaitsze czynniki w jednolitą bryłę, nadając jej kształt wysoce artystyczny. Stąd wynikła niezwykła głębokość symboli poetycznych, a równocześnie dziwna prostota formy. Ten niewyszukany, pozbawiony ozdób stylistycznych język, zastosowany do treści mniej głębokiej, sprawiałby wrażenie czczości lub banalności — prawdziwa, szczera poezja „Nie-Boskiej Komedji“ nie zniosłaby jednak sztucznych upiększeń. Krasiński czuł to dobrze — i dlatego pomiędzy „Agaj-Hanem“ i „Irydjonem“, typami dwu odmiennych a bardzo wyrazistych i sztucznych stylów poetyckich, zjawił się utwór, zbliżający się swą bezpretensjonalną prostotą do języka „Pana Tadeusza“.

Jako dramat fantastyczny miała „Nie-Boska Komedja“ w literaturze naszej trzech poprzedników: „Dziady“, „Kordjana“ i „Mnicha“. Przewyższała je wszystkie ogromem obszaru spraw, które w sobie jednoczyła, przedewszystkiem zaś poruszała i wprowadzała do poezji kwestję zupełnie niemal nową, bo poprzednio pobieżnie tylko zaznaczoną przez Garczyńskiego [6]), kwestję nowych prądów społecznych i antagonizmów klasowych. Autor jej przedstawiał się czytającej publiczności jako głęboki i bystry myśliciel — ale, co tylko niewielu wybranym udało się osiągnąć, ten rozumowy pierwiastek nie psuł bynajmniej poetyczności utworu, bo, przemieniony w symbole, przemawiał do wyobraźni i do uczuć czytelnika. Leżał w tem dowód, że Polsce przybył prawdziwy, wielki poeta.

Możnaby także powiedzieć, że przybył jej wielki dramaturg. Żaden z naszych poetów, nie wyłączając nawet Słowackiego, nie posiadał zdolności przedstawiania najprostszych spraw życiowych lub najzawilszych kwestyj etycznych w sposób dramatyczny, w akcji, w tym stopniu, w jakim one objawiły się w „Nie-Boskiej Komedji“. Gdyby te zdolności rozwijały się były nadal lub przynajmniej w tej samej sile objawiły się później w innych dziełach, miałby Krasiński w literaturze całego świata niewielu równych sobie dramaturgów. Niestety, po pierwszym wybuchu dramaturgicznego genjuszu

nie nastąpił już drugi — miejsce genjalnego szkicu zajmie staranne, subtelne opracowywanie pomysłów, a ta mozolna nieraz praca oddali nas od bezpośrednich objawów natchnień twórczych, których źródła przestaną bić z taką siłą, jaką objawiły w pierwszym swym wybuchu.

* * *





Zygmunt Krasiński
1834





VII.

IRYDJON.

„Czy pamięta papa treść myśli jednej mojej, którą opowiadałem papie w Petersburgu i którą papa znalazł piękną? Zwała się „Irydjon", działa się przed wiekami w Rzymie Napisałem był jej połowę w Petersburgu, w Warszawie podarłem, bo nędzną była, ale przez rok cały ona mi spokoju nie dała, chodziła mi po głowie, nabierała szerzy i mocy. Tu mi się objawiła, tu zobaczyłem mego Irydjona, chodzącego po Forum; ja go już nie tworzę, obserwuję tylko. Człowiek ten chodzi ze mną po wszystkich ruinach; przez wdzięczność nie dam mu zginąć." [1])

Tak pisał do ojca Krasiński z Rzymu w listopadzie 1833 roku.

W tych jędrnych, barwnych słowach zawarta jest cała długa, zawiła i niezwykle skomplikowana historja „Irydjona". Początek jej znamy. W połowie października 1832 r., w Petersburgu, kiedy klątwa łaski carskiej wisiała mu nad głową i rabowała spokój ducha, w czasie nocy bezsennej zerwał się Krasiński z pościeli, wstrząśnięty „wielkim pomysłem" poetyckim, który mu zamigotał w wyobraźni. Była to postać Greka, mszczącego się na Rzymie za ujarzmienie swej ojczyzny. Ale ów petersburski Irydjon, chociaż miał już Amfilocha za ojca, daleki był jeszcze od tego, który powie do Masynissy: „mnie Rzym, tobie dusza moja" — prostszy był od niego i proste też musiały być jego dzieje, skoro mógł „umierając, wspominać słodkie Argos". Ta drobna wzmianka poety rzuca, pomimo swej szczupłości, pewien promyk światła na pierwszy pomysł, czy na pierwszą redakcję poematu. Kto tak może umierać, ten niema na sobie zmory wiecznej walki z Bogiem i nie obudzi się na straszliwy sąd u stóp krzyża w Kolosseum — ten zatem niema także przy sobie Masynissy. W takim jednak wypadku i idea poematu musiała być inna, w każdym razie nie była to idea przebaczenia, nie było nią wspaniałe w swej bezprzykładnej dobrotliwości, a tak ciężkie dla bark ludzkich przykazanie: „Kochajcie nieprzyjacioły

swoje!“ W Petersburgu, gdzie każdy nerw Krasińskiego drżał z odrazy do Rosji, gdzie myśl jego każda szukała sposobów zemsty na caracie, nie mógł powstać poemat, głoszący taką ideę. „Irydjon“ petersburski urodził się na tym samym gruncie, który wydał kilka lat przedtem „Wallenroda“, i w tym samym czasie, w którym Mickiewicz, chwytając nastrój duszy narodu, pisał w Dreznie swą „szatańską“ pieśń zemsty:

Tak, zemsta, zemsta, zemsta na wroga
Z Bogiem lub choćby mimo Boga!

Że w pierwszej swej redakcji „Irydjon“ musiał mieć piętno raczej pogańskiego umiłowania zemsty, tej „rozkoszy bogów“, niż chrześcijańskiej idei przebaczenia i miłości, to niewątpliwe. Świadczy o tem oprócz tak wyraźnie zaznaczonych w listach do Gaszyńskiego poglądów ówczesnych poety także chronologiczna łączność z utworami młodzieńczemi, gdzie zemsta jest najczęściej ośrodkiem akcji, a nigdy nie podlega potępieniu lub choćby naganie. Dalszem świadectwem tego jest ścisłe pokrewieństwo z „Wallenrodem“, do którego nawet późniejsze, rzymskie opracowanie jest w swym schemacie tak bardzo podobne, że, pominąwszy zakończenie, możnaby nazwać Irydjona przybranym w togę rzymską Wallenrodem. Wszak oni obaj pragną zemścić się na gnębiących ich ojczyznę wrogach, obaj osiągają podstępnie władzę najwyższą w ich państwach i używają jej na ich zgubę, obaj poświęcają w tym celu ukochane kobiety i obaj wreszcie mają przy swym boku powiernika, którego zadaniem jest „rozdmuchiwanie“ w nich „chęci zemsty“. Jeżeli w drugiem, tak długo i z taką rozwagą pisanem opracowaniu tyle zostało śladów wallenrodycznego pochodzenia „Irydjona“, o ileż więcej tych rysów musiało mieć opracowanie pierwsze — a wszakże podłożem wpływu „Wallenroda“ była przedewszystkiem tożsamość uczucia, które z niego tryskało i które wrzało także w Krasińskim: miłości ku Polsce i bezwzględnej nienawiści ku jej wrogom. Ten rys, widoczny w „Irydjonie“ dzisiejszym, musiał w petersburskiej jego redakcji górować nad wszystkiemi innemi, a etyczna wartość zemsty nie była tam jeszcze niczem zakwestjonowana.

Dopiero przeczytana w Warszawie druga część „Fausta“ Goethego zmienia poglądy artystyczne Krasińskiego i podsuwa mu motyw miłości chrześcijańskiej jako warunku zbawienia. Motywu tego użyje on najpierw dla zrzucenia z siebie ciężaru, który mu tam, „na grobie Polski“, dolega najbardziej, przemierzy nim w „Nie-Boskiej Komedji“ własne swe sprawy i wyda na siebie straszliwy wyrok potępienia. Zanim jednak „Nie-Boska Komedja“ w zupełności będzie wykończona, przypomni sobie Krasiński swój zniszczony, „nędzny“ poemat i postać Irydjona zacznie mu natrętnie stawać przed oczyma. A staje przed nim w świetle innem, przemieniona blaskiem nowej idei, uszlachetniona, a więc bliższa sercu i droższa wyobraźni.

Czy Krasiński zdawał sobie sprawę z zależności swego petersburskiego poematu od „Wallenroda“? Trudno na takie pytanie odpowiedzieć stanowczo, ale jego sposób traktowania motywów obcych, zapożyczonych, pozbawiony zupełnie tej lekkomyślnej żywiołowości, jaką widać w niektórych dziełach Słowackiego, a polegający na wyrozumowanem, zimnem przystosowaniu cudzego pomysłu do potrzeb i warunków dzieła własnego, pozwala się domyślać, że tak było istotnie. W gorączce twórczej, w jakiej kreślił karty „Irydjona“ w swej petersburskiej samotni, mógł był tego nie spostrzec, później jednak, zwłaszcza, gdy obmyślał zakończenie dzieła, zdał sobie z tego zapewne sprawę i dlatego może uznał swój utwór za „nędzny“, za kopię mickiewiczowskiego arcydzieła. Jeżeli jednak tak się rzecz miała w Warszawie, gdzie pierwszy rękopis uległ zagładzie, to w Rzymie, po napisaniu „Nie-Boskiej Komedji“ i po przemianach, jakim uległ pierwotny pomysł, sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Teraz nawet najwyraźniejsze reminiscencje Mickiewiczowskie mogły już nie razić poety, owszem, mógł je umyślnie nawet zachować, bo dzięki osądzeniu działalności bohatera ze stanowiska idei chrześcijańskiej miłości „Irydjon“ z zamaskowanej togą rzymską kopji wyrastał na antytezę „Wallenroda“, a to, co przedtem było poddawaniem się wpływowi Mickiewicza, teraz zmieniło się w wyzywające rzucenie mu rękawicy, w walkę z jego poglądami etycznemi.

I forma poematu uległa także zmianom. W liście z dnia 20 stycznia 1833 pisał Krasiński do Reeve'a o „Irydjonie“, że jest to „w połowie dramat, w połowie zaś opis i opowia-

danie" [2]). Określenie to trudno dostosować do dzisiejszej formy utworu; wskazuje ono raczej, że poemat składał się z ustępów naprzemian dramatycznych i opisowych, tak, jak przeczytany właśnie przez Krasińskiego „Ahasverus" Quineta. Można przypuścić, że budowa „Nie-Boskiej Komedji" jest powtórzeniem lub modyfikacją tej pierwotnej formy poematu o „Greku w Rzymie", skrystalizowaniem licznych opisów w cztery prologi, a scen dramatycznych w cztery akty. Druga, dzisiejsza redakcja „Irydjona" poszła dalej jeszcze: ustępy dramatyczne są tu złączone w zupełny czteroaktowy dramat, opisowe zaś zlały się w jedną całość, stanowiącą dla tego dramatu jakby ramy liryczno-opisowe. Możnaby powiedzieć: współczesne ramy dla starożytnego dramatu, bo dramat rozgrywa się w trzecim wieku po Chrystusie, opisowa zaś część odbywa się dzisiaj, lub, ściślej mówiąc, po r. 1831, kiedy Polska była „krainą mogił i krzyżów". Ta część opisowa obejmuje sobą dramat tak, jak złożona we dwoje kartka papieru obejmuje jakiś włożony w nią rękopis, i tworzy zarazem wstęp i zakończenie, prolog i epilog, nie zatracając swej jednolitości i swej odrębności artystycznej, a nawet stylistycznej. Epilog dzieła tylko ideowo jest uzupełnieniem dramatu, formalnie jest dalszym ciągiem prologu. Pomysł to oryginalny a dziwnie trafny, boć i myśl zasadnicza poematu, opierając się na przykładzie, zaczerpniętym ze starożytności, dotyczy stosunków obecnych.

Nie odrazu jednak przybrał poemat formę obecną. Praca nad nim postępowała powoli („trzykrotnie podarty, dziesięćkrotnie przerywany"), a poeta skarży się Reeve'owi (4-go maja 1835 r.), że „północ i imperjum rzymskie sprawiają mu dość dużo trudności". W miesiąc później streszcza mu swe dzieło, dobiegające już do końca. W streszczeniu tem widać jedną tylko drobną różnicę: po walce Irydjon ucieka „jak Orestes" nad brzeg morza i tam spotyka się z Masynissą. Nie potrzeba dodawać, że wprowadzenie zamiast tej ucieczki porwania Irydjona przez Massynissę lepiej uwydatniło niezłomność bohatera. Rzecz interesująca jednak, że zakończenie miało być zupełnie inaczej zbudowane. „Wstęp — pisze Krasiński — ma kształt poematu, reszta jest dramatyczna. Koniec, przebudzenie, będzie balladą." Ściślej zatem łączności formalnej

pomiędzy wstępem a zakończeniem nie było jeszcze w połowie r. 1835-go.

Obecna spoistość i harmonijność obu składowych części poematu była jednak niewątpliwie w pewnej fazie jego powstawania jeszcze większa i wyrazistsza. Prolog był wyłącznie charakterystyką Rzymu dawnego, upadającego, i nowożytnego, upadłego, skreśloną jakby przy sposobności szukania ukrytego gdzieś bohatera; wreszcie poeta znajduje go, mówi o jego śnie wiekowym i o przebudzeniu, które ma nastąpić — i wtedy wraz ze słowami: „Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje", kończył się zapewne prolog, podnosiła się zasłona i dramat życia Irydjona przesuwał się przed czytelnikiem. Ta precyzyjność układu doznała jednak pewnej skazy. Im bardziej postać mszczącego się Greka „nabierała szerzy i mocy", a zadanie jego przybierało wprost nadludzkie rozmiary, tem bardziej musiał poeta szukać podpory prawdopodobieństwa akcji w przygotowawczej działalności ojca bohatera, Amfilocha. Dzieje jego, pierwotnie zapewne tylko zaznaczone w opowiadaniu syna w części drugiej, rozrosły się skutkiem tego tak bardzo, że rozrywały sobą dramat, przeszkadzały akcji; trzeba je zatem było wyłączyć z części dramatycznej i dołączyć do prologu, Irydjonowi zaś pozostała do opowiedzenia Korneli tylko ostatnia część tej ponurej historji rodzinnej. Logiczność treści wzrosła przez to niewątpliwie bardzo, ale imponująca logiczność formy przyćmiła się nieco.

Tyle można z większą lub mniejszą pewnością wywnioskować o zmianach, jakie w treści i formie „Irydjona" zaszły w czasie jego powstawania. Krasiński zdołał wszystkie pierwiastki i motywy twórcze tak ściśle spoić ze sobą, tak dokładnie stopić je w swej wyobraźni, że dzieło jego — z wyjątkiem jednej może postaci Masynissy — ma cechy jednolitego odlewu, w którym wszelkie szukanie pokładów chronologicznych byłoby bezowocnem.

Jak gdyby prologiem właściwej akcji są dzieje ojca Irydjona, Amfilocha Greka. Widać w nich wyraźnie, że nie wytrysły z rozgorączkowanej wyobraźni w chwili natchnienia, że nie są swobodnym jej tworem — zrodziło je raczej długie rozmyślanie poety. To wszystko, co mogło kiedyś dopomóc

Irydjonowi do dokonania zemsty, a więc wszystkie niemal czynniki historyczne, które złożyły się na upadek Rzymu, są tu zebrane razem, nanizane, jak paciorki, na pasmo życie Amfilocha. On prostuje ścieżki Irydjona i zbiera dla niego palne materjały, od których spłonąć ma kiedyś miasto pychy, kłamstwa i ucisku. Zapuszczał się więc w najdalsze zakątki świata, „to gdzie błota Meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błąkał się naprzemian, szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu". W wędrówkach tych przybywa do chersonezu Cymbrów, dzisiejszej Danji, i stamtąd przywozi sobie żonę, kapłankę Odyna, Grimhildę — przeczuwa bowiem, że plemiona germańskie zniszczą nienawistny mu Rzym, że zatem trzeba złączyć się z niemi i użyć ich jako narzędzia. Sam „rodem niewolnik, ale duchem mściciel", wychowuje dzieci swe, Irydjona i Elsinoę, w namiętnej nienawiści ku miastu, które ujarzmiło jego ojczyznę. Umierając, pozostawia synowi niezmierne skarby, wiernego przyjaciela swego, Masynissę, jako doradcę, i ideę zemsty, zaszczepioną głęboko w serce, jako przewodniczkę życia. Irydjon przysiągł mu „rozkoszy nie mieć, przywiązania nie znać, litości nie słuchać, ale żyć, by niszczyć". Tak wyposażony przez poetę, wstępuje Irydjon na widownię. Czasem akcji jest ostatni rok panowania Heljogabala, a więc r. 222 po Chrystusie.

Rzym ówczesny dzieli Krasiński na dwie zasadnicze części, na rządzących i na rządzonych, każda zaś z tych części rozpada się znowu na dwie grupy. Więc w warstwie rządzącej stoją naprzeciw siebie dwa wrogie obozy: zniewieściały Heljogabal, przedstawiciel rozwiązłego Wschodu, utrzymujący się na tronie mocą chwilowej bezwładności ludu, i młodziutki kandydat do korony cezarów, wielbiciel starorzymskiej cnoty, Aleksander, nazwany później „Surowym". Około pierwszego z nich gromadzi się wszystko, co, choćby za cenę upodlenia, łaknie wyszukanych rozkoszy lub przynajmniej skromnego udziału w złotodajnej władzy nad olbrzymiem państwem — drugi skupia około siebie szczupłą garstkę tych, którzy przez powrót do surowych obyczajów przodków pragną podtrzymać chylący się do upadku gmach państwa i zapewnić mu nową świetność. Światła i cienie są tu zatem rozłożone niemal symetrycznie, a sympatję czytelnika zaskarbia autor młodemu Aleksandrowi.

Drugą grupę stanowią rządzeni, uciskani — niewolnicy, gladjatorzy, wyzwoleńcy, zabłąkani wśród Rzymu barbarzyńcy północy, cały ten tłum nieszczęsny, który krwą swą i potem okupuje rozkosze panów, by wreszcie zginąć pod rózgami liktorów lub na arenie cyrkowej. Należą tu także potomkowie dawnej arystokracji rzymskiej, Scipjonów, Verresów i Metellów, dziś zepchnięci w szeregi motłochu. Wszyscy oni nienawidzą swych władców, wszyscy pragną zemsty za swą nędzę i poniżenie. Oni to właśnie mają być narzędziem w ręku Irydjona, ich ma użyć dla dokonania wielkich swoich planów. Ale i ci ludzie rozpadają się na dwie grupy, oddzielone od siebie przepaścią poglądów religijnych: na pogan i chrześcijan. Reprezentantów pierwszej widzimy w pałacu Irydjona, druga, opromieniona dostojeństwem tej nauki, która każe kochać nawet nieprzyjaciół, kryje się w katakombach. Ona wpłynie rozstrzygająco na losy dzieła irydjonowego i ona też da całemu poematowi zabarwienie ideowe.

Wszystkie cztery te gromadki postaci działających złączone są ze sobą nader subtelnie. Łącznikiem pomiędzy Irydjonem a Heljogabalem staje się Elsinoe, „ofiara za cierpienia wielu i za hańbę ojców", a jej miłość ku Aleksandrowi i Aleksandra ku niej łączy przyszłego cezara z Irydjonem. Drugiem ogniskiem, skupiającem te rozbieżne w swych celach światy, są katakomby. Podanie o chrześcijaństwie Aleksandra i matki jego, Mammei, pozwoliło Krasińskiemu wprowadzić tam obu przeciwników, jednego jako szczerego wyznawcę zasad chrystusowych, drugiego jako spiskowca, który pod puklerzem nieszczerego chrztu szuka sobie wśród chrześcijan sprzymierzeńców i pomocników na chwilę decydującego działania. Ponieważ wreszcie Heljogabala łączą węzły pokrewieństwa z Aleksandrem, więc wszystkie nici akcji plączą się w jednolity węzeł dramatyczny. W ten sposób ocalił Krasiński swój poemat od zbytniej fragmentaryczności, która wobec ogromu zadania, jakie sobie postawił, wydawałaby się wprost nieuchronną.

Najważniejszym motywem akcji jest, rzecz prosta, plan zemsty Irydjona. Zniszczenie potężnego państwa, to za-

danie tak olbrzymie, że pokusić się o nie może tylko ktoś, rozporządzający niezwykle wielkiemi siłami. Mickiewiczowi podsunęli kronikarze niemieccy pomysł mściciela, który podstępnie dochodzi w znienawidzonym Zakonie do najwyższej władzy i używa jej na jego zgubę. Krasiński nie mógł tego pomysłu zastosować w swoim poemacie bez zmiany: w dziejach Rzymu byłby taki Wallenrod-cezar czemś bardzo nieprawdopodobnem a nadto byłby jedynie kopją mickiewiczowskiego bohatera. Więc niezbędną dla dokonania zemsty władzę zdobędzie sobie Irydjon inną, choć bardzo pokrewną drogą: przy pomocy siostry owładnie cezarem i, wyzyskując niechęć tego dziecięcia Wschodu ku Rzymowi, zapewni sobie jego przyzwolenie i pomoc. W chwili decydującej będzie Irydjon w Rzymie — jak Wallenrod w Marienburgu — panem i władcą najwyższym, a na palcu jego błyszczeć będzie pierścień cesarski, oznaka głowy państwa. Są to jednak tylko środki, wiodące do celu, cel zaś sam składać się będzie z szeregu czynów, z których każdy będzie niezwykle trudnem zadaniem. „Zbawić cię tylko mogę — mówi Irydjon do drżącego o swe życie cezara — rozpędzeniem senatu, wycięciem pretorjanów i przeniesieniem stolicy". Oto program działania: usunąć widomą władzę państwa, wytępić jej obrońców, zniszczyć stolicę i gdzieś daleko od obecnego siedliska znienawidzonej potęgi założyć nową, która będzie ledwie jej cieniem. „Długo jeszcze kilka pałaców, rozpadłych na chaty, zwać się będą Rzymem... — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach." Czy jednak nie będzie tej siły w nowej stolicy? Wszak przenoszenie stolicy nieraz już zapisywały dzieje, a jednak nie przynosiło ono ze sobą klęski, nie oznaczało ruiny państwa. Tak, ale to, co Irydjon eufemicznie nazywa „przeniesieniem stolicy", nie jest bynajmniej podobne do tryumfalnego wjazdu, jaki w sto lat później cesarz Konstantyn miał odbyć w siedemkroć rozszerzone mury Bizancjum — to ostatni akt strasznego dzieła zniszczenia. W marzeniach swych widzi Irydjon dokładnie te rozkoszne chwile i maluje je cezarowi, wspólnikowi spisku. Oto najpierw niewolnicy, gladjatorowie, barbarzyńcy i wyznawcy proroka nazaraeńskiego, zmienieni „w jeden podrzut zemsty", rzucają się na szeregi pretorjańskie; „panowie amfiteatru" nie mogą oprzeć się „tylu zgłodniałym, namiętnym i wściekłym" i giną, oświeceni łuną płonącego Rzymu. „Następnie ich ramiona i chęci, związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozprzęgną się i każdy wróci do przesądów wiary swojej lub do zwyczajów swojego narodu. Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na Wschód pociągniem za sobą obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozpłynie się i wyschnie wśród obcych ludów."

Plan ten obmyślony jest ściśle, logicznie i ma tem większe widoki powodzenia, że Irydjon zna cały ogrom piętrzących się przed nim trudności i umie im zaradzić. Oto jakie polecenia wydaje Heljogabalowi: „Każ potajemnie skarby swoje wywieźć do Emezy! Zabawiaj lud igrzyskami, pretorjanów hojnemi datkami, a tymczasem ściągaj do miasta z legij windelickich zaciążne Goty, z nadreńskich zaciążne Cheruski! W miarę, jak będą przybywać, ja zapoznam się z niemi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych". A kiedy cezar przypomina mu legje italskie, stojące w Efezie, w Tarsus, w Pergamie i w Milecie, Irydjon radzi, czy rozkazuje: „Wyszlij gońca do pretora Variusa, by je zgromadził i najśpieszniejszym pochodem udał się na Partów. Zajętych nad Kaspją przykremi utarczki dojdzie wieść o tem, co się stało w Rzymie; wtedy jednych złowi nieprzyjaciel, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego."

Jeden szczegół zwraca uwagę w tych planach: myśl sprowadzenia do Rzymu zaciężnych legij germańskich i użycia ich przeciw pretorjanom. Tak znaczna i tak poważna siła mogła rozstrzygająco wpłynąć na powodzenie zamiarów mściwego Greka — i dlatego właśnie tak obszernie opowiadał nam Krasiński o związkach Amfilocha z Germanami. Dlaczegoż jednak ten tak ważny motyw nie odgrywa w wykonaniu zemsty żadnej prawie roli, dlaczego pozostają po nim zaledwie mimochodem rzucone wzmianki o Cymbrach i Cheruskach? Rzecz to zupełnie prosta i jasna. Plan Irydjona układał Krasiński-myśliciel, który zbyt dobrze znał dzieje upadku państwa rzymskiego, aby mógł pominąć tak ważny

czynnik niszczycielski, jakim byli starożytni Germanowie — Krasiński-poeta jednak musiał ten historyczny motyw w chwili decydującej akcji usunąć, bo najpierw Irydjon nie mógł zwyciężyć, powtóre zaś, i to jest powód najważniejszy, wobec całych legij germańskich rola pomocy chrześcijan musiałaby zmaleć niesłychanie, a idea poematu wymagała właśnie jaknajsilniejszego zaznaczenia konieczności ich współudziału w dziele zniszczenia. Ta sama więc potrzeba prawdopodobieństwa poetyckiego wymagała w pierwszej części utworu zaznaczenia możliwości pomocy ze strony potężnych legjonów zaciężnych, abyśmy uwierzyli w wykonalność planu irydjonowego, i usunięcia tego motywu w drugiej części w cień, abyśmy nabrali przekonania, że Irydjon bez pomocy wyznawców Chrystusa zwyciężyć nie może.

„W katakombach los Rzymu się rozstrzygnie". Tak twierdzi potężny opiekun Irydjona, Masynissa, i dlatego — rzekomo tylko dlatego — posyła go tam i każe zjednywać sobie zwolenników wśród chrześcijan; jeżeli Irydjon pozwoli się uprzedzić Aleksandrowi, „on zmiecie Heljogabala, on swoje państwo nazareńskiem uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków".

To wielkie znaczenie katakomb w idei poematu wpłynęło na tem troskliwsze opracowanie ich obrazu. Z milczącego lub na chóry podzielonego tłumu wyznawców Chrystusa trzy tylko postacie mają swe indywidualne, silnie nakreślone rysy: pobożny biskup Wiktor, za świętą już za życia uważana Kornelja Metella i dwukrotny męczennik, Symeon z Koryntu. Kornelja i Symeon są wytworami wyobraźni poety, biskup Wiktor zaś jest wprawdzie postacią historyczną, łączy się z nią jednak jedyny w całym poemacie anachronizm. Współczesny Heljogabalowi biskup rzymski Kallistus, dawny bankier, oskarżany o sprzeniewierzenie depozytów wdów i braci, nie nadawał się żadną miarą na przedstawiciela idei chrystusowej — więc Krasiński wolał cofnąć się o trzy dziesiątki lat wstecz i, popełniając anachronizm, wprowadzić do swego dramatu biskupa Wiktora (189—199), uważanego powszechnie za chlubę chrześcijaństwa. Z działalności tego papieża to przedewszystkiem zwróciło jego uwagę, że Wiktor pierwszy wprowadził klątwę kościelną w czyn i że powodem tej klątwy

była wiara w chiliazm. Na tym fakcie opiera się tragedja zabiegów Irydjona w katakombach.

Chiliazm, opierający się na powadze apostoła Pawła, na Apokalipsie św. Jana i na niektórych słowach Chrystusa, głosił, że jeszcze przed sądem ostatecznym i złączoną z nim epoką wiecznej szczęśliwości Chrystus zjawi się widomie na ziemi i założy państwo, które trwać będzie lat tysiąc. Miała to być epoka przejściowa, sama w sobie radości pełna, a rozpocząć się miała zniszczeniem wszechwładztwa rzymskiego; na gruzach pogańskiej Romy powstać miało cały świat obejmujące państwo wyznawców Chrystusa. Na tej wierze, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nader popularnej, niemal powszechnej, opiera Irydjon plan działania w katakombach, plan, podpowiedziany mu przez Masynissę. „Idź — poleca mu sędziwy opiekun — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole, niech tajemnice ich na twoich ustach będą. Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga, nie zemszczonego dotąd. Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o, wtedy, synu mój, duch mój będzie z tobą!" Więc Irydjon zstępuje do katakomb, przyjmuje pozornie chrzest i staje się krzewicielem chiliazmu. „Niewiernego" Wiktora unika, pomocy zaś szuka u młodych, pełnych entuzjazmu i żądzy czynów, przedewszystkiem u dwojga z nich, czcią powszechną otoczonych, u Symeona z Koryntu i Kornelji Metelli. „Czyś nie słyszała od wielu świętych — poucza ją obłudnie mściwy poganin — że już bliskie czasy? Czy nie pamiętasz słów Jedynego, kiedy, odchodząc, przyrzekł swoim, że powróci i królować będzie? Czyż ulubieniec Jego na dzikiej Patmos nie powtarzał, że Babylon runie, a sprawiedliwi na gruzach zasiędą?" Wmawia w nią, że Amfiloch „poprzedził Tego, który zwycięży", że zatem on sam, Irydjon, zesłany jest, aby stanął na czele wiernych i spełnił obietnicę Pańską, a pozwala się jej domyśleć, że jest — powracającym na ziemię Chrystusem. Kornelja opiera się instynktownie, a ulega nie tyle wymowie ust jego, ile czarowi płomiennych oczu młodego Greka; bo i on, jak Wallenrod, ucząc ją chiliazmu, „nauczył ją tego, czego dotąd nie umiał: nauczył ją kochać". Pocałunek, znak

ziemskiej, namiętnej miłości, kończy dzieło: Kornelja ze świętej zostaje opętaną i nawołuje współbraci do broni i do pójścia za Irydjonem. Na zgromadzeniu wiernych, kiedy gorące przemowy Irydjona i Symeona z Koryntu nie mogą usunąć wątpliwości zebranych, głos opętanej Kornelji rozstrzyga sprawę: młodzież chrześcijańska przysięga pójść za Irydjonem i na szczytach Kapitolu zatknąć krzyż.

W tej decydującej dla sprawy Irydjona chwili odsłania się właściwa istota niejasnego dotąd Masynissy. Jest to szatan we własnej osobie. Pomaga on Irydjonowi w jego planach, bo one są nieprawe, sprzeczne z nauką Chrystusa, powtóre zaś dlatego, że pragnie przy tej sposobności dokonać dzieła o wiele ważniejszego: chce wywołać rozdwojenie w kościele. Za jego to namową skłonił Irydjon część chrześcijan do walki z Rzymem, włożył w ich ręce zakazane miecze, ziemski cel i ziemskie środki podsuwając w miejsce niebiańskich. Więc Masynissa-szatan tryumfuje: „Wiaro, nadziejo, miłości, trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych, błogosławieństwa twego!... Wrogu!... Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona twoje. W imieniu twojem będą zabijać i palić — w imieniu twojem gnić i milczeć — w imieniu twojem uciskać — w imieniu twojem powstawać i burzyć! Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szałach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy! Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. Na szczytach niebios, wśród potęg twoich, doznasz, co to piekło nasze!"

Tak więc w połowie dramatu wybucha nagle ledwie przeczuwalny dotychczas motyw nowy, a tak ważny i tak silny, że ogarnia sobą całą akcję i zmienia zupełnie jej charakter. Nie o Irydjona więc chodzi i nie o jego zemstę na Rzymie, nie o Kornelję lub o przyszłe losy Aleksandra Sewera — wszystko to są tylko atomy wielkiej sprawy, drobne urywki potężnej walki, która rozgrywa się między szatanem i Bogiem, między złem i dobrem. Krasiński odsłania nam tajemnicę swej sceny: ci wszyscy bohaterowie, którzy się na niej poruszają, którzy do czegoś dążą, kochają lub nienawidzą, śmieją się lub cierpią niezmiernie, to marjonetki, wprawiane w ruch

przez dwie potęgi, walczące ze sobą o władzę nad ziemią. Teraz cały mechanizm tej scenki jest w ręku szatana — ale nadejdzie chwila, kiedy Bóg wynurzy głowę z obłoków i popsuje wrogowi swemu szyki, a wkońcu ogłoszonym przez siebie wyrokiem zadecyduje o ostatecznym losie bohaterów, rozstrzygnie etyczne wątpliwości i wskaże błądzącym właściwą drogę.

Dla Irydjona bije godzina wyroczna: pretorjanie buntują się przeciw Heljogabalowi. Wysłany przez cezara dla uspokojenia ich hojnemi darami, Irydjon stawia im tak ciężkie i tak wyzywające warunki przebaczenia, że niszczy wszelką możliwość porozumienia się. Rozpoczyna się walka, wojna domowa: Aleksander Sewerus na czele zbuntowanych ma walczyć z kohortami, które wierne pozostały Syryjczykowi. Irydjon tymczasem rozpędza radzący nad zmianą tronu senat, a potem wydaje ostatnie rozkazy swoim zaufanym: w rozmaitych częściach miasta czekać mają znaku, a gdy stos cyprysowy w pałacu irydjonowym zapłonie, mają rozpocząć swe dzieło, paląc i niszcząc wszystko. Ale Irydjon znaku nie daje; czeka na chrześcijan, bez których walka byłaby bezowocna. Od nich zależy zwycięstwo.

Chrześcijanie nie przybywają. U wyjścia z katakomb zatrzymał Wiktor uzbrojone ich szeregi i wypędzeniem złego ducha z Kornelji przekonał ich, że chcieli służyć złej sprawie. Przez wszystkich niemal opuszczony, przez biskupa wyklęty, Irydjon rzuca się w rozpaczliwy bój; odrzuca łaskę zwycięskiego Aleksandra, który umierającej Elsinoi przysiągł go ocalić, i wstępuje na płonący stos siostry, Masynissa jednak porywa go i unosi na szczyt góry w pobliżu Rzymu. Tu, nie mogąc go niczem innem skusić, przysięga, że go uśpi na przeciąg długich wieków i pokaże mu miasto jego nienawiści w ruinie i hańbie. Zbudzić go ma wtedy, „kiedy na Forum będą prochy tylko, kiedy na Cyrku będą koście tylko, kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko" — i za tę cenę stanie się panem jego duszy.

Dramat z czasów Heljogabala skończony, dzieje śpiącego Irydjona opowiedziane, brak im jedynie epilogu. Więc poeta wraca do motywów wstępu i czyni nas świadkami, jak Masynissa budzi Irydjona ze snu i pokazuje mu kolejno ruiny Rzymu, a on „raduje się w sprawiedliwości zemsty swojej." Wreszcie stają na arenie Kolosseum, pod krzyżem drewnia-

nym — i tu rozegra się sąd, który rozjaśni etyczne zawisłości poematu. Bóg jest sędzią, Masynissa oskarżycielem, a Korneljа, zmieniona już w anioła, obrońcą. „On moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy“ — woła Masynissa, ale białoskrzydły obrońca stwierdza: „O Panie, on jest moim, bo on kochał Grecję“.

Kto ma słuszność, obrońca, czy oskarżyciel? Czyż dzieło nienawiści nie powinno być potępione? A czyż miłość, wierna aż do ostatniego tchu, oddana aż do najdalszych granic poświęcenia, może pozostać bez nagrody? I kara zatem i nagroda należą się chyba równocześnie Irydjonowi, bo jego nienawiść tak ściśle i logicznie wynikała z miłości, jak wstręt do złego wynika z ukochania dobra lub wstręt do brzydoty z uwielbienia dla ideału piękna. Tej mieszaniny zasługi i winy. tej konieczności zastosowania nagrody i kary zarazem nawet Bóg nie rozsądzi stanowczo — szala sprawiedliwości nie przechyla się na żadną stronę. Więc Irydjon odbyć ma jeszcze próbę — w Polsce; tam, w tej ziemi, nad której losem płaczą przelatujący aniołowie, odbywać będzie wraz z całym narodem karę i wraz z nim kiedyś dostąpi nagrody.

„Idź i zamieszkaj wśród braci, których ci daję — brzmi wyrok boży — tam powtórna próba twoja; po raz drugi miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać, i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje.

„Idź i ufaj imieniowi mojemu; nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam! Bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych: oni przeminą, ale ty i słowo moje nie przeminiecie.

„A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami, udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem, i tem, co obiecałem ludom na szczycie Golgoty — wolnością.

„Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków i staniesz się wolnym synem niebios.“

Idea zatem „Irydjona“ jest nie tylko pokrewną, ale niemal identyczną z ideą „Nie-Boskiej Komedji“. „Za to, żeś nic nie kochał... potępion jesteś“, brzmiał wyrok na hr. Henryka — tu zaś możnaby z wyroku Boga wysnuć zasadę: należy wypleniać z siebie wszelką nienawiść, a krzewić w jej miejsce miłość. Przykład jest tu bardziej skomplikowany, ale istota rzeczy jest ta sama. Inną jest tylko nagroda i kara: tam bohaterem był człowiek, który sprawy narodowe wciskał w ramy własnego egoizmu i dlatego karą jest dla niego odebranie mu szczęścia pośmiertnego — tu gorący patrjota idzie błędną drogą, i za to karą będzie dla niego cierpienie wraz z narodem, a za wierne oddanie się ojczyźnie będzie mu nagrodą jej zmartwychwstanie, jej szczęście.

Jest jednak w zakończeniu „Irydjona“ jeden jeszcze motyw, który zasługuje na uwagę. W ostatnich słowach wyroku bożego jest potrzeba czynu, potrzeba ustawicznej, mozolnej pracy podkreślona z taką siłą, że staje się niemal warunkiem zbawienia. Przyszłe zmartwychwstanie ma mieć za podstawę „pracę wieków“, a niewątpliwa myśl tego ustępu domaga się takiego sformułowania: „czyń ciągle i bez wytchnienia, bo tylko pod tym warunkiem... zmartwychwstaniesz.“ Czy Krasiński rozumiał, że ówczesna poezja nasza, zwłaszcza zaś rodzący się właśnie mesjanizm, tolerowały a czasem wprost apoteozowały bezczynne pogrążanie się w bólu patrjotycznym i że wpływ tak pojętych wzorów miłości ojczyzny mógł być szkodliwy, czy też instynkt tylko to mu powiedział, bądź co bądź „Irydjon“ — pierwszy z poematów, po r. 1830-ym napisanych — zaznacza konieczność pracy narodowej i tę właśnie pracę czyni źródłem i warunkiem zbawienia. I to jeszcze godne jest uwagi, że jedynym probierzem dobroci tego działania ma być zgodność z zasadami Chrystusa, że żadnego politycznego czy społecznego kierunku nie wynosi tu Krasiński nad inny i żadnego nie potępia. „Działaj dla dobra swej ojczyzny tak, aby Bóg, który patrzy w twe serce, widział w niem czystość i bezinteresowność twych zamiarów, a będzie dobrze i tobie i ojczyźnie twojej“ — oto mniej więcej zasada, którą możnaby wysnuć z tego poematu.

Nad ideą „Irydjona“ nie powiewają łachmany żadnego sztandaru partyjnego, jest w niej tylko głęboka, szczera a szlachetnie pojęta miłość ojczyzny.

Główną podstawą wielkiej wartości artystycznej poematu Krasińskiego jest połączenie motywów, pozornie zupełnie sprzecznych, jak Rzym starożytny i współczesna Polska, idea chrześcijaństwa i zemsta dawnego Greka, w harmonijną, niemal jednolitą całość. Prawda, że w tym celu musiał rozbić swój utwór na dwie części, współczesną sobie i historycznie odległą — ale części te związane są z sobą tak zręcznie i tak artystycznie motywem śpiącego od wieków a następnie budzącego się bohatera, że ta subtelna kunsztowność spajania rzeczy odległych raczej podnosi, niż obniża urok całości. Idea natomiast poematu nie ma na sobie najmniejszych nawet śladów jakichś sztucznych połączeń, jakichś usuniętych sprzeczności lub choćby tylko chwilowego odchylenia się od zasadniczego pomysłu; od pierwszej rozmowy Irydjona z Masynissą widać już wyraźnie, że działalność bohatera musi być w ten czy w ów sposób potępiona, inaczej bowiem musiałaby być apoteozowana mądrość szatana, pośrednio zaś także słuszność sprawy, o którą on walczy z Bogiem. Ponieważ zaś wyklęcie Irydjona ma wybitne i jasne cechy motywu drugorzędnego, który zaznacza kierunek idei, ale go jeszcze nie precyzuje, zakończenie zaś dramatu tylko odracza rozstrzygnięcie, więc ostatecznie wszystkie szczegóły ideowe wskazują na scenę sądu w Kolosseum jako na ostateczny swój wyraz, na nieodzowne sformułowanie i określenie tej siły twórczej, która nadała całemu dziełu charakterystyczne zabarwienie, a którą nazywamy myślą przewodnią lub ideą utworu.

Trzeba było tę niepospolitą spoistość ideową poszczególnych części „Irydjona“ podkreślić tak silnie, bo oto biograf młodości Krasińskiego dowodzi, a następcy jego dowód ten przyjmują, że... scena sądu w Kolosseum jest dorobionym w r. 1836, a więc w ostatniej już chwili, dodatkiem, niezgodnym z charakterem całości, tak dalece nawet z nim niezgodnym, że „każdy uważny czytelnik“ musi to zauważyć.[3]) Poemat miał — i powinien był — kończyć się sceną, w której Masynissa, stosownie do umowy, brał Irydjona na wieczność w swą władzę — krótko mówiąc, miał się kończyć tryumfem szatana! Na domiar wszystkiego miało się to dziać w Kolosseum, pod tym samym drewnianym krzyżem, który Krasiński od pierwszej chwili ujrzenia go (w r. 1830) aż do końca życia uważał zawsze za najwyraźniejszy symbol tryumfu idei chrześcijańskiej — a napisać miał takie zakończenie swego najstaranniej obmyślanego dzieła tuż niemal po wstrząsającem wrażeniu, jakie wywarła na niego II część „Fausta“, z której nauczył się, że należycie pojąć wszechświat znaczy to w walce dobrego ze złem „kazać tryumfować dobremu.“ Nic więc dziwnego, że ten rzekomy dowód istnienia pomysłu tryumfu szatana i dorobienia obecnego zakończenia dopiero w ostatniej niemal chwili jest oparty na dziwnem niezrozumieniu pewnych ustępów poematu.[4])

W „Irydjonie“ nie poszedł Krasiński śladem poetów bajronistycznych, którzy zadowalali się lekkiem tylko naszkicowaniem tła historycznego i kulturalnego i swobodnie przędli na niem nić wypadków powieściowych — przyświecała mu raczej walterskotowska dążność do ścisłości historycznej, podniesiona jednak do granic niesłychanie wyższych. Podstawą było mu rozległe oczytanie w zakresie kultury starożytnego Rzymu, wyniesione jeszcze z ławy szkolnej i ze studjów uniwersyteckich, rozszerzył ją zaś sumiennemi, nieraz drobiazgowemi studjami. Główną podstawą wiadomości o czasach Heljogabala było głośne dzieło Gibbona „O upadku państwa rzymskiego“, „Szkice historyczne“ Chateaubrianda i książka Ferrière'a p. t. „Il vivere“, wyzyskana zwłaszcza w przypiskach, dotyczących Wschodu. Idąc za cytatami tych autorów, sięgnął Krasiński do źródeł starożytnych, do t. zw. „Scriptores historiae Augustae“; przedewszystkiem i najczęściej czerpał z życiorysu Aleksandra Sewera, napisanego przez Aeliusa Lampridiusa, i z „historji Rzymu“ greckiego pisarza, Diona Cassiusa, stosunki zaś gminy chrześcijańskiej starał się poznać najprawdopodobniej z greckiej historji kościoła katolickiego P. Eusebiusa.[5]) Zaczerpnięte z nich wiadomości posłużyły do charakterystyki głównych postaci: Heljogabala, Aleksandra, Mammei, Ulpjana i biskupa Wiktora, z drugorzędnych zaś Eutychjana i Arystomacha — reszta występujących w poemacie osób jest zmyśleniem poetyckiem.

Szczegółów do odmalowania świata starogermańskiego zaczerpnął z „Eddy“ i z macphersonowskich „Pieśni Ossjana“, które także na stylistycznem opracowaniu wstępu zostawiły swe ślady.[6])

Już to krótkie zestawienie najważniejszych tylko źródeł historycznych dowodzi niezwykłej u poety romantycznego staranności w kreśleniu tła poematu. Można bez przesady stwierdzić, że w żadnym naszym poemacie romantycznym nie opierała się inwencja poetycka na tak starannem przestudjowaniu materjału naukowego i że nigdy jeszcze w Polsce potężna wyobraźnia poetycka nie składała swych tęczowych wizyj z tak mozolnie i kunsztownie złożonej mozaiki szczegółów historycznych.[7])

Rzecz jasna, że dzieło tak obszerne i łączące w sobie tyle rożnorodnych motywów musiało z natury rzeczy zachować ślady wpływów innych dzieł poetyckich w postaci albo przypadkowych reminiscencyj, albo też świadomie zaczerpniętych z nich pomysłów. Z dzieł tych dwa zwłaszcza wybijają się na czoło: „Faust“ Goethego i „Wallenrod“ Mickiewicza; pierwszemu zawdzięcza „Irydjon“ zawiązek idei, drugiemu zawiązek treści. Bohater bez skazy, poświęcający swe szczęście dla pomszczenia na wrogu ujarzmionej ojczyzny — dochodzący do tego przez zdradzieckie opanowanie władzy w państwie nieprzyjaciół — składający tej zemście w ofierze najdroższą sobie kobietę — walczący wreszcie ze sobą, zawieszony pomiędzy żądzą szczęścia osobistego, a żądzą zemsty, do której nakłania go tajemniczy, potężny swym wpływem przyjaciel-starzec — to schemat, przejęty z „Wallenroda.“ Walka dwu światów, dobrego i złego, zakończona zwycięstwem idei chrześcijańskiej — to wpływ „Fausta“, który zresztą już w „Nie-Boskiej Komedji“ był widoczny; końcowa scena z areny Kolosseum, walka między szatanem-Masynissą a aniołem-Korneljią o duszę Irydjona, jest przejęta z zakończenia II. części „Fausta“, gdzie anioł-Gretchen odbiera swą modlitwą Mefistofelesowi pewny już niemal łup, duszę Fausta. Trzeba jednak zaznaczyć, że szatana swego pojął Krasiński o wiele głębiej, niż Goethe, że każe mu ubiegać się nie o duszę jednostki, lecz o panowanie nad światem; dla Mefistofelesa jest dusza Fausta celem zabiegów, dla Masynissy Irydjon jest jedynie środkiem, wiodącym do wielkiego celu. To pojęcie szatana utworzył Krasiński pod wpływem „Kaina“ Byrona [8]) i „Męczenników“ Chateaubrianda. Na postać Masynissy składają się ogółem trzy pierwiastki: stosunek jego do Irydjona jest reminiscencją z „Konrada Wallenroda“ (Halban), stosunek do Boga jest nakreślony pod wpływem „Kaina“, cele zaś jego i środki, zapomocą których do nich dąży, są przejęte z „Męczenników.“

Poza temi głównemi motywami jest jeszcze cały szereg drobniejszych szczegółów lub całych scen, na których obce utwory wycisnęły swe piętno. I tak obraz śpiącego w jaskini Irydjona jest reminiscencją z „Lubora“ Zaleskiego, w każdym zaś razie pozostaje w związku z podaniami o śpiących rycerzach — przepowiednia Grimhildy o losach Rzymu ma źródło swe w proroctwie pustelnika Pawła w „Męczennikach“ Chateaubrianda — monolog Irydjona, zamykający część pierwszą poematu, jest udramatyzowaniem słynnego monologu Hamleta — scena wypędzenia złego ducha z Kornelji wykazuje wpływ III. części „Dziadów“ i romantycznej tragedji Zacharjasza Wernera p. t. „Attyla“ — nakoniec scena ze Sporusem przypomina żywo scenę z murzynem w dramacie Szyllera „Fiesko“. [9])

Poczet zatem reminiscencyj z utworów obcych jest wcale znaczny i w pierwszej chwili wywołuje ujemne wrażenie o oryginalności Krasińskiego. Przedewszystkiem jednak jest to objaw najzupełniej zgodny z prawami wyobraźni twórczej, która zupełnie oryginalnych obrazów rodzić nie może, lecz musi zbierać materjał do nich z obserwacji i z lektury — powtóre zaś nie należy zapominać, że u największych nawet poetów świata obfitość wpływów obcych jest częstokroć znacznie większa. Zresztą o oryginalności utworu rozstrzyga nie ilość tych pożyczek literackich, ale sposób ich zużytkowania, pod tym zaś względem Krasiński okazuje wyjątkową samodzielność. Motywy obce nie zachowały w „Irydjonie“ dawnego kształtu i barwy, lecz przetworzyły się zupełnie w wyobraźni poety, jakby stopione jej ogniem, dostosowały się posłusznie do charakteru całości i złożyły się na odlew tak jednolity i tak potężny w swej powadze, w swojem dostojeństwie, jakich niewiele posiada literatura świata.

Ta dostojna powaga „Irydjona“ jest najistotniejszą może jego cechą. Unosi się ona przedewszystkiem nad treścią dzieła, mówiącą o najważniejszych sprawach ludzkości: o wolności narodów, o jarzmie tyranów, o etyce społecznej — z niej zaś zstępuje na formę utworu i przenika ją od początku do końca. Stąd powstaje ta dziwna, wyjątkowa harmonja całości, mówiącej wielkiemi słowami o wielkich sprawach. Nie zmiesza i nie zmąci tej harmonji nic; poeta tak pilnie i tak zazdrośnie jej strzeże, że najważniejsze sprawy osobiste swych bohaterów zaledwie zaznacza i pozostawia domyślności czytelników; wybuchów i lamentów miłosnych nie uznaje za odpowiednie tam, gdzie rozstrzygają się losy narodów, gdzie panuje uczucie wyższe i potężniejsze nad wszystko — ból patrjotyczny. Są więc ci jego bohaterowie podobni do posągów, jeżeli ból można w posąg przemienić, a przemawiają słowami tak odmierzonemi i tak obliczonemi niemal, jakby miały być wyryte na ich piedestalach. Trzeba wmyśleć się dobrze w te subtelnie rzeźbione, wypieszczone niemal zdania, żeby zobaczyć, ile w nich jest wytwornej kunsztowności, i trzeba wczuć się w nie głęboko, aby poznać, jaki war namiętności ukrywa się często pod ich spokojem. I tu może leży tajemnica dziwnej, napozór niewidocznej, a jednak niewątpliwej odrębności „Irydjona“ w stosunku do innych twórców i innych poematów: Szekspir czy Goethe, Byron czy Szyller wmyślali się w położenie swych egzotycznych bohaterów, a kiedy wyrażali swe własne uczucia, wypowiadali je otwarcie i szczerze — Krasiński, który był „z ojców swych ziemi przez wroga wygnany“, którego ojciec był tego wroga służalcem, który sam był niewolnikiem obowiązków i względów rodzinnych, nie śmiał wybuchnąć otwarcie całą nienawiścią ku ciemięzcom swej ojczyzny i ukrywał ją pod chłodnemi napozór słowami starożytnego Greka. Stąd pochodzi w niektórych przemówieniach Irydjona to wrażenie wulkanu, który, jak mówi Mickiewicz, „tylko dymi niekiedy przez słowa“ — i dlatego też może jedynym utworem, mogącym pod względem powagi i siły ukrywanego uczucia stanąć obok poematu Krasińskiego, jest „powieść wajdeloty“ z „Konrada Wallenroda“, zwłaszcza zaś część jej druga. Podobne przyczyny wydają podobne skutki.

„Nie-Boska Komedja“ i „Irydjon“, ogłoszone drukiem bezpośrednio niemal po sobie, stanowią odrębną, pierwszą epokę w dojrzałej twórczości Krasińskiego. To słowo „dojrzałej“ jakże dziwnie brzmi wobec faktu, że autor ich skończył był właśnie 24 lat życia! W tym wieku Byron był dopiero autorem dwu pierwszych pieśni „Harolda“ a Mickiewicz słabiutkich swych „Ballad“ — żaden zaś chyba inny poeta nie stworzył w tej właśnie epoce życia swych dzieł najgłębszych i najgenjalniejszych. W całej jednak długiej, bo ćwierć wieku obejmującej działalności Krasińskiego te dwa młodociane utwory były bezsprzecznie najszerszym rozmachem jego wyobraźni i najdoskonalszym wyrazem jego artyzmu. Różne zupełnie w swej formie — jak genjalny szkic różni się od subtelnie wykończonego obrazu — pozostały w naszej literaturze zjawiskiem wyjątkowem, bez poprzedników i bez następców.

Pismacy emigracyjni ośmieszali je jako dzieła „jezuickie“, szersza publiczność nie rozumiała ich, ale prawdziwi poeci patrzyli na nie ze czcią i, tak, jak „Pana Tadeusza“, nikt się nie odważył ich naśladować, nikt nie czuł w sobie dosyć siły, aby się z niemi zmierzyć. Pozostały więc nienaśladowane, samotne, nie wytworzyły „szkoły“. A samotnemi bywają tylko najwyższe szczyty.

Jeżeli jednak „Nie-Boska Komedja“ była objawem pewnego buntu przeciw całemu środowisku, z którego Krasiński wyszedł, to „Irydjon“ był nim także, przynajmniej w stosuku do jego ojca. Wprawdzie żaden chór podziemnych głosów nie rzucał tu na jenerała Wincentego straszliwego wyroku, ale sama treść dzieła musiała być dla niego chłostą moralną. Ten biedny, mały człowiek, który ponad wszystkie obowiązki narodowe i ponad szacunek Polski postawił łaskę carską — jakże bardzo musiał się czuć upokorzonym, gdy jedyny jego i tak bardzo ukochany syn z siłą, z fanatyzmem niemal pod przejrzystą zasłoną poetyckich symbolów wypowiadał nienawiść swą do Rosji. Chwalił wprawdzie „Irydjona“ i nazywał go „pięknym“, czegożby jednak nie był dał za to, aby dzieło to nie ukazało się wcale, nie truło mu bezsennych nocy, nie narażało na wstyd, a może i na niełaskę. Bo chociaż ono — rzecz jasna — wyszło bezimiennie, jednak w świecie literackim i w t. zw. „towarzystwie“ wiedziano dobrze, kto jest jego

autorem. W tych warunkach „Irydjon“, zakazany z powodu swego „rewolucyjnego“ charakteru przez państwa zaborcze na ziemiach polskich i dostępny tylko emigracji, zachował w sobie cząstkę tych cech buntu i protestu przeciw otoczeniu, które w wysokim stopniu właściwe są „Nie-Boskiej Komedji“.

* * *

VIII.

OBNIŻENIE LOTU.

Wśród twardych, spiżowych tonów ‚Irydjona“ jest kilka i akordów dziwnie miękkich i subtelnych. Dotyczą one miłości osobistej, a świadczą, że w zakresie tego obszaru uczuć Krasiński uległ zupełnemu przeobrażeniu. W „Władysławie Hermanie“ kreślił sceny miłosne jak naiwny chłopczyna, który przeczytał wiele romansów, ale nie ma pojęcia o życiu — w „Agaj-Hanie“ występują z niezwykłą siłą młodzieńcze namiętności, wybuchy gwałtownego, nieokiełznanego temperamentu, żądza rozkoszy — w „Irydjonie“ pożądania te łączą się z głęboką czcią dla ukochanej istoty, kryją się lękliwie na dnie duszy, a objawiają się w formie niezwykle uduchowionej. Takie sceny, jak np. rozmowa Irydjona z Kornelją, są zbudowane z tak subtelnych drgnień kochającej duszy, z tak niezwykle delikatnych objawów tłumionych lub nieuświadomionych uczuć, że niemal dorównywują pod tym względem dziełom Słowackiego (np. rozmowie Zbigniewa z Amelją w „Mazepie“). Świadczą one wyraźnie, że w życiu Krasińskiego zaszedł fakt ważny, że po młodzieńczych miłostkach poznał on prawdziwą miłość.

Tak było istotnie. Na wiosnę r. 1834-go poznał Krasiński w Rzymie słynną z piękności panią Joannę Bóbr-Piotrowicką i odrazu zapłonął.

Pan Teodor Bóbr-Piotrowicki, [1]) właściciel ogromnych dóbr na Wołyniu, marszałek powiatu Krzemienieckiego, od lat dziewięciu najszczęśliwszy małżonek, pozostawał w zażyłych stosunkach z jenerałem Krasińskim; skorzystał z tego młodziutki poeta i stał się codziennym, niemal natrętnym gościem w salonach państwa Bobrów. Na jego ustawiczne asystowanie pięknej pani i na składane jej oznaki uwielbienia patrzał p. Teodor z pobłażliwością, należną poetom, a pani Joanna z pewnem niedowierzaniem, może nawet z pewnem lekceważeniem. Wszak była od niego o lat pięć starszą, była matką dwu córeczek, o romansowych przygodach nie ma-

rzyła, przy kochającym i kochanym mężu czuła się zupełnie szczęśliwą, mogła więc spoglądać spokojnie na zwrócone ku sobie zapały młodego chłopca. Krasiński jednak umiał w chwilach podniecenia otaczać się takim czarem wyobraźni i wlewać w słowa swoje tyle porywającego zapału, że serca niewieście nie mogły mu się długo opierać. Więc i pani Joanna poczęła zwolna ulegać urokowi młodego poety, zwłaszcza, że uczucia jego, z początku trochę sztuczne i afektowane, pogłębiały się szybko, a pozę zastąpiła zupełna pozornie szczerość. Położenie zaczynało być poważnem.

Przez pół roku towarzyszył Krasiński państwu Bobrom w ich podróży po Włoszech i południowych Niemczech, gdy zaś p. Teodor wyjechał do kraju, pozostawiając żonę i córki zagranicą, młodzi ludzie zawiązali dosyć żywą korespondencję. Wreszcie w lipcu 1834 r. nastąpiło spotkanie w Kissingen, a ponieważ wśród tamtejszej kolonji polskiej powstały plotki, które radość życia mąciły, ułożono drugie, w Wenecji. Pani Joanna jechała tam z głębokiem przeświadczeniem, że do niczego złego nie dopuści, Krasiński zapewniał ojca i siebie, że „zanadto kocha, by uwieść“ — a jednak wśród upajającej atmosfery weneckiej doszło do katastrofy.

Krasiński nie zapatrywał się na sprawę zbyt tragicznie. „Ludzie to zowią błędem — pisze do Sołtana — księża grożą piekłem za to... Biedny to świat, w którym jedyne szczęście przezwali zbrodnią“. Pani Joanna jednak była niepocieszona. Sądziła, że winę swą musi odpokutować i postanowiła donieść o wszystkiem mężowi. Zaczęła toczyć męczącą walkę z rosnącą miłością, walkę bezskuteczną, a objawiającą się w potokach łez i wybuchach rozpaczy. Uroda jej przygasła, zdrowie zaczęło się psuć.

Taki stan rzeczy oddziałał bardzo szybko na uczucia Krasińskiego. Szał minął, miłość uleciała, pozostało poczucie, że jest sprawcą nieszczęścia, że powinien je naprawić. W pewnej chwili powziął nawet myśl nakłonienia p. Bobrowej, aby postarała się o rozwód, i ożenienia się z nią. Ale jenerał zajął wobec tego planu stanowisko tak energiczne, że poeta cofnął się. Zerwać jednak z p. Joanną nie chciał, pomimo zaklęć ojca.

Przedstawiał jenerałowi sytuację z dziwną szczerością. „Przyznaję — pisał — że dawniej uważałem za dosyć chlubne

posiąść kobietę, której wdzięki sławiono, której dobrą sławę ogłaszano. Lecz teraz oczy moje dowiodły mi, że przestała być piękną, Danielewicz przekonał mnie, że stara, zgadzam się z panią Załuską, że nie jest rozumna — jakiż więc pokarm znaleźć w niej jeszcze zdoła moja próżność? Cóż więc dotąd jeszcze stanowi spójnię, trwającą między nami? Szczerze Papie powiem: ...przekonanie o obowiązku, przekonanie, żem wdzięczność jej winien, jasne pojęcie postępowania mojego z nią, które ją przywiodło do smutnych rezultatów, wzdraganie się serdeczne przed myślą, że mógłbym gwałtownem zerwaniem przyprawić ją o rozpacz, wreszcie to, co się zowie delikatnością, dobrem sercem, przyjaźnią, to, co przykazuje mi być raczej ofiarą, niż katem.“ Sprzeciwianie się woli ojca jest jednak walką nie o cel, lecz tylko o... metodę postępowania. „Ale — dodaje — niech Papa nie myśli, że przez to ja zapowiadam przeciągnienie długie jeszcze tych nieznośnych stosunków. Gdybym poszedł za jego radami, skończyłbym je tragicznie; ale ja chcę skończyć prozaicznie, naturalnie, spokojnie, chcę, by się rzecz sama przez się skończyła.“

Ta metoda przewlekania „nieznośnych stosunków“, dopóki same przez się nie zamrą, nie podobała się energicznemu jenerałowi. Nie mogąc złamać uporu syna, nie zawahał się przed atakiem na jego ofiarę: pojechał do pani Bobrowej i wymógł na niej „zrzeczenie się“ wszelkich pretensyj do ukochanego. Drżącą ręką nakreśliła p. Joanna list do Krasińskiego, donosząc mu, że musiała zgodzić się na to, aby napisać do niego po raz ostatni.

I mąż nie okazał się wyrozumialszym i litościwszym. Zawiadomiony przez nią o wszystkiem, zerwał z nią stosunki, pozostawiając jej jedynie wychowanie córek. Odtąd żyła zagranicą, zapomniana przez wszystkich; podobno nie rozstawała się nigdy z pisanemi do niej listami Krasińskiego, jedyną pamiątką przeżytych z nim „chwil jedynych a zbiegłych.“ Przeżyła go o lat trzydzieści, trawiona chorobą umysłową, a wkońcu ślepotą.

Tak smutną była historja pierwszej prawdziwej miłości Krasińskiego. Były w niej zapewne chwile piękne i podniosłe, wiele szczęścia i więcej jeszcze goryczy — a choć nie przysporzyła laurów człowiekowi, była wyborną mistrzynią poety.

Świat miłości stanął przed nim otworem, skala uczuć zwiększyła się i pogłębiła.

Pod wpływem tych wrażeń powstały pierwsze erotyki Krasińskiego. Są one smutne, jak dzieje tej miłości, i często, jak ona, przykre. Chwile szczęścia nie wydały ani jednej strofy, przeszły przez duszę poety niemal niespostrzeżenie — on zbiera tylko żale, rozpacze, notuje myśli o śmierci i grobie. A te właśnie wrażenia i myśli muszą podniecać silnie jego wyobraźnię, bo pod ich wpływem powstał najpiękniejszy zapewne ustęp tych wierszy:

Przed nocą wieczną niech głos twój usłyszę,
Jak pieśń nadziei w godzinie konania,
A może wtedy ponad grobu ciszę
Wejdzie mi blady księżyc zmartwychwstania.
A jeśli, płacząc, na zgasłych źrenicach
Złożysz, jak kwiaty, twoje ciche ręce,
Grób spłonie ogniem i w stu błyskawicach
Słońc nieśmiertelnych obleją mnie wieńce.

Zresztą wzlotów wyobraźni niewiele w nich znajdziemy; przeważa już tutaj tak charakterystyczna dla liryki Krasińskiego refleksyjność. A pośród obaw i pragnień, które wyraża, jedno powraca kilkakrotnie: obawa, aby jego ukochana nie zbrzydła, pragnienie, „by tylko dłużej piękną mu została". W pierwszym zaraz wierszu przebija obawa nie o co innego, tylko o to fizyczne piękno ukochanej: w jaki sposób

... odbić czasu niewstrzymane fale,
Które pląsają koło twego czoła?

co uczynić,

By świeżość wiosny w posępnej żałobie
Nie marła jeszcze na twem drogiem czole?

Poeta taką wagę do tego przykłada, że z dziwną otwartością, jak gdyby przeczuwając zmianę swych uczuć, powiada:

Gdy ty zwiędniesz, ja umrę na wieki.

Natomiast z niezwykłą siłą, z przepyszną przesadą poetycką umie Krasiński kreślić chwile rozpaczy. Nuta ta brzmieć będzie w całej jego liryce najsilniej, a jednak najdoskonalszym może jej wyrazem jest pierwszy jej objaw, przesłany pani Bobrowej.

Serce mi pęka, światło mi umyka
Z przed oczu moich, Wszystko co kochałem,
Jak Bóg, dalekie lub, jak chmura, znika —
Pierś jednak żyje i oddycha szałem,
Choć ręka śmierci przytknięta do serca.
Chyba czas przyjdzie, czas, uczuć morderca,
Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
Na starych gruzach z róż świeżych uwije
Nową koronę lub nauczy szydzić
Z ułud młodości i młodość pochowa,
A pierś ma wtedy, dawnych marzeń wdowa,
Co czciła dawniej, będzie nienawidzieć!

Zapewne niełatwo byłoby pogodzić wybuchający z tego wiersza skrajny pesymizm z optymizmem życiowym, z swobodnem chwytaniem radości i czaru życia, a odwracaniem się od stosunków, które po opadnięciu kwiatów stały się „nieznośne". To też poezja Krasińskiego nigdy nie będzie wiernem odbiciem życia, jakiem była np. twórczość Mickiewicza, i nigdy także pełni życia nie obejmie.

Najpiękniejszym pomnikiem miłości ku p. Bobrowej jest jednak niewątpliwie „Modlitewnik". Stworzyło go oryginalne i nie pozbawione uroku pragnienie, aby ukochana poety modliła się jego słowami, aby w chwilach rozterki duchowej mógł ją pocieszać i łagodzić ból nawet wtedy, kiedy sam był od niej daleko. Czas napisania przypada zapewne na ostatnie miesiące tuż przed ową wenecką katastrofą, która rozkoszną sielankę przemieniła w tragedję. Rzecz bowiem niewątpliwa, że, pocieszając zgnębioną już wiarołomstwem swem kobietę, byłby poruszył niejednokrotnie ten najbardziej obchodzący ją temat, tak, jak w rozmowach z nią musiał niejednokrotnie go omawiać, wysilając się na wszelkie możliwe argumenty usprawiedliwiające — tymczasem w „Modlitewniku" sprawa ta zupełnie nie istnieje. Drugiem świadectwem, przemawiającem za tą właśnie datą, jest fakt, że niektóre ustępy „Modlitewnika" zgadzają się dokładnie z obrazem stanu psychicznego poety, nakreślonym w liście do Gaszyńskiego z dnia 22-go maja 1836 [2]) — z późniejszemi zaś jego nastrojami są w niezgodzie.

„Modlitewnik“ składa się z dziewięciu modlitw. Forma ich jest w zasadzie antyfoniczna, a więc jest formą litanji lub psalmu — ale jest to jedynie punkt wyjścia, temat muzyczny, którym poeta operuje swobodnie. W czasie pisania oddalał się Krasiński coraz bardziej od wzoru i coraz swobodniejszy był lot jego wyobraźni. W treści swej jednak odstępują te modlitwy znacznie nie tylko od przyjętych w praktyce codziennej, tradycyjnych poglądów religijnych, lecz nawet od zasadniczych dogmatów kościoła katolickiego. Jest to wynikiem zajęcia się filozofją niemiecką, przedewszystkiem Schellingiem, i pokrewną jej twórczością Jean Paula i Novalisa.[3])

Bóg jest w pojęciu Krasińskiego przedewszystkiem uosobieniem miłości.

„Tyś miłością jedyną, Tyś ojcem ich (umarłych), Tyś ojcem naszym. Poczęliśmy się w tchnieniu miłości Twojej, żyjemy w niej, och, żyć w niej będziemy na wieki!“

Z tego pojęcia wynika, że wieczne kary, jakieś płomienie piekielne, istnieć nie mogą:

„Świat inny od tego, w którym mi żyć kazałeś, objawia się we mnie.

„Straszne jego postacie i głosy... Nie — nie — Tyś nigdy takich nie stworzył!

„Tyś stworzył piękne kształty i szczęśliwe duchy.

„Tyś stworzył męczenników, idących wśród prób ku chwale Twojej.

„Aleś potępionych nie pomyślał nigdy.“

Aby poglądowi temu dodać siły, posuwa się poeta tak daleko, że wiarę w istnienie piekła, uświęconą dogmatem kościelnym, nazywa bluźnierstwem:

„O Panie, Panie, kiedy szaleństwo rozum mój rozdziera, ja bluźnię Tobie!

„Kiedy wśród nocy drżę wszystkiemi członkami przed wrogiem Twoim, ja bluźnię Tobie.

„Kiedy marzę o płomieniach piekieł, ja bluźnię Tobie — kiedy od Twego lica, od niebios Twoich, lękam się, bym nie poszła na wygnanie wieczne, ja bluźnię Tobie.“

Zupełnie konsekwentnie snują się dalej te myśli: życie jest tylko „próbą doczesną, za krańcami której wonieją nieśmiertelne róże“, a świat „tylko czarną zasłoną przed wejściem do przybytku“ bożego. Śmierci niema.

„Któż mnie zdoła oderwać od Ciebie? Kto między nami nicość wydrąży? Któż uczyni, bym już nie była myślą Twoją, bym nie wróciła do Ciebie?“

To zatem, co nazywamy „śmiercią“, jest tylko przeobrażeniem się, jest powrotem do Boga, powrotem dziecka do domu ojca, a to, co nazywamy „zbawieniem“, jest nieodzowną koniecznością, naturalnym wynikiem istoty bożej i naszego stosunku do Boga:

„To, co stworzyłeś, miłością jest i będzie Twoją.

„Od chwili, w której wyszłam z Ciebie, nieśmiertelna jestem.

„Zbawiona jestem.

„Przez to, że mi życie dałeś, wiekuista jestem.

„Przez to, że mi cierpienie dałeś, cząstce Twojej, dziecięciu Twojemu, Sobie samemu we mnie cierpienie, zbawiona jestem.“

Takie przekonania pragnął Krasiński wsączyć w mózg i serce swej ukochanej. O ile pani Bobrowa miała skrupuły nie tylko moralne, lecz także religijne, oparte na wierze w kary pośmiertne, rozumowanie poety mogło je usunąć zupełnie. Otwierało ono wrota raju wszystkim, którzy cierpią, bo podnosiło już samo życie do godności zasługi, a pierwiastek boży w człowieku akcentowało tak silnie, że stawało na gruncie panteistycznym. To właśnie stanowisko, dostrzegalne w niektórych ustępach „Modlitewnika“, łączy go z szeregiem utworów następnych, mających podkład filozoficzny.

Równocześnie lub wcześniej jeszcze od „Modlitewnika“ powstały fragmenty tragedji historycznej p. t. „Wanda.“ Wykończoną zupełnie „część pierwszą“ tego utworu i początek drugiej przepisał Krasiński w pierwszej połowie roku 1837-go [4]) z niedochowanego bruljonu z zamiarem kontynuowania jej — ale praca szła opornie, wreszcie ustała zupełnie. Powód tego leżał prawdopodobnie w zbyt wysokim, prawie niemożliwym do osiągnięcia celu, jaki sobie poeta postawił. Autorowi „Irydjona“ nie mogła się uśmiechać myśl zwykłego, banalnego udramatyzowania legendy o owej królowej, która

umarła, „bo nie chciała Niemca"; pragnął przedstawić na tle tego podania alegorję czy symbol Polski, walczącej z cudzoziemczyzną. „Wandy myt jest przecudownym dla poety, który pod jego postacią pojmie wieczne losy Polski, zagarnianej ciągle cudzoziemczyzną, a wolącej zawsze w przepaść skoczyć, niż jej się poddać" — pisał do Gaszyńskiego.[5]) Dodawał jednak równocześnie, że „to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem." Do tak pojętego poematu mogły mu być podnietą tragedje, pisane na ten temat przez Zacharjasza Wernera, Franciszka Wężyka i Euzebjusza Słowackiego (innych zapewne nie znał), ale też mogły, a może i musiały opaść mu ręce, gdy spostrzegł, że celu nie dopnie, że, jak jego poprzednicy, pisze tylko — kronikę dramatyczną. Jest bowiem faktem, że w pozostałych fragmentach zrealizowania idei, podniesienia Wandy na wyżynę symbolu „wiecznych losów Polski" dojrzeć nie można.

Fabuła poematu oparta jest na znacznie zmienionem podaniu, zaczerpniętem z Kadłubka. Oto Krakus, król Polan, miał dwu synów, dzielnego Ziemowita i chytrego Leszka, i jedną córkę, „urodziwą, hardą, w brzęku cięciw zakochaną Wandę." Między rodzeństwem wcześnie powstała waśń, bo Leszek i Wanda nienawidzili Niemców i czcili ojczystych bogów, Ziemowit zaś „Boga Chrystusa widziaj cień już nadchodzący" a więc i ku niosącym nową wiarę Niemcom nie czuł odrazy.

Zjawia się straszliwy smok; Ziemowit postanawia go zabić, a Krakus obiecuje mu za to tron po swoim zgonie. Lecz, gdy Ziemowit przybył do jaskini potworu, zastał go już nieżywym. To Leszek „ognistemi skórę byka wypchał jadami", a „smok połknął drzemiące płomienie" i zdechł. Uradowany lud okrzykuje Leszka następcą tronu, a Ziemowit w przystępie gniewu zabija brata w oczach ojca. Umyka z kraju, błąka się po świecie, ścigany przez zjawiające mu się raz po raz widmo ofiary, odbywa pielgrzymkę do Rzymu i wreszcie zjawia się po latach w zamku Rytygiera. Rytygier, zachwycony jego siłą i odwagą, nazywa go swym przyjacielem i przyrzeka odzyskać mu tron ojca, na którym króluje obecnie Wanda.

Ziemowit i Rytygier stają z wojskiem nad granicą Polan; w ciągu pięciodniowego miru biskup niemiecki próbuje nawrócić zebranych wojewodów i lud polański. Otrzymawszy stanowczą odmowę, wypowiadają Niemcy wojnę. Rytygier, ujrzawszy Wandę, olśniony jej pięknością, o niej tylko myśli, Ziemowit zaś zyskuje sobie pomoc wojewody Brzetysława.

Część drugą rozpoczyna scena na Podhalu. Ślepy „wojewoda gór", Żelisław, przygotowuje hufce góralskie na pomoc Wandzie; na prośbę syna, Hardymira, posyła do niej w jego imieniu dziewosłębów.

Oprócz tych wykończonych już ustępów pozostał plan całej części drugiej i dwu pierwszych obrazów trzeciej. Rytygier miał, przebrany za starca, wejść na zwołane przez Wandę obrady wojewodów. Tam, poznany przez Wandę i wreszcie ocalony przez nią, wzbudził w niej uczucie tak silne, że, odprawiwszy dziewosłębów Hardymira, poświęca się ona na dziewicę bogini Wisły. W trzydniowej walce z najeźdnikami Polanie ulegają, Wanda i Hardymir znikają z pola bitwy, a zwycięzcy rozpoczynają rządy nad krajem.

Tak snuł się plan poematu, dopóki wyobraźnia nie odmówiła poecie posłuszeństwa. Dlaczego się to stało, wspomnieliśmy już wyżej.

W niektórych scenach jest niewątpliwie siła i plastyczność sytuacyj i charakterów, główne postaci są zakrojone na wielką miarę i tchną prawdziwą nieraz wielkością — ale pomimo to nie odczuwa się tej wielkości w akcji samej i niema jej w otaczającej bohaterów atmosferze. Styl przypomina niekiedy „Irydjona" — ale z ponurej posągowości tego poematu niema tu ani śladu, chociaż temat jest równie ważny i podniosły. Sprawa niepodległości Polski, będąca osią utworu, nie zdołała zapanować nad akcją, nie zabarwiła jej sobą — pozostały tylko osobiste plany i intrygi Ziemowita, Rytygiera, Hardymira i Wandy. Fragmenty „Wandy" są dziełem, z którego mógłby być dumnym jakiś drugorzędny poeta, z których jednak autor „Irydjona" nie mógł być zadowolony.

Jeżeli rozpoczęcie „Wandy" było wynikiem jasno sformułowanego programu dalszej pracy, jeżeli następnie w tym programie „Irydjon" odgrywał rolę wzoru stylistycznego dla pewnych utworów, to niemożność utrzymania się na wysokości tego najbardziej wykończonego i najstaranniej opracowanego dzieła musiała mieć konsekwencje nie tylko dla

„Wandy.“ Widząc, że „mózgu nie nastroi na ton natchnienia“, które w opowieści o synu Amfilocha żarem swym stopiło treść i formę w tak jednolity, dźwięczny kruszec, żegna się ze stylem irydjonowym na zawsze, a zwraca się do epoki wcześniejszej, do dzieła, które również miało swój wyraźny, odrębny i oryginalny styl — do „Agaj-Hana.“

Był jednak inny jeszcze, głębszy i ważniejszy powód tego zwrotu. Forma „Agaj-Hana“ była zastosowaniem w większem dziele sztuki tych wszystkich zdobyczy, jakie poczynił Krasiński w ciągu pracowitego i owocnego okresu genewskiego. Przedewszystkiem w język utworu weszły owe liczne ozdoby, przejęte z poezji rymowanej, a nadające mu pewną błyskotliwość, obcą zazwyczaj prozie — następnie zaś uwydatniła się tam w wysokim stopniu jego skłonność do wizyj, która wybiła swe piętno na kompozycji utworu, na rozbiciu go w szereg małych, jaskrawo zaznaczonych obrazków. Była to zapewne spuścizna po „Śnie Elżbiety Pileckiej“ a pośrednio po „Śnie“ Byrona. Wydelikacona forma łączyła się z subtelną treścią i ten szereg minjatur tworzył właśnie styl całości. Krasiński, urodzony wizjoner, czuł widocznie, że ten rodzaj twórczości odpowiada najlepiej może jego usposobieniu i dlatego powraca do niego — na stałe. Ogromna większość utworów, które odtąd będą powstawały, będzie miała charakter wizji — o ile zaś siła uczucia nie wniesie w nie formy wierszowanej (np. „Przedświt“), będą one wyrażone w uszlachetnionym stylu „Agaj-Hana.“

Najważniejszym jednak powodem tego zwrotu jest choroba oczu. Od czasów petersburskich nie przestaje ona dręczyć poety raz mniej, raz więcej, rabując mu możność intensywnej obserwacji, pozbawiając świeżych wrażeń i zmuszając do życia wewnętrznego. Wyobraźnia, nie zasilana dostatecznym napływem nowego materjału, ograniczać się musi do wspomnień, nie zawsze jasnych, i dokładnych. Poeta często narzeka na to i sam stwierdza, że jego „przeklęte oczy nigdy mu nie dozwalają żyć na zewnątrz, jeno wewnątrz gryźć się i męczyć przymuszają.“ Dochodzi do tego, że ból oczu mechanicznie już potęguje zdolność stwarzania halucynacyj i ułatwia pracę wyobraźni, a płynąca stąd rozkosz duchowa wynagradza sowicie cierpienie fizyczne. „Źle mi było i jest na zdrowiu — pisze do Trentowskiego — a kiedy mówię „na zdrowiu“, to zawsze znaczy „na duszy i umyśle“; cierpienia albowiem ciała rajem mi się wydają w porównaniu z chorobą, która mnie wszelkich umysłowych władz pozbawia, gdy mnie napadnie. Co najszczególniejszego, że, gdy oczy na powierzchni swej zaczną boleć, wtedy wewnątrz mózgu staje mi się widniej i duch się krzepi i rozbłękitnia; gdy oczy przestaną, znów w duszne zapadam ciemnie, tak, że mi prawie ocaleniem, kiedym bliski utraty wzroku.“ [6])

Stany te zrozumiemy łatwiej, jeżeli sobie zdamy sprawę z siły tych wizyj. Pod ich wpływem znikał poecie z oczu świat, który go otaczał, a powstawał świat inny, tak realny, tak dla niego rzeczywisty, że przestawał być czemś obcem, że wchłaniał go i zmuszał do życia i działania wśród siebie. Kiedy w r. 1838 zwiedzał stary, gotycki zamek Fürstenstein, zachowany wewnątrz dokładnie w stanie z r. 1500-go, tak opisywał Sołtanowi swe wrażenia: „Patrz, jak zamarzyć się może dusza, jak śnić na przekór rzeczywistości! Boże, pewno wiele cierpień spłynęło na mnie z powodu wijących się ciągle mar w wyobraźni mojej, ale też nieraz wśród tych widziadeł doznałem szczęścia. Wczoraj, Adamie, mimo niespokojność, mimo tęsknotę, panowałem z tej wieży całej dolinie: mój surdut w kolczugę się przedzierżgał, nie kapelusz, ale hełm przytykał mi do skroni, i patrzyłem na drogę daleką, kędy jechać ma „ona“, i zapraszałem ją do tego zamku. Działo się to wszystko 1500-go roku. Dziś znów, 20-go maja 1838 r., deszcz pada, w bilard gram z Danielewiczem. Przyznaj, żem długą drogę przebył od wczoraj wieczór“... [7]) Tak więc jednego dnia był Krasiński rycerzem z r. 1500-go i, przybrany w hełm i kolczugę, „panował całej dolinie“ — drugiego dnia grał w bilard z Danielewiczem. A niema w tem żartu, czy dowcipu: wrażenia, przeżyte w wyobraźni, były równie silne, jak te, które przeżywał w swem codziennem otoczeniu, o tyle może nawet silniejsze, że dawały mu chwile wymarzonego szczęścia.

Pierwszym objawem powrotu do genewskich form twórczości są „Noc letnia“ i „Pokusa“.

Czasu napisania „Nocy letniej“ nie można oznaczyć ściśle i dokładnie. W listach poety głucho o niej zupełnie —

chyba, że będziemy się jej domyślali w liczbie owych „kilku rzeczy“ zaczętych, o których w czerwcu 1837 donosi Gaszyńskiemu. Szczegóły treści każą przypuszczać, że utwór ten powstał w pierwszym swym zarysie wtedy, kiedy poeta z powodu planu zaślubienia p. Bobrowej był na stopie wojennej z ojcem, a przelotnie myślał nawet o samobójstwie. Autograf popiera to przypuszczenie. Papier, na którym Krasiński „Noc letnią“ z brulionu przepisał, ma w znaku wodnym datę „1836“ i „1837“ — przedmowa, wyprzedzająca zapewne na krótko oddanie rękopisu do druku, powstała 15-go sierpnia 1840, więc w obrębie tych dwu dat, 1836—1840, musiała „Noc letnia“ przejść wszystkie fazy wykańczania. Ponieważ jednak z wiersza do Adama Sołtana wiemy, że autograf „długo“ u niego leżał — ponieważ z notatki na autografie można wnioskować, że przed oddaniem do druku również długo leżał u Delfiny Potockiej, więc powyższy okres czasu można zcieśnić i przyjąć drugą połowę r. 1836 i rok 1837 za czas narodzin tego utworu. Podobno miał Krasiński „Noc letnią“ i „Pokusę“ opowiadać p. Bobrowej w maju 1838 r. [8])

Bohaterem jest tu dumny magnat, bratający się z nieprzyjaciółmi swej ojczyzny i córkę swą, jedyną latorośl rodu, oddający za żonę obcemu księciu, który zobowiązał się nazwisko jego przybrać za własne i przekazać potomkom. Ale córka jego kocha swego bratanka, wodza powstańców; ulega wprawdzie woli ojca i oddaje swą rękę najezdnikowi, ale po zaślubinach błaga ukochanego o śmierć, aby nie ulec spodleniu wśród obcych. Młodzieniec zabija ją i siebie, dumny magnat ginie w obłąkaniu, a obcy książę zagarnia olbrzymie jego posiadłości.

Motywu fabuły dostarczył Krasińskiemu fakt rzeczywisty a głośny: małżeństwo księżniczki Stefanji Radziwiłłówny z Rosjaninem, ks. Ludwikiem Sayn-Wittgensteinem. Ślub ich odbył się w kwietniu 1828 r. za staraniem cara Mikołaja. Panna młoda przyniosła mężowi w posagu olbrzymie dobra, obejmujące przeszło miljon hektarów ziemi, która w ten sposób przeszła z rąk polskich w rosyjskie. [9]) Poeta, spokrewniony przez matkę z Radziwiłłami, musiał znać dokładnie szczegóły tego faktu — użył go jednak tylko jako punktu wyjścia dla zupełnie zmyślonej fabuły. Podczas zaślubin ks. Radziwiłłówny z Rosjaninem nie zaszedł żaden krwawy czyn, a ojciec jej, ks. Dominik, nie żył wówczas oddawna. Czyżby zatem cała reszta opowiadania miała powstać na zimno, dla sensacji, tak, jak powstał niegdyś „Grób rodziny Reichstalów?“ Taka możliwość jest zupełnie wykluczona — było raczej wprost przeciwnie. Uważniejsze wglądnięcie w treść „Nocy letniej“ wskazuje, że składa się ona z pierwiastków, które w duszy Krasińskiego były bolesnemi, krwawiącemi ranami, które składały się na dramat jego życia.

Oto magnat, który niegdyś był patrjotą, a potem wszedł w związki z królem najezdników i walczących o wolność rodaków nazywa „podłymi buntownikami“. Rządzi nim wszechwładnie duma rodowa i dla niej poświęca los jedynego dziecka. Oto młodzieniec, walczący na czele powtańców o wolność ojczyzny. Dumny magnat, krwią najbliższy mu z ludzi, niegdyś „pierwszy usta jego nauczył imienia ojczyzny“ — dziś nienawidzi w nim buntownika. Młodzieniec kocha kobietę i ma jej wzajemność, ale ona została już żoną innego. To dumny magnat był przeszkodą ich związku i ich szczęścia. Cóż pozostaje młodzieńcowi? Chyba samobójstwo! A wtedy zatwardziały starzec zginie z rozpaczy.

Starzec z „Nocy letniej“ ma wyraźne rysy ojca poety, zwłaszcza wtedy, gdy idzie o jego stosunek do jedynego dziecka. Kocha je nad życie, ale nie nad dumę własną, nad dumę rodową. Przed tą dumą musi jego najdroższe dziecko ugiąć się i ustąpić. Przed groźbą? Nie, przed błaganiem. „Ach, ojciec przyszedł, i prosił, i błagał. Ty wiesz, jakim twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przeklęstwa łzami przesłonił, i wzdychał, i skarżył się na jedyne dziecko, że go spycha do grobu.“ Czyż nie w tych samych niemal słowach opowiadał Krasiński Reeve'owi, jak go ojciec odwiódł od niezbyt zresztą stanowczego zamiaru wstąpienia do wojska polskiego w r. 1831?

Młodzieniec powiada, że nie może dłużej być wodzem powstańców, bo musiałby stać się sędzią dumnego magnata. „Gdybym dniem dłużej przeżył, wiesz-li, czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? O, idźmy stąd razem,

siostro! Tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy". Tak napisał Krasiński, a myślał: „tam przeciw ojcom nie walczą synowie".

Czy jednak myślał tak istotnie? Czy te skragi i aluzje, zwrócone przeciw własnemu ojcu, weszły w „Noc letnią" z całą świadomością poety? Czy on, pisząc, zdawał sobie jasno sprawę z tego, że to lub owo słowo zaboli jego ojca i czy chciał może, aby mu one były bolesnem przypomnieniem i przestrogą? Zbyt mało znamy tajniki twórczości Krasińskiego, aby na to pytanie dać stanowczą odpowiedź — zdaje się jednak, że tak nie było. Ten dziwny konglomerat prawdy i zmyślenia, bolesnych faktów, wyjętych z własnego życia, i zupełnie obojętnych wytworów wyobraźni musiał splątać się i stopić już w duszy poety pod wpływem gorączki twórczej, która nie pozwalała mu wówczas nawet odróżniać poszczególnych składników. Pod tym względem jest „Noc letnia" dziwnie podobna do „Nie-Boskiej Komedji". Poeta rozdwaja się tu, podobnie jak hr. Henryk: raz jest młodzieńcem, to znowu panną młodą. Młodzieńcem jest wtedy, kiedy roi o walce za ojczyznę i kiedy przedstawia swój stosunek do p. Bobrowej — panną młodą wówczas, kiedy oskarża ojca o stosunki z wrogiem i kiedy, zlitowawszy się nad nim, ulega jego woli, ale pragnie raczej umrzeć, bo obawia się, że go „zapędzą na dwór królewski, pomiędzy obce twarze, i ułudy, i pychy". A kiedy w nicość się rozwiały dumne plany starca, kiedy on w rozpaczy sam wyjaśnia powód swego losu: „Ha, Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze!" — wtedy czyż nie przypomina owego wyroku, który przeklina hr. Henryka za to, że „nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli swych?" Proces twórczy obu tych dzieł musiał być, jeżeli nie taki sam, to przynajmniej bardzo zbliżony. Że wynik ich jest tak bardzo różny, sprawiła przedewszystkiem różnica formy. Tam urywkowe, lakoniczne sceny dramatyczne, wyrzucone prosto z rozgorączkowanej wyobraźni na papier i zastygłe w tej pierwotnej swej postaci — tu wycezylowana, wymuskana i wypieszczona forma sennej wizji, która kształty pierwotnego pomysłu zacierała w licznych opracowaniach i poprawkach i nareszcie zatarła niemal zupełnie. Jest to forma, w które najstraszniejsze nawet dramaty tracą swoją grozę i stają się tylko misternem cackiem.

Wspólnie z „Nocą letnią", w tym samym tomiku, wydał Krasiński „Pokusę". Według świadectwa Stanisława Małachowskiego miała ona powstać w Wiedniu w r. 1833 [19]), więc bezpośrednio niemal po bolesnym pobycie w Petersburgu, a równocześnie z pierwszym rzutem „Nie-Boskiej Komedji". Nie jest to niemożliwe. Przedewszystkiem widać w stylu i w sposobie traktowania szczegółów jakby dwa pokłady: właściwe opowiadanie, nieraz bardzo przejaskrawione w szczegółach i często rażące przesadą, obok wstępu i zakończenia, których ton jest wyższy, szlachetniejszy, a styl bardziej wyrobiony. Być zatem może, że Krasiński dawny rękopis przerobił w epoce pisania „Nocy letniej" i dodaniem owych dwu ustępów postawił na tej wyżynie ideowej, do której nie sięgał jeszcze w r. 1833-im, owa zaś przesada i jaskrawość szczegółów może być wynikiem świeżości wrażeń petersburskich. Bądź co bądź, „Pokusa" jest tak ściśle związana z „Nocą letnią", że ostateczne jej opracowanie musiało nastąpić równocześnie z powstaniem tamtej, a więc około r. 1837-go.

Treścią „Pokusy" są losy młodzieńca, który przybywa do stolicy potężnego wroga swej ujarzmionej ojczyzny. Olśniony bogactwami i majestatem „jedynowładcy", który ojczyznę jego zagrabił, zapomina zwolna o swem pochodzeniu, osiada wśród wrogów, przybiera ich strój i obyczaje, a wreszcie pojmuje za żonę kobietę z ich plemienia i składa „jedynowładcy" przysięgę wierności. Wtedy nawet wrogowie poczynają gardzić zdrajcą, a jedynem lekarstwem, jedynem zbawieniem staje się dla niego śmierć. Zadaje mu ją wierny przyjaciel i wybawia go w ten sposób od męczarni sumienia i od może głębszego jeszcze upadku i zhańbienia.

Oba utwory łączą się z sobą bardzo ściśle i formą i ideą. Formą ich jest jakby zamglony obraz wizji sennej (w „Nocy letniej": „Widziałem, kiedy ją wiedli" — w „Pokusie": „I ujrzałem, jakoby w cudownem widzeniu..."). Postaci są pozbawione wyrazistych rysów i podobniejsze do widziadeł, niż do żywych ludzi, z wyjątkiem dokładnie i starannie nakreślonej osoby starca w „Nocy letniej", szczegóły opowiadania pozbawione cech realnych, jakby mgłą pokryte. Budowa

utworów, ich kompozycja, niemal zupełnie ta sama: akcja podzielona na szereg odrębnych obrazów, a czas jej obejmuje w obu utworach 24 godzin i kończy się o świcie. Styl wreszcie, przesycony liryzmem, kwiecisty i nieco przesadny, stanowi węzeł ostatni. Forma ta oddziaływa silnie na treść utworów, wyklucza bowiem energiczne podkreślanie faktów i niekiedy graniczy niemal z ckliwością — ma jednak swój wyraźny, odrębny charakter i wszelkie właściwości skończonego stylu. Dodajmy, że styl ten był w naszej literaturze taką samą nowością, jak styl „Irydjona“, i że go niejednokrotnie naśladowano.

Idea utworów leży w ich treści. Przedstawia ona stosunek naszej arystokracji do państw zaborczych — w obu wypadkach do Rosji — i z niezwykłą siłą piętnuje jej postępowanie jako haniebną zdradę. Krasiński posuwa się tu w surowości swej znacznie dalej, niż inni nasi poeci, którzy za zdradę kraju uważali jedynie zbrojne łączenie się z wrogiem przeciw własnej ojczyźnie („Żywila“, „Jan Bielecki“, „Duma o Michale Glińskim“ Niemcewicza, „Piotr Pszonka Jasieńczyk“ Goszczyńskiego itd.). On piętnuje jako zbrodnię to, co my często rozgrzeszamy jako wynik słabego charakteru lub usprawiedliwiamy powodami tak błahemi, jak np. stosunki materjalne. Wszelkie łączenie się z ciemięzcami ojczyzny, zapominanie o obowiązkach narodowych, wypieranie się tradycji i obyczajów ojczystych, przenoszenie „widomej rzeczywistości nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdę“ idei polskiej — to wszystko osądza Krasiński jako zbrodnię. Zbrodnia to tak straszliwa, tak haniebna, że jedynym jej równoważnikiem jest śmierć — a śmierć tę uważają jego bohaterowie za wybawicielkę tak dobroczynną i tak świętą, że zadają ją winowajcom nawet ze słowami modlitwy na ustach.

Dopiero w tem oświetleniu występuje jasno znaczenie tych dwu utworów. Są one — po „Nie-Boskiej Komedji“ — ponownym buntem przeciw otoczeniu, w którem żyje, nie wyłączając własnego ojca, protestem zacnego Polaka przeciw haniebnej frymarce sumieniem narodowem, przeciw zaprzedawaniu się wrogom ojczyzny za ordery i zaszczyty. W wystąpieniu tem był objaw odwagi cywilnej i niemała zasługa społeczna.

Do grupy utworów, związanych pośrednio z osobą p. Bobrowej, należy jeszcze ogłoszony niedawno z rękopisu „Herburt.“ Powstał prawdopodobnie w r. 1837 pod wpływem przykrych wspomnień z Ischlu, gdzie kilka bawiących tam Polek zatruwało Krasińskiemu życie plotkami, dotyczącemi jego i p. Bobrowej. Na tem tle powstało zapewne to opowiadanie, w którem poeta sam odgrywa rolę bohatera, p. Bobrowa nazywa się p. Horyńską, a tło stanowią zaobserwowane w niemieckich miejscach kąpielowych typy, przeważnie zamożnej szlachty polskiej. Główny węzeł fabuły, uratowanie dwu kobiet od wściekłego psa, jest naturalnie zmyśleniem, które uwydatnia tem dokładniej kontrast, zachodzący pomiędzy szlachetnym poetą Herburtem i niewinną p. Horyńską, a złośliwem i głupiem otoczeniem.

Jak utwór ten nazwać i za co go należy uważać? Wydawca umieścił pod tytułem słowo: „ułamek“ — na czem oparte, niewiadomo. Nic bowiem nie świadczy, aby to miał być jedynie początek jakiejś powieści, która musiałaby być zakrojona na bardzo znaczne rozmiary; opowiadanie ma swoje zupełnie wyczerpujące zakończenie w zwycięstwie moralnem poety nad brutalnym p. Horyńskim i trudno sobie wyobrazić, jaki mógłby być dalszy motyw akcji. Jeżeli zaś tak jest istotnie, jeżeli mamy do czynienia z wykończoną całością, to trzeba zaznaczyć wyraźnie, że wykonanie jej nie udało się Krasińskiemu.

Śmiertelnym grzechem „Herburta“ jest brak harmonji pomiędzy poszczególnemi ustępami, brak jakiegoś jednolitego tonu. Jest tu kilka wybornie zaobserwowanych i świetnie nakreślonych scen salonowych, przedewszystkiem utarczka małżeńska pp. Fasalskich, której mogliby zazdrościć Krasińskiemu pierwszorzędni humoryści nowożytni; jest przepiękny traktat o poezji, zawierający interesujące wyznanie wiary swego twórcy, jest wreszcie opis snu Herburta, w którym on, prowadzony przez Dantego, ogląda piekło społeczne i polityczne XIX wieku — ale wszystkie te ustępy kłócą się ze sobą swym stylem, a w znacznej części nie mają żadnego związku z akcją. Naco była potrzebna podniosła wizja poetycka w charakterystyce bohatera, który ma jedynie zabić wściekłego psa, uciąć sobie palce i dać nauczkę głupiutkiemu

dorobkiewiczowi? Jak pogodzić bolesny obraz moralnego upadku szlachty polskiej, obraz, nad którym sam dostojny Dante łzy wylewa, z utworem, wyszydzającym salonowe plotki? Widocznie składał Krasiński w „Herburcie“ swe obserwacje i pomysły, ale nie złączył ich z sobą w jednolitą całość, nie opracował należycie.

Najbardziej jednak rażą tu ustępy, w których sam autor występuje, przedstawia czytelnikowi swych bohaterów, wyjaśnia swoje plany artystyczne i wprowadza w tajniki akcji. Jeżeli o tych właśnie „humorystycznych pomysłach“ donosił Krasiński Gaszyńskiemu, to miał zupełną słuszność, zaznaczając, że „to wszystko oporem stąpa.“ Silił się na swobodny, dowcipny ton opowiadania, a napisał rzecz nienaturalną, artystycznie bardzo słabą. Sąsiedztwo tych ustępów z wizją Herburta jest w twórczości autora „Irydjona“ czemś poprostu zdumiewającem.

* *
*

Musimy znowu pobieżnie zajrzeć w życie, a raczej w serce Krasińskiego. Wszak w sercach poetów leżą tajniki co najmniej połowy ich twórczości.

Stosunki Krasińskiego z p. Bobrową były tragedją nie tylko dla nich obojga — choć w znacznie różnym stopniu — bolały one dotkliwie także ojca poety. Było to uczucie takie, jakiego mógł doznawać starzec z „Nocy letniej“: w wysokim stopniu egoistyczne, bo w jedynaku leżała cała jego duma i całe szczęście, ale zdolne do wszelkich poświęceń, do użycia wszelkich środków, byle ten przedmiot jego radosnej dumy szedł w wymarzonym przez niego kierunku. Jak umiał być czynnym i energicznym w obronie szczęścia jedynaka, jak wszelkie względy ludzkie umiał w tym celu bezwzględnie podeptać, dowodzi owo wymuszenie na p. Bobrowej listu pożegnalnego do człowieka, któremu poświęciła wszystko i który jeden tylko jej pozostawał jako osłoda gorzkiej doli. Ale i ten bohaterski czyn jenerała nie zdołał zwrócić Krasińskiemu spokoju i zadowolenia — myśl o p. Bobrowej zatruwała mu życie. Wtedy postanowił jenerał klin wybić klinem. Napisał do bawiącego wówczas w Rzymie jedynaka, aby starał się po-

znać z niejaką panią Delfiną z Komarów Potocką, która nie żyje z swym mężem i bawi z rodziną we Włoszech. Jest to osoba bardzo miła i inteligentna i ze wszech miar godna bliższego poznania.

Krasiński nie spełnił tego polecenia. Wówczas jenerał, przybywszy do Włoch, sam się podjął roli pośrednika i w wigilię Bożego Narodzenia 1838 r. wprowadził syna do domu państwa Komarów w Neapolu. Skutek był niesłychanie szybki i przeszedł wszelkie oczekiwania jenerała. Zainteresowany od pierwszej chwili tą „dziwną osobą“, staje się Krasiński po tygodniu jej powiernikiem i pocieszycielem, po miesiącu już ukrywa przed przyjacielem, a może i przed sobą, silniejsze znacznie uczucia, aby w trzecim miesiącu znajomości wyznać otwarcie, że ją „kocha szczerze i na zawsze.“ W przeciągu kilku tygodni stała się biedna p. Bobrowa dla zmiennego poety tylko niewyraźnem, zatartem wspomnieniem, a miejsce jej zajęła tryumfalnie i niemal oficjalnie p. Delfina Potocka. Jenerał spostrzeże wkrótce z przerażeniem, że przechytrzył sprawę, że wpadł z deszczu pod rynnę, i gorzko a po niewczasie będzie żałował swej interwencji. P. Delfina nie pozwoli się usunąć z drogi tak łatwo, jak jej poprzedniczka, i zdobytą pozycję utrzyma przez długie, długie lata.

Była to istotnie „dziwna osoba.“ W tym samym roku urodzona, co p. Bobrowa, a więc o pięć lat od Krasińskiego starsza, miała w chwili, gdy ją poznał, lat 31 i bardzo burzliwą przeszłość. Jej niezwykła uroda i rozłączenie z mężem, panem Tulczyna, czyniły ją przedmiotem zabiegów licznych lwów salonowych wielkiego świata, a ona nie ustępowała z drogi niebezpieczeństwom i po bohatersku przetrwała długi szereg skrajnie romantycznych przygód, których bohaterami były najrozmaitsze wielkości paryskie od ks. Orleańskiego począwszy aż do Chopina. Przyniosło jej to opinię głośną i ustaloną, ale bardzo niepochlebną, a nadto znaczne doświadczenie życiowe, które w stosunku z Krasińskim mogło odegrać niemałą rolę. Wewnętrzna wartość tej pięknej, próżnej i „przepsutej Paryżem i Londynem“ kobiety była jednak niecodzienna. Pani Delfina była wyborną znawczynią muzyki, śpiewała tak pięknie, że zestawiano ją z największą gwiazdą ówczesną, Malibranową, próbowała sił swoich w malarstwie

nie bez pewnego powodzenia i była oczytana w zakresie literatury romantycznej, przedewszystkiem francuskiej, co wszystko — przy wielkim sprycie życiowym — pozwalało jej odgrywać rolę biegłego sędziego we wszelkich sprawach sztuk pięknych. Czyż młody poeta mógł przejść obok takiego zjawiska obojętnie?

A jednak Krasiński nie odrazu poszedł w niewolę: raził go ton wyższości, z jaką go p. Delfina traktowała. Spostrzegłszy to, piękna pani zmieniła natychmiast taktykę i z dumnej, imponującej stała się nagle słabą, nie mającą nigdzie oparcia, a tak bardzo potrzebującą pociechy. Pankracy powiedziałby, że „zagięła palec popod serce jego — trafiła do nerwu poezji.“ Plan był dobry i udał się. „Gdybym był spotkał Delfinę wtedy, kiedy błyszczała próżnością — pisał poeta do przyjaciela — byłbym się od niej odwrócił, nigdy słowa do niej nie wyrzekł; ale teraz jest to taka biedna, zewsząd napadnięta, w każdym punkcie zraniona kobieta, a zarazem harda w boleści, nie żebrząca nigdy politowania, a przyjmująca je, kiedy szczerze danem, że... gawędzę z nią przez długie godziny.“ W tych gawędach, coraz bardziej poufałych i zażyłych, tkwił trujący narkotyk, z którego już niemal do końca życia nie potrafił się otrząsnąć. Napróżno czynili mu przyjaciele gorzkie wymówki, darmo drwił z niego jenerał, gratulując mu ironicznie zdobyczy, którą już przed nim zdobyła „cała Europa“ i darmo wymieniał mu długi szereg poprzedników — Krasiński nie śmiał wprawdzie mówić już o małżeństwie, ale stanowiska swego wobec p. Delfiny nie zmienił w niczem. Co więcej, stosunek ten potężniał z dniem każdym, węzły zaciskały się coraz bardziej, obejmowały coraz dalsze i szersze kręgi i wreszcie urocza dama stała się głównym ośrodkiem duchowego życia Krasińskiego. Z nią były ściśle związane wszystkie jego rojenia o szczęściu, ona stała mu się wzorem piękna duchowego, ona była powierniczką jego najskrytszych myśli, jego planów poetyckich, jego poglądów społecznych, politycznych i religijnych, a nawet teoryj filozoficznych. Dla niej powstały co najmniej trzy czwarte jego utworów lirycznych, ona występuje we wszystkich niemal poematach, napisanych od chwili jej poznania — jednem słowem zajmuje w twórczości jego stanowisko niesłychanie ważne.

Co łączyło tych ludzi i jaka była podstawa ich dziwnie trwałego stosunku?

Podstawa była niewątpliwie fizjologiczna, leżała w namiętnej, zmysłowej organizacji obojga. Narzekania Krasińskiego na świat, który „j e d y n e szczęście przezwał zbrodnią“, podzielała p. Potocka najzupełniej, a największa część ich rozpaczy i skarg, wypełniających utwory drobniejsze, czasem zaś odbijająca się także w większych poematach, pochodzi stąd, że tego szczęścia nie mogli używać zupełnie otwarcie, że im je mąciły „plotki“.

Te naturalne węzły umiała p. Delfina wzmacniać i urozmaicać pewną teatralną dramatycznością, która na poetyckie usposobienie „brata“ oddziaływała bardzo silnie. Czy to przybieranie łatwej pozy teatralnej było cząstką jej bogatej natury, czy też wytworem sztucznym, obliczonym na efekt — trudno rozstrzygnąć; faktem jest, że Krasiński traktował te pozy poważnie i — możnaby powiedzieć — radośnie, bo one tworzyły mu z banalnego stosunku poemat i przysłaniały sobą jego pospolitość. W uroku tej sztucznej tragiczności leżała też główna tajemnica wpływu p. Potockiej na autora „Przedświtu“, wpływu, do jej wartości moralnej stanowczo nieproporcjonalnego.

Dowodów na to jest wiele. Występują one jaśniej i prościej tam, gdzie wypadki życia nie uległy jeszcze poetyckiej przeróbce, gdzie są tylko zaznaczone. Jako przykład niech nam posłuży ustęp z niedrukowanego dotychczas dzienniczka poety, pisanego w Rzymie w r. 1839, zaledwie w trzy miesiące po poznaniu p. Delfiny. Posłuchajmy:

„27-go marca. Miserere — kościół św. Piotra w zmierzchu. — Ona, oparta na mojem ręku, patrzy na tę wieczność błędną piękności — potem wyjście. — Te dwie fontanny — ten księżyc — ten błękit — ten zaokrąglony uścisk kolumn z obu stroń dziedzińca. Czuję w drżeniu jej ręki, że jej dusza woła: „Świat ten piękny, Boże!“

„O 11-ej w nocy do Koliseum — oprowadzam ją po amfiteatrze — księżyc tak anielsko czuwa nad tym ogromem przeszłości. — Ona zawsze ku brzegowi przepaści mnie ciągnie. — Pochodnię przewodnika chwyta w ręce — oddaje mi perły

swoje. — Siada na wiszarze obłamanych sklepień i zagląda wdół i pyta: „Gdybym się rzuciła?“

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

„Księżyc płonie w oknach. — Zostaliśmy sami w cieniu. — Obok niej światło miesiąca pełznie i umaja blado kobierzec i ściany. Wśród tej sieci srebra szczęście zdało się, jak gwiazda, spadać z niebios w tę noc milczącą — w tę noc świętą!

„31-go marca. — Błogosławieństwo papieża Rzymowi i Światu. — Wśród tłumów stała na dziedzińcu Św. Piotra, na mojem ręku wsparta. W wieczór oświecenie kopuły. Zmiana świateł. Byłem tam przy niej, jak z rana. O 10-ej wróciła do swego pałacu. — Wchodzim, pierwszy pokój ciemny, przez okna widać w oddali błyszczącą kopułę Św. Piotra, jakby sen z diamentów, zawieszony w błękitach nocy. — Długo razem patrzymy. — Noc, jak skrzydła Anioła niewidomego, przesuwa się nad nami.

„5.go kwietnia. — Jakże tkliwie, słodko, nierozłącznie ona mnie kocha! — Czarne myśli snują się po jej wyobraźni. — Zapieczętowała wszystkie listy moje — pokazuje mi, gdzie leżą, bym je spalił w jej śmierci przypadku. — Biedna, dobra, anielska, pełna śmiałości zarazem i wdzięku niewieściego. — O 4-tej z rana tę jadowitą gorczycę zaprawiam dla niej — kładę i trzymam na jej plecach, tak białych, jak mleko. — Spaliłem jej plecy. — Jęczała trochę.“

Jak widzimy, nie była p. Potocka w stosunkach ze swymi wybranymi zbyt oporną, a w wyborze środków poetyzowania zbyt wybredną. Ustawicznie zaostrza rozkoszną sytuację myślą o swej śmierci, to samobójczej, to naturalnej, grożącej niby z powodu jakiejś lekkiej dolegliwości. 22-go marca np. notuje Krasiński: „Jaka dzika! Prośba jej, by gwoździ w trumnę jej nie zabijali — by po śmierci przebić jej serce sztyletem.“ Te melodramatyczne pozy — szczere, czy zmyślone, o to mniejsza — wstrząsają nim, a spotęgowane w wyobraźni, gdy się przeistaczają w poezję, przybierają często rozmiary tak przesadne, że naiwny ich tragizm zaczyna przechodzić w dziedzinę komizmu.

Przykładu nie potrzebujemy szukać długo. W parę tygodni po zaznaczonych w przytoczonym powyżej dzienniczku

ekstazach rzymskich, przeżywanych w zupełnej swobodzie, powstaje pierwszy poemat Krasińskiego napisany wierszem, przybrany w formę romantycznych fragmentów. Treścią jego są przygody jednej nocy, jednej schadzki, prawdopodobnie neapolitańskiej. Ponieważ w pobliżu są znajomi i krewni p. Delfiny, więc poeta musi ze względu na jej dobrą sławę starać się wejść do niej niespostrzeżenie. Oto początek:

Noc skwarna — ciemna — piorun grzmi i bije —
I pies, stróż zamku, gdzieś pod zamkiem wyje;
On idzie — w ciemność stawią śmiało nogę —
Lecz coś z umysłu wykradło mu drogę —
Okiem nie zbada, myślą nie pamięta,
Jak się przepaści czepia ścieżka kręta;
To jedno tylko wie, że przepaść bliska,
I stopą czuje, że ścieżka mu śliska.
Wtem nagle burzy rozdzielą się chmury
I księżyc błyśnie — jak twarz trupa — zgóry
I ogrodowe, białe błysną mury.
Już stał nad samym przepaści wiszarem...

Następuje opis przesadzenia przepaści, przejścia przez mur ogrodowy i ostrożnego czołgania się po murawie:

A pełznąc, ściska w prawicy puginał:
Niech go wróg zejdzie, a zerwie się mężem
I, gdy śmiertelnej klingi tej dobędzie,
Wróg na tem miejscu — lub on trupem będzie!
On dba o szczęście, lecz nie dba o życie...

Czołgając się, młodzieniec myśli o ukochanej, która wyczekuje niecierpliwie jego przybycia.

Wszystko śpi wkoło — ach, serc dwoje tylko
W tej snu pustyni z każdą czasu chwilką
Wrą coraz straszniej — jej serce w wieżycy
I jego tutaj, w tych gajach na dole.
Ona tam czeka w żałobnej tęsknicy,
Uczy się duchem, co konania bole,
Każden ją szelest — szmer — dźwięk po kolei
To strąca w piekło, to rwie w raj nadziei!...
...W nim bunt, gniew, wściekłość, piekło także gości,
Ale nie strachu — tylko namiętności!

Młodzieniec skrada się długo, nadsłuchując bacznie:

Nic nie usłyszał. — Więc potrójnym skokiem
Pod próg jej mieszkań przerzuca się składnie
I w sień tę wbuchnął — i na wschody bieży —
Aż za tym gankiem — jak trup pada — padnie
U stóp kochanej...

Następuje powitanie; ona mówi wiele o swej rozpaczy, cierpieniach i tęsknocie, on stara się ją uspokoić długim wywodem swych uczuć, wreszcie ona „rzuciła się w jego ramiona" i następują kropki. Bije godzina druga, ocknienie się i wybieranie w drogę powrotną. Wtem:

Ona broń dojrzy — i, sztylet z kobierca
Podnosząc, mówi: „Wbij mnie go do serca! —
Bo stokroć lepiej tak zginąć odrazu
Z ręki kochanej, niż o każdej chwili
Konać, a lica mieć, konając, z głazu..."

Po długim wybuchu rozpaczy mdleje — młodzieniec cuci ją; zjawia się świt.

Więc krzyknie: „Boże — co robisz? Uciekaj!
Mnie nic nie będzie — lecz dłużej nie czekaj!
Gdyby tu czasem ranną wpadli dobą!"...
„Tobyś widziała — odparł — żem tu z tobą
Na wieki został — teraz już prawdziwie!
Bo tu żelazem padłbym ich przekłuty
I tak mi zginąć byłoby szczęśliwie!
Bo wolę stokroć wziąć nożem z ich ręki,
Niż z ust twych słyszeć co chwila wyrzuty,
I żyć, trucizną słów wiecznie otruty!
Jam ci dał pieśni — tyś dała mi jęki"...

Wreszcie pożegnanie zbliża się do końca, młodzieniec odchodzi, a ona

— sama się została,
Z nim czy bez niego zarówno zbolała.

Nie trudno określić, co w tym utworze — zapewne najsłabszym w spuściźnie poetyckiej autora „Nie-Boskiej Komedji" — jest odbiciem rzeczywistości, a co sztuczną dekoracją. Burza z piorunami, przepaści (pod pałacem p. Potockiej!), które można swobodnie przeskoczyć, sztylet morderczy, a przedewszystkiem ci mityczni wrogowie, co, jak smok Andromedy, czyhają na życie skradającego się do ukochanej śmiałka — wszystko to są niewątpliwie dodatki, mające sytuację uczynić bardzo tragiczną. Drugą serję stanowi ponurość p. Delfiny, jej próba o śmierć, jej zemdlenie i jej nabrzmiałe rozpaczą wykrzykniki. Te fakty są zapewne prawdziwe, ale podkreślanie ich grozy, widoczne przejmowanie się nią i lubowanie się w niej jest nader charakterystyczne. Widać tu, jak na dłoni, rodzaj wpływu, wywieranego przez p. Potocką na poetę: jest to podsycanie tych właściwości, tego fałszywego poetyzowania, które Krasiński odmalował i potępił w hr. Henryku. Pani Bobrowa wprowadziła do twórczości swego wielbiciela pierwiastki nowe, wniosła w nią postęp — p. Potocka cofa ją wstecz do epoki genewskiej.

I jeszcze jedno uderza w tym poemacie: niezwykle słaba, prawie niedołężna forma. Wierzyć się nie chce, że te wiersze napisał nie początkujący jakiś poeta, ale twórca wielki, człowiek genjalny, mistrz słowa i znawca dusz ludzkich niepospolity, autor „Nie-Boskiej Komedji" i „Irydjona". Nie można zaś wytłumaczyć tego faktu wskazaniem na trudności, jakie Krasińskiemu sprawiało rymowanie, bo nie rymy tylko są tu marne, ale i styl cały, pozbawiony wszelkiego polotu, wszelkich ozdób, wszelkiej plastyki, bezbarwny, pospolity, będący jedynie rymowaną prozą. Równe wady znajdziemy jeszcze tylko w kilku utworach, i to właśnie w tych, które miały być apoteozą miłości ku p. Potockiej: w poemaciku „Z nad wód..." będącym naśladowaniem „W Szwajcarji" Słowackiego, w „Fantazji konania" i w wierszach mniejszych, jak np. tryptyk „Rozpacz — szyderstwo — wiara". Wszystkie te utwory byłyby może zupełnie naturalnym objawem w epoce genewskiej — w kilka lat po ogłoszeniu drukiem „Irydjona" zdumiewają poprostu swym brakiem artyzmu. Zjawisko to dziwne, a nie mogło być bez głębszych powodów.

Jeżeli ułożymy sobie dzieła Krasińskiego w szereg, uporządkowany według stopnia wartości artystycznej, spostrzeżemy, że wartość dzieła stoi zawsze w prostym stosunku do powagi tematu. Im głębszy był pomysł, im boleśniej wżerał się w duszę poety, im szersze obejmował horyzonty, tem wspa-

nialsze powstawało dzieło. Siła twórcza rosła w miarę wielkości zadania. Są naturalnie i w obrębie tej zasady pewne wahania, ale one nie zmieniają faktu. To samo zauważymy w drobnych utworach lirycznych, mających bardzo rozległą skalę wartości: wiersze „Do Moskali“, „O piękna moja“ odbijają siłą ekspresji i polotem od wszystkich erotyków i panują nad całym tomem wierszy lirycznych. Nie chwilowe wyczerpanie odgrywa tu rolę główną, jeżeli niemal równocześnie z słabemi wierszami, mówiącemi o p. Potockiej, powstać mógł „Poeta“, jeden z najlepszych utworów patrjotycznych Krasińskiego. Stąd wniosek, że utwory słabe musiały już w temacie,· w treści swej posiadać jakiś niedostatek, że ta treść nie potrafiła sięgnąć głęboko w serce poety. Nasuwa się zatem przypuszczenie, że także w ekstazach miłosnych dla p. Potockiej było coś sztucznego, że one, pomimo wszystkich pozorów, wypływały nie z głębi wzruszonego serca, lecz z podnieconych nerwów. Prawdopodobnie Krasiński zdawał sobie dobrze sprawę z braku naturalności swej „siostry“, lecz wmawiał w siebie wiarę w tragizm sytuacji i używał jej tak, jak później używał eteru: dla wywołania miłych, poetycznych złudzeń.

Takie postawienie kwestji wymaga jaśniejszego określenia wartości artystycznej erotyków Krasińskiego i ich szczerości.

Erotyki Krasińskiego, odnoszące się do Delfiny Potockiej, mają swój zupełnie odrębny charakter. U Mickiewicza, Słowackiego i u całego legjonu wielkich poetów zagranicznych jest erotyk poprostu zakrzepłą lawą uczucia, jednolitym odlewem, w którym z trudnością tylko możnaby, jak w bronzie, oznaczyć składniki. Jeżeli zaś nie jest wybuchem, jeżeli wydała go na świat nie prawdziwa miłość, lecz miłostka, i wtedy jeszcze jest stale powtórnem przeżywaniem doznanych wrażeń i mówi wyłącznie o przedmiocie swych uczuć. Erotyki Krasińskiego są w olbrzymiej większości zupełnie inne. Są one podobne do owych albumów Delfiny Potockiej, w których poeta jako dowód pamięci zapisywał wszystkie swe wrażenia i pomysły literackie. Kiedy erotyk np. mickiewiczowski powstaje pod hasłem „o niej“, u Krasińskiego tytuł mógłby brzmieć najczęściej tylko „dla niej“. Przeznaczone nie do



Delfina Potocka



druku (za życia swego wydrukował Krasiński jeden tylko wiersz drobny p. t. „Poeta“), lecz wyłącznie dla ukochanej, zawierały w sobie te wiersze całe mnóstwo najrozmaitszych tematów i pomysłów i były, razem wzięte, czemś w rodzaju duchowego pamiętnika poety. Często bywało, że utworek jakiś, jakaś poetycka notatka bez odresu, otrzymywała w danej chwili odpowiedni wstęp i wraz z nim charakter wiersza erotycznego. Stąd poszło, że, kiedy po śmierci Krasińskiego zaczęto zwolna i lękliwie ogłaszać jego utwory wierszowane, wystarczało wstęp taki odrzucić, aby otrzymać utwór patrjotyczny, polityczny lub społeczny — i dziś, po ogłoszeniu niemal całości spuścizny, ze zdumieniem widzimy, że tak dobrze znane liryki są tylko cząstkami erotyków, odnoszących się do Delfiny Potockiej. Tak np. głośny wiersz „Na sprowadzenie prochów Napoleona”, mający charakter wybitnie społeczny, jest jedynie końcową częścią długiego wiersza, przesłanego p. Potockiej (nie napisanego!) dnia 1-go stycznia 1841 r.

Wobec takiego stanu rzeczy jest zupełnie jasnem, że wartość tych wierszy, które zwrócone są do Delfiny Potockiej, zależy głównie od omawianych w nich motywów, a nie od uczuć ku adresatce. Najczęściej mówi w nich poeta o sobie i swoje smutne dzieje łączy z ukochaną, np. w znanym wierszu p. t. „Zawsze i wszędzie“ lub „Po śmierci“. — Jest to właściwie poezja czysto egotyczna, osobista. Nie mówiąc już o utworach wybitnie politycznych lub społecznych, te nawet, które mają charakter najczystszego erotyku, wypływają często z zupełnie innego źródła, niż miłosne uniesienie. Widać to w tem, że uczucie nie panuje w nich nad motywami treści, nie dobiera ich sobie swobodnie dla ilustracji, dla uwydatnienia swej siły, lecz odwrotnie, motyw literacki panuje wszechwładnie nad całym utworem, a uczucie jest mu tylko dodatkiem i okrasą. Tak jest z dwoma najwybitniejszymi lirykami z r. 1841, zaczynającemi się od słów: „Gdy się przeszłość w duszę wnęci“... i „Gdybym dziś, jutro“... Ten ostatni jest stanowczo najpiękniejszym, najsubtelniejszym z erotyków Krasińskiego. Przeczuwając niedaleki zgon, poeta prosi ukochaną, aby go pochowała nie w dusznym grobowcu, lecz na otwartem polu i aby wszystkie kwiaty, które on jej kiedyś przynosił, rzuciła mu na głowę.

Niech, przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwiecia ciężarem,
W wieczność zapadam, aż się w niej przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy
I z głębi grobu wyrosnę — kwiat cichy —
I serce wonne przed tobą roztworzę.
Tak każdej wiosny ócz wonnych tysiącem
Będę wyzierał za śmierci okręgi
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi.
Rwij mnie, bierz — rwij mnie, przyczepiaj do skroni!
Co ciało zdoła, to ciało da tobie;
Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.
I duch mój czeka, aż woń ta powróci,
Przez smugi niebios niesiona wichrami,
I znów go ciałem dokoła obrzuci,
Lecz innem: światłem, wspólnem z aniołami.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że wiersze te — tak subtelne, jakby wyszły z pod pióra Słowackiego — są hołdem, złożonym ukochanej, że natchnęło je uczucie ku p. Potockiej. Tymczasem jest to odbłysk rozumowań filozoficznych, owoc zagłębiania się w panteistów niemieckich — i tylko ten pomysł pośmiertnego przetwarzania się odgrywa tu rolę zasadniczą. Równie dobrze mógłby go był poeta złączyć z imieniem któregoś z przyjaciół, nie zmniejszając jego poetycznej wartości — rodzaj tylko stosunków, łączących go z p. Potocką, sprawił, że utwór ten z jej osobą i z jej imieniem jest obecnie ściśle złączony. Myśl o niej była tu co najwyżej równorzędną z pomysłem filozoficzno-literackim, ale nie była właściwą pobudką twórczą.

I jedną jeszcze cechę posiadają te utwory: są przeważnie nieszczere. Charakter stosunku poety do p. Potockiej jest wybitnie zmysłowy, one zaś, będące jego odbiciem, toną w ckliwym nieraz sentymentaliźmie. Żądza jest tu przysłonięta płaszczykiem uczuć braterskich, war krwi ostudzony, a wybuchy namiętności, która „jak skorpion, w ogniu się przewraca“, zmieniają się w niewinną sielankę. Sprawiły to stosunki. Niegdyś był Krasiński w twórczości swej zupełnie szczerym i rodzaju swych uczuć nie ukrywał, niekiedy, jak np. w wierszach do p. Bobrowej, posuwając tę szczerość nawet zbyt daleko — był także równie otwartym w swej korespondencji. I w utworach, odnoszących się do p. Potockiej, jest początkowo ten sam ton szczerości (np. w wierszu: „Znasz, co namiętność?“...). Gdy jednak otoczenie poety zaczęło bardzo krytycznie oceniać jego nowe zapały i ich przedmiot, Krasiński zamknął się w sobie, przybrał minę niewiniątka i zapewniał wszystkich, że idzie jedynie o związek braterski dwu dusz. Odtąd tytuł „siostry“, nie istniejący w utworach początkowych, stał się oficjalnem określeniem kobiety, z którą go łączyły przedewszystkiem zmysły. Krasiński posunął się nawet tak daleko, że p. Potocką, której opinja była bardzo nadwerężona, odważył się wprowadzić do „Przedświtu“ i tam powierzyć jej wywoływanie wizji Polski.

Powstał więc w ten sposób pewien wyłom w bezwzględnie szczerej dotychczas twórczości Krasińskiego. Zobaczymy, że wyłom ten rozszerzy się znacznie i że zasada, zastosowana początkowo do spraw osobistych, obejmie wkrótce szerokie horyzonty społeczne i polityczne.

* * *

IX.

ZDOBYCZE MYŚLI.

„Poezja jest formą najwyższą rzeczywistości świata, jest najwznioślejszym kształtem życia“. Definicja ta — jedna z wielu przepysznych uwag o sztuce, rozsianych wśród listów do przyjaciół — przynosi Krasińskiemu zaszczyt. Wyprzedził w niej znacznie współczesne poglądy na sztukę, obracające się uporczywie a sennie około wyrazu „piękno“, i uchwycił samą istotę rzeczy tak, jak ją obecnie pojmuje nauka. Poezją więc jest w „najwznioślejszy kształt“ przybrany kawał życia, a w tem życiu głównym ośrodkiem, główną treścią jest sam poeta, zmienny, wrażliwy na wszystko, co się dzieje wokoło niego i w nim samym. Ciągle się przetwarza i przeistacza; każde głębokie uczucie, każde wzbogacenie wiedzy zmienia w odpowiednim stopniu jego istotę, a zatem także odbicie tej istoty — poezję.

W jednym z listów do Reeve'a napisał Krasiński, że „zadaniem poety jest symbolizowanie prawdy najwyższej, odkrywanie zaś jej jest zadaniem filozofa“. Jest tu wybornie nakreślona linja graniczna między wiedzą a sztuką. Poeta ma stwarzać symbole najwyższej prawdy, powinien ją zatem znać, ale nie potrzebuje być jej odkrywcą, filozofem. Wystarcza mu jej znajomość w tym zakresie, w jakim np. każde dziecko zna prawo ciężkości — Newtonem być nie potrzebuje, nawet być nim nie powinien. Wolno mu, naturalnie, jak każdemu innemu, dążyć mozolnie do prawdy i ulegać złudzeniu, że ją odkrył — ale te trudy myśli nie powinny mieć nic wspólnego z jego poezją, nie powinny dla niej istnieć poza swym ogólnym wynikiem, dającym moralny punkt oparcia, wskazującym kąt, pod którym należy oglądać życie. Poeta, który czyni inaczej, wkracza w dziedzinę obcą, zamiast poematu, napisze rymowaną rozprawę naukową i zniszczy wartość artystyczną swego dzieła. Z tego powodu jest zagłębianie się w badania ściśle naukowe często, a nawet zwykle, niebezpieczne dla poety, stokroć zaś właściwszem jest dla niego

raczej odczuwanie praw, rządzących światem, niż zdobywanie ich wysiłkiem myśli. „Po promieniach uczucia“ — jak powiada Mickiewicz — jeżeli uczucie to jest szczere i silne — może poeta zawsze dojść do bezwzględnej prawdy podmiotowej i do „władzy nad duszami“ ludzkiemi; prawda naukowa utrudnia mu drogę do serc ludzkich, a grozi mu największą klęską poezji: oschłością i nudą. Kiedy poeta, zapatrzony w bezmierną nędzę ludzką, woła do Boga:

Kłamca, kto Ciebie nazywa miłością,
Ty jesteś tylko mądrością —

wtedy siłą uczucia swego czyni te słowa dla wszystkich cierpiących serc wyrazem najwyższej prawdy, której nie potrafią obalić żadne, najbardziej wyrafinowane wywody teologiczne, której on sam nawet nie potrafi już usunąć lub przynajmniej osłabić.

Te właśnie zasadnicze właściwości poezji sprawiły, że w literaturze nowożytnej, uwolnionej z więzów klasycznych czy pseudoklasycznych przepisów, rola myśli filozoficznej zmalała niesłychanie. Ogromna część arcydzieł tej poezji obywa się bez niej zupełnie, w innych unosi się ona nad niemi lub prześwietla z poza ich wierszy, jak duch niewidzialny, a ująć ją można w prostą, czasem niemal pospolitą zasadę, najczęściej etyczną. Pochodzenie jej jest dla zrozumienia całości obojętne. Czy ją poeta zdobył mozolnem, własnem dociekaniem, czy wyczytał w jakiemś dziele filozoficznem, czy wreszcie usłyszał z ust dziada wędrownego — to może być niekiedy interesującem, ale nigdy nie jest istotnie ważnem. Wszak zadanie artysty tu się dopiero zaczyna: on musi dla wyrażenia tej myśli stworzyć odpowiednie podłoże treści, musi zamienić ją w obrazy, przemawiające do wyobraźni, a za jej pośrednictwem do uczucia czytelnika, musi wreszcie sam przejąć się tem uczuciem i znaleźć dla niego jak najsilniejszy i jak najdoskonalszy wyraz. Myśl zasadnicza poematu ma wtedy takie znaczenie dla poety, jaki ma dla malarza poddany mu tytuł obrazu, lub dla uczonego temat rozprawy: o wartości tego, co z nich wyniknie, nie mówią nic. Są jednak wypadki, w których poeta nie jakąś myśl, ale cały system myśli, całą konstrukcję pomysłów i rozumowań wkłada w swój utwór

i wtedy sprawa się zmienia: z podniety twórczej przeistacza się myśl filozoficzna w szkielet dzieła, wciela się w jego części składowe i staje się jego treścią żywotną, jego istotą. Podniesiona tak wysoko przez poetę, zasługuje wtedy na baczną uwagę czytelnika.

Taki zwrot nastąpił właśnie w twórczości Krasińskiego.

Dotychczasowa jego działalność — o ile chcielibyśmy koniecznie wynaleźć dla niej wspólny mianownik — miała charakter studjów psychologicznych, opartych po największej części na osobistych przejściach duchowych, na autoobserwacji. W „Nie-Boskiej Komedji" i w „Irydjonie" złączyła się z wybuchem usymbolizowanych własnych cierpień duchowych przejęta z „Fausta" zasada, że w walce dobrego ze złem pierwiastek dobry, oparty o miłość, musi zwyciężyć i że jedynie miłość jest siłą twórczą, wyzwalającą. Ten motyw, który u Goethego ma zabarwienie filozoficzne, sprowadził Krasiński pod wpływem wypadków z r. 1831-go i swego do nich stosunku na pole etyki narodowej i na polu tem z małemi wyjątkami pozostał już do końca życia. Pomysły i pobudki literackie, które w epoce genewskiej pochodziły wyłącznie z literatury francuskiej i angielskiej, łączą się później z wpływem klasycznego „Fausta" i powoli, ale stale przechodzą coraz wyraźniej na grunt niemiecki — aż wreszcie poeta zanurza się zupełnie w falach bujnej, tryumfującej podówczas romantyki niemieckiej.

Był to świat oryginalny, zwarty, stanowiący zamkniętą w sobie całość. Podczas gdy we Francji, w Anglji, we Włoszech i w Polsce kierunek romantyczny (tam nie zawsze tak nazywany) objawiał się niemal wyłącznie w literaturze pięknej, niemiecka szkoła romantyczna objęła sobą filozofję, nauki przyrodnicze, teologję, historję literatury i powieściopisarstwo i starała się stworzyć jednolity pogląd na świat. Przedewszystkiem jednak marzono o złączeniu filozofji i poezji, o stopieniu ich wraz z teologją w jedność, któraby dążyła do odkrycia praw najwyższych, absolutnych, drogowskazów dla całego duchowego życia jednostki i narodów w zakresie etyki, estetyki, a nawet polityki. Ostatecznym celem tych marzeń miało być urzeczywistnienie ideału szczęścia na ziemi, a prowadzącą do niego drogą doskonałość człowieka, narodu i całej ludzkości. [1])

Podstawą, na której opierały się te wielkie, entuzjastyczne plany, była filozofja, mająca głośnych przedstawicieli i twórców w Fichtem, Schellingu i ze wszystkich najsławniejszym Heglu. Unosił się nad nią duch wyklętego panteisty, Spinozy — przejęto jednak od niego tylko ogólne poglądy, nie ścisłą, naukową metodę. Zapomniano również o surowym Kancie, o jego epokowych zasadach badań krytycznych. Chcąc jak najprędzej urzeczywistnić swe cele, odrzucono mozolną drogę doświadczeń i ścisłych studjów naukowych, a zaczęsto tworzyć przystępne systemy, złożone z długich szeregów hipotez, ale obejmujące całe przeszłe i przyszłe światy. Mówiono wiele o metodzie intuicyjnej, która potrafi ominąć wszelkie przeszkody niedostępnych dla doświadczenia zagadnień i jednym potężnym rzutem oka ogarnie cały wszechświat. Na tej pochyłości cofnięto się nawet do mistyków z Jakóbem Boehmem na czele. Filozofowie zatem tworzyli poprostu rodzaj poematów, posługując się zamiast badania wyobraźnią — poeci zaś pisali niejednokrotnie rymowane spekulacje filozoficzne, w których bohaterami były idee.

Wszystkie zasadnicze upodobania niemieckiej szkoły romantycznej wynikają z przepisów znienawidzonego przez nią pseudoklasycyzmu: są ich skrajnem przeciwieństwem. Ponieważ poezja pseudoklasyczna uznawała to tylko, co jest jasne, logiczne i wykwintne, więc uwielbiono niejasność, niezgodną z logiką cudowność i baśń gminną. Najulubieńszym tematem stało się średniowiecze, ta epoka najcudowniejszych przygód legendowych, a symbolem jej katedra gotycka. Dzięki temu wszedł w modę katolicyzm, twórca i gotyku, i legend. Na tem tle staje się także jasnem zamiłowanie do krajobrazów nocnych, zwłaszcza przy pełni księżyca. Katedra gotycka, oglądana w noc księżycową, to w pojęciu romantyzmu niemieckiego niemal ideał krajobrazu.

Z taką to literaturą zapoznał się Krasiński podczas pobytu swego w Niemczech w r. 1836. I poprzednio nie była mu zupełnie obcą, ale odtąd zaczął wnikać w nią głębiej, wszechstronniej i z pewnym uporem. Dwaj najwybitniejsi i najbardziej oryginalni poeci romantyczni, Novalis i Jean Paul Richter, zdobyli sobie jego sympatję i podziw odrazu — trudniej szło z filozofją. Już poprzednio czytywał filozofów fran-

cuskich, zwłaszcza dzieła popularne [2]), więc nie brak mu było pewnego przygotowania do studjów filozoficznych — zresztą systemy romantyczne niemieckie odznaczały się właśnie (z wyjątkiem Hegla) nader przystępnem ujęciem rzeczy. Raziło go ich zabarwienie panteistyczne, z którem przez długi czas nie mógł się pogodzić. W listach do przyjaciół narzekał i klął na to, ale pracy nie przerywał. Ostatecznie zwolna oswoił się z tym kierunkiem i przejął przynajmniej główne jego zasady, a objawiło się to już w „Modlitewniku". W ciągu kilku lat następnych, które upłynęły Krasińskiemu na szamotaniu się z ogarniającą go niemocą twórczą („Wanda", „Herburt", „Sen"), a ustalaniu poglądu na świat, powstały „Trzy myśli", będące jaskrawym wyrazem wpływu romantyki niemieckiej na autora „Irydjona".

Jak świadczą autografy, utwory, wchodzące w skład „Trzech myśli", powstały odrębnie, bez łączności z sobą, i to najpierw „Sen Cezary" (w autografie „Sen Cezara Alberti"), potem „Syn cieniów"; autografu „Legendy" niema, nie ulega jednak wątpliwości, że ona jest najpóźniejszą z tych „myśli". Humorystyczną przedmowę napisał Krasiński zapewne tuż przed oddaniem całego zbiorku do druku, tj. przy końcu r. 1840 lub z początkiem 1841. Ten chronologiczny porządek, stwierdzony rękopisami poety, zgadza się zupełnie z naturalnem następstwem rodzajów wpływu, jaki romantyzm niemiecki wywierał na Krasińskiego: najpierw wpływ czysto literacki (w „Śnie Cezary"), potem zastosowanie poglądów filozoficznych do twórczości poetyckiej („Syn cieniów" i „Legenda").

„Sen Cezary" wypłynął jednak przedewszystkiem z wrażeń osobistych, doznanych w Fryburgu (w Bryzgowji). Oto, co pisze o nich Krasiński w liście do Sołtana w r. 1839: „Nie wyobrazisz sobie, jaka tu (w Fryburgu) pyszna jest katedra; chodzę do niej co dzień po kilka razy i za jej progiem zapadam w przeszłość średnich wieków. Zdaje mi się nieraz w tym pustym kościele, żem otoczony duchami tych, którzy za wiarę polegli; farby mistyczne tych szyb leją się w duszę moją, jak tęczy jakiejś smętnej, święcącej nad grobem męczenników, promienie — i nieraz, podnosząc głowę ku krzyżowi, pytam się: „Azaż zmartwychwstaną, Panie?" Lecz zawsze pusto, lecz wiecznie milcząco; nie zejdą z pośród ram obrazy Matki

Boskiej, nie ruszą się święci z podstaw posągów, postać Chrystusa niewzruszenie przybita do krucyfiksu. I głos mój, odbiwszy się o sklepienie gotyckie, kona."

To jest punkt wyjścia utworu. W katedrze fryburskiej, jednej z najpiękniejszych katedr gotyckich w Niemczech, odbędzie się poetyczna wizja zstąpienia Polski do grobu. W noc księżycową głos jakiś tajemniczy zaprowadzi poetę na smukłą, w koronki kamienne dzierżganą wieżę kościoła — stamtąd będzie oglądał ostatki narodu, walczące z tłumami wrogów. Widząc beznadziejność walki, mężczyźni podnoszą wgórę swe dzieci, a one zamieniają się w rój aniołków i ulatują do nieba; potem zabijają swe żony, a wreszcie giną sami. Poeta przechodzi z wieży do wnętrza katedry, gdzie odbywa się druga scena: polegli z żonami zabitemi na rękach zapełniają nawę, tłum dzieci-aniołków unosi się nad ich głowami, a postać Chrystusa zstępuje z podstawy posągu i prowadzi ich do grobu, mającego napis „Naród". Wtedy zjawia się postać mglista, jakby symbol poległego narodu, i poeta, ukochawszy ją, idzie za nią w daleką przestrzeń, aż gdzieś nad cmentarz narodu. Duch jakiś o bezpiórnych skrzydłach radzi mu ją opuścić i wrócić do szczęśliwych, bo dla niej już tylko nicość jest przeznaczona — ale poeta nie słucha go i idzie za uroczem widmem na ponury cmentarz. Tam ogarnie go zwątpienie i rozpacz. Ale ów głos tajemniczy, który go wiódł poprzednio, pociesza go przypomnieniem, że oprócz śmierci istnieje zmartwychwstanie i że śmierć jego ukochanej postaci, która znikła wśród śnieżnej zawiei, była tylko złudzeniem. I wtedy następuje nowa wizja: rzekomo zmarła postać zjawia się u kończyn widnokręgu jak błyszcząca gwiazda, z prochu dźwigają się polegli bohaterowie, a widmo Chrystusa bieleje nad nimi w powietrzu. Polska zmartwychwstała.

Zasadnicza treść „Snu Cezary", obraz cierpień „umarłej" Polski i zapowiedź jej zmartwychwstania, zawarta już była w jednym z obrazów „Pokusy" — ideowo nie zmienił się ten dawny szkic, rozszerzył się tylko znacznie. Poeta nie dotknął tu żadnego nowego zagadnienia, nie rzucił żadnej nowej myśli, stworzył tylko szereg nowych, zupełnie odmiennych obrazów. Pobudka twórczości leżała tu zatem nie w istotnej treści wizji, lecz w sposobie jej ujęcia, w formie. A widać na pierwszy rzut

oka, jak bardzo zgodną jest ta forma z upodobaniami niemieckiej szkoły romantycznej. Katedra gotycka w świetle księżyca, motywy legendowe, jak zmienianie się dzieci w aniołki, ożywienie posągu Chrystusa, postać fantastyczna starca o skrzydłach ptaków nocnych, uosobienie narodu, głos tajemniczy, wiodący poetę — to wszystko są motywy, jakby żywcem przejęte od romantyków niemieckich. Niewątpliwym jest tu silny wpływ Jean Paula [3]) — ważniejszym jest jednak fakt, że występuje tu wpływ nie tylko jednego obcego twórcy, lecz całej ich grupy, całej „szkoły". Widocznie silne musiało być upodobanie w formach tej twórczości, jeżeli ono, a nie wewnętrzny nakaz sformułowania i wyrzucenia z duszy dręczących zagadnień, było istotnem źródłem utworu.

Z pomiędzy wszystkich wizyj Krasińskiego, pisanych prozą poetyczną, jest „Sen Cezary" najlepiej może, najstaranniej opracowaną. Jedno tylko zakończenie nadweręża nieco logiczność budowy. Podzielona na trzy obrazy, akcja cała mieści się wybornie jak gdyby w obrębie jednego widzenia sennego i tworzy jednolitą całość: upadku Polski. W tych samych jednak ramach, w tem samem widzeniu nie powinno było chyba mieścić się zmartwychwstanie, przeczuwane dopiero przez poetę w dalekiej przyszłości. Wywiera też ono wrażenie czegoś dodanego, dorobionego ze względów praktycznych, dla wzbudzenia w społeczeństwie otuchy, i wynikło zapewne ze słusznego zresztą przekonania, że obraz faktu silniej działa na czytelnika, niż jego zapowiedź. Pod względem artystycznym jednak byłby utwór niewątpliwie zyskał, gdyby treść jego nie sięgała w tak odległą wówczas przyszłość i pozostała w zwartych ramach właściwego tematu.

„Syn cieniów", zajmujący wśród „Trzech myśli" miejsce porządkowo pierwsze, naczelne, jest utworem oryginalnym i wyjątkowym. Jedyny to w literaturze naszej poemacik, zawierający cały wielki system filozoficzny, jednolity, zamknięty w sobie, i cały pogląd na rozwój ludzkości, a nie drobne tylko jego odłamki lub reflcksy, jakie pojawiały się w naszej poezji od Sępa Szarzyńskiego do Asnyka i Żuławskiego.

Początkowo zaczynał się „Syn cieniów" następującemi zwrotkami:

Życie jest drogą, co z głębin otchłani
Wiedzie na coraz powietrzniejsze szczyty.
Na dole ciemność, a w górze błękity —
W głębi błękitów gwiazda, życia pani.

Po drodze ciernie i straszliwe larwy,
Lecz niechaj pielgrzym do tej gwiazdy wzdycha:
Tam jego szczęście i tam jego pycha,
On kiedyś wdzieje wiecznych wiosen barwy.

Idzie więc o życie, czy rozwój ludzkości, która z mroków otchłani, z chaosu, dojść ma stopniowo aż do szczęśliwych czasów „wiecznych wiosen". Jest ona „synem cieniów", synem ciemności, ślepej woli bytu. Najpierw jest dzikim, „wpółsennym Tytanem", różniącym się od reszty stworzenia tylko fizycznie; ale wkrótce Tytan „wyciąga ręce do wyżyn wszechświata", uczuwa tęsknotę do czegoś wyższego, do „nektaru gwiazd mlecznych". Ta tęsknota wszczepi w niego pierwiastek ludzki i wyrwie go ze stanu dzikości, czyli pozwoli mu się „rozebrać z powicia natury" i „wdziać szaty człowieczeństwa" — ale urzeczywistnia się to powoli, dzięki walkom, trudom, torturom i strasznym męczeństwom Tytanów, wypowiadających walkę bogom. Wreszcie Tytan przemienia się i woła: „Jestem" — ludzkość dochodzi do uświadomienia. Teraz wstępuje w nową epokę rozwoju. w epokę miłości chrześcijańskiej; dawne „szaty człowieczeństwa" musi z siebie zrzucić i przywdziać kształty duchowe wyższe, nadczłowiecze. Zdobywa to sobie „długą pracą ludzkiego męczeństwa"; cierpienia fizyczne („krew własna, co krwawi") i gorsze jeszcze męki moralne („myśl, która truje"), „wyżrą mu z serca glinę", ten ziemski pierwiastek, pozwolą mu odnieść zwycięstwo nad złem. Wtedy ludzkość

Cierniów koronę przywiąże do skroni
I łzę miłości nad bracią uroni

i z „syna cieniów" przemienia się w ten sposób w „syna światłości".

Teraz otwierają się przed ludzkością niezmierzone horyzonty: wszystko, czego zapragnie, o czem zamarzy, może i musi urzeczywistnić.

Wszystko, co żyje, świeci, dźwięczy, płonie,
Twojem na drogach twej nieśmiertelności.
Coś myślą pojął, dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki
Weźmiesz, jak perły widome, do ręki,
Gdy wrócą kiedyś, świeże i stwardniałe,
W życie wcielone...

Urzeczywistnienie tych myśli, marzeń i natchnień będzie „przetworzeniem kręgu ziemi w gwiazdę nieba“, przemianą życia ludzkiego w raj. Wpierw jednak prysnąć musi wszystko, co w pojęciu ludzkiem dzieli stworzenie od stwórcy. Nie jest niem śmierć; śmierci niema: „wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny“ i „wszędzie bogi, nad tobą i w tobie“ — a kiedyś, w dalekiej przyszłości, zjawi się „jasność jasności, Bóg bogów“ i porwie ludzkość „w inne, dalsze raje“.

Tym „dalszym rajem“, innym, niż ziemia, „przetworzona w gwiazdę nieba“, będzie zlanie się w jedność z Bogiem. Ludzkość bowiem nie rozumie jeszcze, że jest cząstką Boga, widzi tylko zmienne, chwilowe swe kształty, śni o falach, które w niej płyną, a nie rozumie, że jest sumą tych fal, morzem. Kiedyś jednak zrozumie swą istotę:

I poznasz siebie — a w tej samej chwili
Noc niepamięci w tobie się przesili,
Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad pany
Duch ten sam, jeden na wieki i wszędzie,
Co jest już teraz — ni był ani będzie.

Wtedy wszystko, co kiedykolwiek istniało, wszystkie dusze, które „spać się kładły w grobie“, wrócą do tego, czem były z początku swego istnienia, do bóstwa, a każda z nich wniesie w łono bóstwa „samą siebie“, uszlachetnioną cierpieniem i pracą życia cząstkę wszechświata. W ten sposób, przez powolne a mozolne wstępowanie na coraz wyższe szczeble rozwoju duchowego, ludzkość przebóstwi się:

I wie o sobie, że stała się synem
Równym ci, Ojcze, i wiecznie jedynym,
Bo w każdej jeden Ty jesteś, o Panie,

I w każdej wołasz „Ja“, a oprócz Ciebie
Nigdzie nic niema i nic nie powstanie.

Takiem pełnem entuzjazmu panteistycznem wyznaniem wiary kończy się „Syn cieniów“, ten rymowany traktacik metafizyczny.

Jest w nim niewątpliwa głębokość myśli, zaczerpniętych zresztą z Hegla i Schellinga,[4]) i imponująca, a może raczej przerażająca, zwięzłość. Zwłaszcza pierwsza część poematu doprowadza tę małomowność do ostatecznych niemal granic. Jest to właściwość, mogąca może oczarować i do łez rozczulić klasyka, ale pozostająca w zupełnej sprzeczności z zasadami nowożytnej poezji, które Krasiński stale wyznawał i które, świadomie czy intuicyjnie, jak każdy wielki poeta, wprowadzał w życie, urzeczywistniał w swoich dziełach. Zasady te powiadają, że poezja przemawiać powinna do uczucia, a nie do rozumu, że powinna czytelnika wzruszać i że jednym z środków, prowadzących do tego celu, jest możliwie najbardziej wyraziste i plastyczne obrazowanie. Jeżeli dzieło ma być naprawdę poematem, a nie rymowaną prozą, musi autor usunąć z niego abstrakcje i zastąpić je czemś konkretnem, widzialnem — poprostu musi pojęcia zamienić w wyobrażenia. Przykładem, jak praca taka odbywa się w genjalnej wyobraźni, i zarazem niedoścignionym jej wzorem są: mickiewiczowska „Improwizacja“ i wiersz Słowackiego „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości“, utwory, mówiące niemal wyłącznie o abstrakcjach, a złożone z imponujących swą siłą i barwnością obrazów. Krasiński w „Synu cieniów“ nie poszedł tą drogą, to też nie osiągnął celu, właściwego poezji. Dziełko to nikogo nie potrafi podniecić i wzruszyć, a jedyną rozkoszą, jakiej udzielić może czytelnikowi, jest rozkosz, płynąca z pokonania trudności przy rozwiązywaniu zawiłych zagadek. Ale takie tryumfy nie dają laurów poetyckich. Rozumiał to dobrze Krasiński, kiedy jeszcze w r. 1833-im ostrzegał Reeve'a: „Jeżeli chcesz być poetą, nie bądź metafizykiem.“

Nie jest to wypadek odosobniony: „Syn cieniów“ jest pierwszym utworem Krasińskiego, wyrażającym w wierszowanej formie jego poglądy filozoficzne, a nastąpi później cały ich szereg. Otóż, czy to będą kwestje metafizyczne, czy poli-

tyczne, zawsze przy przedstawianiu ich wystąpi pewna oschłość formy, pewna prozaiczność w ujęciu przedmiotu. Jedynie etyczne kwestje łączą się z większą siłą wyrazu i obrazowością stylu; widocznie podniecały silnie poetę i w ten sposób wpływały pośrednio na wyobraźnię. Filozofja i polityka tak bardzo musiały więzić jego myśli, że krępowały wyobraźnię i nie pozwalały jej rozwinąć lotu, do którego była zdolna.

W przekreślonych przez poetę pierwszych strofach „Syna cieniów" jest wzmianka o „wiecznej wiośnie" ludzkości, powtórzona następnie w zdaniu, przepowiadającem, że ludzkość „gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi". Dotyka tu Krasiński sprawy, której poświęcona jest „Legenda", a którą mu również romantyzm niemiecki objawił: wiary w podział dziejów ludzkości na trzy epoki. Ten pogląd historjozoficzny stanie się odtąd jednym z głównych bodźców twórczości Krasińskiego i nieodzownym jej motywem, musimy więc zająć się inim nieco obszerniej.

Filozofowie romantyczni, budując swe wielkie poematy metafizyczne o wszechświecie, zwrócili się, jak wspomnieliśmy wyżej, do mistyków średniowiecznych i stamtąd zaczerpnęli odświeżyli pomiędzy innemi sprawę t. zw. „Wiecznej Ewangelji".

Sprawa ta sięga bardzo odległych czasów. Już św. Augustyn dzielił bieg świata na epoki i przepowiadał epokę wiecznego szczęścia, w której będzie „Kościół wedle słów św. Jana". W IX w. rozwinął tę myśl Szkot Erygena. Dzieje ludzkości grupował on w trzy wielkie epoki: Starego Testamentu, Nowego Testamentu i trzecią, która dopiero nadejdzie i będzie Królestwem Bożem. W trzy wieki później inny mnich, Amalryk z Chartres, powtórzył tę naukę, ale epokom tym nadał nazwy inne, wedle Trójcy św.: nazwał je epoką Ojca, epoką Syna i epoką Ducha św., przyczem osądził, że dwie pierwsze już przeminęły i że epoka trzecia się zaczęła.

Najsilniej jednak uwydatnił tę myśl i najbardziej przyczynił się do jej rozpowszechnienia opat Joachim de Flore, żyjący w w. XII. Przepowiada on przyjście Pocieszyciela, którego zwiastował już w swej Ewangelji św. Jan i o którym mówi „Apokalipsa". On przyniesie światu „Ewangelję Wieczną", która „będzie z Ducha, a nie z litery" i przez którą Duch św. wejdzie do dziejów. Cała ludzkość odrodzi się wtedy w Chrystusie. Epoka Ojca była epoką strachu, Syna — mądrości, epoka Ducha św. będzie czasem miłości. Przy pomocy obrazów symbolicznych malował świętobliwy opat różnice tych epok dziejowych: W pierwszej panowała niewola, w drugiej miłość synowska, w trzeciej nastanie wolność; w pierwszej byli niewolnicy, w drugiej wolni, w trzeciej będą przyjaciele; w pierwszej błyszczały gwiazdy, w drugiej świta jutrzenka, trzecia wzejdzie w jasny dzień; pierwsza wydawała osty, druga róże, trzecia wyda lilje; pierwsza trawę, druga kłos, trzecia ziarno. Ta barwność wykładu przyczyniła się zapewno niemało do spopularyzowania „Wiecznej Ewangelji" w wiekach średnich.

Taki sposób dzielenia i pojmowania dziejów ludzkości przejęli romantycy niemieccy. Schelling rozróżniał w dziejach świata trzy epoki: pierwsza, to stawanie się przyrody człowiekiem — w drugiej człowiekiem staje się wola boża — trzecia będzie objawieniem się Boga jako ducha. Ten pogląd odbił się wyraźnie w „Synu cieniów" Krasińskiego. W dziejach ludzkości widzi Schelling również trzy okresy: starożytny, w którym panowała siła, nowożytny, od zjawienia się Chrystusa aż do naszych czasów, a w nim panowanie prawa moralnego, i czasy „Królestwa Bożego", które dopiero nadejdą. W dziejach kościoła wreszcie ma panować kolejno trzech apostołów: Piotr, przedstawiający siłę spajającą, Paweł, roznoszący poznanie prawdy, i św. Jan, uosobienie siły światłości i miłości. Kościół św. Piotra jest kościołem narodów romańskich, św. Pawła narodów germańskich, kościół zaś św. Jana będzie kościołem całej ludzkości. Wszystko — powiada Schelling — całe stworzenie i cały wielki rozwój świata zmierza od Ojca przez Syna ku Duchowi św. A wraz z Duchem św. wejdzie w dzieje ludzkości Wieczna Ewangelja.

I największy z filozofów romantycznych, Hegel, nie odrzuca tego poglądu. Upatruje on w dziejach świata trzy epoki: przed stworzeniem, którą nazywa „Królestwem Ojca", od stworzenia aż do odkupienia przez Chrystusa — to panowanie Syna, a wreszcie epoka przyszła będzie czasem Ducha św. Wciśnięte w kształt ulubionej jego formułki: tezy, antytezy i syntezy, epoki te przedstawiają kolejno: Boga poza światem, Boga

w świecie i wreszcie pojednanie świata z Bogiem i miłość ku niemu.[5])

W chórze tym nie zabrakło także głosu polskiego. Młody podówczas August Cieszkowski, od r. 1839 dobry znajomy, a później serdeczny przyjaciel Krasińskiego, wydał w r. 1838 dziełko p. t. „Prologomena zur Historiosophie". W tym „wstępie do filozofji historji" wykazywał, polemizując z Heglem, konieczności podziału historji na trzy epoki i wywodził, jaką miała być epoka trzecia, której przyjścia niebawem się spodziewał. Przyniesie ona według niego ludzkości „urzeczywistnienie piękna, w uczuciu, jako miłości — prawdy, w wiedzy, jako mądrości — i dobra, w woli, jako siły i wszechmocy życia". W ten sposób będzie ta epoka najwyższem objawieniem się Boga.

Nawet w beletrystyce odezwało się echo tego prądu. Pani George Sand napisała romans p. t. „Spiridion" (1839), którego bohaterem jest Joachim de Flore, w innym zaś romansie, „Hrabinie Rudolfstadt", przedstawiła między innemi apostołów pierwotnego chrzecijaństwa, głoszących w imieniu św. Jana „Wieczną Ewangelję". I tam także jest przepowiednia bliskiego nastania czasów lepszych, tryumfu prawdy i miłości.[6]) W swoim „Henryku z Ofterdingen" zamieszcza Novalis baśń, przepowiadającą przywrócenie państwa miłości i poezji, powstanie nowego, idealnego świata — a w rozprawie „O chrześcijaństwie" zapowiada już wprost nadejście nowych czasów i zjawienie się „państwa państw". Będzie to „nowy czas złoty, proroczy, cuda działający, leczący rany, rozdający pociechy i wzniecający wieczne życie".[7])

Te przekonania i idee tkwiły już w atmosferze czasu, unosiły się w powietrzu, jak niewidzialny pyłek; oddychały nim całe społeczeństwa. Rahela Levin zapisała w swoim pamiętniku następujące uwagi: „Dziwne to i prawdziwie mistyczne czasy, w których żyjemy! To, co podpada pod zmysły, jest bezsilne, na nic nieprzydatne, ba, nawet bezwzględnie już zepsute — ale po umysłach przebiegają jakieś błyskawice, zjawiają się jakieś wróżby. Wiek nasz nawiedzają tłumnie myśli, które, jak widma, ukazują się w mistycznych chwilach głębszym umysłom, a wszystkie one zapowiadają przeistoczenie się świata, przewrót we wszech rzeczach, zniknięcie wszystkiego, co było

dotychczas, jak gdyby po trzęsieniu ziemi, które zniszczy powierzchnię całego globu, wyjść miało nowe życie z paszcz wulkanów i z tych przerażających ruin. Środkowym punktem tego przeobrażenia będą Niemcy".[8])

Ogarnęły te idee także polskie umysły, ale dla nich punktem środkowym przyszłego ruchu i przyszłego życia stała się naturalnie Polska. Wchłonął w siebie te marzenia mesjanizm polski i odpowiednio przetworzył. U Krasińskiego zjawiają się one w „Legendzie" w stanie napół tylko przetworzonym, jakby przejściowym, bo z silnem jeszcze piętnem kosmopolitycznem.

Znowu zatem mamy wizję, opowiedzianą przez poetę, biorącego udział w akcji. Akcja ta jest krótka, pomimo nadzwyczajności zdarzeń ujęta w sposób prosty, a śmiały i silny.

W wigilję Bożego Narodzenia zjawiają się w Kampanji rzymskiej Polacy, „ostatki szlachty polskiej", i każą się prowadzić do bazyliki św. Piotra. Z rozkazem pójścia tam objawił im się anioł, głosząc, że „Chrystus po raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już ani umierać nie będzie na ziemi". I inne narody spieszą do Rzymu i zapełniają wnętrze olbrzymiego kościoła. Zaczyna się msza, odprawiana przez papieża, któremu towarzyszy kardynał. Podczas podniesienia daje się słyszeć głos „Jestem" i ukazuje się postać Chrystusa, niknąca zwolna w przestrzeni — a kardynał, zawoławszy „Czasy dopełniły się!", wyciąga rękę w stronę grobu św. Piotra, mówiąc: „Obudź się i mów!" Widmo zmarłego podnosi się z grobu i poznaje w kardynale św. Jana — a ten oświadcza: „Teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi." Ze słowem „Biada mi!" zapada widmo z powrotem w grób, sklepienia kościoła zaczynają pękać i rwać się, a tłumy ludu uciekają w trwodze. W świątyni pozostaje tylko papież i szlachta polska, która nie chce go opuścić w godzinie śmierci. Bazylika św. Piotra i cały Watykan rozpadają się w gruzy, a na potężnym ich stosie zasiada, jakby na tronie, św. Jan i czyta księgę; „a twarz jego była przepojona jakby miłości wyrazem i pełna pokoju".

Poeta zbliża się do tego dziwnego tronu i z ust świętego otrzymuje wyjaśnienie zagadki: „Odtąd Chrystus ani się rodzi, ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi." A na pytanie o los Polaków, którzy zginęli wraz z pa-

pieżem, odpowiada św. Jan: „Nie trwóż się o nich! Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący, tak, jak wschodzący, umarli, tak, jak żywi, są z Pana — owszem, im lepiej będzie i synom synów ich.“

„A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i duch mój się przebudził“ — kończy poeta.

Sposób ujęcia i skrystalizowania marzeń o epoce Ducha św. jest nadzwyczaj jasny i wyrażony możliwie najprostszemi symbolami: dzisiejszy kościół wojujący rozpada się w gruzy, a na ich szczycie rozpoczyna swe panowanie przedstawiciel miłości, św. Jan. Jedno tylko jest niezrozumiałe: rola, jaka w tej wielkiej, przełomowej chwili przypada Polsce. Kiedy nad światem świtać zaczyna jutrzenka nowych, szczęśliwych czasów, Polska ginie pod gruzami starego świata, broniąc go do ostatniego tchu. Prawda, że ten przewrót dziejowy jest dziwnie w poemacie przedstawiony. To nie radosna, oczekiwana w tęsknocie chwila spełnienia się marzeń ludzkości — to raczej kataklizm jakiś, wzbudzający popłoch i powszechne przerażenie. Narody całe uciekają w panicznym przestrachu z walącego się kościoła, ale nie rozumieją wielkości faktu i jego właściwego znaczenia; żadne wielkie hasło nie unosi się nad gruzami, a uspakajające słowa św. Jana słyszy sam tylko poeta. Stary kościół rozpadał się w oczach tłumów, nowy wschodzi wśród zupełnej pustki.

Zdaje się, że Krasiński chciał tu odmalować nie cały oczekiwany przez mistyków przewrót, lecz tylko jego cząstkę, dotyczącą kościoła; dlatego nie dzień Ducha św., lecz dzień św. Jana mamy przed sobą w „Legendzie“. Tu leży także zapewne powód, że ten przewrót odbywa się bez żadnego współudziału ludzkości, że nie jest wynikiem owej „pracy wieków“, która miała go kiedyś wydać, ale objawem wyroków bożych czy też kaprysu losu. Pomimo to rola Polski jest dziwna: wśród biernego świata ona jedna jest czynna, ratując od zguby stare, spróchniałe kształty życia — i ona jedna tylko ginie wśród nich. Pociecha św. Jana, że tego litościwego uczynku Bóg Polsce nie zapomni, jest tylko zdawkową pociechą i nie wyjaśnia bynajmniej dziwnej sytuacji: Polska grzebie się w grobie wtedy właśnie, gdy świat cały zaczyna żyć życiem nowem.

Dowodzi to wszystko jasno i niezbicie, że w epoce „Trzech myśli“ pogląd Krasińskiego na rolę Polski w dziejach świata nie był jeszcze ustalony. A trudno mu było zdecydować się na sformułowanie tej roli, bo Polskę utożsamiał z szlachtą, a o szlachcie miał wyobrażenie bardzo niepochlebne. Widać to w listach współczesnych, i w drobniejszych utworach, np. w „Fantazji życia“, i przedewszystkiem w pisanym równocześnie z „Trzema myślami“ obrazie piekła nowożytnego, gdzie Dante, patrząc na szlachtę polską, wypowiada z boleścią: „Piekło dawnych ludzi nie bolało mnie tyle.“ Nie mógł więc Krasiński w ręce tych ludzi składać zbawienia Polski — dlatego może kazał im z honorem rycerskim zagrzebać się w grobie, a poprzestał na niejasnej przepowiedni lepszej doli dla przyszłych pokoleń. Zresztą obowiązywała jeszcze przepowiednia zmartwychwstania, rzucona w „Śnie Cezary“, według ówczesnych pojęć jego jeszcze nie utożsamiona z nadejściem trzeciej epoki dziejów, a zatem mogąca przysłonić sobą zakończenie „Legendy“ i stanowić zabarwienie ideowe całego zbiorku.

Twórczość jednak poetycka, której wyrazem były „Trzy myśli“, nie zdołała wyczerpać całego zainteresowania, jakie kwestje te obudziły w Krasińskim. Stosunek sprawy narodowej („Sen Cezary“) do przyszłych ewolucyj całego świata („Legenda“) ciężył mu dalej, już nie wyobraźnię zajmując, lecz podniecając pasję do rozumowania, wzmożoną wczytywaniem się w liczne dzieła filozofji romantycznej. Owocem długich rozmyślań jest obszerny traktat p. t. „O stanowisku Polski z bożych i ludzkich względów“, składający się z trzech części: „O Trójcy w Bogu i o trójcy w człowieku“, „O Trójcy w czasie i przestrzeni“ i „Stanowisko Polski wśród ludów słowiańskich.“

To, co stanowi istotną treść tego pisma, co jest jego przewodnią myślą, jego duszą, to wypłynęło z serca; była to troska o Polskę, o jej przyszłość, to samo bolesne szukanie punktu oparcia dla wiary w sprawiedliwość, w zmartwychwstanie uciemiężonego narodu, które nękało wszystkie szlachetniejsze umysły emigracji. Forma jednak tych serdecznych rozmyślań przyszła z zewnątrz, z niemieckiej filozofji romantycznej. Schematem, kategorją rozumowania stała się tu formuła trójcy: tezy, antytezy i syntezy, wynaleziona przez Fichtego, a stosowana z zapałem przez Schellinga, zwłaszcza przez Hegla — metodę

„naukową“ określiła i stworzyła zasada „czynnej intuicji“ Schellinga.

Była to metoda nadzwyczaj wygodna i pociągająca. Schelling, zarzuciwszy ścisłe badania poprzedników, puszczał wodze wyobraźni i swobodnie budował światy. Zdawało mu się, że zrozumiał już i wyjaśnił wszechświat, gdy cząstki jego wcisnął w ułożony zgóry schemat i gdy pozbawionym krytyczności wywodom mistycznym nadał pozory dowodów matematycznych. Powstałe w ten sposób „badania filozoficzne“ były bezkrytycznemi fantasmagorjami, ale ich poetyczność i dostępność zjednywały Schellingowi mnóstwo wielbicieli. Miał też wielu naśladowców, którzy, zwłaszcza na polu filozofji przyrody, wykazali dziełami swemi w rażący sposób fatalne skutki metody swego mistrza. I tak jeden z nich, Steffens, nauczał, że diament jest kwarcem, który doszedł do samoświadomości; ziemię przedstawiał jako olbrzymią marzycielkę: skamieniałości nie były, według niego, nigdy żywemi, są to tylko marzenia państwa mineralnego o roślinach i zwierzętach.[9]) Na takie bezdroża sprowadzał naukę system Schellinga.

Rzecz prosta, że Krasiński, nie mający podstawy naukowej w nowożytnem znaczeniu tego wyrazu, nie zdołał tych bezdroży uniknąć. Jego sposób dowodzenia woła poprostu o pomstę do nieba. Niema w nim żadnej podstawy, żadnego krytycznego punktu wyjścia, z którego wysnuwałyby się dalsze myśli w sposób, zbliżony przynajmniej do ścisłości; punktem wyjścia docieckań tych są cytaty z Pisma św., dogmaty kościelne, a nawet legendy, metoda zaś dowodzenia polega prawie wyłącznie na wnioskowaniu za pomocą bardzo odległych i niezupełnych analogij. W ten sposób można naturalnie dowieść wszystkiego. Dodajmy, że traktat roi się od typowych przykładów tych najpospolitszych i najbardziej zasadniczych błędów rozumowania, przed któremi przestrzega każdy podręcznik logiki. Te mistyczne fantazje są, co prawda, objawem epoki i występują także u innych naszych poetów, ale ich cechy ujemne nie występują nigdzie może tak rażąco, jak u Krasińskiego. Powodem tego jest fakt, że on kładzie widocznie nacisk na rzekomą ścisłość swego rozumowania, że podkreśla ją ustawicznie i bardzo usilnie, a wskutek tego podkreślone ułomności występują wyraźniej i rażą tem dotkliwiej.

Forma więc tego teologiczno-historjozoficznego traktatu jest nieprzyjaciółką jego treści. Zawarte w nim poglądy, opowieziane z naiwną swobodą, bez swej filozoficznej pretensjonalności, byłyby mogły stworzyć dzieło, godne postawienia obok pokrewnej mu zresztą na wielu punktach „Genezis z ducha“ Słowackiego.

Oto główny zarys tych poglądów.

Punktem wyjścia jest dogmat o Trójcy św., pojęty jako Heglowska teza, antyteza i synteza. Pierwsza osoba Trójcy jest wyobrazicielką łaski i bytu — druga wyobrazicielką rozumu — trzecia pogodzeniem i połączeniem obu poprzednich i przedstawicielką miłości. Duch św. zatem jest syntezą, „spójnią żywą łaski bez powodu z rozumem, powód zawierającym“, jest „wszechżyciem bożem, kojarzącem wszechbyt z wszechmyślą w Bogu“. Ojciec dał nam byt, Chrystus „objawił rodowi ludzkiemu prawo wieczne, zasługi i postępu nato, by ród ten mógł dojść do anielstwa“, Duch św. zaś stanowi najwyższą harmonję poprzednich, „nasz cel ostateczny, żywot wieczny“.

Nacisk pada na postać Chrystusa. Stanowi on „przejście od cielesności do pełni ducha, czyli od natury ludzkiej do bożej“. Dla ludzi jest on przykładem, jak trzeba dążyć do doskonałości, i całe życie Chrystusa ten jedynie cel spełniało. Nawet po swem wniebowzięciu nie zmienił swej roli — i teraz zadaniem jego jest „coraz wyżej wstępować i ciągnąć za sobą wszystkie duchy i światy, by wniebowstępowały wraz“.

Celem światów jest szlachetnienie. Jest to prawo, obejmujące całą przyrodę. Nawet każdy „kamień ma w sobie siły idealne“ i jest cząstką „wielkiego organizmu żywego planety, a dąży do tego, by stać się po wielu przetworzeniach duchem i życiem“. Ono objawia się w nim narazie pod wyłączną formą bytu, będącą pierwszym szczeblem życia, ale szczeblem, „zawierającym wszystkie możności dalszego rozwoju“. Ze świata natury wyrasta istota ludzka, mająca już rozbudzoną myśl, z ludzkości zaś wychodzi cały ród „dalszych, wyższych duchów“, które, wznosząc się coraz wyżej, „wracają ku Bogu“.

Dźwignią tego postępu, najwyższem prawem życia, jest ciągłe „udzielanie siebie drugim“. Już w martwej nawet przy-

rodzie „nieustannie cząsteczki ciał jednych udzielają się drugim“ i na tem polega ich życie. Im wyższy stopień rozwoju duchowego, tem wyraźniej i widoczniej występuje działanie tego prawa, a „najwyższe udzielanie się nazywa się poświęceniem, ofiarą, nawet śmiercią“. Ofiara pozornie „zmniejsza“ nas, uszczupla, w istocie jednak „tylko tym sposobem duch żywy rośnie i nieskończeni się“. I tu znowu wzorem jest Chrystus. Zarówno każdy człowiek z osobna, jak i cała ludzkość muszą „przejść przez prawo Chrystusa i uczynić je w sobie“. Kto tego nie uczyni, będzie musiał dopełnić tego niezbędnego warunku „może kilkukrotną śmiercią, kilkukrotnym nawrotem żywota na ziemi“, ale dopełnić go bezwarunkowo musi. Środkiem, sposobem spełnienia tego obowiązku jest jedyny objaw życia, czyn. Dziś słabi i marni jesteśmy, więc i czyny nasze są nikłe, ale kiedyś dojdziemy do tego, że stwarzać będziemy całe „światy dobra i piękna“ — i to będzie naszym najwyższym stosunkiem do Boga. Gdy wola nasza zrośnie się z wolą bożą, nabierze takiej siły, że będziemy „snuć z siebie“ nie tylko „następne dzieje żywota naszego wiecznego“, ale nawet „wszystkie zewnętrzne kształty nasze“ i w ten sposób przetworzymy świat cały, bo „tych naszych kształtów przeciągnieniem i zwierzchnią obwijką będą światy wszechświata. My będziem ich wewnętrznemi żywotami, ich bijącemi sercami — one szatami Boga, utkanemi przez nas“.

Możliwość takiego rozwoju ludzkości uzasadnia Krasiński znowu formułką heglowską. I w człowieku istnieje odbicie Trójcy św.: byt jest tezą, myśl antytezą, — i one „zlać się pragną w jedno życie“, dążą do syntezy. Gdy jednak ta synteza nastąpi, gdy człowiek dojdzie do pewnej pełni duchowej, wtedy odkrywa, że uzyskana rzeczywistość daleka jest jeszcze od bezwzględnej doskonałości, rodzi się więc natychmiast wyższe pojęcie idealne. Uzyskane poprzednio urzeczywistnienie ideału, dawniejsza synteza, staje się znowu bytem, tezą, nowe, wyższe pojęcie idealne antytezą, poczem powstaje dążność do syntezy, a gdy ona stanie się faktem dokonanym, proces ten rozpoczyna się na nowo — i w ten sposób ciągnie się łańcuch coraz wyższych stopni doskonałości duchowej aż w nieskończoność. Kiedy wreszcie rozwój ten doprowadzi ludzkość tak wysoko, że zdoła pojąć Chrystusa już nie ślepą

wiarą, ale jasną wiedzą, wtedy nastanie dzień Ducha św., „Królestwo Boże na ziemi czyli stan chrystusowego uspołecznienia.“ Ale i ta wielka chwila będzie tylko czemś pośredniem, przejściowem, wiodącem do stanu najwyższego, do „żywota wiecznego.“ Będzie to „przeanielenie się“ ludzkości, przebóstwienie duchów. Jednakże i w „żywocie wiecznym“ wrzeć będzie życie, odbywać się będzie ustawiczny postęp, i on „przemieniać się będzie jeszcze, i to bez końca, ale już świadomie i wolnie, co chwila szerszy, miłośniejszy, piękniejszy, głębiej odczuty, mędrzej pomyślany, w urodziwszych kształtach upostaciowany.“

Druga część traktatu mówi już nie o jednostkach, lecz o zbiorowiskach ludzkich, a więc o ludzkości i narodach. Ludzkość jest „wspólną pracą duchów pojedyńczych, dążących do żywota wiecznego“, a dzieli się na narody, tj. ludy, pojmujące już swój cel, do którego dążą; celem tym jest ludzkość, a za jej pośrednictwem żywot wieczny. Istnieje bowiem w świecie duchów pewna solidarność, dzięki której do żywota wiecznego nie mogą dojść ani jednostki ludzkie, ani poszczególne narody z osobna, lecz jedynie cały świat jednocześnie, „razem z wszystkimi żyjącymi i wszystkimi umarłymi.“ Nieodzownym więc warunkiem osiągnięcia żywotu wiecznego jest „przeanielenie się“ całej ludzkości, a odbywa się to częściowo i stopniowo w narodach. One „wyrabiają“ w sobie jedną z idej, jeden z „organów“ ludzkości w sposób taki sam, w jaki uszlachetnia się jednostka ludzka: przez ustawiczne ścieranie się dwu zasadniczych pierwiastków, łaski bożej i wolnej woli (tezy i antytezy) i łączenie się ich w coraz doskonalsze syntezy, stanowiące ducha narodu. Narodowość jest nieśmiertelna, celem jej zaś jest „przysposobienie duchów pojedyńczych do żywota wiecznego“, więc też z chwilą osiągnięcia tego celu przestanie istnieć jako odrębna całość, rozleje się w ludzkości.

Przyszłość narodu polega na coraz większem uduchowianiu się i szlachetnieniu, znowu drogą syntezy. Nieuświadomiona jeszcze w sobie przeszłość stanowi byt narodu; zrozumienie tajemnicy tego bytu, jego idei, jest myślą narodu — a z dwu tych sprzecznych pierwiastków powstaje jako ich synteza duch narodu. To samo stać się musi w dziejach ludzkości.

Świat starożytny był okresem bytu — „ciała, dążącego do myśli swej.“ Myśl tę przyniósł Chrystus — i odtąd trwają ustawiczne walki i zmagania się myśli i ciała. Okres dziejów od przyjścia Chrystusa jest więc tylko przejściem z epoki martwego bytu do Królestwa Bożego na ziemi, celu świata. Wstępujemy już w wieki nowe, w których „pierwszą zasadą się stanie wszelkiej narodowości istotnej upaństwowienie, a wszelkiego państwa, nie na narodowości opartego, rozsyp.“ Takie tylko, narodowe państwa „zdołają być prawdziwie chrystusowemi“ i spełnić wielkie swe zadanie. „Lecz, jako przed wiekami duch pojedyńczy ludzki, choć od kilku tysięcy lat bytujący na ziemi, dopiero za ukazaniem się chrystusowej postaci dowiedział się o sobie samym z losów Jej żywota, że nieśmiertelny, że Ojca ma w niebiesiech i jaką drogą wracać ku Niemu powinien — tak i teraz, by uzyskać pełnię wiedzy o sobie, duchy zbiorowe potrzebowały pierwowzoru, któryby, sam będąc duchem zbiorowym, zniósł widomie, dotykalnie, rzeczywiście wszystek ciąg losów, mogących dotknąć jakąbądź ziemską narodowość, i temi dziejami swemi właśnie objawił prawdę niepodobieństwa jej zgonu.“ Może zaś to nastąpić jedynie przez śmierć i odrodzenie się.

Takim pierwowzorem dla ludzkości całej jest Polska. Przedewszystkiem ma ona na sobie znamię męczeństwa, powtóre zaś już w przeszłości swej dokonała czynów, stawiających ją „na czele ludów własnego plemienia, a w rzędzie najświetniejszych narodów innych plemion.“ Spełniła poza tem cały szereg warunków, koniecznych do odegrania w świecie wielkiej roli pierwowzoru ludzkości.

W niedokończonej części trzeciej rozważa Krasiński stanowisko Polski w Europie. W chrześcijańskiej epoce Europy trzy są najwybitniejsze plemiona: romańskie, polityczne, przedstawiające „oderwany kierunek bytu“ — germańskie, filozoficzne, odzwierciedlające przejściowy rozłam między myślą a bytem, duszą a ciałem — i słowiańskie, religijne, które „w jedną sprawiedliwość i ład godzi wszelki byt z wszelką idealnością.“ Świat słowiański jednak zawiera w sobie dwa przeciwieństwa: Moskwę, z piętnem antychrystowem, przedstawicielkę moralnej zgnilizny, i Polskę, ideał sprawiedliwości i miłości. „Wieków trza będzie światu, by takiego

ideału dostąpił w myśli, a wielu drugich, by go w pełni i mierze urzeczywistnił.“

Na tem urywa się traktat; wniosków ostatecznych nie wysnuł Krasiński, ale one są już zawarte w części drugiej, a dalsze wywody mogły je chyba tylko silniej uwydatnić lub rozdrobić w szczegóły. Nic istotnego nie mogło ich już powiększyć lub rozszerzyć.

Etyczny podkład traktatu jest niezwykle piękny i podniosły. Przekonanie, że celem wszechświata jest ustawiczne uszlachetnianie się, że zdobywa się je ofiarą, że dla wyższych celów, dla ojczyzny i ludzkości, poświęcić trzeba wszystko, co znikome — to są poglądy, prowadzące na szczyty ducha ludzkiego. W trzy czy cztery lata później głosić je będzie Słowacki z zadziwiającą zgodnością, niemal dosłownie tak samo. O ile inne a bardzo liczne rysy, wspólne „nauce“ Słowackiego i traktatowi Krasińskiego, pochodzą poprostu z wspólności źródeł, z których obaj korzystali, tę jednolitość niemal poglądów etycznych wywołała atmosfera, wytworzona położeniem narodowem. Ale w sposobie ujęcia i przedstawienia tych pomysłów jakaż olbrzymia różnica! W „Genezis z ducha“ są one spowite w przepyszną formę cudownej baśni, opowiadanej Bogu — tu poezja treści walczy z prozaicznością formy, z rzekomem dowodzeniem tego, czego dowieść nie można, a raczej z rezonowaniem. Słowacki, chociaż stworzył poemat bez pozorów naukowej głębi, postąpił w jednym kierunku, jak prawdziwy filozof: odrzuciwszy wszelkie względy, oparł się wyłącznie na przesłankach własnych, które uważał za uzasadnione — Krasiński czyni ze swej pracy istne warjacje na temat dogmatów kościelnych i poddaje jej prawomyślność sądowi wybranych księży. Jakże uderzające różnice!.

Zupełnie inaczej przedstawia się inna praca Krasińskiego, napisana niemal współcześnie z traktatem „O stanowisku Polski“ i drukowana w poznańskim „Tygodniku literackim“ w r. 1841. Nosi tytuł „Kilka słów o Juljuszu Słowackim“ i wkracza w dziedzinę krytyki literackiej.

Jest to artykuł do pewnego stopnia tendencyjny: Krasiński chce obronić przyjaciela (zaprzyjaźnił się ze Słowackim w Rzymie w r. 1836) od ciągłych złośliwych zarzutów, nie-

mal od prześladowań krytyki emigracyjnej i dlatego zaznacza i podnosi jedynie zalety jego twórczości, o brakach wspominając tylko. Ale jakże przepysznie ujmuje swój przedmiot! Przedewszystkiem rozumie wybornie konieczność prowadzenia pierwiastku historycznego i na jego podstawie stwierdza, że Słowacki jest logicznem następstwem twórczości Mickiewicza, niemal przeciwieństwem jej; widzi w nim objaw „siły odśrodkowej“, podczas gdy autor „Wallenroda“ przedstawia w naszej literaturze „siłę dośrodkową.“ Przechodzi kolejno najważniejsze dzieła Słowackiego, „W Szwajcarji“, „Anhellego“, „Ojca zadżumionych“, „Balladynę“ i „Lillę Wenedę“ omijając słabsze („Kordjana“, „Piasta Dantyszka“ i „Wacława“), a nacisk kładąc na jego intuicję poetycką i znakomitą formę.

Rozprawa ta imponuje jednak nie tyle treścią swą, choć mnóstwo w niej niezwykle trafnych i bystrych spostrzeżeń, które do dziś nie straciły wartości, ile sposobem jej przedstawienia. Ustęp o języku Słowackiego jest małem arcydziełem i może służyć za wzór, jak można za pomocą poetycznych zwrotów oddać wiernie fakt, wymykający się ze ścisłych określeń. A jak zgrabnie i nieznacznie odbija Krasiński niemądre zarzuty krytyków emigracyjnych, jak daje im nauczki, których dosadność idzie w parze z niezwykłą wytwornością! Jednem słowem: artykuł o Słowackim jest jednem z największych arcydzieł naszej krytyki literackiej, i to nie tylko emigracyjnej.

Dziwną, niemal niewytłómaczalną wydaje się różnica, jaka pomiędzy tym artykułem a traktatem „O stanowisku Polski“ zachodzi w stylu. Świetny, błyskotliwy, a jednak niezwykle ścisły, swobodny i jasny język rozprawy krytycznej zmienia się w traktacie filozoficznym w coś oschłego, wymuszonego, zepsutego mnóstwem niezgrabnych neologizmów, nieuzasadnionych bynajmniej tematem, bo nie dotyczących zakresu pojęć filozoficznych; zwięzłość stylu i logiczność wywodów pierwszego zmienia się w drugim raz po raz w rozwlekłość, wtrącanie nie należących ściśle do rzeczy i psujących tok rozumowania wywodów lub ich niepotrzebne powtarzanie. Trudno niemal uwierzyć, że te prace mogły powstać w tym samym roku. Ponieważ tematy są w obu rozprawach pokrewne, i literackie bowiem roztrząsania ujęte tu są w formułkę heglowską [10]) i zabarwione poglądem filozoficznym, więc wyjaśnić sobie można te dziwne różnice przedewszystkiem bądź co bądź większą swobodą, jaką Krasiński odczuwał na polu krytyki literackiej, powtóre zaś przypuszczeniem, że traktat „O stanowisku Polski“ jest jedynie niewykończonym szkicem, który przed oddaniem do druku byłby niewątpliwie uległ znacznym przeróbkom. Brak zakończenia zdaje się to przypuszczenie potwierdzać. Pomimo to jednak, rzecz prosta, nie traci ta praca filozoficzna wielkiego swego znaczenia, jakie miała w historji rozwoju poety.

Traktat „O stanowisku Polski“ jest dla nas jedynie nieudałą rozprawą, zawierającą system tych poglądów, które, jak strzępy, rozrzucone są po późniejszych utworach Krasińskiego — dla niego był on czemś znacznie ważniejszem. Tu sformułował on i tem sformułowaniem utrwalił w sobie zasady etyczne, które są odtąd jakby jego przykazaniami, tu także doszedł w ten sam sposób do ustalenia swych poglądów na rolę Polski w świecie i na jej przyszłość. Wbrew swoim przekonaniom o wartości moralnej społeczeństwa, którego pojęcie zacieśniał do ram, obejmujących jedynie szlachtę, wbrew niedawnym jeszcze pesymistycznym, wprost ponurym poglądom na naszą przeszłość historyczną, uznał Polskę za wzór narodów, otoczył jej przeszłość i teraźniejszość auerolą bezwzględnej doskonałości, najwyższego ideału etycznego i do końca życia pozostał w swej twórczości tym poglądom wierny.

Ale tylko w twórczości. Zaczynają się zjawiać rysy w utrwalonem z takim trudem i cierpieniem pojęciu, że poezja powinna przedstawiać prawdę i tylko prawdę. Twórczość Krasińskiego zaczyna się odchylać od tego, co jest jego głębokiem przekonaniem — poeta pozwala sobie na drobne ustępstwa dla niej kosztem szczerości. Dotyczy to przedewszystkiem poglądów na dzieje Polski, które w dalszej jego twórczości odgrywać będą niezwykle ważną rolę. W długim liście, pisanym do ojca z Florencji w styczniu 1836 roku [11]), zamieścił Krasiński pogląd swój na historję Polski; musimy poznać choćby najważniejsze tylko jego ustępy.

„...Byliśmy najniepewniejszym, najbłędniejszym, naj-

bledszym, że tak powiem, narodem w historji ludzkości. ...Szlamazarny był nasz los. Zabierało się na coś w początkach. Zdawało się, że my Słowiańszczyznę spoim i urządzim. Garnęły się do nas narody i korony, ale z niczego korzystać nie umieliśmy, nic w czas zrobić. Gdzie jaki Polak był genjalnym politykiem? Gdzie kiedy Polska wpływ na Europę, reakcję choćby, wywarła? Dobrze gadać obcym o Turkach, ale w rzeczy samej wojny tureckie nie były u nas owocem rozmysłu i przewidywania, tylko dziełem chwilowem nieodbitej konieczności. Wielki rozum, wielka zasługa, że, kiedy przyszli Tatarzy lub Turcy, to my się bronili wtedy. Ale czyśmy przejrzeli, jakby obalić potęgę turecką? ale czyśmy założyli sobie ją obalić lub przynajmniej określić? Ale czyż wyprawa pod Wiedeń nie była jeszcze prostym przypadkiem — szczęśliwym?

„A w naukach, w kunsztach, w sztukach cóżeśmy stworzyli? Jest-że poezja, architektura, lub malarstwo, lub muzyka polska? Czyśmy mieli kiedy co polskiego na świecie, prócz rubaszności?...

„Że wojen u nas religijnych nie było, to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno. O to, w co ludzie wierzą, biją się...

„Jedyną tradycją stanu u nas była swawola. Jedynym celem powszechnym towarzystwa: używanie. Jedynem pojęciem wolności: lenistwo.

„Lekkomyślność nasza pochodziła zawsze z braku głębi w czuciu, z braku prawdziwych celów, słowem z braku wiar jakichkolwiek. Trza było okropnie słabych i szlamazarnych ludzi, by po oczytaniu się w starożytnych, po obznajomieniu się z całą cywilizacją europejską dać się opanować przez Jezuitów, by dać sobie wydrzeć z rąk wszystko przez ludzi, którym nie wierzyli, bo któż z panów polskich wierzył katolicyzmowi? Cała Polska to raz protestancką, to znów socyniańską, to znów rzymską apostolską bywała...

„Gdyby przyszło prawdziwie i filozoficznie komu pisać polską historję, to chyba trzaby mu było być cudzoziemcem, żeby się odważyć do takiego dzieła. Serce Polaka nie zdołałoby przenieść na sobie, by odsunąć zasłonę, leżącą nad takim ogromem niedorzeczności, błędów raczej słabości,

niż namiętności, głupstwa raczej, niż zbrodni, dziecińtwa raczej, niż ludzkich czynów.

„Nie zdołałaby ręka polska opisywać, jako nam opatrzność wydzieliła ogrom darów swoich, jako nas postawiła na pysznej drodze, na samym środku Słowian, jako napisała w przeznaczeniach naszych, że my powinni ich skupić i zorganizować, jako nam dała potęgę wtedy, kiedy sąsiedzi byli słabi i dzicy, jako nas połączyła, nas jednych z słowiańskiego szczepu, z żyjącą i oświeconą Europą i jako my wszystko zmarnowali nie przez hojność, nie przez popęd, nie przez rozpasane namiętności, ale tylko przez nieporządek, przez opieszałość, przez brak rozumu, a nieraz i serca. Podobni w tem do tego, który nikomu szklanki wody nie dał, a stracił majątek...

„Były u nas indywidualne cnoty i bohaterstwa, ale narodowych nie było. Co u innych narodów wyszło na cnoty i zbrodnie, to u nas wychodziło na buffonady. Tam, gdzie wielkie zbrodnie, muszą być i wielkie cnoty — bo pierwiastek zbrodni i cnoty jeden: moc ducha, ale tylko kierunki różne (mówię ja tu o zbrodniach politycznych, o wojnach i prześladowaniach, o niesprawiedliwych zaborach, o dumie i żądzy panowania). U nas było ogromne nic.

„Ni cnota, ni niegodziwość, ale *mezzo termino:* błazeństwo. Ni sroga tragedja, ni idylla niewinna, ale *mezzo termino:* farsa. I tak, leżąc na kożuchu, pijąc małmazję i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu...

„Strasznemi bywają zapisy, czynione przez przodków: zdrowie, choroba materjalnie — radość, smutek moralnie — i jeszcze kara lub chwała. My w testamencie dostali tylko wypłatę długów."

W tym czarnym obrazie zwraca uwagę brak plam najczarniejszych, ponurych czasów Targowicy, sprzedawania ojczyzny Moskwie za brzęczącą a ciężką monetę. Krasiński nie może ich przypominać swemu ojcu, ale pamięta o nich niewątpliwie.

Pogląd, wyrażony w tym liście, nie jest objawem chwilowego usposobienia, depresji — jest wynikiem długich zapewne rozmyślań. Dwukrotnie zmienia się w tym liście charakter pisma; autor jego widocznie odkładał pisanie

może na cały dzień, aby zastanowić się głębiej, rozważyć rzecz dokładniej. Zresztą nowsi historycy, zwłaszcza szkoła ich krakowska, doszli do tych samych prawie wyników i list ten mógłby służyć jako streszczenie ich poglądów, gdyby nie był powstał o pół wieku wcześniej. W owych czasach było to wyjątkowe, głęboko odczute wtargnięcie w tragedję dziejów polskich; ponieważ zaś Krasiński mówi wyłącznie o czasach wszechwładztwa szlacheckiego, więc słowem „my" określa nie tyle Polskę, ile raczej szlachtę.

W przeciągu pięciu lat, które dzielą ten list od „Traktatu", zmieniła się w jego wywodach Polska z „ogromu niedorzeczności... słabości głupstwa... dziecińforstwa" w „naród ogromnej i wspaniałej przeszłości" — „brak głębi w czuciu... brak wiar jakichkolwiek" zastąpił naród „pełen wiary i nadziei w przyszłość, pełen miłości, silniejszej, niż śmierć sama". Nie wypowiedział jeszcze Krasiński ostatniego słowa o rozbiorach. W r. 1836-ym brzmiało sprawiedliwe, ale bezlitosne jego zdanie: „Leżąc na kożuchu, pijąc małmazję i piwo, trefnując dziwnie krotofilnie, zeszliśmy do grobu." W siedem lat później pojawi się poemat, w którym obraz ten najzupełniej zmieni swe zabarwienie.

Po teoretycznem bowiem rozpatrzeniu sprawy polskiej nadeszła pora przedstawienia jej wyników w twórczości poetycznej — i tu zetknął się Krasiński z poezją mesjanistyczną, która dotychczas nie odgrywała w jego działalności artystycznej żadnej roli.

* * *

X.

PRZEDŚWIT.

Mesjanizm polski, od dawna już błąkający się w pismach myślicieli, historyków i ekonomistów naszych, zjawił się na niwie poezji dopiero pod wpływem upadku powstania listopadowego. Kiedy huk dział z pobliskich pól bitew dochodził już wyraźnie do Warszawy, a wokoło stolicy zaczęto gorączkowo sypać szańce, wtedy troska o przyszłość ojczyzny szukała w modlitwie podpory i otuchy — i w ten sposób dwa zasadnicze pierwiastki, składające się na prąd mesjanistyczny, pierwiastek patrjotyczny i religijny, złączyły się ze sobą znowu, prawdopodobnie nie z utworów Woronicza, nie z literatury, lecz wprost z życia powstając. Podłoże było gotowe. Widać je wyraźnie w tonie niektórych wierszy „Barda oswobodzonej Polski", przedewszystkiem zaś w podniosłej mowie Brodzińskiego „O narodowości Polaków", wygłoszonej 30 maja 1831 roku na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk.[1]) Było to jednak jedynie podłoże, poetyczny wyraz tego, co czuło i myślało wielu; porównania mąk Polski z męką Chrystusa nie było w tych utworach, nie było w nich zatem także mesjanizmu.

Dopiero w pół roku po mowie Brodzińskiego, w rocznicę wybuchu rewolucji, uczyniono ważny krok naprzód. Stefan Garczyński, czyniąc w wierszu „W rocznicę" przegląd dziejów powstania listopadowego, podzielił je na okresy, przejęte z życia Chrystusa. Paryska rewolucja lipcowa, ożywiająca nadzieje narodów, jest „czasem zwiastowania" — wybuch listopadowy przedstawiony jest jako „czas narodzenia":

Patrz: z Niepokalanej,
Ducha świętego sprawą syn wyszedł prawdziwy.
Młodzież go urodziła w uczucia prostocie.

W tej wielkiej chwili orzeł polski odgrywa rolę gwiazdy betleemskiej, car zaś jest „Herodem północy".

Arką została Polska — wolności przymierzem,
Z niej miało światło wiary rozpłynąć po świecie.

Że zaś dokonała tego młodzież, więc należy się jej cześć,
jakiej święta Panna
Doznała, kiedy Boga ujęła w ramiona!

Potem przyszedł okropny „czas męki świętej“ — cierpień i walk z dziczą moskiewską; „męczenników strumieńmi łała się krew święta“ — ale napróżno: „Bóg zażądał ofiar — spełnione ofiary.“ Charakterystyczne jest zakończenie utworu:

Bracia moi — nadzieja! Jeśli głosy wieszcze
Nie uwodzą, czas przyjdzie ZMARTWYCHWSTANIA jeszcze,
Przyjdzie czas WNIEBOWZIĘCIA — laur z krzyża wyrośnie,
Tułacze znów się zbiegną na PAŃSKĄ WIECZERZĘ,
Jak kiedyś apostoły Chrystusa, radośnie
My Polskę powitamy — i Polak zabierze
Miejsce między ludami — i, na siłach dzielny,
Jak dwa razy zrodzony, będzie nieśmiertelny.

W tym zatem niewielkim utworze objawił się po raz pierwszy w poezji polskiej mesjanizm, niezupełnie ściśle sformułowany, zapewne nie wiedzący jeszcze o sobie, ale zawierający już w swych symbolicznych określeniach wszystkie zarodki i możliwości przyszłego systemu. Jeszcze krok na tej drodze, na którą wszedł Garczyński, a symbole rozwiną się w jasno sprecyzowane twierdzenia, obejmą szersze kręgi — i Polska zabłyśnie w poezji jako Chrystus narodów. Krok ten uczynił Mickiewicz.

Wiersz „W rocznicę“ poznał Mickiewicz wkrótce po jego napisaniu z rękopisu — i on był zapewne jednym z głównych powodów głębokiego szacunku, jakim autor „Wallenroda“ otaczał młodego Garczyńskiego. Z tego właśnie niewielkiego wiersza wykwitł pomysł jednego z najgenjalniejszych ustępów, jakie dzieła Mickiewicza zawierają, „widzenia ks. Piotra“ w „Dziadów części III.“ To, co Garczyński uczynił z historją powstania listopadowego, przenosi Mickiewicz na całą Polskę porozbiorową i przedstawia bolesne jej losy



Zygmunt Krasiński
1843

zapomocą obrazów, zaczerpniętych z dziejów męki Chrystusowej.

Najwięcej miejsca poświęca Mickiewicz opisom sądu i ukrzyżowania Polski. Więc najpierw Europa cała porywa ją i prowadzi przed sąd Francji (Galla), a kiedy „Gal w niej winy nie znalazł i — umywa ręce“, królowie, jak niegdyś motłoch żydowski, żądają ukrzyżowania „syna Marji“, a wypuszczenia Barabaszów. Następuje ukoronowanie cierniem i „ecce natio“, zastępujące biblijne „ecce homo“. Polska dźwiga swój krzyż, zawisa na nim, wypowiada: „pragnę“, a wtedy Austrjak poi ją octem, Prusak żółcią, Moskal zaś przebija kopją jej bok. Pod krzyżem, zamiast Madonny, stoi zapłakana „matka Wolność“. Ze słowami Chrystusa na ustach: „Panie, za coś mnie opuścił?“ Polska kona. Za chwilę jednak słychać śpiewaną przez chóry aniołów pieśń wielkanocną, oznakę zmartwychwstania, poczem zaraz następuje obraz wniebowstąpienia: Polska ulata ku niebu, a biała szata spływa od jej stóp i owija cały świat.

Wielki artysta poprzestał w „widzeniu ks. Piotra“ na podaniu szeregu obrazów, ani jednem słówkiem nie ułatwiając czytelnikom zrozumienia ich symbolicznego znaczenia. Nie dziw zatem, że olbrzymia większość emigracji nie zrozumiała go zupełnie, zajęta zresztą w stopniu znacznie wyższym beznadziejnem odgadywaniem znaczenia symbolu cyfrowego, sławnego „44“. A jednak obrazy te mówiły jasno, dobitnie i wyraźnie każdemu, kto poezją się zajmował i znał się choćby trochę na mowie symbolów, że skrystalizował się w nich pogląd znakomitego poety na misję dziejową Polski i że podstawą tego poglądu jest przypisanie Polsce wobec narodów świata tej roli, jaką Chrystus spełnił wobec ludzi. Już w opowiadaniu Sobolewskiego zaznaczył był Mickiewicz, w czem leży *tertium comparationis* tego zestawienia: w stosunku do ofiary Chrystusa ofiara Polski jest „nie tak wielka, ni święta, lecz równie niewinna“. Ta ofiara niewinnego narodu musi mieć jednak swój cel; osiąga go Polska, gdy po jej wniebowstąpieniu cały świat owija się w jej białą szatę, w szatę niewinności. Głosił więc Mickiewicz, że Polska cierpi niewinnie, jak Chrystus, że, jak On, zstąpiła w grób i, jak On, zmartwych-

wstanie, a cierpieniem swem dokona tego, że cały świat stanie się szlachetniejszym.

Taką teorją koił Mickiewicz swój ból patrjotyczny w czasie klęski narodowej, podając równocześnie społeczeństwu zbawienny balsam na rany rozpaczy i zwątpienia. Nie skorzystano z tego dobrotliwego leku. Jedynie rozrzucone w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego“ ułamki i refleksy tej teorji, podane w formie popularnej, znane były szerszej publiczności — sam system w swej zwartej całości nie odbił się początkowo nigdzie silniejszem echem.

Czy Krasiński w czasie pisania „Trzech myśli“ znał tę teorję dobrze, lub raczej czy pamiętał ją dokładnie? Czy świadomie i umyślnie zajmował wtedy w poglądach na losy Polski stanowisko inne, niż Mickiewicz? Trudno to przypuścić, w takim bowiem razie pisanie traktatu „O stanowisku Polski“ byłoby nie zdobywaniem sobie nowych horyzontów, lecz jedynie uzasadnianiem poglądów, skądinąd dobrze już znanych. Jest więc rzeczą niemal pewną, że Krasiński mesjanistycznej teorji Mickiewicza nie wysnuł był sobie jeszcze z „widzenia księdza Piotra“ i że dopiero po napisaniu traktatu, zaglądnąwszy znowu do „Dziadów“, może od lat już nie czytanych, zrozumiał dokładnie wszystko i poddał się urokowi tego genjalnego ustępu. Teorja Mickiewicza przemówiła mu do wyobraźni i do przekonania z taką siłą, że — przejął ją na własność, a co najdziwniejsze, przyswoił ją sobie całą, nic z niej nie odrzucając i nic nie zmieniając, uzupełniając ją jedynie niektóremi pomysłami swemi, zdobytemi w traktacie. Uznał zapewne, że ona jest nie tylko zupełnie zgodna ze stanowiskiem, do którego właśnie doszedł, ale że jest jakby koniecznem i niezbędnem tego stanowiska uzupełnieniem, jakby dalszą a naturalną ewolucją jego własnych poglądów.

Jeżeli jako zasadniczą cechę polskiego mesjanizmu poetyckiego przyjmiemy przypisywanie Polsce męki Chrystusowej i misji zbawienia ludzkości [2]), w takim razie Krasiński dotychczas mesjanistą nie był. Polski bynajmniej nie uznawał za „Chrystusa narodów“, za ofiarę bez zmazy, owszem, los jej uważał, jak Słowacki i jak niegdyś Woronicz, za wynik własnych przewinień, chociaż poglądu tego nie podkreślał zbyt silnie. „Jeśli kiedy wyjątkowo (naród ten, tj. Polska) zmaże się nadużyciami, to oczewista będzie wszystkim patrzącym, że odstąpił od charakteru swego i że tem odstąpieniem, tą winą gotuje sobie zgubę, ową właśnie, która go doprowadzi do śmierci, przez którą przejść musi, by zmartwychwstać.“ W innem znowu miejscu traktatu „O stanowisku Polski“ powiada jasno, że ona „pomimo grzechy i błędy najbielszą ma kartę w dziejach europejskich, najmniej skalaną zbrodniami, najściślej chrystusową, a to szczególnie dlatego, że ciągle pomoc i ratunek niosła drugim i dla nich się poświęcała.“ Jest zatem Polska względnie najlepszą wśród narodów, ale nie bezwzględnie czystą i niewinną, a słowa „najmniej skalana zbrodniami“ bądź co bądź nawet zbrodnie jej przypisują.

I oto nagle, prawie bezpośrednio po sformułowaniu tych poglądów, powstaje „Przedświt“, a w nim znajdujemy taki ustęp:

My umarli pośród świata
Z świętej dla świata miłości;
On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości,
Przyjąć na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów Polski marę
Zstępującą w grób na trzy dni;
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano.

A więc zupełna zmiana stanowiska. Nie tylko nie dopuściła się Polska win, a tem mniej zbrodni, ale nawet grzechów świata nie wzięła na siebie — przyjęła tylko „z świętej dla świata miłości“ karę za te grzechy, aby „zbawić brata“, świat. Dobrowolnie więc i bez zmazy zstępuje do grobu, jak Chrystus, i sprawi tą ofiarą, że „dnia trzeciego rozwidni się“ na świecie i nadejdzie epoka wiecznej szczęśliwości.

Rzecz prosta, że tak nagły a tak zupełny przewrót w pojęciach nie mógł nastąpić bez przyczyny. Nie leżała ona w samoistnych dociekaniach, bo tę drogę wyczerpał już Krasiński w ciągu długiej pracy nad traktatem „O stanowisku Polski“ i doszedł do poglądów, które wobec dawnego jego

pesymizmu były ogromnym krokiem ku optymistycznemu osądzaniu dziejów naszych, ale dalekie jeszcze były od mesjanizmu. U człowieka, tak trzeźwego zwykle w sądach, jak on, apoteoza Polski nie mogła wyniknąć z zimnego obrachunku — mogła ją z sobą przynieść tylko podnieta uczuciowa. Podniet takich wypadki polityczne podówczas nie miały, pozostawała więc jedynie literatura, a w niej „Dziadów część trzecia". Z niej wypłynęła teorja mesjanistyczna „Przedświtu", zawarta w przytoczonym powyżej ustępie.

Pozornie nie ma ten ustęp nic wspólnego z „Widzeniem księdza Piotra", ale tylko pozornie; przypatrzmy mu się uważnie, a zobaczymy, że są to wnioski, wysnute z obrazów „widzenia", lub raczej przesłanki, na których opierają się obrazy mickiewiczowskie i bez których nie mogłyby istnieć, że przesłanki te wydobyto z nich drogą rozumowania i podano tu jasno, zwięźle i przystępnie. Gdyby Mickiewicz napisał wierszowane objaśnienia do „Dziadów", byłby zapewne musiał w ten mniej więcej sposób streścić swą teorję, zawartą w obrazach „widzenia". Jedno jest tu tylko własnością Krasińskiego: owe trzy dni, przejęte z ewangelji, a oznaczające symbolicznie czas, dzielący chwilę rozbiorów od chwili zmartwychwstania. Symbol ten niema nic wspólnego z pojęciem „trzeciej epoki dziejów", podstawą „Trzech myśli".

Logicznie i chronologicznie łączy się z tą teorją upadku Polski obraz jej zmartwychwstania. Oto najważniejsze jego ustępy:

I ujrzałem archanioła
Postać w bieli i w purpurze,
Z nad klęczących ludów koła
Podnoszącą się ku górze.
Obrócone wzwyż jej oczy,
Lecz ku duchów-ludów stronie
Wyciągnięte nadół dłonie —
I tak znika wśród przezroczy.
W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone duchów grona;
Już nie mogą wdole zostać,
Już się wzięły pod ramiona,

Pojednane, połączone
Wzbić się muszą tam, gdzie ona
Wichrem bożym poniesiona,
W coraz wyższą, wyższą stronę.
I zerwały się pospołu
Z szafirowych niw padołu
Za mą Polską, jak za słońcem,
Popłynęły już dogóry
Narodowe, ziemskie chóry,
Popłynęły tak, jak chmury,
Opasane tęcz tysiącem.

U Mickiewicza obraz tej chwili ujęty jest w cztery zaledwie wiersze:

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata
I od stóp jego wionęła
Biała, jak śnieg, szata —
Spadła — szeroko — cały świat się w nią obwinął.

Pomysł jest ten sam, tylko wyrażony nieco innemi symbolami. Dokonane przez Polskę uszlachetnienie ludzkości przedstawia Mickiewicz w formie białej szaty, która spływa z niej i obwija świat cały — Krasiński zaś każe podzielonej na narody ludzkości poprostu dążyć za Polską wgórę. Czterowiersz Mickiewiczowski przetwarza się w „Przedświcie" w obszerną wizję, więc z natury rzeczy musi zawierać szczegóły nowe — ale one wszystkie są jedynie uzupełnieniem obrazu z „Dziadów", zgodnem z nim najzupełniej, często zaś jakby wprost z „widzenia" wysnutem. Oto np. chwila, kiedy rozkochane w Polsce narody klękają przed Polską i słuchają słów Boga:

I przyklękły — i słyszałem
Głos, co woła w wiecznem niebie:
„Jak im Syna niegdyś dałem,
Tak im, Polsko, daję ciebie.
Syn mój jeden był i będzie,
Lecz myśl Jego żyje w tobie;
Bądź więc prawdą, jak On, wszędzie,
Ja cię córką moją robię.
Gdyś do grobu zstępowała,

Byłaś cząstką społeczeństwa,
Ale teraz, w dniu zwycięstwa,
Imię twoje: ludzkość cała.
Ziemia tobie powierzona,
Byś ją wiodła czynu torem,
Aż się staną jej plemiona
Jednym ducha arcytworem.
Wzbij się w bezmiar nieskończony
Nad ubiegłych lat padołem,
Wtedy pójdą te miljony
Za planety archaniołem."

Pomysł uczynienia naszej ojczyzny siostrą Chrystusa, jeżeli nie tkwi już *implicite* w mickiewiczowskim opisie męki Polski, to jest z nim niewątpliwie zupełnie zgodny — w dalszej zaś części słów bożych jedną tylko spotykamy nieznaną nam z „Dziadów" nowość: żądanie, aby Polska wiodła świat do doskonałości drogą czynów.

Krasiński jednak nie poprzestaje na dosłownem przyjęciu teorji Mickiewicza, lecz nadto wyprowadza z niej wnioski i tem samem uzupełnia. Jeżeli Polska istotnie jest bez winy i męczeństwem swem ma spełnić wielką misję, w takim razie przeszłość jej przedrozbiorowa była wyrazem woli bożej, przygotowaniem do wzniosłego posłannictwa, i nam nie wypada dopatrywać w niej tępemi oczyma przewinień i błędów.

Niebezpieczny ten pogląd tkwi istotnie w „Dziadach"; wszak Polska już w chwili swego upadku przedstawiona tam jest jako Chrystus narodów, musiała więc wejść w tę epokę jako wierna przedstawicielka i krzewicielka myśli bożej. Mickiewicz nie przemyślał zapewne tej konsekwencji, kiedy, sam zbolały i tą boleścią oszołomiony, rzucał swe „widzenie" nieszczęśliwym emigrantom na pociechę i pokrzepienie — zobaczył ją Krasiński i śmiało, zbyt może nawet śmiało, wyłożył ją w „Przedświcie." Cała pierwsza, wspaniała wizja jest tłem dla tego wniosku. Kiedy poeta żali się na przodków za to, że „z taką pychą roztrwonili" ojczyznę i zostawili nam tylko „rozebrane kraju ciało", zjawia się przed nim cały tłum antenatów, a w ich imieniu Czarniecki

tłumaczy mu, że to „łaska boża nas wegnała w te bezdroża" i kazała Polsce „raczej umrzeć, niż żyć podle."

Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo,
Bo to potwarz i bluźnierstwo

ostrzega Czarniecki i tak wyjaśnia znaczenie upadku Polski:

Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu, który stoi
Wkoło Polski, a dziś pada,
Bylibyście dziś, jak oni,
Kramem tylko, nie narodem,
Sklepem, śpiącej pełnym broni —
Wyście duchem, co nią włada.

To bezgraniczne i bezkrytyczne uwielbienie przeszłości opiera się na wierze w szczęśliwą, wspaniałą przyszłość. Mickiewicz przyszłość tę nie tylko zaznaczył w swej wizji, lecz nadto podkreślił ją jeszcze proroctwem o tajemniczym wskrzesicielu Polski, Krasiński więc także, idąc jego śladem, włożył w usta Czarnieckiego przepowiednię:

...z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie ludów lud jedyny.
Błogosławcie ojców winie!

W takiem sformułowaniu proroctwa była nieopatrzność, dyktowana zapewne głęboką wiarą poety, w poezji jednak fatalna. Mickiewicz przepowiednię swą zamknął w symbolu, nie dopuszczającym dokładnego sformułowania osoby i czasu, Krasiński podał dokładną datę, koniec XIX wieku, i — omylił się. Na szczęście nasze, omylił się tylko o lat kilkanaście.

Tak przedstawia się geneza idei „Przedświtu". A jego forma?

Forma poematu — a słowem tem objąć tu należy także to wszystko, co możnaby nazwać fabułą — jest wyłączną własnością Krasińskiego, ma jednak także swoją historję.

Oto kiedyś, najprawdopodobniej w ciągu r. 1841-go, podczas przechadzki nad jeziorem Como oglądął poeta wraz z Delfiną Potocką grę obłoków, które, unosząc się nad falami jeziora, przybierały dziwne, fantastyczne kształty, przypominające postaci ludzkie. Ze wspomnień tej chwili powstał wiersz, napisany 24. grudnia 1841 roku, a mający w pierwodruku (w „Kronice Rodzinnej“ z r. 1878-go) tytuł „Na skale“; w albumie Delfiny Potockiej jest on połączony z wierszem, zaczynającym się od słów „Gdy się przeszłość w duszę wnęci...“ i nie ma żadnego tytułu. W tym zatem wierszu, jednym z najpiękniejszych liryków Krasińskiego, przypomina poeta ukochanej ową pełną wrażeń chwilę:

Czy ty widzisz? — Gdzieś na skale
W dzień słoneczny stoim sami —
Czy ty widzisz, jak pod nami
Śpią w przepaści jezior fale?

Następuje opis jeziora, mąconego powiewem wiatru, poczem zjawia się wspomnienie wizji:

Czy pamiętasz? My spojrzeli,
Aż tu z głębi jezior nagle
Wstają widma jakieś w bieli!
Patrzaj! Widzisz? Wokamgnieniu
Ot, tam, wielkie, wielkie żagle
Z wód podniosły się w milczeniu
I, w łabędzich skrzydeł pychę
Rozpostarte, rozskrzydlone,
Szły nad wodą, jak cień, ciche,
Wszystkie razem w naszą stronę.
Czy pamiętasz, jak z oddali
Coraz śnieżniej i wspanialej,
Znacząc fale bladym torem,
Po wierzchołkach fal stąpały,
Chrystusowych stąpań wzorem?
O, pamiętaj! Promień chwały
Kwitł w olbrzymiej ich urodzie,
A w ich ruchach kwitł wdzięk cudu,
Gdy tak wiotko, tak bez trudu
Po tej się ślizgały wodzie,

Niby zmarłych orszak biały
W nadpowietrznym już pochodzie,
Niby dusze wracające
Tych, co niegdyś nas kochali —
Jak nowiny dobrej gońce.

Ani w tych, ani w następnych zwrotkach nie są te postaci określone dokładniej. Są to widma, więc zapewne ludzi już zmarłych; sprawiają wrażenie nader miłe, roztkliwiające, prawdopodobnie zatem ludzie ci „niegdyś kochali“ poetę i jego towarzyszkę. Nic więc innego, tylko dusze zmarłych przyjaciół i krewnych zjawiły się im w szatach z obłoku. Pani Potocka rozpoznaje nawet w jednym obłoczku postać swej zmarłej córeczki:

I ten nawet, ten maleńki,
Taki cudny żagieleczek,
Co nad wodą srebrniuteńki
Stał, jak z pary aniołeczek,
I on także, choć ty cała
Się ku niemu przechylała,
I on także znikł w błękicie,
Jak duch mniejszy, jak duch-dziécię,
Jak córeczki dusza święta,
Ukazana chwilę tobie,
Byś wiedziała, że nie w grobie,
Że napowrót wniebowzięta.

A zatem owa zjawa obłoków o kształtach ludzkich nad *Lago di Como* miała nawet w upoetyzowanem już wspomnieniu poety charakter czysto prywatny i z uczuciami patrjotycznemi nie łączyła się wcale. Krasiński użyje jednak tego drobnego zdarzenia jako tła dla poematu, głoszącego ideę mesjaniczną — a wtedy jakież potężne zmiany zajdą w tych wizjach! Cienie zmarłych znajomych przeistoczą się w orszak bohaterów polskich z Czarnieckim na czele, a zamiast zmarłej córeczki p. Potockiej pojawi się promienista postać wstępującej w niebo Polski. Krajobraz nie wiele się zmieni: to samo jezioro, ta sama okolica, tylko „dzień słoneczny“ przeistoczy się w bardziej romantyczną i odpowiedniejszą dla wizji noc księżycową, poeta nie z wysokiej skały, ale z łodzi ogląda zjawiające się

widziadła, a jego towarzyszka dostaje do rąk poważną, symboliczną harfę. Forma rytmiczna pozostanie ta sama, ale wstąpi w nią nowy duch i lekka piosnka salonowa zmieni się w potężną symfonję.

Tak zrodziło się jedno z arcydzieł poezji naszej, nazwane, przez twórcę „Przedświtem".

Rzecz jasna, że nakreślony tu proces powstania „Przedświtu" nie wyczerpuje bynajmniej tematu — są to tylko główne zarysy, nie uwzględniające szczegółów i szczególików, mających często pewną odrębność myślową lub uczuciową i swoją historję. Do najciekawszych należą pewne zwroty lub wyrażenia, które powstały pod wpływem rodzącego się właśnie towianizmu.[3]) Są to jednak drobiazgi, które na charakter całości nie mają wpływu.

Kompozycja tego poematu jest swego rodzaju arcydziełem, a przypomina kompozycję „Irydjona". Jak tam dramat historyczny ujęty był, a raczej wsunięty w opowiadanie z innej epoki i w innym utrzymane tonie, tak i tutaj wstęp i zakończenie stanowią całość odrębną, w którą, jak w ramę, wchodzi właściwy poemat. Poemat mówi o radosnem marzeniu, o przyszłem niewypowiedzianem szczęściu, wstęp i zakończenie są wyrazem bolesnej, rozpaczliwej rzeczywistości. Do treści dostosowana jest także forma; wizje przyszłości opiewa poeta w lekkim, swobodnym, niemal radosnym wierszu ośmiozgłoskowym, raz po raz przerywanym siedmiozgłoskowcem, wprowadzającym ożywiające rymy męskie — dla malowania rzeczywistości używa poważnego wiersza jedenastozgłoskowego. W obrębie właściwego poematu uderza mistrzowskie stopniowanie wrażeń, uczuć i doniosłości wizji: zacząwszy od uczuć osobistych i piękna przyrody, przechodzi poeta do wizji bohaterskich przodków, proroctwa wspaniałej przyszłości Polski, do jej zmartwychwstania, a kończy olbrzymim obrazem, ogarniającym cały wszechświat. Dodajmy, że, chociaż forma wiersza nie wszędzie jest równie doskonała, niektóre ustępy sięgają wyżyn takiego artyzmu, iż stają obok największych arcydzieł naszej literatury.

Pod względem idei jest „Przedświt", jak widzieliśmy, tylko powtórzeniem poglądów Mickiewicza w formie łatwiejszej i jaśniejszej dla czytelnika, a zatem ich spopularyzowaniem.

Krasiński, zdaje się, dążył do tego świadomie; świadczy o tem wymownie fakt, że wszelkie pokusy filozofowania odsunął od siebie zwycięsko, wyznaczając im miejsce we wstępie prozaicznym, ale chroniąc od nich sam poemat, a dbając wyraźnie o jak największą jasność myśli i prostotę. Jeżeli zważymy różnicę, zachodzącą pod tym względem pomiędzy „Synem cieniów" a „Przedświtem", temi dwoma pierwszemi jego utworami wierszowanemi, ogłoszonemi drukiem, zrozumiemy, że nie stało się to przypadkiem. Krasiński chciał zdobyć swemu poematowi popularność, chciał szerokim i licznym rzeszom emigrantów przynieść lekarstwo na ich nędzę duchową, być dla nich zwiastunem dobrej wieści — i dopiął celu. Żaden z poematów, wydanych na emigracji po r. 1840-ym, nie zdobył sobie tej poczytności, jakiej dowodzą liczne wydania „Przedświtu", żadnego też zapewne nie przyjęto z takim entuzjazmem. Bo trudno było o bardziej ponętny pokarm duchowy dla marniejącej z tęsknoty za ojczyzną emigracji. Znajdowała ona w tym poemacie nie tylko najradośniejsze obietnice przyszłości, nie tylko wspaniałe jej wizje, które z niewidzianą dotąd siłą przemawiały do serca i do wyobraźni, ale nadto najdoskonalszy wyraz dla wszystkich niemal swych ukochań i nienawiści: ukochania Polski, podniesionej do godności ideału, przebóstwionej — nienawiści do jej ciemięzców. Jedno z wielkich zadań poezji: danie doskonałego wyrazu uczniom ogółu, ziściło się w „Przedświcie" w stosunku do emigracji — i zapewne odtąd falanga cała tych przeżartych nostalgją ludzi myślała i mówiła o najdroższych sobie sprawach słowami Krasińskiego.

Dziś trudno nam już zdać sobie sprawę z roli, jaką „Przedświt" odegrał wśród współczesnego Krasińskiemu pokolenia; do pomocy trzebaby w tym celu zawezwać świadków z tamtej epoki. Autor tej książki słyszał z ust swego ojca takie słowa świadectwa. Wychowanemu w Galicji, gdzie literatura emigracyjna była wówczas surowo wzbroniona, dostał się „Przedświt" do rąk dopiero podczas kampanji r. 1848-go, w obozie pod Aradem. Odczytywano go w podniosłym, uroczystym nastroju przy obozowem ognisku, a wrażenie było tak potężne, że ci twardzi żołnierze wybuchali raz po raz płaczem szczęścia lub w radosnem rozrzewnieniu rzucali się sobie w objęcia. Poemat stawiał im przed oczy ich najgorętsze ma-

rzenia, przemienione w cudną rzeczywistość poetycką. A kto widział sędziwego starca, jak opowiadanie to uzupełniał cytatami, deklamując ustępy „Przedświtu“ drżącym ze wzruszenia głosem, kto widział, jak mu wówczas jeszcze łzy w oczach błyszczały, jakby żywa reminiscencja przeżytych pod Aradem wrażeń — ten zrozumiał, czem był „Przedświt“ dla emigracji i ten także nie będzie czynił Krasińskiemu zarzutów z tego, że w idealizowaniu przeszłości naszej poszedł za daleko.

Czy jednak to idealizowanie dziejów Polski, a więc równocześnie rozgrzeszanie jej pogrobowców z bezczynności, mogło mieć poza chwilową pociechą i ukojeniem dla społeczeństwa skutki dodatnie? Czy było czemś więcej, niż wzruszającą bajką, opowiadaną rozpłakanym dzieciom, a równocześnie rozmarzającą je i odbierającą chęć do pracy?

Nie ulega wątpliwości, że w teorji mesjanistycznej, głoszonej przez „Przedświt“, kryły się pierwiastki społecznie szkodliwe: podniecanie nadmiernie już wybujałej próżności narodowej i usprawiedliwienie bezczynności. Gdyby ktoś chciał na przesłankach tego poematu oprzeć jakiś realny program społeczny czy polityczny, powstałaby rzecz potworna. Ale zadanie poezji jest inne — wyłącznym jej celem jest oddziaływanie na uczucie. Na tem polu spełniał „Przedświt“ to samo zadanie, co „Wallenrod“ lub „Anhelli“: krzewił i potęgował poczucie narodowe, patrjotyzm. A było to zadanie wówczas może najważniejsze, bo w miljonach, mówiących polskim językiem, trzeba było to uczucie raczej budzić, niż podniecać, a nawet raczej stwarzać dopiero, niż budzić. To, co niewola wywoływała drogą negatywną, to kształtowała poezja pozytywnie — a kształtowała dobrze i skutecznie, chociaż stale popadała w przesadę. Wszak „my z niej wszyscy“!

Ale moralność poezji polega nie na jej ewentualnych skutkach, wywołanych w czytelnikach — kryterjum jej tkwi w duszy poety. Moralnem jest z jego stanowiska wszystko, co wypływa ze szczerego uczucia i z głębokiego przekonania — niemoralnem jest tylko kłamstwo. Nie jest więc rzeczą obojętną zbadanie, czy Krasiński sam wierzył w teorję, którą ogłosił Polsce w „Przedświcie“?

Bardzo interesujące jest opowiadanie J. Klaczki o rozmowie, którą miał z autorem „Przedświtu“ o mesjanizmie. Rozmowa ta odbyła się wprawdzie w r. 1858-ym, ale nie zmienia to jej znaczenia, bo Krasiński do końca życia pozostał swej teorji wierny. Warto ją zatem poznać.

„Było to — opowiada Klaczko — w Paryżu, w r. 1858. Krasiński bywał u mnie. Otóż raz zgadało się o mesjanizmie wogóle, a jego mesjaniźmie w szczególności. Nie chcąc prawdy obwijać w bawełnę, oświadczyłem mu poprostu, gdy mię w tej materji zagadnął, że, o ile go wielbię, jako poetę, o tyle jestem przeciwny jego przedświtowym teorjom i utopjom. „Co tu wmawiać w ludzi nieszczęśliwych, rozbitych, skołatanych, zdemoralizowanych, tracących grunt pod nogami, osaczonych z wszystkich stron, pozbawionych bytu politycznego, że są narodem wybranym, że są Chrystusem narodów, że w nich jest zbawienie ludzkości itd. Tylko się ich tem bałamuci, bo zamiast pracować, zamiast myśleć o poprawie swego losu, zamiast się uczyć i wyrabiać na dzielnych obywateli, zamiast starać się o to, aby byli lepsi, niż byli ich ojcowie, którzy przetrwonili ojczyznę i niepodległość polityczną, będą stali z założonemi rękoma i jeszcze będą się pysznili swą chrystusowością, swoją rolą boskich wybrańców, swoją moralną wyższością nad innemi narodami, swoją „nadeuropejską cnotą“. Dlatego uważam, że jest to teorja poprostu demoralizująca, bo jest wmawianiem rzeczy, których się ludziom wogóle, a nam, Polakom, w szczególności wmawiać nie powinno. Powinno się im mówić prawdę, nagą, rzetelną, szczerą prawdę, która niech boli, jako chce, ale zawsze jest najskuteczniejszem lekarstwem na wszelkie wady i ułomności. Powinno się im wskazywać ich wady, żeby się ich pozbyć starali, bo tylko znając swoje ułomności, można się poprawić moralnie, można im przeciwdziałać.“

„Słowa te, wypowiedziane z całą szczerością i siłą przekonania, zrobiły większe wrażenie na Krasińskim, niż mogłem przypuszczać. Słuchał ich, siedząc, ale, gdym skończył, powstał, a widać było, jak był głęboko poruszony; zaczął się nerwowym krokiem przechadzać po pokoju, jakby walczył sam z sobą, aż wkońcu podszedł do mnie, ujął mię za rękę i rzekł głosem, zdradzającym silne wzruszenie:

„Mylisz się! Tak nie jest. Jeżeli kobiecie upadłej, występnej, zdemoralizowanej, zepsutej i lekkomyślnej, ale nie zepsutej doszczętnie, ale nie zdemoralizowanej zupełnie, często bole-

jącej z powodu swej lekkomyślności, żałującej swych grzechów, z których byłaby skłonna poprawić się, zaczniesz prawić o jej upadku, zaczniesz wyliczać jej grzechy i występki, rozwodząc się nad jej życiem zdrożnem i niemoralnem, to jaki skutek osiągniesz, jaki wpływ na nią takiem mówieniem jej nagiej i bezwzględnej prawdy wywrzesz? Oto zdemoralizujesz ją do reszty, znieprawisz całkowicie, a zamiast ją ratować z przepaści, jeszcze ją zepchniesz na same dno upadku i niesławy. Bo, kiedy jej odsłonisz całą grozę położenia, całą ohydę brudu i błota, w które zabrnęła, całą niesławę, którą się odkryła, wtedy ona zwątpi o sobie, uwierzy, że, upadłszy tak nisko, może tylko staczać się jeszcze głębiej, że, raz znalazłszy się na tej pochyłości, już nie ma możności cofnięcia się, i będzie straconą na zawsze, już się nie poprawi, bo zwątpi o możności ekspiacji, stanie się niezdolną do skruchy. Inaczej się stanie, gdy w taką kobietę upadłą, ale nie pozbawioną instynktów szlachetnych, zaczniesz wmawiać, że w niej jest świętość, którą ona tylko zbrukała swem lekkomyślnem i występnem prowadzeniem, że jest aniołem, tylko z zabłoconemi skrzydły, że, jeśli upadła, to tylko dlatego, że ją do upadku popchnęły gorsze od niej, występniejsze, nie mające tej świętości i cnoty, które jeszcze i teraz nie wygasły w jej łonie, jeszcze się tlą pod popiołem zepsucia, ale, rozdmuchane skruchą i opamiętaniem, jeszcze są zdolne buchnąć najczystszym płomieniem świętości... Gdy jej tak prawić będziesz, wtedy ją wprowadzisz na drogę poprawy, wtedy w niej nie zbudzisz zwątpienia o sobie, wtedy oddziałasz na jej szlachetniejsze instynkty: uwierzy w swą cnotę, uwierzy, że jeszcze może być uczciwą kobietą, że jeszcze może wybielić swe anielskie skrzydła i będzie uratowana."[4])

Nie można zaprzeczyć, że przedstawiony tu pogląd Krasińskiego na nawracanie upadłych ludzi czy narodów może być częściowo słuszny, a metoda w pewnych warunkach skuteczna. Tak sądził widocznie i Mickiewicz, bo „Księgi pielgrzymstwa" były owocem długiej pracy, a więc i długich rozmyślań. Bądź co bądź, Krasiński uważał Polskę w głębi duszy nie za Chrystusa narodów, lecz za „kobietę upadłą, występną, zdemoralizowaną", którą trzeba poprawiać wmawianiem w nią świętości. „Przedświt" zatem nie jest utworem szczerym, ale w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu tendencyjnym.

Dodajmy jeszcze, że to nagięcie pojęć do uznanej za potrzebną tendencji nie było bynajmniej ze strony Krasińskiego ofiarą — owszem, było mu w jego położeniu nader wygodne: usprawiedliwiało i uświęcało jego własną bezczynność. Bo umieszczony na końcu „Przedświtu" wykrzyknik: „Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!" był poprostu frazesem literackim. Na jakiemże bowiem polu miała się rozwinąć jego działalność? Ani w kraju, ani na emigracji nie mógł znaleźć szerszej i godnej siebie areny człowiek, który posądzenia o brak patrjotyzmu nie zatarł udziałem w powstaniu listopadowem i którego ojciec taką miał opinję. Pozostawała mu więc tylko poezja jako środek przysłużenia się społeczeństwu, jako dostojna tarcza, chroniąca od ataków tłumu i — własnego sumienia. A jak to miło być z nią w zgodzie — jakby zaś przykro było żądać od drugich czynów, do których jest się wskutek tragicznego splotu okoliczności i win własnych niezdolnym. Jeżeli „Przedświt" swą teorją mesjanistyczną miał ukoić znękaną Polskę, to był równocześnie cudownym lekiem na rany duchowe Krasińskiego. I to było może głównym powodem, że idea tego poematu będzie się przewijała, jak widoczna zdaleka nić złota, przez całą resztę jego twórczości.

Mickiewicz zerwał był już z poezją i odzywał się tylko z katedry uniwersyteckiej — Słowacki, stale niedoceniany i niepopularny, wszedł był właśnie w okres niedostępnego dla emigracji mistycyzmu — i dzięki temu, pozbawiony niebezpiecznych rywali, Krasiński zdobył sobie „Przedświtem" pierwsze miejsce na polskim Parnasie. Pierwsze, bo tworzył, przemawiał do całej Polski, chwytał za serca, prorokując nędzarzom wymarzoną przyszłość. Nie pomagała bezimienność i podszywanie się pod cudze nazwiska — nazwisko jego było na ustach całej czytającej inteligencji, na emigracji i w kraju, a z wyjątkiem nielicznej gromadki, nazywającej go z pogardą „jezuickim poetą", wymawiano je z czcią, niemal z nabożeństwem. Nie zawiódł się więc Krasiński w swych nadziejach: twórczość poetycka starła z niego piętno hańby, wyciśnięte niegdyś przez kolegów, i przyniosła mu upragnioną aureolę sławy.

* * *

Rok 1843-ci, rok największego swego tryumfu literackiego, uważał Krasiński za rok nieszczęścia i klęski: miał się ożenić. Jenerał oddawna już żądał tego od syna — i miał ze swego stanowiska słuszność. Ileż on zniósł upokorzeń, ile wycierpiał, byle tylko ród Krasińskich wywyższyć! Czyż mógł pozwolić, aby ród ten skończył się na jego jedynaku? Lada chwila spodziewał się otrzymać niezwykły dowód łaski rządu rosyjskiego: pozwolenie na utworzenie z swych majątków ordynacji opinogórskiej, która miała późnym jeszcze pokoleniom rodu zapewnić silną podstawę majątkową i powagę w społeczeństwie.[5]) Kiedy więc syn tym dążeniom całego niemal jego życia stanął oporem i, nie chcąc dopuścić do jakiejkolwiek zmiany w stosunkach swych z Delfiną Potocką, oświadczył ojcu, że nigdy się nie ożeni, rozpoczęła się walka. Syn musiał wreszcie ustąpić wobec uporczywych nalegań ojca, ale odwlekał jak najbardziej chwilę spełnienia ofiary. Ostateczny termin, dany mu przez jenerała, upływał w połowie r. 1843-go.

Wybranką jenerała na przyszłą synową była Eliza Branicka, podobno najbogatsza i najpiękniejsza panna w Polsce. Ci, którzy ją znali, przypisują jej nadto niezwykłe zalety duchowe, wybitną inteligencję, słodycz i wielką dobroć, a dzieje jej smutnego pożycia małżeńskiego potwierdzają tę opinję w zupełności. Był to zatem skarb, który dobry los oddawał w ręce Krasińskiego. Ale on traktował sprawę ze stanowiska dziwnego. Uważał za swój święty obowiązek dochowanie wierności Delfinie Potockiej, a ponieważ ojciec zmusił go do małżeństwa z osobą niekochaną, więc on małżeństwo to uważać będzie za nieistniejące, a dochowa wierności tej, którą kocha. Nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć, że, jeżeli z obawy przed ojcem nie zawiadomił o tem swojem stanowisku narzeczonej, która byłaby się zapewne wówczas wyrzekła tak dziwnego związku, to chwytał ją jakby w pułapkę i mścił się na niej za swą uległość synowską. Po ślubie, który odbył się w Dreznie w lipcu r. 1843-go, gdy małżonkowie znaleźli się w Opinogórze, Krasiński istotnie zachowywał się wobec żony, jak człowiek obcy i obojętny. Czuł się bardzo nieszczęśliwym. „Biada mi, żem was słuchał mimo krzyk sumienia mego — pisze do przyjaciela w trzy tygodnie po ślubie. — Ja nie na wielkiego pana z XIX wieku, ja na trybuna raczej stworzon, Sawonarolę czuję w sobie — a czemże



Eliza Krasińska
1857

się stałem? czemże jestem? Człowiekiem w krzywem położeniu, człowiekiem, który sto razy na dzień przeklina chwilę, w której zrobił dla ojca to, czego nawet Ojciec niebieski nie ma prawa wymagać, człowiekiem, który musi wkońcu po wielkich mękach albo zabić, albo być zabitym.“ [6])

To „krzywe położenie“ było przedmiotem długich dyskusji pomiędzy nim a Cieszkowskim, który nareszcie szczerze i otwarcie napisał mu, co myśli o stosunku jego do żony, obserwowanym podczas bytności w Opinogórze. „O spowiedniku! — odpowiada Krasiński. — Czyż myli się serce moje? Czyż także i nie stąd pochodzi twarda nieużytość, której używasz, tykając serce, o którem wiesz, że po ojcowskiem najszczerzej i najmocniej kocha cię ze wszystkich, co otaczają twoje? A tykasz świętych uczuć w niem okrutnie. Wiesz, czemu okrutnie? Bo rozsądnie tylko. Rozsądek zaś, sam jeden, okrucieństwem jest; połączony z Miłością, zbawieniem!... Zanadto kocham, bym nie miał cochwilnego instynktu, bardziej, niż wszelkie rozumowania, nauczającego mnie, czem mógłbym szkodę, a czem potrafię ulgę i dobro przynieść Ukochanej... Wiem, że Miłość... ciężką cnotą, pełną cierpliwości, a zatem cierpienia, muszącą dowieść siebie samej, nigdy nie cofającą się przed żadnym sposobem dowodzenia siebie, choćby ten był poświęceniem bez miary i końca. Wiem, że, według tego prawa tylko stąpając, można świętość własną uświęcić przed ludźmi i zmusić ich plotki do przemieniania się w admiracją i poszanowanie. Siostra moja nie dozna ode mnie żadnej lekkomyślności. Mnie trzeba ludzi zmusić do tego samego uczucia, jakie ja czuję względem niej. Szanować mi ją trzeba i czcić i strzedz jej ducha nadewszystko!... Marzyć nie przestanę o dniu szczęścia, który mnie kiedyś z nią połączy pod cieniem tych samych drzew, nadbrzeżnych śródziemnym błękitom, pod któremi już z nią przechadzałem się, śpiewny, jak słowik. Lecz, by to marzenie, ten serca ideał urzeczywistnił się, na to ciężko pracować, na to wzniośle i święcie a wiele cierpieć potrzeba... I jej dopiero tem samem, że ją kocham, dowiodę. Gdy dowiodę, bom dotąd nie dowiódł, zapewne duch jej uczuje, co szczęście! A dać komu uczucie takie, uczynić to, by ktoś uczuł, że kochan jest miłością anielską, wielką, nieziemską, a na ziemi — to tosamo,

co siebie i jego w anioła przemienić. Wątpię, byś mnie zbraniał takiej *subjektywności!...*

„Teraz i to posłuchaj: *Legi (scil. matrimoniali) satisfactum est* — niech *lex* abstrakcyjna z tego się cieszy! Indywiduum, wątpię, bo nic nie zyskało, prócz przekonania, że ostatnią kartę postawiło i przegrało — ostatnią! Rada twoja, rozkaz twój spełnion, choć siły nie dałeś z rozkazem... Bo wszystko jest obrzydłą, trupią literą tam, gdzie Ducha żywego niemasz!

„O anegdocie za widzeniem się, albo może nigdy, bo okropna, bo nieludzka, ale zato ściśle legalna! Winszuję prawu!“

W tym liście młodego małżonka, pisanym w pół roku po ślubie, „ukochaną“ jest Delfina Potocka, „indywiduum“ — żona. Interesujący przykład, do jakich sytuacyj doprowadzić może chorobliwy, wypaczony romantyzm.

Równie wymownie mówią o tych sprawach drobne utwory liryczne. Pomiędzy lipcem r. 1843-go a lipcem r. 1844 napisał ich Krasiński piętnaście, z nich zaś dziesięć do Delfiny Potockiej, a jeden do żony.[7]) W pierwszych brzmią wybuchy rozpaczy i zapewnienia miłości dozgonnej, a raczej dłuższej jeszcze: marzenia o wspólnym raju w grobie.

Darmo, darmo — już się stało!
Co się stało — nie odstanie!
Pęknie serce, zgnije ciało,
Lecz nie przejdzie ukochanie!
By zlać z twoją moją duszę,
Jeśli trzeba umrzeć ciałem,
Ciałem umrzeć chcę i muszę —
Ach, bo wiele cię kochałem!

W innym wierszu pisze nagrobek swemu sercu, które „po długim pogrzebie“ spoczęło w grobie:

W grób ten wstąpiło, by nie żyć z innemi,
A z tobą jednak zostać się na ziemi:
Ty jedna tylko wiesz, że ono żyje,
Bo dniem i nocą czujesz, jak tu bije
Dla ciebie tylko — dla ciebie — dla ciebie!

Przesyła ukochanej branzoletę w kształcie łańcucha z cierniowemi kolcami i dołącza wiersz, zakończony takim obrazem przyszłości:

Noś więc na ręku ten wieniec cierniowy,
Aż dni nieszczęścia upłyną, ubiegą,
Aż sercom naszym zabłyśnie świat nowy!
Wtedy porzucisz kolce wieńca tego
I świeże kwiaty, miasto cierniów męki,
Włożysz na czoło i weźmiesz do ręki!

Wiersz do żony jest nastrojony inaczej. Przedewszystkiem Krasiński dba o to, aby ktoś, broń Boże, nie pomyślał, że wiersz ten podyktowało mu choćby tylko poczucie uprzejmości — i pod słowami: „Do Elizy“ napisał „Dopełnienie jej żądania“. Powtarza to zresztą w pierwszem zdaniu:

Nieraz żądałaś, bym złożył ci wiersze.
Może ostatnie to, choć razem pierwsze.

Po takiej impertynencji następuje komplement, którego nie mógł pominąć, ale dziwnie suchy i sztuczny:

Otoczon śmierci skrzydły ponuremi,
Dziękuję Bogu, żem Cię znał na ziemi,
I idę śmielej w zagrobowe koła —
Bo, jeślim spotkał w tobie tu anioła,
Znać, że Bóg dobry, znać, że Bóg na niebie.
Ufam w moc Jego i miłość — przez ciebie.

W części dalszej mówi o sobie: prosi żonę, aby kochała jego „myśl“, której „i zgon nie wyziębi“. — „Jej dotrwać może wiernem twe kochanie“. I kończy:

A teraz amen — błogosławię tobie.
Smutnem jest życie — może jaśniej w grobie.

Taki wiersz to poprostu obelga. Ale właśnie ta obelga jest mu potrzebna jako kontrast ekstazy miłosnej w utworach, pisanych dla ukochanej. W ten tylko sposób powstaje z życia ultraromantyczny poemat, o sytuacji wyrafinowanie tragicznej. A Krasiński musiał z życia swego „układać dramat“.

Stosunków z p. Delfiną nie zerwał; pisywał do niej często a, gdy tylko mógł, spotykał się z nią ukradkiem, potajemnie. Żona wiedziała o tem i znosiła to z rezygnacją i pogodą. Dzięki jej taktowi i dobroci, którą otaczała męża, coraz częściej i coraz boleśniej zapadającego na zdrowiu, zaczęły się stosunki zwolna zmieniać: podbity zaletami żony, przywiązywał się do niej co-

raz bardziej, a z natury rzeczy bladła równocześnie w jego myślach wyidealizowana postać Delfiny Potockiej. Przemiana ta odbywała się jednak powoli, przez długie lata walk wewnętrznych i cierpień.

Małżeństwo zmieniło zupełnie stosunki Poety. Przedwszystkiem ustała zależność finansowa od ojca, który nigdy nie był zbyt hojny i groźbą odmówienia funduszów trzymał syna w karbach. Dzięki olbrzymim majątkom żony Krasiński z „ubogiego szlachcica", jak sam siebie nazywał, stał się poprostu magnatem. Wymownie świadczy o tem fakt, że w roku 1857-ym mógł stracić wskutek bankructwa banku Thurneysena w Paryżu wraz z żoną przeszło 1 600 000 franków ulokowanej tam gotówki, sumę na owe czasy imponującą, a strata ta nie nadwerężyła jednak jego położenia majątkowego. Otaczają go teraz ludzie nowi, z pośród arystokracji, krewni i znajomi żony, a chociaż do nich nie lgnie zbytnio i dawne przyjaźnie ceni wyżej, jednak atmosfera otoczenia zmienia go znacznie. Ten „trybun ludowy" przeistacza się pod tym wpływem powoli, najpierw w konserwatystę, potem w wstecznika. Pani Eliza Krasińska była po ojcu i po matce, Potockiej z domu, wnuczką obu twórców konfederacji Targowickiej — czyż fakt ten mógł nie wpłynąć na polityczne i społeczne poglądy jej męża?

Ale teraz, w rok po ślubie, Krasiński patrzy jeszcze na świat oczyma szeroko otwartemi i to, co widzi, ocenia trafnie. Kilkumiesięczny pobyt w kraju dał mu sposobność do przypatrzenia się różnym warstwom społecznym; warszawskie wrażenia swe skreślił w liście do Sołtana z maja r. 1844-go:

„Mury tebańskie podłości, poniżenia, i gwałtu, i ucisku wkoło mnie się mnożą — w dzień słyszę jęk ofiar i patrzę na naigrawanie się katów; lecz to jeszcze nie tyle boli, co podłość własnych. Zmaterjalizował się nad miarę ten kraj, potworzyło się mnóstwo hypokrytów, którzy zwą się ludźmi Rozsądku; głoszą w mnogich kazaniach, że jedyną teraz sprawy podporą jest to, by oni gęste intraty do własnej kieszeni zbierali, że o niczem innem myśleć niepodobna, ale że takie sprzysiężenie się na intrat coraz większych wybieranie podniesie godność człowieczą, zniepodlegli ich i masy na drogę oświecenia i przeświadczenia o sobie wprowadzi, a stąd kiedyś powrót życia. Na stu, którzy

tę ewangelię roznoszą, dziewięćdziesięciu dziewięciu Faryzeusze, a jeden tylko prawdziwie dąży do celu zapomocą wzwyż wspomnianego środka, to jest gospodarczych postępów. Drugą cechą tego kraju, coraz bardziej ciążącą na nim, to Strach... Wciąż tworzą sami i wywołują jakieś niby jakobińskie spiski między młodzieżą nato, by właścicieli, gospodarzy owych, intratą walczących, przerażać i odrywać od klas mniej zamożnych, a cierpiących tak, jak się cierpi w piekle. „Was chcą wyrżnąć" — oto sposobiczek, użyty na kapuściane serca i skórzane wory... Młodzież w najopłakańszem położeniu. Uczą ich kłamstw i bluźnierstw historycznych, nękają na wszelkie sposoby, smagają rózgami za najlekszą winę, za guzika brak lub za chustkę na szyi białą zamiast przepisanej czarnej, wiodą do więzienia za lada książeczkę... Duchowieństwo niewiele warte; piją biskupi i, pijani, łamią sobie nogi, inni, krzyżykami orderowemi ozdobieni, zdradzają krzyż Chrystusa, wielu się boi utraty chleba... W istocie polityka dworu watykańskiego, uniżona, chytra, opuszczona od Ducha, nie wzbudza już wiary ani nadziei, nie umie już Rzym iskry miłości i męstwa siać w serca ludzi... Ale co opłakanem jest, co doszło do najuniżeńszego poniżenia, to historyczne imiona: młodzież, która niemi obarczona, zupełnie pozbawiona potrzebnej siły do ich udźwignienia; nawet wyobrażenia nie mają, co godność jakabądź, a dopiero co szlachetność najlepszych i najdzielniejszych *(aristoskratos!)*. Szynk z jednej strony, a kamerjunkrostwo z drugiej i ślepa bezwiedza z trzeciej, ignorancja nieskończona — oto ich piętna. Wszyscy ożyją, da Pan, co w niebie, ale oni (i to mi łzy wydziera), oni nie!" [8])

List ten, tchnący szczerością i bezstronnością, nie tylko rzuca snop światła na pojęcia Krasińskiego o współczesnem pokoleniu arystrokracji polskiej, ale jest równocześnie jakby streszczeniem tła utworu, pisanego podczas poślubnego pobytu w Warszawie. Pozostały fragment opatrzył poeta w latach późniejszych notatką: „Dramat zaczęty z ostatnich wypadków Lutych 1846 r." i na tej podstawie wydawca dał mu tytuł „Rok 1846". [9]) Ale oprócz tej notatki fragment ten nie ma z r. 1846-ym nic wspólnego, przedewszystkiem zaś niema w nim tego nienawistnego tonu, który przybiera Krasiński, ilekroć mówi o „wypadkach Lutych 1846 r." Nadto styl, pozbawiony neologizmów,

tak charakterystycznych dla dzieł późniejszych, po r. 1846-ym pisanych, świadczy o wcześniejszem pochodzeniu tej sceny dramatycznej. Prawdopodobnie zamyślał Poeta — jak to często czynił w ostatniej epoce życia — wyzyskać poprzednio napisany fragment dla stworzenia dramatu, omawiającego wypadki rzezi galicyjskiej — a przywykłszy do tej myśli, umieścił na rękopisie notatkę niedokładną i bałamutną. Po r. 1846-ym byłyby te spokojne, wyrozumiałe, a nawet nie pozbawione sympatji dla ruchu powstańczego słowa, jakie tu czytamy, u autora „Psalmu Żalu“ poprostu nie do pomyślenia. Zresztą nie sprawy polityczne były, jak się zdaje, główną osią pomysłu — jak w wielu innych dziełach stanowiły zapewne tylko kanwę dla osobistych spraw poety.

Fragment obejmuje tylko wstęp i urywa się w chwili, kiedy niespodziewane przybycie nowej osoby zapowiada ukazanie się jakiegoś węzła akcji.

Scena przedstawia salon warszawski Delfiny Potockiej („Siostry“) w czasie wieczornego przyjęcia. Osoby działające dzielą się na dwie grupy: Ekskasztelanowa z córkami i Referendarz, to przeciętne, płytkie postaci z „towarzystwa“, pogodzone z politycznym stanem rzeczy, chwalące się znajomościami na dworze wiedeńskim i wśród generalicji warszawskiej — Obywatel i gospodyni domu, Siostra, to poważne typy patrjotów. Rozmowa ślizga się po drobiazgach, anegdotach i raz po raz dotyka politycznego położenia kraju, stosunku szlachty do włościaństwa i agitacji powstańczej.

„Źle, zapewne, źle — mówi Obywatel. — Młode chłopcy szerzą rozmaite myśli nowe — groch z kapustą, bigos hultajski. Mówią o powstaniu! A z czem powstać? Ani broni, ani prochu, ani wojska! Więc nibyto z chłopów zaraz formować pułki — partyzantką wojować — demokratycznie. — Dałby Pan Bóg, ale zamięszanie straszne. Tu rząd — tam chłop... Zapewnie, że źle, zapewnie! Lecz, jakem ja szlachcic polski, tak przysięgam, że wszystka ta młodzież nasza nie o komuniźmie, ale o Polszcze, o ojczyźnie, o dźwignięciu narodowości myśli! Do wszystkiego gotowi, prawda — w rozpaczy są — prawda, ale jak tu nie być w niej!“

Przybywa oczekiwany muzyk, Kęta; na prośbę, aby zagrał walca Straussa, siada do fortepjanu i gra ponury marsz żałobny.

Pokazuje się za chwilę, że ma na sobie ślady krwi; na prośby Siostry opowiada zdarzenie, którego był świadkiem. Oto dorożkarz jakiś zaczepił swemi sankami o sanki jenerała rosyjskiego i nie zdołał ich szybko odłączyć. Wówczas jenerał zawołał go do siebie, dobył szabli i klęczącego nieszczęśnika trzykrotnie siekł w głowę. Świadkami zdarzenia było wielu przechodniów, ale nikt nie odważył się — nawet po odjeździe jenerała — ratować rannego; dopiero, gdy Kęta poskoczył ku leżącemu, „wtedy i tamte postaci w szubach, w płaszczach, czarno zaczęły się zbliżać — ale powoli, oglądając się i milcząc głęboko.“ „Byłbym rad zgodził się — mówi Kęta — patrzeć na dziesięciu dróżkarzy zgon z ręki dziesięciu jenerałów, byleby nie widzieć takiego upodlenia.“

Drugi jeszcze przykład upodlenia opowiada Kęta. W salonie jakimś deklamowano ustęp z III części „Dziadów“ — na drugi zaś dzień deklamatora, po przeprowadzeniu rewizji, uwięziono w cytadeli. Widocznie nie brak szpiegów nigdzie. Pociechą może być proroctwo ośmioletniej dziewczynki, która, umierając, po wybuchu krwi z ust, zawołała: „Tak wkrótce, jak mnie, z ust Moskalom krew lać się będzie.“

W ponurym nastroju, który zapanował w salonie, pyta Siostra Kętę, kogo dziś odwieziono do zamku. Kiedy Kęta odpowiedzieć nie chce, czy nie może, Siostra przeczuwa, że ktoś jej to wkrótce powie i zgaduje, że sanki, zatrzymujące się właśnie przed domem, przywiozą jej wiadomość, której się lęka.

S i o s t r a: Idzie — idzie — a wiecie, kto?
W s z y s c y: Kto?
S i o s t r a: Ktokolwiek on, to zowie się — Nieszczęście.

Wchodzi „Sąsiad“ — Siostra woła: „Wiedziałam!“ — i na tem dramat się urywa.

Nie ulega wątpliwości, że tym, o którego losy troszczy się Siostra i o którym ma przynieść tragiczną wiadomość zjawiający się niespodziewanie Sąsiad, jest Z. Krasiński. Utwór byzapewne, lub miał być, udramatyzowaniem dręczących ciągle poetę obaw i przeczuć czekającego go więzienia rosyjskiego lub Sybiru, obaw, rozpoczynających się nie bez pewnych podstaw psychologicznych w r. 1832-im, ale trwających zupełnie już bezpodstawnie aż do ostatnich niemal lat życia. Znając — choć-

by tylko z listu do Cieszkowskiego — niepohamowaną tęsknotę dziwnego nowożeńca do ukochanej, łatwo wyobrazić sobie powstanie utworu, przedstawiającego Siostrę, równie stęsknioną i troszczącą się wzajem o niego, przeczuwającą jakiś groźny cios, mający go ugodzić. Wrażenia z pobytu w Warszawie sprawiły, że jako tło obrazu posłużyły Krasińskiemu tamtejsze stosunki polityczne, będące w pewnej łączności z przeczuwaną katastrofą — i dlatego przenosi poeta pałac swej ukochanej z zagranicy do Polski. Ale też w tych warunkach dramat musiał pozostać fragmentem, bo obawy nie sprawdziły się.

Fragment ten sprawia miłe wrażenie swą bezpretensjonalnością, spokojem i rzadką w późniejszych dziełach Krasińskiego dbałością o realną, objektywną prawdę. Wadą jego jako opowiadania jest rozwlekłość — jako dramatu zaś brak prawdziwie dramatycznej ekspresji. Tylko zakończenie ma w sobie dużą siłę dramatyczną, i to w rodzaju zupełnie podówczas nowym — nastrojowym.

* * *

XI.

PSALMY PRZYSZŁOŚCI.

Kiedy Krasiński zatapiał się w budowaniu systemów filozoficznych i w wizjach przyszłości, emigracja polska czyniła gorączkowe przygotowania, aby niepodległość narodu bronią wywalczyć.

Punktem zwrotnym w tych usiłowaniach, które tworzyły zawsze rdzeń duchowego życia emigracji, był rok 1840. Groźba wojny europejskiej, w której Francja stanąć miała przeciw Rosji, Austrji i Prusom, przypomniała sprawą polską i uczyniła ją aktualną. Rząd francuski zaczął patrzeć na emigrację okiem łaskawem, poczynił jej rozmaite ulgi w przepisach administracyjnych, a pocichu przyrzekał w razie wybuchu wojny fundusze na stworzenie legjonu polskiego.

Emigrację ogarnęło wrzenie. Zaczęły się gorączkowe narady i spory, kogo obrać wodzem przyszłego legjonu, czy proponowanego przez stronnictwo Czartoryskiego jen. Skrzyneckiego, czy też jen. Dwernickiego, kandydata demokracji. Równie bezpłodną była dwukrotna próba zwołania sejmu, udaremniona przez usunięcie się mniejszości demokratycznej. „Potępieńcze swary“ partyjne uniemożliwiły wszelką jednolitą działalność.

Do systematycznej, realnej pracy zabrało się jedynie Towarzystwo Demokratyczne. W tej epokowej chwili, jaką się rok 1840 wydawał, zarzuciło one dotychczasową swą propagandę polityczną, a rozpoczęło przygotowania do walki zbrojnej. Przedewszystkiem poczęto się starać o wojskowe wyszkolenie przyszłych dowódców oddziałów powstańczych. Zorganizowano więc wykłady z zakresu nauk wojskowych, układano regulaminy, dawano stypendja na kształcenie się w paryskiej szkole sztabu generalnego i w szkole artylerji w Metzu, uczono fabrykacji prochu i broni, słowem, czyniono niemal wszystko, co leżało w granicach możliwości, aby wykształcić kadry przyszłej armji powstańczej.[1])

Do wojny nie przyszło, ale Towarzystwo Demokratyczne nie zeszło już z torów, na które je nadzieja jej wybuchu popchnęła i odtąd przygotowywało systematycznie podłoże dla powstania narodowego we wszystkich trzech zaborach. Podłożem tem była sprawa uwłaszczenia chłopów. Tylko taki ruch zbrojny mógł mieć powodzenie, w którym udział wezmą miljony chłopstwa — a historja wielkiej rewolucji uczyła, że chłop może stworzyć niezwyciężoną armję, jeżeli mu przyjdzie bronić nadanej mu na własność ziemi. Więc — trzeba chłopu polskiemu dać te szmaty ziemi, które użyźniał swym potem, i pchnąć go na wroga. Jak to jednak uskutecznić? Czy zostawić tę sprawę dobrej woli dotychczasowych posiadaczy, szlachty? Wynik byłby bardzo wątpliwy. Musiałby to być jakiś wielki, potężny czyn zbiorowy, którego echo, jak grom, rozeszłoby się po całym kraju, zdobyło bezwzględne zaufanie i porwało wszystkich zdolnych do broni. Godzono się na to, że zapewnić chłopom ich przyszłe prawa powinien jakiś „najuroczystszy akt, w imieniu całego powstającego narodu wydany" i godności narodu odpowiadający — ale aktu tego sformułować nie umiano. Nie było to łatwe: wszak miał go dokonać gnębiony niewolą naród w przeddzień rozpoczęcia walki z trzema potężnemi państwami!

Sprawa ta wywołała wśród emigracji długą dyskusję, która chwilami przybierała kształt wierszowanych artykułów politycznych, zwracających się w namiętny sposób przeciw szlachcie. Z emigracji przeniosła się dyskusja ta do Księstwa Poznańskiego, w którem za liberalnych rządów Fryderyka Wilhelma IV nastały czasy względnej swobody. Więc i z Francji i zwłaszcza z Królestwa Kongresowego ściągała tu gorętsza młodzież, tworząc grupy i związki, istne kuźnie zasad demokratycznych. Wśród przybyłych z Królestwa znajdował się Henryk Kamieński, syn poległego pod Ostrołęką jenerała. Nie mając bezpośredniego związku z wersalskiem Towarzystwem Demokratycznem, ale niewątpliwie pod wpływem jego propagandy, napisał on w Poznaniu książkę p. t. „O prawdach żywotnych narodu polskiego", a nie mogąc jej drukować w kraju, posłał rękopis do Brukseli, gdzie go wydał w r. 1844 pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego.[2])

Obszerne to dzieło omawia w szeregu pozornie luźnych rozpraw najpierw zasady przyszłego powstania, następnie zaś sposób przeprowadzenia ich w praktyce, a więc jego organizację i strategję. Rozpoczyna od krytyki powstań dawniejszych. Nie udały się one, bo brała w nich udział jedna tylko warstwa narodu, szlachta; przyszłe powstanie oprzeć się musi na całym narodzie, przedewszystkiem na warstwach ludowych. Aby lud do walki o wolność zachęcić, trzeba mu dać wolność społeczną, uwłaszczyć go, nadać mu ziemię — a można dokonać tego tylko drogą rewolucji społecznej, odbierając ziemię dotychczasowym posiadaczom. „Kto chce celów, chce środków; kto chce niepodległości Polski, musi chcieć wojny ludowej, a zatem i rewolucji społecznej, która do niej jedna tylko doprowadzić może." Kamieński wierzy, że cały dwudziestomiljonowy naród ma istotnie ten jeden cel przed oczyma, że zatem zgodzi się także na prowadzące do niego środki. „Zewnętrzna, potrójna przemoc, która nas ciśnie, wszystkim Polakom nadaje przed wszystkiem jeden główny, wspólny interes: wyswobodzenia, i tym właśnie w najściślejszą jakość spoić dąży wszystkie klasy narodu. Na mocy tej jedności rewolucja społeczna, która jedynie może nam dać siły do stargania obcego jarzma, odbyć się musi wśród powszechnej narodowej jedności. Nie będzie nosić postaci domowej wojny, ani się krwią polską zbroczy, ale nastąpi odrazu ogólną i braterską całego powstającego narodu zgodą. Tyloletnia niewola nie ciąży nad naszemi głowami jako marne losu igrzysko; jej misją jest jak najściślej spoić klasy, podzielone niegdyś nienawistną stanów różnicą; ona to sprawia, że rewolucja społeczna odbędzie się u nas bez owych ciężkich konwulsyj, domowych zatargów i rozlewu krwi bratniej — bo muszą zgodnie działać i najściślejszemi ogniwami się połączyć ludzie, mający jeden interes wobec jednychże nieprzyjaciół głównych."[3])

W tych słowach dedykacji. zwróconej do Towarzystwa Demokratycznego, wygląda ów przewrót społeczny, jak niewinna sielanka. Kamieński zbyt dobrze jednak znał życie, aby na takim eufemicznym poglądzie budować przyszłość narodu; to też rozumowania jego mają w dziele samem ton inny, a zabarwienie często tragiczne. „...Gdybyśmy się... mylić mieli, gdyby klasa uprzywilejowana i użytkująca prze-

kładała własny interes nad zbawienie ojczyzny i, szkaradnym egoizmem wiedziona lub ciemnotą zaślepiona jeszcze, sprzeciwiać się chciała przetworzeniu naszego ciała społecznego i przyznaniu własności ziemskiej ludowi wiejskiemu — gdyby takim sposobem nie mogła się odbyć rewolucja ludowa w powszechnej całego narodu jedności, ale walką i rozlewem krwi oznaczyć się musiała — niechaj wtenczas jakimkolwiek kosztem nastąpi, byle się stała, bo wszelkie względy poświęcić potrzeba jedynemu a niechybnemu środkowi ratowania ojczyzny. Cóż pojedyńczy ludzie a nawet całe klasy znaczą, wzięte na szalę z tak ważną rzeczą?... Czyż nie lepiej, żeby oni zginęli, niż Polska?“ [4])

Kamieński wierzy w idealizm narodu, pociesza się, że „uprzywilejowani nie łączą się z tyranami naszemi“, że „ojczyzna u nich przed wszystkiem [5]), mimo to jednak przewiduje, że „dobrze będzie, kiedy tylko pojedyńcze gdzieniegdzie indywidua reprezentować będą kontrrewolucję przez opieranie się socjalnej reformie i własności ziemi dla ludu, nie zaś cała jedna klasa narodu.“ [6]) Wobec tego trzeba za wszelką cenę zapobiec kontrrewolucji — a jedynym środkiem przeciw niej jest terroryzm, wzorowany na duchu terroryzmu rewolucji francuskiej, nie na jego formie.[7]) „Najgorszy a nawet wcale niepodobny do prawdy“ wypadek konieczności stosowania terroru zaszedłby wtedy, „jeśliby nasza szlachta i właściciele ziemscy mieli się zmawiać z nieprzyjacielem, jak to czynili arystokraci francuscy — jeśliby mieli tak, jak oni, przekładać swój własny interes nad powszechny, nad niepodległość ojczyzny... i skłonni byli do najnikczemniejszych zdrad... nie możnaby ich uważać jak tylko za nieprzyjaciół ojczyzny, której ocalenie w ich wytępieniu zależy.“[8]) W razie mniejszych przewinień i kara będzie mniejsza — ale właściwie jedna jest tylko kara w czasie takiej wojny — kara śmierci. To też po wymienieniu i rozważeniu wszelkich ewentualności wypowiada wreszcie Kamieński taką groźną przestrogę: „Biada szlachcie polskiej, któraby zaraz do rewolucji społecznej nie przystąpiła i jej nie przewodniczyła, naprawiając dziadów swoich swawolę, bo wtenczas sama za nią odpowie i nic jej od zagłady nie uchroni.“ [9])

Zdania te, wyjęte z rozmaitych ustępów obszernego dzieła,

nie mają tego drastycznego zabarwienia wśród tekstu, gdzie są wynikiem bardzo logicznego rozumowania i gdzie je łagodzi szczery entuzjazm autora. Są to skrajne ostateczności ewentualnego ułożenia się stosunków powstańczych, podane przedewszystkiem jako przestroga dla przeciwników rewolucji, bądź co bądź jednak istnieją w „Prawdach“. Jeszcze wyraźniej występuje ta cecha terrorystyczna w drugiej książce, którą Kamieński wydał w Paryżu w roku 1845, w „Katechiźmie Demokratycznym.“ [10]) W formie zapytań i odpowiedzi streszczone tu są „Prawdy żywotne“ w celach propagandy na ziemiach polskich, a chociaż szlachetne ich dążenia nie uległy żadnej zmianie, barwa krwi, z natury rzeczy częściej wspominana, czyni tę książkę czerwieńszą. I „Katechizm“ jednak bynajmniej nie zaleca terroryzmu. Na zapytanie o stosowaniu kary śmierci, brzmi odpowiedź: „Każdy prawdziwy demokrata musi uznać ją za wielkie złe, ponieważ obraża ludzkość. Jeden tylko wzgląd może to złe uczynić koniecznem i podać je w ręce ludzi sumiennych jako środek zbawienia — a wzgląd ten wtenczas tylko ma miejsce, kiedy zostaje do wyboru między upadkiem narodu a użyciem tej srogiej kary.“ [11])

„Prawdy Żywotne“ należą do książek, przypominających pod pewnym względem utwory muzyczne: wystarczy zmienić w nich takt i przesunąć akcenty, a z wesołego walca powstanie marsz pogrzebowy. Odmienny a nawet wprost sprzeczny sposób ich interpretacji umożliwiała zwłaszcza podniecona, nerwowa atmosfera emigracyjna. Dla tego, kto całą duszą marzył o niepodległości, kto poza nią nic widział żadnego celu, a bez niej nie rozumiał szczęścia, cóż mogły znaczyć groźby terroryzmu, skierowane przeciw wrogom wolności, a zatem przeciw wyrodkom? Wszak każdej wojnie towarzyszą srogie prawa wyjątkowe i wieszanie zdrajców, a „czyż nie lepiej, żeby oni zginęli, niż Polska?“ Ważnem i radosnem jest to tylko, że będzie wielka wojna o niepodległość, niewątpliwie zwycięska, a wraz z nią nadejdzie kres haniebnej niewoli.

Tak mogli rozumować entuzjaści.

Wystarczało jednak wziąć pod zimną rozwagę środki, mające według Kamieńskiego zachęcić lud do walki, aby ostyg-

nąć w zapale. Czy szlachta zgodzi się dobrowolnie na oddanie chłopom ziemi? Czy patrjotyzm jej jest istotnie tak wielki, że skłoni ją do wyrzeczenia się własności? Może zdobędą się na to jednostki, ale ogół — nigdy. A zatem rewolucja społeczna musi wywołać bratobójczą walkę o posiadanie ziemi, walka ta zaś unicestwi powstanie, a kraj cały zmieni w ruinę.

Jeżeli zaś szlachta przyjmie pomoc, z którą jej rządy zaborcze niewątpliwie pospieszą, i w ten sposób złączy się z wrogami przeciw ludowi — wtedy sprawę polską, dotychczas otoczoną aureolą świętości, okryje hańba i pogrzebie ją może na zawsze.

Na takich przeciwnych sobie stanowiskach w ocenianiu „Prawd Żywotnych“ i przygotowanego powstania stanęli Słowacki i Krasiński.

Krasiński do zwolenników powstania ludowego należeć nie mógł. Jego trzeźwy rozum wysnuwał z tych planów grozę wojny domowej, rzezi i zguby, a wszystkie włókna nerwów protestowały przeciw nim instynktownie. Czyż mógł autor „Przedświtu“ pogodzić się z myślą ,że „chamstwo“ ma wywalczyć niepodległość Polski i że ono krwawemi rękami ma przybliżyć epokę Ducha świętego? A poza tem wszystkiem były jeszcze inne powody, które mu myśl o rewolucji czyniły straszną: powody osobiste. Nie o majątek chodziło; nie mamy prawa do posądzania Poety, że dla oswobodzenia Polski nie poświęciłby części, a nawet całego mienia — obawiał się o los ojca. Już w czasie powstania listopadowego cudem niemal uniknął jenerał Krasiński haniebnej śmierci — nowa rewolucja byłaby groźniejsza. Wymieniając rozmaite typy szlachty i podając sposób postępowania z niemi w czasie wybuchu. powiada Kamieński: „Ciemiężcom zaprzedani, ich urzędnicy-posługacze, ozdobieni od nich orderami lub obdarowani dobrami: Bez żadnego wahania ogłosić za nieprzyjaciół ojczyzny i natychmiast śmiercią pokarać wraz z ogłoszeniem powstania.“ [12]) Czyż mógł Krasiński nie oburzać się na takie zasady i plany?

Mimo bolesnych niedomagań fizycznych, na które ustawicznie skarży się w listach, postanowił zaprotestować publicznie, i to — wierszem. O wyborze formy zdecydowały zapewne dwa względy: przedewszystkiem chciał przemówić do uczucia czytelników, argumentację rozumową odkładając na plan drugi, a w takich celach rytm i rym są autorowi bardzo pomocne — równocześnie zaś musiała go nęcić myśl połączenia tego protestu w logiczną całość z dwoma gotowemi już od kilku miesięcy wierszami, które nazwał „Psalmami“. [13]) Mówiły one o „wierze“ i o „nadziei“ — teraz nasuwała się jako temat trzecia z cnót teologicznych, miłość, przeciw której zdaniem Poety zgrzeszył Kamieński. Z wiosną 1845 r. utwór był gotów. Z większemi jeszcze, niż zwykle, ostrożnościami zjechał się Krasiński w Paryżu z Gaszyńskim, aby utwór swój ostatecznie wykończyć i wydrukować. W jesieni 1845 r. ukazały się „Psalmy Przyszłości“, nie bezimiennie, jak większość dzieł Krasińskiego, i nie pod nazwiskiem K. Gaszyńskiego, jak „Przedświt“, ale pod pseudonimem Spirydjona Prawdzickiego, który bardzo wymownie wskazywał pseudonim Kamieńskiego i świadczył równocześnie o aktualności dzieła.

Dwa pierwsze „Psalmy“, „Wiary“ i „Nadziei“, nie wnoszą do twórczości Krasińskiego motywów nowych, są tylko rozszerzeniem niektórych dawnych, zwłaszcza objętych „Przedświtem.“ Pierwsza część „Psalmu Wiary“ jest jakby nową redakcją „Syna Cieniów“, godzącą jego panteizm z dogmatami katolicyzmu, a przedstawia dzieje jednostki, dążącej do bóstwa, do zlania się z niem w jedno. Część druga mówi o ludzkości, dążącej do coraz większego uduchowienia, do anielstwa; prowadzą ją przykładem swoim narody wybrane, które „straszną walką w grobie“ wywalczają w ludziach „więcej miłości i więcej braterstwa.“

Takim jest naród Twój polski, o Boże!
Kto cząstką jego, niech wie się Twej woli
Cząstką na ziemi — i, choć go świat boli
Tak, że aż zwątpić o nadziei może,
Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłychanem...

Część trzecia, zestawiając dzieje ludzkości z życiem Chrystusa, prorokuje jej rychłe przemienienie i anielskość.

„Psalm Nadziei“ jest jakby entuzjastycznem potwierdzeniem rychłego spełnienia się tych proroctw.

Ja wam mówię: niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki, nam przed wieki
Obiecany, Pocieszyciel!

Przyjdzie dla zapewnienia szczęścia całemu światu, ale pierwsza ujrzy go umęczona Polska. Proroctwo przemienia się w wizję:

O, rzucajcie pieśni, kwiaty!
Oto idzie, idzie Pan,
A nie smutny, jak przed laty,
Wolny cierniów, gwoździ, ran!

Nie powróci stara klęska —
Duchom, duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

W ten sposób stwarza Krasiński w dwu pierwszych „Psalmach“ podłoże ideowe dla psalmu trzeciego: cierpienia Polski są chwilowe — jeżeli wytrwa w cierpieniu i cnocie, czeka ją rychło świetlana przyszłość. Teraz może Poeta uderzyć na tych, którzy białą szatę ojczyzny skalać chcą rzezią i w ten sposób oddalają chwilę zbawienia.

Jedno jest tylko niezrozumiałe w „Psalmie Nadziei“. Zasługa Polski polega na biernem znoszeniu zesłanych na nią cierpień, na cnotliwem, cichem wytrwaniu w grobie do chwili zmartwychwstania; na czyny niema miejsca w systemie mesjanicznym, bo nie mógł ich także dokonywać pomiędzy śmiercią swą i zmartwychwstaniem wzór Polski, Chrystus. Cóż oznaczają zatem wezwania do czynu, rozpoczynające i kończące „Psalm Nadziei“:

Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal!

Co znaczy powtórzenie tego wezwania w toku utworu pod inną tylko postacią:

Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!

Jaki czyn ma usunąć podłość świata? Poeta nie wyjaśnia tego. Możemy się jedynie domyślać, że słowa te są aluzją do „Psalmu“ trzeciego, gdzie na początku i na końcu znajdziemy wezwanie do czynu, jasno już określonego. Ale wtedy od teorji mesjanistycznej zejdziemy do aktualnychs praw politycznych.

Występując w „Psalmie Miłości“ przeciw ideom „Prawd Żywotnych“, nie mógł Krasiński zwalczać wszystkich ich poglądów. Całą duszą przeciwny był wszelkiej myśli o nowym ruchu zbrojnym — a jednak nie mógł jej potępiać, bo oburzyłby na siebie olbrzymią większość emigracji, która marzeniem o powstaniu poprostu żyła. Pozornie zatem przyjmuje zasadniczo projekt powstania, które ma

Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord —

ale tylko pozornie. Cały bowiem „Psalm Miłości“ przepełniony jest okruchami teorji mesjanistycznej i wysnutemi z niej wnioskami, które są w rażącej sprzeczności z wszelką walką fizyczną. Jak np. pogodzić wezwanie do „podniesienia korda przeciw piekłu“ z następującym ustępem:

Czas już przejrzeć Boga wolę,
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud
I temsamem znieść niewolę!

Jeżeli niewolę usunąć można jedynie samą cnotą, to walka orężna jest nie tylko zbyteczna, ale szkodliwa!

Drugi raz zaznaczony jest ten pogląd równie jasno i wyraźnie, gdy Poeta odzywa się do Polski:

Nad zwycięstwa stoisz progiem:
Kres to męki twój ostatni!
Niechaj tylko uwydatni,
Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem,
Potem prysną śmierci pęta
I ty będziesz wniebowzięta,
Bo aż w śmierci byłaś z Bogiem.

Jedynym godnym wysiłku „czynem“, jedyną „prawdą boską, czynną“ jest „przemienienie przez miłość.“ Dlatego pragnie Krasiński „cudu“, który formułuje w haśle:

Z szlachtą polską polski lud.

Nie chodzi tu jednak o połączenie wszystkich warstw narodu do walki z najeźdzcą, lecz o osiągnięcie ideału etycznego, prowadzącego do świętości. Szlachta i lud, „dusza“ i „ciało“ Polski, „zespojone świętym szałem“, przyniosą, jedność i tem samem zbawienie. Jeżeli zatem czytamy, że:

W poświęcenia świętej dumie
Poprowadzi lud do bitwy,
Kto prowadzić lud ten umie:
Szlachta Polski, Rusi, Litwy —

to jest to tylko taktyczne ustępstwo, potrzebne jako wstęp do apoteozy szlachty. „Szlachta święta“, ten „ród nieszczęśliwy“, miała niegdyś na sobie winy (bo nie miał ich tylko Chrystus), ale z płomieni rozbiorów wyleciała, jak feniks, przemieniona, w aureoli ideału:

Z życiem wiernie przechowanem...
Ona ludu dziś kapłanem.
Dzierży w ręku moc ofiary,
Gróźb nie lęka się ni kary,
Bo zdeptała świat wasz stary,
Świat zawiści, mordu, ciemna,
W którym tylko moc ujemna.

Posłannictwem, do którego się szlachta poczuwa, jest:

Wylać ducha na miljony,
Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim — myśli z nieba,
Nic nie spychać nigdy wdół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.

O ludzie mówi Krasiński, parafrazując słowa Kamieńskiego, że jest to „olbrzym, marzący we śnie“, ale dodaje, że obudzić go może tylko „iskra z nieba“, będąca udziałem wyłącznie szlachty, że zatem

...bez szlachty ludu niema.

Na tle takich poglądów społecznych rozgrywa się walka z hasłami „Prawd Żywotnych.“ Krasiński zapomina, że Kamieński także marzy o zjednoczeniu szlachty z ludem i że zastosowanie terroryzmu uzależnia wyłącznie od zachowania

się jej, od jej zdolności poświęcenia części dóbr materjalnych dla ideału narodowego. Gdyby szlachta była istotnie taką, jaką ją przedstawia „Psalm Miłości“, wszelka obawa „rzezi“ musiałaby odpaść. Mimo to nie waha się Krasiński mówić o „nęceniu“ ludu, „by niósł szlachcie polskiej mord“, o „nożach hajdamackich“, o „oszczerstwach i bluźnierstwach“ na szlachtę. Jak dalece mijało się to z prawdą, jaką krzywdzącą było insynuacją, dowodzi choćby taki tylko ustęp z „Prawd“:

„Ileż to ułatwionem będzie tam, gdzie sam dziedzic czyli szlachcic podejmie tę misję (ogłoszenia powstania)! Jakież to silne wrażenie na ludzie zrobi, kiedy posiadacz przywileju złoży go uroczyście na ołtarzu ojczyzny! Zaiste, natenczas może cudów żądać: każde jego słowo będzie rozkazem świętym, który lud z zapałem wykonywać będzie. Zawczasu cześć i pokłon tej szlachcie, która tak sobie na razie postąpi, która na pierwszy odgłos powstania zaraz, z własnego popędu odpowie mu w ten sposób. Imiona ich staną zaraz na pierwszej karcie między zbawcami ojczyzny. Lud je w swojem sercu i pamięci przechowa, a to będzie najpiękniejszy i jedyny dziś podobny herbarz.

„Ten wypadek najpożądańszy, daj, Boże, powszechny, nie może jednakże być bez wyjątku.“ [14]) I tu dopiero mówi Kamieński o terroryźmie.

Czy o takiej książce można powiedzieć:

Tysiącami *wściekłych ryków*
Proszą ciebie o mord braci!

Gdyby nie wzmianki w korespondencji Poety i pseudonim, użyty w tem dziele, trudnoby było domyśleć się, że „Psalm Miłości“ jest polemiką z „Prawdami Żywotnemi.“ Krasiński, nie mogąc mówić szczerze i otwarcie, wstępuje na drogę bardzo efektowną, ale fatalną, bo prowadzącą go do sprzeczności z istotnemi a ukrytemi jego argumentami. Zamiast stwierdzić, że rewolucja społeczna doprowadzić musi do bratobójczej walki, bo szlachta nie dorosła do spełnienia takiej ofiary dla niepodległości — idealizuje szlachtę w sposób niesłychanie przesadny i przypisuje jej właśnie zdolność bezgranicznego poświęcania się dla innych warstw narodu i dla idei, a tych, którzy od niej tej ofiary żądają, nazywa hajdamakami! W ten

sposób prowadzona walka — w zasadzie godziwa i do wygrania nietrudna — skazana była zgóry na przegraną w obliczu historji.

Przypomnijmy sobie teraz, co Krasiński niemal równocześnie z ukazaniem się „Prawd Żywotnych“ pisał do swego przyjaciela o szlachcie; „...co doszło do najuniżeńszego poniżenia, to historyczne imiona... nawet wyobrażenia nie mają, co godność jakabądź. ...Szynk z jednej strony a kamerjunkrostwo z drugiej... ignorancja nieskończona, oto ich piętna! Wszyscy ożyją, da Pan, co w niebie, ale oni — i to mi łzy wydziera — oni nie.“ [15])

Zestawienie tego surowego, poprostu druzgocącego sądu w liście do przyjaciela i apoteozy w utworze, przeznaczonym dla publiczności, wskazuje, że bardzo daleko jesteśmy od epoki „Nieboskiej“, „Nocy letniej“ i „Pokusy.“ Krasiński ma teraz w zanadrzu dwie etyki; jedną dla siebie i „swoich“, drugą dla tłumu. On, niegdyś niemal zuchwały w wypowiadaniu prawdy o swem najbliższem otoczeniu, teraz staje się jakby oficjalnym obrońcą kasty, „braci swoich“, i zarzuty, z poza jej koła pochodzące, o których prawdziwości szeptał przed chwilą przyjacielowi, odpiera publicznie z patosem oburzenia jako oszczerstwo.

W liście do Reeva określił kiedyś sztukę jako „prawdę prawdy“; gdyby teraz trwał przy tym poglądzie i był konsekwentny, musiałby przyznać, że „Psalm Miłości“ nie mieści się w zakresie sztuki, że jest nie utworem poetycznym, ale wierszowaną, stronniczą broszurą polityczną.[16])

* * *

Zupełnie inne wrażenie wywarły „Prawdy Żywotne“ na Słowackim. Prawdopodobnie pod ich wpływem napisał on wiersz, zaczynający się od słów: „Kiedy prawdziwie Polacy powstaną...“, będący jakby poetycką wizją przyszłej wojny ludowej, propagowanej przez Kamieńskiego.[17]) Charakterystyczną cechą tej walki będzie niezwykłe, niewidziane dotychczas uduchowienie, idealizm celów i środków:

...naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny, nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy, a nie w zemsty imię.

...Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słychać krzyku.

„Psalm Miłości“ był w treści swej i tonie tak zasadniczo sprzeczny z temi nadziejami i rojeniami, że Słowacki napisał nań odpowiedź. Nie przeznaczał jej do druku — chciał tylko zrzucić z serca brzemię obaw i oburzenia, narzucone mu przez wiersz Krasińskiego. Uczynić to musiał, bo chodziło o sprawy, dla niego najważniejsze i najświętsze — i dzięki temu powstało jedno z największych arcydzieł naszej literatury, „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości.“

Słowacki domyślił się źródła obaw Krasińskiego:

Czy ty jeden z przerażonych
Ręką rzezi, gilotyną?

„Gilotyna“ jednak grozi tylko wyrodnym, tylko wrogom ojczyzny i ludu, a przecież Krasiński nie należy do nich, więc:

Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?

Wyraźnie świadczy o tem zwłaszcza nakreślenie sytuacji politycznej:

Jeszcze co? *Ani zamachu —*
Naród cały hasła czeka,
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: „Stójmy!“ — był krzyk strachu!

Powodów tego strachu nie może Słowacki zrozumieć.

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem?

Są to tylko przywidzenia, mary szkaradne, upiory — „a tyś zląkł się, syn szlachecki!“

Ideał mesjanistyczny Krasińskiego: „cnotą znieść niewolę“ [18]) nazywa Słowacki „żywotem ducha na księżycu“ i hasłu jego „Bez szlachty ludu niema“ przeciwstawia wprost przeciwne — jest tylko lud. („A kto inny jest, niż gmin?“). Natomiast niema już szlachty:

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica
Dziś jednegom znał szlachcica...

Tym ostatnim szlachcicem był Kościuszko.[19])

Dziś i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma.
Poszedł gnić między królami;
Już go niema — i was niema!

Na widownię wstępuje teraz lud, a czyn jego, to nie „w herbie z mieczem ręka, to nie ród, imieniu świetny",

Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną.

Krasiński nie rozumie ludu, „do zbolałych serc nie wnika", jest tylko patronem swoim i swego sztandaru. A tymczasem świat emigracyjny „gore cierpieniem."

...my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy —
A ty łyskasz blaskiem noża,
Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I — w zrodzoną — rodzisz wiarę.

Te straszne przepowiednie są nieuzasadnione, a niewiadomo, co przyniesie przyszłość. Postęp przynieść może tylko „duch, wieczny rewolucjonista" — trwanie zaś przy „starym narowie", obecnej formie świata, było zawsze i jest największą przeszkodą w doskonaleniu się ludzkości. Dlatego nie wolno „wzbierających fal czynu" zawracać w stare łożyska, nie wolno „kląć żadnego ruchu" — bo Bóg zsyła swe myśli nie tylko za pośrednictwem aniołów: czasem „rodzi je we krwi."

Niezmiernie charakterystyczną jest modlitwa, zamieszczona tuż przed zakończeniem „Odpowiedzi":

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie:
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie!
Przez nas czyń Twoje czyny!

Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy,
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy!
Pomyśl, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali!
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy dogóry,
Jak gołębie: „Nie ciśnij!"
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! Niech wrócą! Błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się — i zdaleka
Brat pozna swego brata
I wejdzie nieśmiertelność, jako anioł, w człowieka
I staniem ludem świata!

Gdyby nie forma, możnaby przypuszczać, że cały ten ustęp, zawierający pogląd na najważniejsze, zasadnicze zagadnienia sprawy Polski, któremi poezja mesjanistyczna się zajmowała, wyszedł z pod pióra autora „Przedświtu"; niema tu ani jednego zdania, ani jednego określenia, pod którem Krasiński nie mógłby się podpisać. Najbardziej interesujące jednak są cztery ostatnie wiersze. Twierdzą one, że, gdy w świetle błyskawicy bożej „brat pozna swego brata", wtedy „wstąpi" w nas nieśmiertelność i tem samem już „staniem ludem świata." Czyż nie jest to myśl, idea ta sama, co w określeniu Krasińskiego: „z szlachtą polską polski lud", pozbawiona jedynie nomenklatury politycznej?

Różnice zatem zapatrywań, wyrażonych w „Psalmie Miłości" i w „Odpowiedzi", występują właściwie w dwu tylko sprawach: w poglądach na znaczenie warstw społecznych — i tu obaj poeci stoją na stanowiskach wprost przeciwnych — i w przekonaniu Słowackiego, że lepszy jest każdy, pozornie nawet zgubny, ruch, niż zastój. Zobaczymy jednak, że dalsza polemika nie tym właśnie potoczy się torem i wprowadzi motywy zupełnie inne.

* * *

Przygotowywanie powstania ludowego we wszystkich trzech zaborach, połączone z tak rozległą akcją propagandową, nie ukryło się długo przed policją państw zaborczych. Na trop spisku wpadła policja pruska już w jesieni r. 1845-go; aresztowania, dokonane w Poznaniu i w Toruniu, dostarczyły jej ważnych dokumentów, odsłaniających cały plan sprzysiężenia. Rząd pruski porozumiał się z rządem austrjackim i w połowie lutego 1846 r. przeprowadzono w Poznaniu i we Lwowie masowe aresztowania przywódców przyszłego powstania.

Najsmutniejsze były losy ruchu w Tarnowskiem, gdzie wybuch przyspieszono. Na zbierających się powstańców napadło zorganizowane przez władze austrjackie ciemne chłopstwo i związanych, poranionych, a nawet zamordowanych już odwoziło do „cyrkułu", gdzie za każdą głowę wypłacano mu nagrodę. Napady na dwory, rabunki i rzezie powtórzyły się w wielu miejscowościach zachodniej Galicji, świadcząc w tragiczny sposób, że zaniedbany od wieków lud daleki był jeszcze od zrozumienia idei ojczyzny i wolności. Jedno tylko powstanie chochołowskie mogło służyć za dowód, że teorje emigracyjne nie były mrzonką, ale wymagały długoletniego i umiejętnego przygotowania ludu.[20])

Krasiński odczuł wypadki te bardzo boleśnie, ale charakter ich i źródło zrozumiał natychmiast. W pierwszej chwili żałował, że sam nie brał udziału w zamachu. „Żal chwyta za serce — pisze do Małachowskiego 6 marca — że się choć tych dwu czy trzech godzin, podczas których bito się o ideę polską, tych godzin, mówię, kilku tam nie było... A mimo to wszystko dzielne jednak to serca, dzielne i odważne, tylko brak wiary w ducha, co światem rządzi... O mój drogi, dusza moja grobem! Czyś się spodziewał, by chłopi wiązali szlachtę, by ostatnich obrońców Idei własny lud, ów lud, tyle pod obłoki podnoszon, wydawał! Tak, to nowego męczeństwa i okropniejszego, niż wszystkie poprzednie, początek: ale też ono ostatniem już będzie."

W kilka dni później, niezadowolony z proklamacji krakowskiej, w której dopatruje się komunizmu, uznaje teorje Kamieńskiego, przynajmniej w części, za słuszne i zbawienne, pisząc w liście do Małachowskiego te, wprost niezrozumiałe

związku z „Psalmami" słowa: „Autor „Prawd Żywotnych" upominał ich w swem dziele, by tego głupstwa nie czynili i przestali na ogłoszeniu za zasadę powstania: prawa, nadającego włościanom własność gruntów, przez nich uprawianych. To trzeba było jasno uczynić i nic więcej. Polska, na tej zasadzie wywalczona, policzyłaby się z żywiołami, w niej dotąd istniejącemi, i pokazałoby się wtedy, które mają prawo do życia, a które nie, co żywem jest, a co umarłem." [21])

Do Nicei, gdzie Krasiński zimę i wiosnę r. 1846 przepędził, nadchodzą coraz to nowe wiadomości o nieudanem powstaniu i rzezi, z kraju i z emigracji, prawdziwe i plotkarskie — a w miarę tego wahają się jego poglądy między sympatją dla ruchu a jego potępieniem.

Jest to zupełnie zrozumiałe. Krasiński, zatopiony w marzeniach, mało się zajmował sprawami zwykłemi, codziennemi, będącemi jednak podstawą życia, a więc mogącemi także wypadki tego życia wyjaśnić. Ludu nie znał zupełnie; wyobrażał sobie np., że lud w okolicy Tarnowa jest schizmatycki.[22]) Przebywając więcej zagranicą, niż w kraju a więc będąc do pewnego stopnia emigrantem, nie znał emigracji, zupełnie nie orjentował się w jej stronnictwach, dążeniach i życiu. Już po wypadkach galicyjskich pisze do Małachowskiego: „Proszę cię, opisz mi dokładnie, na jakie ułamki dzieli się emigracja i tych ułamków kolor mi opowiedz! Co to centralizacja i czy w Wersalu? Co zjednoczenie? i jacy to przystąpili do księcia (Adama Czartoryskiego)?" Nie znając tych zasadniczych, elementarnych faktów i zjawisk, nie mógł sobie naturalnie zdawać sprawy z istoty antagonizmów emigracyjnych, z przepaści, dzielących dwa zasadnicze obozy wychodźctwa i z wysiłków Centralizacji, która tworzyła podstawy demokratyzmu polskiego, walcząc z tradycjami szlachetczyzny. Stąd marzenia i dążenia do zjednoczenia całej emigracji i narzekania na Centralizację, że nie poddaje się powadze Czartoryskiego!

Na tem zajmowaniu się sprawami politycznemi upływają miesiące i lata. Twórczość poetycka słabnie, nabiera zabarwienia politycznego, ale bynajmniej nie ustaje — owszem, ilościowo wzrasta.

Tymczasem „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości“, leżąca w rękopisie u Słowackiego, dostała się podobno do rąk Cyprjana Norwida, który ją przepisał i odpis ten wręczył Krasińskiemu. [23]) Czy w ten, czy w inny sposób poznał Krasiński wiersz dawnego przyjaciela, w każdym razie zawdzięczał to czynowi brzydkiemu, nadużyciu zaufania; korzystanie z takiego postępku pięknem i etycznem nie jest. Mimo to Krasiński nie zawahał się skorzystać ze sposobności łatwego zatryumfowania nad przeciwnikiem, którego zapatrywania wypadki dziejowe pozornie ośmieszyły, i odpowiedział publicznie na wiersz, poprostu wykradziony z rąk autora.

Usprawiedliwiał się z tego w przedmowie sprawą publiczną. Twierdził, że „ta pieśń“ Słowackiego, na którą odpowiada, jest „wyobrazicielką niektórych dążności i myśli, krążących po widnokręgach umysłowych epoki naszej. Jeden ją wybrzmiał z piersi swych, ale po wielu piersiach drzemią zawarte w niej tchnienia.“ Zamieszczone w „Odpowiedzi“ zarzuty i pomysły „nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością.“ Chodziło zatem o względy ważne, o obronę i podtrzymanie stanowiska, które uważał za jedynie słuszne i dla sprawy narodowej zbawienne. W takim jednak razie, jeżeli cel miał uświęcić niepiękne środki, należało bezwarunkowo poprzestać na zwalczaniu jedynie tych poglądów przeciwnika, które dotyczyły spraw ogólnych. Niestety — zobaczymy, że Krasiński tego nie uczynił.

Polemika z wierszem Słowackiego, nazwana „Psalmem Żalu“, wraz z napisanym poprzednio, podobno jeszcze w r. 1846, „Psalmem Dobrej Woli“ ukazała się w nowem, zupełnem już wydaniu „Psalmów Przyszłości“ w Paryżu w jesieni r. 1848-go. Wkrótce potem pojawił się w druku bezimiennie utwór Słowackiego, wydany w Lipsku p. t. „Do autora Trzech Psalmów“, jak się zdaje, dzięki niedyskrecji Edmunda Chojeckiego i zapałowi Ryszarda Berwińskiego, ale bez wiedzy i niewątpliwie wbrew woli autora. [24])

Ten niespodziewany i nigdy nie praktykowany w podobnych warunkach atak, jakim był „Psalm Żalu“, stara się Krasiński osłodzić Słowackiemu w przedmowie. Najpierw zaznacza lojalnie, że „Odpowiedź“ napisano „na niemały czas jeszcze przed

bezbożnej pamięci miesiącem lutym 1846 r.“ i nazywa ją „jedną z przedziwności języka polskiego, brzmiącą cudownemi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczoną.“ Ale zaraz początkowe zdania utworu zawierają bolesny, hańbiący Słowackiego, a niczem nie usprawiedliwiony zarzut:

Tyś odważny — ja się boję
Kazirodczych ran.

Cały pierwszy ustęp „Psalmu Żalu“ zbudowany jest zgrabnie i starannie w ten sposób, że dopiero po przeczytaniu powyższych słów spostrzega czytelnik konieczność zrekonstruowania rzekomo osobistych wyznań poety, aby z nich wydobyć zarzuty, stawiane przeciwnikowi. Wynika z nich wtedy, że Słowacki „nie drży przed męczeństwem bliźnich“, „lubi spychać w otchłań“ że mu „braćmi są morderce“, że „mordu i sromu“ się nie lęka. To jest odpłaceniem się za wykrzykniki „Odpowiedzi“: „A tyś zląkł się, syn szlachecki!“

Tryumfuje jednak Krasiński na innem polu: prawdziwości przeczuć i przepowiedni. Bo oto spełniły się przeczucia „Psalmu Miłości“: „lud się zhańbił“, „padły trupy“ szlacheckie, a „chłopi, żydzi, kaci zdzierali z nich łupy“ — Słowacki zaś „nie przeczuł zdarzeń“, zapatrzony „w swe niebiosa“, na których, jak „krzyż wybawienia“, błyszczały „kosa ukraińska, cepy i kłonice“.

Czy Krasiński istotnie z biegiem czasu uwierzył, że w „Psalmie Miłości“ przepowiedział wypadki r. 1846? Trudno to przypuścić. Wszakże, pisząc ten utwór, obawiał się, żeby agitacja terrorystów emigracyjnych nie popchnęła chłopów-powstańców do mordowania broniącej swej ziemi szlachty, ale nie przeczuwał bynajmniej, że rząd austrjacki użyje ludu przeciw powstańcom. Różnica to olbrzymia — ale Krasiński, wyzyskując fakt, że rzeź bądź co bądź się odbyła i że Słowacki lud apoteozował, staje teraz z niewinną miną po stronie tych agitujących lub pozyskanych agitacją powstańców, zwolenników rewolucji społecznej, których tak gwałtownie potępił w „Psalmie Miłości“:

Oto jutro rano
Na powstański bój
Polskie pany wstaną

Szlachta — której niéma —
Bohaterściej, niźli kiedy,
Wyzwie trój-olbrzyma.
Lecz z twych niebios spadną wtedy
Twoje tajemnice,
Cepy i kłonice,
Twój, oj! spadnie cud
I tych Polski namiestników
Za kilka srebrników
Twój rozsieka lud.

Używając takich sposobów przedstawiania sprawy, nie trudno tryumfować — ale wtedy zawstydzona Prawda zakrywa oczy.

Następuje najpiękniejszy pod względem formy, a właściwie jedynie piękny w całym utworze ustęp:

Bodajbyś, wieszczu, był wieszczył prawdziwie!
Bodajbym, zdjęty przerażenia dreszczem,
Był kłamcą tylko, ty nachnionym wieszczem
I plam nie było na ojczystej niwie!

Ton gryzącej ironji, z jaką Krasiński przedstawia rzekomy sąd „nieskalanego ludu“ za potwarz, jaką na niego rzucił, jest usprawiedliwiony pewną przesadą, z jaką Słowacki lud ten gloryfikował, nie o samych zresztą chłopach myśląc — i słuszne jest także żądanie:

Przemień go, przemień w króla i kapłana!
Lecz, zanim jeszcze nie przekrólewszczony,
Nie klękaj przed nim, nie kładź mu korony...

Ale Krasiński idzie poza te słuszne granice tryumfu: zarzuca przeciwnikowi brak patrjotyzmu i bezbrzeżną miłość własną („Szlibyśmy oba i szczęśliwsi oba: Ty chwałą własną, ja Polski zbawieniem“), chociaż „Odpowiedź“ nie dawała do takiego wniosku najmniejszej nawet podstawy, a Słowacki stał właśnie na szczycie altruistycznego zaparcia się siebie i żył niemal wyłącznie ideą niepodległości Polski. Dzisiaj, kiedy charakter twórcy „Króla Ducha“ znamy nie z opowiadań i plotek współczesnych, ale z dokumentów w całej jego piękności i podniosłości, tem bardziej razić musi ta niesprawiedliwość, lub raczej

może brak odczucia istotnej wartości niedawnego przyjaciela.

Do niczem nieusprawiedliwionych insynuacyj należy także wyjaśnienie genezy rzezi:

... ziarno, siane w śmieci
Od wersalskich dzieci
Zdradą miało zejść niemiecką.

Przedewszystkiem obraz jest niejasny. Jeżeli „wersalskie dzieci“ są Centralizacją Towarzystwa Demokratycznego, o które Krasiński wypytywał niedawno Małachowskiego, a „ziarno“ oznacza poglądy Centralizacji, to „śmieci“ określałyby z natury rzeczy tych, pośród których poglądy te szerzono. Nie można jednak uwierzyć, aby Krasiński to właśnie pragnął wyrazić, bo wszakże agitację prowadzono nie tylko wśród chłopów, ale przedewszystkiem wśród szlachty. Pomimo tej niejasności faktem jest, że wbrew prawdzie historycznej, wbrew poglądom, które sam zaznaczał często w swych poufnych listach, winę rzezi przypisał tu ludziom niewinnym.

Po tych łatwych tryumfach przechodzi „Psalm Żalu“ do zwalczania poglądów Słowackiego na istotę ducha ludzkiego i wykłada obszernie teorję o ciele, duszy i duchu. Następuje część druga: obraz sądu ostatecznego, zakończony zbrataniem się przeistoczonych narodów i wejściem ich pod rządy Ducha. Trzecia część jest odpowiedzią na zapytanie Słowackiego: „A czy wiesz, co duch wybierze?“ Są tu znowu liczne a bardzo przykre aluzje do Słowackiego, do jego bezbrzeżnej próżności, prowadzącej do katowania dusz i ciał, traktat o tem, jak się z tego można uleczyć pokorą i zyskać żywot wieczny — są ataki na demokratów, towiańczyków i moskalofilów — a wreszcie przepowiednie przyszłości:

Patrz, świat, kat twój, Polsko, oto
Zapadł w krew i błoto,
Od morza do morza
Porwał się do noża,
Bratobójczo się przewala,
Wije nakształt gada,
Podnosi i pada
Aż, znękany, czci Moskala.

W takiej chwili dziejów świata zjawi się Polska, poda rękę zbawczą swemu katowi, światłością swą odegna od niego wieczną śmierć i umożliwi mu zmartwychwstanie.

Taka jest treść tego najdłuższego i najsłabszego z „Psalmów Przyszłości". Idej nowych nie przynosi on wcale — powtarza tylko to, co Krasiński dawniej już wyraził lepiej i piękniej, a forma artystyczna tych długich przeważnie wywodów jest dziwnie słaba. Znajduje się tu taki np. ustęp:

Dusze z ciałmi nad otchłanią
Pasują się i ranią
Bratobójczo wciąż!
Ach! idee i zwierzęta,
Anielice — i tygrysy!
I w tej walce bywa snadnie,
Że, gdy ludzkie rysy
Idea pokładnie,
Wnet i w Bogu ta poczęta
Oszaleje
I jej dzieje
Na tej ziemi
Szkaradnemi.

Zaprawdę, przypomina się ks. Baka. Jakże daleko wstecz cofnął się Krasiński od czasu „Przedświtu"!

Ale to cofnięcie się dotyczy nie tylko formy. W „Przedświcie" apoteozował przeszłość historyczną narodu, nie dzieląc go na warstwy mniej lub więcej wartościowe. W psalmach „Miłości" i „Żalu", w polemice z Kamieńskim i Słowackim, stanął na stanowisku partyjnem, stał się chwalcą nie narodu, lecz kasty, i to tej właśnie kasty, której rozkład moralny jasno widział, a rychły upadek przewidywał. Była w tej obronie straconej placówki jakaś buńczuczna donkiszoterja, nie pozbawiona pewnych sympatycznych cech rycerskości, ale niegodna szaty poetyckiej, bo nie było w niej szczerości, a czasem nawet liczenia się z godziwością środków. To też dzisiaj, po latach osiemdziesięciu, po sprawdzeniu się przepowiedni, zawartych w listach Krasińskiego, w epoce powszechnej demokratyzacji są te dwa „Psalmy" tylko przykrem wspomnieniem chwili dziejowej, dokumentami, pozbawionemi siły wzruszania

i wdzięku poezji — a równocześnie wyrosły wysoko szczere, z głębi duszy dobyte wiersze „Odpowiedzi" Słowackiego i stały się najpiękniejszym wyrazem nowoczesnych przekonań.

* * *

System mesjanistyczny Krasińskiego powstał i rósł w latach zupełnej ciszy na polu politycznem i żaden ważniejszy fakt dziejowy nie przerwał marzeń poetycznych. Dopiero rok 1846-y, który tak silnie wstrząsnął Poetą, podważył także jego teorję.

Już w przestrodze, danej spiskującej demokracji w „Psalmie Miłości":

Hajdamackie rzućcie noże,
By nie klęły na was wieki,
Że cel wieków znów daleki,
Żeście w dumie, żeście w szale
Przewrócili losów szale —

jest skonstatowanie nowego czynnika: woli ludzkiej — czynnika, o którym poeta w czasie budowania swego systemu zapomniał. Tak, to nieprawda, że Bóg *musi* nas zbawić choćby wbrew naszej woli! W „Psalmie Żalu" zaznacza już fatalne skutki „wolnej ludzkiej woli, gdy zła i nieszczera":

Bo tak wolna, że aż zdolna...
W imieniu nadziei
Świat wytrącić z swych kolei,
By bez wstępnych sił
Ześliznął się po wiekach w tył!

Trzeba więc było po tem doświadczeniu wprowadzić w gotowy już system poprawkę i uwzględnić zapomniany poprzednio, a niesłychanie ważny czynnik.

Taką korekturą jest właśnie ostatni z „Psalmów Przyszłości", „Psalm Dobrej Woli."

Jak niegdyś Kochanowski, wielbiąc dobroć Boga, zwracał się do niego w imieniu ludzkości z pytaniem:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary,
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary,

tak teraz Krasiński w imieniu swego narodu konstatuje z romantyczną przesadą:

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!

Słowa te powtarzają się sześciokrotnie jako początek ustępów, z których pięć pierwszych stanowi jak gdyby poetyckie przesłanki, szósty zaś zawiera wniosek; druga część poematu jest modlitwą.

W pierwszym ustępie apoteozuje poeta Polskę przedrozbiorową, jej „tysiącletnie panowanie, ubrane w śnieżne, przechrześcijańskie blaski nadeuropejskiej cnoty" — w drugim czasy porozbiorowe, a raczej epokę legjonów, kiedyśmy, „choć w grobie złożeni", bywali jednak na bojowiskach świata „z orłem ze srebra i szablą ze stali", skąpani „w jakiejś dziwnej cnocie." Ustęp trzeci zaznacza, że mimo tych wielkich łask bożych przyszłość zależy od nas samych:

Lecz wolną wolę musiałeś zostawić:
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić,
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każden, że Twój zamysł czeka
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem.

Ale dla naszej „dobrej woli" dał nam Bóg pouczające przykłady i wzkazówki. W czwartym ustępie przedstawia poeta przykład Jerozolimy, która zginęła, bo „szalała zemstą... przeciw ludzkości całej", a „nie miała w swem łonie iskier" bożych, miłości — w piątym zaś odstraszające przykłady gwałtu, rzezi i zaborów, dane nam „w naszych ciemięzcach", którzy muszą zginąć.

Teraz, rozważając położenie narodu, widzi poeta z jednej strony niebo, gotowe już na przyjęcie Polski, z drugiej zaś strony „przepaść, śmierć wieczną", która „w czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie."

Jeśli się jednym ku niej ruszym krokiem,
Wnet zórz nam światło pobladnie na skroni...
I Duch nie będzie nam pocieszycielem.

Ale Bóg dał nam już wszystko, co dać mógł i „ta chwila już do nas należy" — sami musimy rozstrzygnąć o swych losach. Pozostaje więc tylko modlitwa. „Ojców mary" stają przed Chrystusem pod przewodnictwem Madonny, która błaga „przełaski" dla kielicha, napełnionego krwią ofiar „trójkata." Pod taką opieką i przy takiej pomocy prosi poeta o jedną tylko łaskę — o łaskę dobrej woli.

Błagamy Ciebie: stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę.

Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie.

Czterowiersz ten powtarza się po każdym ustępie i nadaje całości charakterystyczną cechę. Z pośród wszystkich „Psalmów Przyszłości" ten właśnie najbardziej zbliża się do hebrajskiego pierwowzoru.

Krasiński nie rezygnuje tu — z jednym tylko wyjątkiem — z żadnego szczegółu swej teorji — uzupełnia ją tylko. Ale to uzupełnienie nadaje jednak całości inną nieco barwę. Czujemy, że apoteozowanie naszej przeszłości nie jest tu celem poety, lecz jedynie drogą, prowadzącą do wniosku, tylko uzasadnieniem możliwości zbawienia dla narodu, „zawieszonego pomiędzy otchłanią a królestwem" bożem. O ileż mniej rażą te poglądy tutaj, niż w przemowie Czarnieckiego w „Przedświcie", gdzie w nimbie świętości staje przed nami nie przeszłość, pojęta jako całość, ale właśnie największe i najboleśniejsze jej wady i błędy. Jeżeli zaś pominiemy przesłanki „Psalmu Dobrej Woli", będziemy musieli przyznać samemu jego postulatowi głębokość i mądrość niepospolitą, bo istotnie, narodowi naszemu niczego bardziej nie brakło nigdy, niż właśnie tej dobrej woli, która, złączona z energją i wytrwałością, w najbardziej realnem życiu stwarza cuda.[25])

Jak gdyby obawiając się, abyśmy tej „dobrej woli" nie pojęli jako jakiejś łaski uświęcającej, która samem istnieniem swojem, zwiększając nasze „anielstwo", zapewni nam zba-

wienie, powtarza Krasiński w stałym refrenie, że „świętemi czynami“ mamy „samych wskrzesić siebie.“ Więc odpada jeden ważny punkt programu mesjanistycznego, zawarty już w „Widzeniu księdza Piotra“ — zbawienie świata przez Polskę. Polska ma obce narody „wwieść w miłość i mir“ jedynie „przykładem“ swej prawości, nie męką swą Chrystusową — przedewszystkiem zaś ma „czynami“ zbawić siebie samą. Ściśle więc biorąc, nie jest to już właściwie mesjanizm — są tylko akcesorja mesjanistyczne, zachowane poto, aby nam „wskrzeszenie“ ułatwić. Nacisk pada jednak na czyny (pierwiastek, obcy mesjanizmowi) — a chociaż są one, niestety, „święte“, a nie np. wielkie, bądź co bądź stanowią w systemie Krasińskiego nowość. Przypominają zdrowe hasło „Irydjona“: „czyń ciągle i bez wytchnienia“, a przypominają tem bardziej, że i tam były te czyny warunkiem zmartwychwstania. Ten silny, męski akord, kończący „Psalmy“, przytłumia zbyt wybujałe tony samouwielbienia narodowego i niesłychanie podnosi wartość etyczną całego utworu.

Także pod względem formy różni się „Psalm Dobrej Woli“ bardzo wyraźnie od innych, zwłaszcza od bezpośredniego swego poprzednika. Widać tu wielką staranność o dobór wyrazów, dzięki czemu rzadkie już są fatalne neologizmy, szpecące „Psalm Żalu.“ Użył tu Krasiński wiersza jedenastozgłoskowego, odpowiadającego najbardziej rozlewności jego myśli, a wypróbowanego już we wstępnym i końcowym ustępie „Przedświtu.“ Z temi ustępami ma też „Psalm Dobrej Woli“ wspólną cechę zasadniczą: patetyczność. W całej chyba naszej literaturze niema drugiego wiersza, w którymby patos utrzymany był na takiej wyżynie napięcia i dostojnej powagi. Ta sztuczność stylu dochodzi szczytu pod koniec utworu: końcowe zdanie — jedno zdanie! — składa się z trzydziestu czterech wierszy!

Jeżeli jednak chodzi o prawdziwe wartości poetyczne, o barwność i plastyczność opisów, nie różni się ten psalm wiele od poprzednich. Zdolność zamieniania pojęć abstrakcyjnych w obrazy, która tak imponuje w „Nieboskiej Komedji“, znikła, rozwiała się z biegiem lat pod wpływem chorych nerwów — przeważa więc rozumowanie, jedynie podniosłością

uczucia uchronione od oschłości. Przekleństwem dla „Psalmów“ jest nieuchronna konieczność myślenia przy nich o „Odpowiedzi“ Słowackiego, która majestatem swej artystycznej doskonałości mimowoli je obniża. Autor „Króla Ducha“ mści się w ten sposób po śmierci za niesprawiedliwości „Psalmu Żalu“ — a zemsta to zaprawdę nielitościwa.

* * *

XII.

OSTATNIE LATA.

W czasie powstania „Psalmów Przyszłości", pomiędzy r. 1845—1848, nie było pióro Krasińskiego bezczynne — przeciwnie: ilościowo tworzyło więcej, niż w latach poprzednich. Ale twórcza wyobraźnia, matka wielkich pomysłów poetyckich, zamarła już była w Poecie — więc większe utwory albo urywają się wkrótce i pozostają fragmentami, albo opierają się na pomysłach dawniejszych.

W lutym r. 1840-go, bawiąc w Neapolu i tęskniąc do p. Delfiny Potockiej, dał Krasiński wyraz tej tęsknocie w dziwacznym nieco utworze, który nazwał „Fantazją Konania." Przedstawił siebie na łożu śmierci, prowadzącego rozmowę z otaczającymi go przyjaciółmi, rozmowę, będącą właściwie długim monologiem, przerywanym raz po raz krótkiemi uwagami przyjaciół. Gorzkim jego poglądom na świat i ludzi przeciwstawia swoje zasady Szatan, ale umierający zwalcza je zwycięsko; wreszcie zjawia się upragniona, z tęsknotą wzywana „Siostra", już będącą aniołem, i przenosi duszę Poety w lepszy świat.

Jak z tego streszczenia widać, była „Fantazja konania" wierszem czysto egotycznym z zabarwieniem erotycznem, a politycznych i społecznych aluzyj, narzekań na podłość ludzką i westcheń ku świetlanej przyszłości nie było w niej ani mniej, ani więcej, niż w innych lirykach erotycznych Krasińskiego. Po wypadkach jednak r. 1846-go używa tego właśnie wiersza, aby wyrazić swe zapatrywania polityczne i rozprawić się z przeciwnikami. Następują przeróbki, wstawki; odpadają długie ustępy, odnoszące się do „Siostry", a wchodzą w tekst programy partyj politycznych — i tak powstaje jeden z najbardziej niedołężnych utworów wierszowanych, jakie pojawiły się w literaturze naszej XIX w., nazwany — prawdopodobnie pod wpływem Stanisława Koźmiana [1]) — „Dniem dzisiejszym."

Początek wzięty jest dosłownie prawie z „Fantazji konania". Więc Poeta wypowiada z łoża śmierci swe poglądy, pokonywa Szatana i umiera. Wówczas nad trupem przyjaciela wygłasza każdy z obecnych „przyjaciół" swe zapatrywania polityczne: arystokratyczne, demokratyczne, panslawistyczne, komunistyczne i ...polskie. Gdy jednak skończyli, pokazuje się, że ich przyjaciel bynajmniej nie umarł, że słyszał wszystko, co przy nim mówiono, a teraz modli się do zmarłej już „Siostry", aby zjawiła się i „nastroiła myśli" obecnych „ducha swego strojem." Po długiej, trzykrotnej modlitwie odzywa się w pokoju jakaś niebiańska muzyka i „Głos w górze" daje świadectwo umierającemu, powtarzając kilkakrotnie zapewnienie, że

Będzie Polska w imię Pana!

Pod wpływem cudownej zjawy wszyscy obecni zmieniają natychmiast swe zapatrywania, odwołują ze wstydem poprzednie swe wynurzenia i w długich tyradach wypowiadają na swój sposób to samo, co przed udaną śmiercią głosił ich przyjaciel. Przeważnie są to warjacje na temat rzezi, szlachty i chłopstwa. Po tem zjednoczeniu wszystkich stronnictw Siostra modli się o przyspieszenie końca „przejściowych mąk wieku", umierający żegna się z przyjaciółmi i, uniesiony przez Siostrę, odlatuje wgórę.

Poglądy stronnictw społecznych i politycznych podaje „Dzień dzisiejszy" w niezwykłem uproszczeniu. Oto np. program demokratyczny:

Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi
Każdemu rzezią grozić szlachcicowi,
A potem, później, jeśli będzie trzeba,
To i dać paszport Ichmościom do nieba!
Krwi sobie utocz, gdy stoisz nad grobem,
W łeb sobie wypal, kiedyś mocno chory!
Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
A zdrów i silny — z niego więc brać wzory!
Żadnych półśrodków — precz z niemi do kata!
Wolność i równość *et cetera* świata —
Wreszcie komunizm, cobądź, wszystko jedno,
Bylem ojczyznę uratował biedną.

Pod wpływem cudotwórczej mocy „Siostry“ tensam „demokrata“ tak zmienia swe poglądy:

Cudzoziemiec (?) plótł nam dziwy,
Że, gdy szlachtę kto pogrzebie,
Ten na wieki już szczęśliwy:
Aż ja wieszać chciał i siebie,
Bom sam szlachcic — jak Bóg żywy!
O aniele — ja szalałem!

Komunista znowu tak zachwala swoje zapatrywania:

Przed komunizmu dopiero obliczem
Każden szczególnik w społeczeństwie niczem.
Własność przepada: twe włosy, twa skóra
Nie twe, lecz rządu — to mi dyktatura!

Jakże dziwnie mało powagi włożył Krasiński w ten utwór, mający być obrazem Polski w tragicznej chwili dziejowej! Trudno poprostu zorjentować się, czy to są karykatury umyślne, czy mimowolne. I jedno, i drugie przypuszczenie jest równie przykre: jedno godzi w człowieka, drugie w poetę. Bądź co bądź, lepiejby było dla pamięci Krasińskiego, gdyby można było „Dzień dzisiejszy“ z twórczości jego wykreślić.

* * *

Już od chwili upadku powstania listopadowego marzy się Krasińskiemu, że czeka go straszliwa śmierć na Sybirze lub w więzieniu. Wracając na żądanie ojca do kraju w r. 1832, pisał do Gaszyńskiego: „Ja idę popracować około wspólnego dzieła nie na otworzystych polach, gdzie chwała czeka, ale pośród ciemności, gdzie kajdany czekają.“ [2]) Słowa takie są w ustach młodego poety z natury rzeczy jedynie streszczeniem obrazów, snujących się w jego wyobraźni. Wizje te nie opuszczają go odtąd przez długie lata i powtarzają się jeszcze wówczas, kiedy, przekonawszy się o wielkiej powadze i wpływach ojca w Petersburgu, powinien był być pewnym, że jego twórczość literacka mogłaby może być powodem pewnych przykrości, ale nigdy katastrofy. Mimo to pisze w wierszu „Do Moskali“:

Wiem, dla mnie Sybir, powróz zgotowany,
Jeśli przed wami nie uniżę czoła...

a jeszcze w r. 1845-ym roi mu się w jednym z najpiękniejszych wierszy śmierć na Sybirze:

Z przed ócz wam zniknę — jak fala z przed łodzi
— — — — — — — — — — — — — — —
Odejdę od was cicho, niespodzianie,
Odejdę od was pewnie nocą ciemną,
Nikt mi nie ściśnie rąk na pożegnanie
I, jak z umarłym, nikt nie pójdzie ze mną.

Lecz nie polecę ku wiecznej krainie,
Lecz nie odejdę ku kwiecistszym brzegom —
Kat mnie popędzi ku Sybiru brzegom
I pamięć moja z serc waszych upłynie.

Równocześnie z utrwalającem się coraz mocniej przekonaniem o rychłej zmianie losów ojczyzny powstawała w nim obawa, że w radosnej dla całego narodu chwili on właśnie będzie zapomniany. Myśl ta łączyła się już nie tylko z przeczuciem zemsty rządu rosyjskiego, ale np. z cierpieniami oczu. „Jeślim przeznaczon — pisze do Sołtana 3 kwietnia 1837 r. — oczne zacząć ciemności jeszcze tu, na ziemi, jeśli mi światło dnia odjętem będzie i rysów, które kocham, oglądać już nie będę mógł... jeśli wśród takiej nocy nagle usłyszę dźwięki trąb, usłyszę rwących się naokoło mnie, a ci, jak wicher, przelecą, zostawiając mnie samym — o Boże, Boże, jakiż los mój gorzki i bezlitosny! W tych to myślach grzęznąc, coraz bardziej niszczę się“.[3])

Na tak rojącą wyobraźnię padły, jak ziarno na pulchną glebę, długo niezapomniane wrażenia lektury „Anhellego“ — i one wraz z wspomnieniami „Więźnia Chillonu“ zaczęły skupiać około siebie kryształki przeczuć osobistych Krasińskiego.[4]) W ten sposób powstała powieść poetycka, nazwana początkowo „Wyzwoleńcem“, a wydana w r. 1847-ym p. t. „Ostatni“.

Czas napisania tego poematu, długo sporny, a przenoszony nawet w r. 1832-i,[5]) ustaliło ostatecznie ogłoszenie urywku z listu Krasińskiego do Delfiny Potockiej z dnia 26. stycznia 1847: „Uczułem natchnienie do wiersza, — i to do kończenia

owego w Rzymie zaczętego... o więzieniu 1840 r." W tym zatem obrębie lat siedmiu, między r. 1840 a 1847, powstał „Ostatni", przeobrażeń jednak, którym ulegał, nie podobna już dokładnie sprecyzować. A można stwierdzić stanowczo, że są w nim jakby pokłady z lat rozmaitych i że nawet ogólny nastrój poematu był początkowo inny. Cieszkowski, który znał pierwszą redakcję „Ostatniego", był z niego niezadowolony; obawiał się, że wywrze wrażenie przygnębiające. Krasiński przerabiał więc teraz utwór, „przymuszając" go do zrzucenia wyrazu smutku i beznadziejności. „Ów więzień"— pisał do przyjaciela w dziewięć dni po owym liście do Delfiny Potockiej — przeciw któremu masz złość, ale zupełnie niesłuszną, tem bardziej, że, kończąc, właśniem się postarał żadnego na świecie nie pozostawić wrażenia takiego, jakiego ty się lękałeś — otóż ten więzień, co tyle lat prawdziwie w niewoli był... chrzestnego potrzebuje ojca... Ale co do samej owej ballady... wierz mi, że wymiarkowana na pocieszenie, a wcale nie na odnadziejowanie. Nim się namyślisz i odpiszesz, ja jeszcze lepiej Leosię (t. j. siebie) przymuszę do jej ostatecznego wypolerowania."[6]) Można przypuścić, że to podkreślenie w myśl życzeń Cieszkowskiego chęci „pocieszenia" polegało na dodaniu ostatnich ustępów, w których więzień, zapominając o sobie, cieszy się szczęściem ojczyzny, z czem łączyło się zapewne usunięcie miejsc zbyt pesymistycznych. W niektórych ustępach widać wyraźnie styl późniejszy, z r. 1847-go — czy jednak są to tylko ślady poprawiania, czy też ustępy te powstały w całości podczas ostatecznego redagowania dzieła, określić ściśle niepodobna.

„Ostatni" jest monologiem więźnia, przykutego w lochu sybirskim łańcuchem do muru twierdzy (wyobrażenia o Sybirze, wspólne z „Anhellim"). Więzień jest poetą (świadectwo egotycznego zawiązku poematu), skazanym przez rząd carski za to, że

wskrzeszał prochy ojców stare,
By miękkie serca twardą pieśnią trumny
Przerzucić z podłej w wyższą życia miarę.

W położonych wyżej, lepszych, wygodniejszych celach umieszczeni byli „szczęśliwsi zbrodniarze",

Boć matkę tylko — lub ojca — lub brata
Zamordowali, więc leksza ich krata.

Tęsknota więźnia do słońca, do ojczyzny ujęta jest w rzadki u Krasińskiego obraz przyrody polskiej:

Ach, gdzie rodzinne majowe obszary?
Gdzie zbóż mych łany, gdzie mych łąk moczary?
Gdzie bory sosen, szumiące nade mną
Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?
Gdzie katolickie litanje pospólstwa?
Gdzie lud, co Marją królową swą zowie?

Więzień przypomina sobie „wieści", które jeszcze za jego pobytu w ojczyźnie „zewsząd biegły", że zjawi się obiecany światu Pocieszyciel, że nastanie „wiek planety trzeci" i że tą „powtórną postacią Mesjasza" będzie Polska. Widzi w śnie cudownym „Boga przyszłości" i Polskę, prowadzącą ludy ziemskie wgórę, ku zbawieniu. Wreszcie staje się cud: więzień otrzymuje „magnetyczną" siłę widzenia w najodleglejszej dali. Mocą tego daru widzi w Polsce „wiecę, zebraną — jak niegdyś — pod słońcem"; z tłumu tego odrywają się jezdne hufce zbrojnych i „na północ pędzą" przez równiny rosyjskie. Przed każdem więzieniem stają, „zeskakują na chwilę ze siodła", uwalniają więźniów-Polaków i pędzą dalej, na Sybir. W ten sposób przybywają w pobliże więzienia, lecz, zamiast wejść w mury twierdzy, zapytują „dzicz, koczującą na pustyni" okolicznej, kto w tem więzieniu przebywa? Usłyszawszy od nich, że zamknięci tam są jedynie matko- lub ojcobójcy, odwracają się ze wstrętem i odjeżdżają. Pozostawiony swemu losowi więzień najpierw rozpacza, lecz potem, uszczęśliwiony zmartwychwstaniem ojczyzny, umiera z dziękczynną modlitwą na ustach.

Z pomiędzy utworów ostatniej doby działalności Krasińskiego wyróżnia się ta powieść poetycka niezwykle korzystnie, stoi jednak znacznie niżej, niż poprzednie. Śmiertelnym grzechem „Ostatniego" jest zupełny brak realizmu i wypływająca z tego naiwność fabuły. Pierwiastek cudowności, owa „wszechobecność magnetyczna", zjawia się bez jakiegokolwiek uza-

sadnienia, bo nie jest nawet skutkiem modlitwy. Pochód rycerstwa polskiego na Syberję w celu uwolnienia więźniów przedstawiony jakby w bajce, a zadowolenie się informacjami „dziczy", że żaden patrjota nie przebywa w więzieniu, będącem jednym z celów ich pochodu, daje tym Polakom z trzeciej epoki dziejów świadectwo dziwnej nieudolności. Fabule, która zrodziła się w podnieconej nieuzasadnionemi obawami wyobraźni, nie umiał Krasiński dać cechy prawdopodobieństwa, którą byłby łatwo znalazł, gdyby się opierał na jakiemś rzeczywistem zdarzeniu. Stąd także wniosek, że nieuzasadnione są przypuszczenia o istnieniu historycznych pierwowzorów „Ostatniego", czy to w osobie ks. Romana Sanguszki,[7]) czy — tem mniej — Walerjana Łukasińskiego.[8])

* * *

Stan moralny Krasińskiego był już w tym okresie czasu poprostu fatalny. Nerwy, zniszczone anormalnym trybem życia, stawały się powodem coraz to innych cierpień, często a może nawet zwykle raczej urojonych, niż istotnych, lecz mimo to dokuczliwych i oddziaływujących zgubnie na psychikę. W listach mnóstwo skarg na to, może nie więcej, niż dawniej — ale teraz skargi te wskazują na ścisły związek zdrowia z twórczością lub, ściślej mówiąc, z tem wszystkiem, co Krasiński podówczas pisał. Oto np. skarzy się Małachowskiemu w styczniu 1848 r.: „... mnie nieznośną się stawa każda chwila życia. W istocie wpadłem w melancholją, poprostu w chorobę, bezwładność umysłową a rozpacz serca, w hypokondrją ku ludziom, a zwątpienie zupełne o sobie. Czasem nachodzą mnie myśli obrzydliwe; pojmujesz, że je odganiam, deptam, pluję im w oczy — niemniej nachodzą, to faktum psychologiczne... Nikogo nie widuję, zamknąłem się, wszyscy mnie ranią, kaleczą, obrażają. Cóż chcesz — sam czuję, że to znikczemnienie taki stan, ale cóż począć, kiedy mnie opętał, tak, jak reumatyzm, jak febra, jak tyfus. Pisać mi nawet trudno, każda litera mi idzie oporem, czuję, że z niej tylko głupstwo i smętek płynie."[9]) A w kilka tygodni później pisze do Cieszkowskiego: [10]) „Płacz nade mną, bo ze mnie mógł być posąg paryjski, a jest gruz i ruina, a jest ból i rozdarcie, a będzie wkrótce nic!"

Tak pisze autor „Irydjona" w 36-ym roku życiu, a co najsmutniejsze, ma w znacznej części słuszność. W „gruz i ruinę" rozsypała się lotna wyobraźnia poetycka, znikł jędrny, silny i barwny język, a przedewszystkiem zmienił się w ruinę dawny prostolinijny, szczery człowiek i spaczył się kryształowy charakter.

Po części jest to konsekwencją dziwnego położenia, jakie wynikało z utrzymania stosunku z Delfiną Potocką i z coraz serdeczniejszego zaciskania się węzłów, łączących go z żoną. W znacznie wyższym jednak stopniu dokuczało mu fałszywe położenie, w którem utrzymywał go wzgląd na ojca. Mając zupełną niezależność majątkową, mógł wreszcie odsłonić przyłbicę i wystąpić pośród emigracji jawnie, otwarcie. Marzył zapewne, że użyje wrodzonych zdolności „trybuna ludowego" i potrafi wpłynąć — kto wie, może nawet wpłynąć decydująco — na tok sprawy polskiej. Walczył zapewne z sobą, z nałogiem ulegania ojcu, ale na krok stanowczy nie mógł się zdobyć. Rozumiał to zacny Małachowski i widocznie otwarcie wypowiedział swe zdanie w liście z życzeniami noworocznemi, bo Krasiński odpisuje mu: „życzysz (mi) tego, co mi nie dostawa: życzysz niefałszywego położenia, ale jasnego, jak biały dzień, stanowiska. Prawda, to jednoby mogło zbawić mnie od rozpaczy szelmowskiej..." [11]) Z tem przekleństwem położenia złączyły się skutki choroby nerwowej, przechodzącej w histerję. W pismach objawia się ona przedewszystkiem zamiłowaniem w biegunowych skrajnościach, w życiu brakiem konsekwencji i wszelkiej zdolności do jakiegoś czynu.

Jaskrawym przykładem tego jest stosunek Krasińskiego do demokracji emigracyjnej i do wszelkiego rodzaju rewolucji. Od r. 1846-go myśl o tych sprawach staje się dla niego poprostu zmorą i wyprowadza go z równowagi. „Co zaś do 1846 r. — pisze do Małachowskiego w dwa przeszło lata po wypadkach lutowych — tom głęboko przekonany, że, co zasieli emisarjusze, to zżął Metternich, a znów co dawniej byli zasieli urzędnicy rakuzcy, to na tem się nieraz oparli emisarjusze. Zatem proszę cię i błagam, jednych od drugich więcej nie kochaj, ale miej obu za wrogów ludzkości i wszelkiej czci poczciwej, za djabłów, z których jeden kłamie, gdy wrzeszczy „porządek", a drugi, gdy wrzeszczy „wolność", a oba zmie-

rzają tylko do tyranji i zadowolenia chuci źwierzęcych.“ [12]) A gdy Małachowski, nie mogąc się zgodzić na takie osądzenie demokratów polskich, protestuje, wskazując na ich niewinność, Krasiński w długim wywodzie podtrzymuje swe twierdzenia, a nawet idzie dalej: demokracja gorsza jest od mocarstw zaborczych, zwłaszcza Austrji. „Powiadam, że drudzy niebezpieczniejsi i gorsi; pierwsi albowiem, żeby i pragnęli całem sercem, nigdy absolutyzmu nie wprowadzą nazad do Europy — drudzy, gdyby im się udało (a może się udać), prędkoby ujrzeli się z radykalizmu i ateizmu przeprowadzonymi do komunizmu i rozwiąży społeczeństwa ludzkiego, do barbarzyństwa.“ [13]) Krasiński zapomina tu o drobnostce: że absolutyzm austrjacki upadł właśnie dzięki demokracji, że zatem tę cenną zdobycz należało policzyć na jej dobro.

W lutym 1848-go roku bawił w Rzymie i miał kilkakrotnie długie rozmowy z przybyłym tam właśnie Mickiewiczem. Mówili o sprawie polskiej i wyzyskaniu polskiej potęgi moralnej dla niepodległości. „Główną jego ideą — pisze Krasiński pod wpływem pierwszej rozmowy do Delfiny Potockiej — czuciem jego zażartem: stworzyć siłę taką przez świętość, która mogłaby odrazu wziąć górę tonem swej potęgi nad tonem mongolskim — i zburzyć budowę złego. Całe działanie powszechne Polski przez wieki i w historji, to, co w istocie ona czyni, czego dokonywa, chce on skupić w piersi indywidualne, wyciągnąć, że tak powiem, filtr magiczny ze swego narodu i nim zwalczyć magicznie drugi naród. Chce świętych, musztry wyuczonych, chce świętych, kierowanych przez sierżantów, oficerów, pułkowników. Śni mu się metoda moskiewska, a w nowej Hierozolimie! Myślę, że w tem błąd...“ Do tak pojętej działalności zachęcał Mickiewicz Krasińskiego. W położeniu jego widział jedynie dwie dla niego drogi, „wielkie i szerokie.“ Pierwsza polega na tem: pojechać do Petersburga, przemówić do... cara Mikołaja i nawrócić go dla idei dobra świata, przemówić tak, aby „granit serca“ jego „pękł i przemienił się na wosk topniejący.“

Krasiński śledził bacznie rozwój towianizmu i objawiał dużo sympatji dla jego dążeń, w wielu punktach zgodnych z jego własnemi zapatrywaniami. A jednak, gdy w wymienionym liście czyta się o tej propozycji Mickiewicza, oczekuje

się wybuchu ironji lub nawet oburzenia. Tymczasem, rzecz dziwna: Krasiński uznaje, że to „ideał wysoki jako ideał“ ale równocześnie „śmieszność bezdenna jako praktyka, kiedy się nie jest Chrystusem samym lub przynajmniej prorokiem.“ Ten plan zatem upadł. Wówczas Mickiewicz wskazuje drugą drogę: „wyniesienie się i służenie z tej strony granicy“, bo — dodawał — „zamiesza się świat, ty zaś, nie oparty *tam*, ni już ocalon *tu*, przepadniesz, a przynajmniej żyć będziesz w ciągłej fałszywości położenia, w kłamstwie wiecznem, w trwodze nieustannej.“ Krasiński uznaje widocznie słuszność tych argumentów, bo zasłania się jedynie względem na ojca. „Odpowiedziałem mu opisem mego położenia i dni stroskanych onych i sędziwych, z któremi boju nie chcę.“ Mickiewicz uznał te względy, nie namawiał więcej — i tem ujął sobie Krasińskiego jeszcze więcej. W listach tych porównywuje Mickiewicza kilkakrotnie z Michałem Aniołem.[14])

Wkrótce potem wybucha w Rzymie rewolucja. Krasiński jest oczarowany bezkrwawym jej przebiegiem. „Tyle konstytucyj odrazu, a tylko kilka kropel krwi!“ — pisze do Cieszkowskiego i prorokuje mu, że „wcześniej czy później wojną powszechną odmłodnieje wszystko.“ W takim nastroju, dowiedziawszy się, że Władysław Zamoyski ma formować legjon w Bolonji, pisze do Cieszkowskiego, zapewne bez głębokiego przekonania i bez wiary w możność spełnienia zamiaru: „Skoro się rozpatrzę i dowiem czego o Polszcze, tj. o Warszawie (o ojcu), tamem gotów iść, choćby z karabinem na plecach jako prosty żołnierz!“ [15]) Ten sen o czynach wojennych powtarza się jeszcze w kilka dni potem, przypominając żywo dawne marzenia genewskie: „O sobie nie myślę ni przewiduję innego coś, jedno karabin na plecy i dalej!“ pisze do przyjaciela, ale zaraz zaznacza, że jest „nieszczęśliwy“, bo „musi się oglądać na kobiety i dzieci.“

Zdaje się, że te dziwne, niezwykłe pomysły nie tylko pogodzenia się z „czerwonym“ ruchem, ale nawet wzięcia w nim udziału osobistego i czynnego, wywołała osoba Zamoyskiego, fakt, że człowiek tak poważny rodem i majątkiem staje na czele oddziału rewolucjonistów. Jakże inaczej bowiem oceniał działalność Mickiewicza, który równocześnie formował legjon we Włoszech, a o którym tak niedawno mówił z głęboką czcią!

„Uwierzyłem w djabła, widząc tego człowieka — pisze o nim do Cieszkowskiego — patrząc się na jego nienawiść *kat'egzochen*, na jego radość, ilekroć gdzie krew się leje.“— „Mickiewicz przyłożył się ogromnie do tutejszych rzeczy zgubnych — pisze z Rzymu 23 kwietnia. — On i jego zwolennicy pracowali śród ludu — a nie tak ludu, jak śród sektarzy rozmaitych. Ach, to okropni ludzie! Ach, to zdrajcy absolutne, zdrajcy wieków! Zawrót świata do stanu dzikich ludzi — oto ich cel! oto miłość i piekielna otucha! i to wolą bożą zwą! Strzeż się ich! Strzeż! i, jeśli Bronisław (Trentowski) gdzie blisko ciebie, ostrzeż go także.“ 16)

Czy można dalej posunąć się w przesadzie i w sprzecznościach?

Najbardziej jednak interesującem jest nie to, co pisze w listach z tych czasów, ale to, czego nie pisze. Przechodzą chwile, wywołujące entuzjazm w spragnionej wolności Europie, a łzy rozrzewnienia i szczęścia u Polaków. Rewolucja berlińska brata się z Polakami, dwór berliński oświadcza gotowość podjęcia wojny z Rosją o wyswobodzenie Polski, Austrja chce w tej wojnie brać udział; w Poznańskiem zbierają się za zgodą rządu tysiące ochotników, gotowych przekroczyć granicę Królestwa i rozpocząć wojnę. Przerażona Rosja myśli o ustępstwach; uchodzący za najbardziej wolnomyślnego z rodziny carskiej ks. Leuchtenberg ma zostać wicekrólem Królestwa. Wszystko zdaje się świadczyć, że dla Polski wybiła nareszcie godzina zmartwychwstania. Po kilku radosnych tygodniach karta dziejów się odwraca i wszystko pozostaje, jak było, lub zmienia się na gorsze.

Napróżno staralibyśmy się wyśledzić, jak te radosne chwile oddziaływały na Krasińskiego, jakie w nim wywoływały wrażenia. Że o wszystkiem poinformowany był wybornie, to pewne, ale w listach, w których ustawicznie wyraża z powodu lada drobnostki czarne, możliwie najstraszniejsze przewidywania i przeczucia o losie Polski, nie znajdziemy ani śladu radości, a tylko wyjątkowo oznaki świadomości tego, co dzieje się na arenie politycznej Europy. Rzadkim w korespondencji jego refleksem tych wypadków jest niejasne zdanie w liście do Cieszkowskiego, powtórzone jeszcze gdzieindziej w zmienionej nieco formie: „O Leuchtenbergu twierdzą, że niezawodna. Oszaleć trzeba dziesięć razy na dzień.“ 17) A zaraz potem w tym samym liście: „Co chwila, co chwila marzyć, że ktoś z ukochanych na ziemi w tej chwili ginie: ojciec — Sorrento (D. Potocka) — Ty. — Albo znów, że dziś w wieczór, że jutro rano, że oto za godzinę Elizę zarzną i Adzia — i twego chrzestnego.“

Słowa te napisał w Rzymie 23 kwietnia, kiedy w całej Europie panował spokój, a urzędowa gazeta wiedeńska zamieściła właśnie artykuł wstępny o konieczności odbudowania Polski przy pomocy Austrji.

Jak wyjaśnić to dziwne stanowisko? Czyżby autor „Przedświtu“ patrzał na widmo zmartwychwstającej Polski obojętnie? To było wykluczone. Więc może niechętnie? To przypuszczenie, tak sprzeczne pozornie z jego gorącym patrjotyzmem, jest jednak prawdziwe. Nie chciał Polski, wywalczonej przez demokrację, przez rozlew krwi — nie chciał Polski „czerwonej.“ — „Póki demagogji — pisał do Małachowskiego 3 lipca 1848 r. — póty Polski nie będzie, lub będzie t a k a, j a k i e j a n i p r a g n i e m y : to jest słowiańska, to jest panslawistyczna, to jest moskiewska, to jest niepolska!“ 18)

Sprawa postawiona jasno: *polską* jest tylko Polska szlachecka, ściślej mówiąc: arystokratyczna, i takiej tylko pragnął Krasiński; Polska, wywalczona „demagogją“ demokracji, była w myślach jego czemś niepolskiem, czemś wstrętnem. Nie mógł wprawdzie ani przez chwilę pomyśleć, żeby arystokracja mogła niepodległość wywalczyć, ale też w myśl teorji jego nie było to bynajmniej potrzebnem.

„Polska, jeśli z Bogiem, — pisze w tym samym liście — to się zachować powinna zacną śród rozłajdaczonego świata, a wtedy świat ją o opiekę poprosi, jak anioła stróża, i przeciwko czerwonej rzeczypospolitej. Inaczej nic.“ — W ten sposób teorja mesjanistyczna, wydumana w lepszych, szlachetniejszych nastrojach, służyła mu teraz jako usprawiedliwienie nienawiści do demokracji — i naodwrót, wstręt do „czerwonych“ kazał mu pośród realnych, decydujących wypadków historycznych trzymać się poetycznego pomysłu jako jedynego środka ratunku dla ojczyzny i na nim budować przyszłość.

Gdyby przynajmniej to przekonanie, że Polskę tylko nieskalana szata może ocalić, powtarzane ustawicznie w listach z tej epoki, weszło mu było w krew, gdyby się niem kierował tak konsekwentnie, jak Słowacki swoją „nauką“! Ale tak nie jest.

Kiedy w czerwcu r. 1846 na tronie papieskim zasiadł Pius IX, znany już jako kardynał z dobroci serca i liberalnych przekonań, napisał Krasiński w entuzjastycznym wierszu, zwróconym do Delfiny Potockiej:

Z Alpów szczytu, z nieb błękitu
Na odległe zwiastuj końce,
Że już przeszedł czas Przedświtu,
Że już całe weszło Słońce!

Kojącemi bóle słowy
Krzep nadzieję w ludzie polskim,
Gdyż namiestnik chrystusowy
Siadł na tronie apostolskim!

Chylę czoło, dzięki składam
Rozczulenie oko łzawi,
I zaprawdę ci powiadam,
Że on Matkę naszą zbawi.

Już nie walką o byt krwawą,
Morderczemi zbrojną godły,
Odzyskamy nasze prawo,
Lecz przez święte jego modły.

Jakto? Więc do zbawienia Polski nie potrzeba niczego więcej ponad modlitwę świętobliwego papieża? Więc już nie wewnętrzna doskonałość, „chrystusowość“, „naduropejska cnota“ i „dobra wola“, ale wstawienie się jednej czystej, doskonałej duszy wystarczy nam do zmartwychwstania? Jak pogodzić to z współcześnie niemal napisanem zdaniem, że Bóg „bez nas samych nie może nas zbawić“? Czy to zapał chwilowy uniósł poetę, czy też jest to ślad rozterki wewnętrznej, zachwiania się poglądów?

Przedewszystkiem są to skutki choroby — histerji.

Po r. 1846-ym poglądy te, od lat kilku będące niezachwianą i nienaruszalną wiarą Krasińskiego, musiały istotnie uledz pewnym zmianom. Widzieliśmy to w „Psalmie Dobrej Woli“, gdzie wprowadzenie pierwiastku, zawartego w tytule, zburzyło właściwie podstawę mesjanistycznej jego teorji. Nie mógł jednak cofnąć się przed tem, bo fakty dziejowe okazywały jasno, że każdy naród sam może i musi zadecydować o swojej przyszłości. Postanowił więc pójść o krok dalej: napisać jakby wskazówki postępowania już nie dla narodu całego, ale dla jednostek, poprostu coś w rodzaju narodowego katechizmu. Uważał to za swój obowiązek; do Delfiny Potockiej pisał w październiku 1846: „Czuję, że potrzebny taki rysunek (tj. utwór). Ogromnie potrzebny, bo Polska się gnie pod wszystkiemi wiatry — stała się trzciną wiotką — prosi się o radę, prosi się!“[19]) Utwór ten, pisany z trudem pod koniec r. 1846 i z początkiem następnego, a wydany w r. 1851-ym, przeznaczony był w tytule „dla tych, którzy mają zmartwychwstać“— „Resurrecturis“.

Jędrny, zwięzły, pozbawiony prawie wszelkiej frazeologji, poemacik ten określa we wstępie świat jako „cmentarz z łez, ze krwi i błota“, jako „wieczną Golgotę“. Poeta widzi, że sprawiedliwość boża, na której opierał swe rachuby, zawodzi, że „los z nas szydzi“, że „wszystko się plącze — i nierozgmatwanie“, że oczekiwane z taką wiarą zmartwychwstanie ukazuje się daleko, „gdzieś na wieków późnej fali“, a tymczasem „w pobliżu“ grozi nam „śmierć“.

Skonstatowawszy w ten sposób zawód, który marzeniom jego przyniosła rzeczywistość, zdaje się zastanawiać przez chwilę, czy wobec tego nie należy zmienić sposobu postępowania, zasad etycznych?

Pośród zbrodniarzy wystąpić zbrodniarzem,
Kłamać, nienawidzić,
Zabijać i szydzić?

Odpowiedź brzmi naturalnie przecząco, a utwór rozwija szczegółowo obraz, a raczej schemat celów i środków, które powinny przyświecać Polakowi w życiu publicznem. Aby dojść do „wschodu zmartwychwstań“, trzeba być „arcydziełem nieugiętej woli“, trzeba „cierpliwości, tej pani niedoli, co gmach

swój stwarza z niczego — powoli". Najważniejsze z przykazań, przykazanie miłości, rozwija w długi szereg zasad:

Bądź spokojnością śród burz niepokoju,
W zamęcie miarą i strojem w rozstroju,
Bądź wiecznem pięknem w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem lub świętem milczeniem
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem,
Bądź tym pokarmem, który serca żywi,
Bądź im łzą siostry, kiedy nieszczęśliwi,
A głosem męskim, gdy się w męstwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem,
Tym, co nadzieję stracili, nadzieją,
A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!

Są to zasady tak piękne i mądre, że każdy człowiek i każdy naród może je włączyć do swego kodeksu moralnego. Tem bardziej jednak odbija od tych realnych, zdrowych postulatów ustęp następny:

... kiedy jęczący dokoła
Dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła,
Byś ty się w odkup ofiarował za nie —
A, usłyszawszy to ziemi wołanie,
Ty padniesz duszą w pokornianej skrusze
U rozstajnego obu światów proga
I w twą rozsłaną tam przed Bogiem duszę
Spłynie śród ciszy natchnienny głos Boga —
Wstań i, jak szermierz, dobiegły do mety,
Ze stóp twych strząśnij pył tego planety —
Wstań i z miłości, co, gdy kocha, kona,
Odlatujące wznieś w niebo ramiona!
Wstań — i do katów, co śpieszą ku tobie,
Sam śpiesz się naprzód i witaj tych gości
Cicho, spokojnie, błogo, w bezżałobie
Litośnym wzrokiem twej nieśmiertelności!
Wtedy świadectwem bądź w przyszłość obfitem,
Śmiercią bądź życia najwyższym wykwitem!

Zauważono [20]) słusznie, że tak pojęta ofiara byłaby jako program życia narodowego samobójstwem. Zaślepiony fanatycznem umiłowaniem idei mesjanistycznej, nie potrafił Krasiński rozstać się z nią nawet wtedy, gdy z wyżyn jej pragnął zstąpić w realne, ziemskie stosunki. Kiedy więc po raz pierwszy rozwijał w praktycznych formułach życiowych pojęcie czynu, do którego wzywał naród już w „Irydjonie", nie umiał wytrwać w granicach rzeczywistości i zmieszał ją z utopją, zapewno w przekonaniu, że w ten sposób podniesie i wprowadzi w życie ukochaną ideę. Wynik jednak był inny. Wiersz stracił swą wartość realną możliwego do wykonania katechizmu, idea zaś w tem zetknięciu z życiem nabrała innego zabarwienia, z gloryfikacji przeszłości przesunęła się w przyszłość, z faktu stała się przykazaniem, a przez to zmieniła zasadniczo swój charakter. Mówi ona teraz już nie o chrystusowej Polsce, złożonej jako anioł bez zmazy w grobie, aby trzeciego dnia zmartwychwstać — ale o Polsce, która przygotowuje się dopiero na mękę i, jak Chrystus w ogrodzie Gietsemane, przymuje śpieszących ku niej katów. W „Resurrecturis" jest Polska dopiero na górze Oliwnej, a Golgotę i złożenie w grobie ma przebyć w odległej przyszłości.

Tak — niewątpliwie bez wiedzy i wbrew woli Krasińskiego — wypaczyła się w jego poetyckim testamencie idea, która przez długie lata była, a nawet miała pozostać w przyszłości, osią jego twórczości i niemal jedną z kategoryj jego sposobu myślenia. Pierwsza próba zetknięcia jej z życiem — i to z życiem zmyślonem, w obrębie poematu — okazała się dla niej zabójczą.

Dzięki podniosłemu, jakby apostolskiemu tonowi swych przykazań narodowych stało się „Resurrecturis" łabędzim śpiewem poezji Krasińskiego. Nie znaczy to jednak, aby twórczość jego od tego czasu zamarła zupełnie. Powstaje jeszcze spora wiązanka wierszy,[21]) a między niemi jeden z najświetniejszych wogóle, „Do Elizy", mogący także rościć prawo do nazwy „testamentu poetyckiego" — powstaje kilka memorjałów politycznych, a przedewszystkiem trwa jeszcze praca nad najobszerniejszem dziełem Krasińskiego, wydanem dopiero po jego śmierci jako „Niedokończony Poemat", a noszącem w rękopisie tytuł: „Nieboskiej Komedji część pierwsza". Z dzieła

tego ukazał się za życia Poety, w r. 1852-im, tylko ustęp p. t. „Sen. Pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopisów po świętej pamięci J. S.“ Inicjały te pozwalały czytelnikowi domyślać się, że autorem „Snu“ jest Słowacki, stanowiły więc wyborny puklerz, chroniący autora od podejrzeń.

„Część pierwsza Nie-Boskiej Komedji“ sięga początkami swych dziejów w czasy odległe, w czasy powstawania „Nocy Letniej“ i „Pokusy“. Wtedy zarysowały się pierwsze pomysły „Snu“. Nie chcąc widocznie wykańczać tego szkicu, włączył go wówczas Krasiński do opowiadania o „Herburcie“, chociaż połączenie to było prawie wyłącznie mechaniczne. W dwa lata później pracował znowu nad „Snem“, który miał wówczas objąć jedynie piekło; praca jednak posuwała się naprzód tylko z wielkim trudem.[22]) Tymczasem, niezależnie od „Snu“ i bez jakiegokolwiek z nim związku, powstawały wspomnienia szczęśliwych chwil, spędzonych z p. Bobrową w Wenecji; w roku 1838-ym gotów już był „ułomek“ tego utworu, najprawdopodobniej opis karnawału na placu św. Marka i połowa sceny w domu Młodzieńca. Oba fragmenty — „Snu“ i wspomnień weneckich — leżały niewykończone i może nawet zapomniane, gdy nagle zaświtał Poecie „pomysł szerokiego dzieła“, w którem miały się złączyć w całość.

Stało się to w marcu 1840-go roku, w Mola di Gaeta, w pobliżu Neapolu. Krasiński oczekiwał przybycia Delfiny Potockiej, a kiedy „słońce z za chmur wyszło, ogrzało go światłem, nagłe z temi promieńmi spadła w (jego) piersi myśl głęboka, pomysł na dal, pomysł szerokiego dzieła sztuki“, w którem p. Delfina miała być królową. W napisanym zaraz dzienniczku tak przedstawia przyszłe dzieło:

„Czytałem Ci niedawno drugiej części „Fausta“ rozbiór. Poema to, widziałaś, że obejmuje całej ludzkości dzieje i przeznaczenia, ale pod formą idei, ale pod formą rozwijań się sztuki. Grecka Helena i romantyczna poezja tam głównymi są aktorami. Wszystkich wieków czyny występują, wyrażone przez sztuki koleje. Ludzkość tam jest literaturą! W moim pomyśle inaczej. Jeśli to poema, w imieniu Twojem zawiązane w głowie mojej... będzie kiedy, to będzie ono poematem woli i czynu, nie sztuki. W niem wola i czyn w sferę sztuki przeniesionemi zostaną, a nie sztuka *wysztuczona*, jak u Goethego. Już tego poematu jest część jedna, sama nic nie znacząca — dopiero ważna, kiedy pierwszą część i trzecią, ostatnią, za towarzyszki dostanie.

„Ta część, która jest, a sama niewiele znaczy — zowie się *Nieboska Komedja.*

„Już przed dwoma laty myślałem pierwszą część, poczatek do niej napisać, nawet-em napisał ułomek, który Ci kiedyś przelotem czytałem. — Ale nigdy pomysł tej całości i tego ogromu mnie się tak jasno i koniecznie nie objawił, jak dziś, kiedy... nagle, myśląc o Tobie, zażądałem z głębi serca, byś nigdy nie umarła na ziemi.“

Tu przytacza Krasiński treść pierwszych scen wspomnień weneckich i „Snu“, już połączonych w logiczną całość, bo Przyjaciel (Aligier) „prosi Boga, by mu pozwolił snem fantastycznym prawdę... ukazać“ Młodzieńcowi.

„A zatem w Wenecji się objawisz. Tam Cię młodzieniec kochać będzie, Ty jego — tam was czarna po falach unosić gondola... Tam pałac mieć musisz... Tam kochać będziesz — tam walczyć z światem — tam hr. Henryk, duszę Twą ukochawszy... na resztę dni swoich już zapomni, co inną ukochać. Tam zaczną się i skończą losy serca jego, a Twoja postać zostanie, jak postać boska, co świeciła jego młodości...

„Wiesz, co w drugiej części, w tej, którąś czytała. Jest to wiek męski, polityka, osobisty interes, walka wyobrażeń arystokratycznych z demokratycznemi, nareszcie przegrana pozorna pierwszych, zgon Henryka, zwycięstwo ludu, a jednak przy końcu śmierć naczelnika demokracji i wyznanie ust umierających jego *Galilaee, vicisti!*

„Trzecia część — to starość, ale wielka starość, prawdziwa starość — to tosamo, co młodość, ale pod wyżej rozwiniętą formą... Wiek trzeci ludzkości to postęp, wywyższenie, pokój, zgoda, rozum i uczucie pojednane razem — to wiosna, ale harmonijna, nie w ciągłej walce, jak pierwsza.

„W tej trzeciej części musi się znaleźć przetworzenie ludzkości. I Ty i Henryk tu zmartwychwstać musicie — ale Ty już nie w Wenecji, Henryk już nie jako wódz stronnictwa; Ty jak coś anielskiego na ziemi, Henryk jak przewodnik ludu całego, pogodzonego, jednego.

„Henryk na pozór tylko zginął — ocalony został przez duchy Pańskie i oddalony od zgiełku świata, nim burza nie przeminie. — Tam gdzieś w pustyni, gdzieś w jaskini lata mu schodzą na rozpamiętywaniu życia i odgadywaniu innego, wyższego — a Ty, jak duch, siedzisz przy nim i poprawiasz knot u lampy jego czuwań i szeptasz mu do ucha przeczucie przyszłości.

„Tymczasem arystokracja i demokracja zużyły się na ziemi — ludzie westchnęli ku zgodzie i jedności. Ludzie sobie przypomnieli, że kiedyś żył młodzieniec, co śpiewał o przyszłości, a później walczył za przeszłość i zginął. A zatem w tym duchu była prawda — pogodzenie przeszłości z przyszłością, one obie pojęte! W takim stanie świata wróci Henryk pomiędzy ludzi. Oni go okrzykną za przewodnika — on poezją lat młodych na rzeczywistość zamieni — on wszystkich podniesie, wywyższy, uszlachci, a nikogo nie poniży. Wszyscy się urównają, ale na wysokości, nie na padole.

„Taki pomysł. — Może umrę, nim go zdołam wykonać. Skreśliłem go tu kilku słowami. Ten pomysł obejmuje świat cały idej, zdarzeń, czynów, uczuć, walk, namiętności. Jest to ludzkość w rozwijaniach się swoich historycznych i uczuciowych, jest to byt polityczny ludzkości. W pierwszej części najwięcej przeważać będzie indywiduum, w trzeciej najbardziej ludzkość. W tej trzeciej musi się wszystko przetworzyć, podnieść, pogodzić — religja, polityka, socjalność. Koniec winien być, jak w „Fauście": boski, nadziemski, a jednak ziemski zarazem. Tam głos Twój także słyszan będzie wśród głosów — wyżej ponad głosy aniołów!" [23])

Jakże smutne wrażenie wywiera obraz tego „wielkiego pomysłu!"

Dwudziestoośmioletni poeta czuje już widocznie taką niemoc duchową, że, gdy pragnie ukochaną uczynić nieśmiertelną, wiążąc ją ze swą twórczością, nie widzi innej drogi, jak cofnięcie się do pierwszego swego wielkiego dzieła i zniekształcenie go przez dodanie mu części wstępnej i końcowej.

Aby zrozumieć całą potworność tego pomysłu, wyobraźmy sobie np. Szekspira, który w podobnym celu przekształca „Hamleta": przedstawia go jako dorastające dziecko w jednym wstępnym dramacie, a potem każe mu ożyć i czyni go jako starca bohaterem dramatu końcowego. A to właśnie chce uczynić Krasiński i jest z tego pomysłu niezwykle zadowolony.

Już wnuk Poety wykazał,[24]) że, jeżeli który z bohaterów „Nie-Boskiej Komedji" miał prawo do zmartwychwstania i prowadzenia swego dzieła dalej w przyszłości, to był nim nie egoista Henryk, ale kochający przyszłość i wierzący w nią Pankracy. Pomysł więc „Niedokończonego Poematu" nie jest rozwinięciem idei „Nie-Boskiej Komedji", ale wtłoczeniem jej w plan, którego domagały się względy, nie mające nic wspólnego ze sztuką. Dlatego też był już w zarodku swym niewykonalny.

Czytając plan tej dziwnej trylogji i wykończone jej cząstki, ma się wrażenie, że Krasiński zupełnie się nie troszczył o uzgodnienie go z dziełem gotowem, które miało być jej ośrodkiem. Według planu miała być w części pierwszej przedstawiona gorąca, pełna idealizmu i zaparcia się siebie miłość Młodzieńca, mającego w duszy „coś z tkliwości niewieściej"; aby go bardziej jeszcze uszlachetnić, każe mu Poeta oglądać w śnie piekło współczesnego świata i daje mu natchnionego przyjaciela-wychowawcę. Jak jednak możnaby przekonać czytelnika, lub choćby wmówić w niego, że ten ideał młodzieńca jest identyczny z bohaterem „Nie-Boskiej Komedji", który „nic nie kocha, nic nie czci, prócz siebie"? Gdyby zaś Krasiński chciał był odzwierciedlić w Młodzieńcu cechy charakteru hr. Henryka, sielanka miłosna, o którą głównie chodziło, byłaby niemożliwa. Położenie było beznadziejne — a trudno przypuścić, że Krasiński tego nie widział.

Beznadziejność ta występowała jaskrawo zwłaszcza w sprawie realizacji pomysłu części trzeciej. Czy taka sielanka przyszłości, jaką mamy naszkicowaną w planie — „pokój, zgoda, rozum i uczucie pojednane razem, wiosna, ale nie w ciągłej walce" — mogła wogóle dać materjał do dramatu realistycznego? Czy może istnieć dramat bez walki?

Dziwnem jest nie to, że Krasiński plan tak pełen sprzeczności i tak wprost niewykonalny powziął, ale to, że go rychło nie porzucił, że wytrwał przy nim i pracował nad jego wykonaniem przez lat blisko dziesięć. Po śmierci Danielewicza

(r. 1842) przerabia wstęp, wyolbrzymiając występującą w nim postać przyjaciela, wykańcza rozpoczętą poprzednio scenę w weneckiem mieszkaniu Młodzieńca i długo pracuje mozolnie nad „Snem", który (najprawdopodobniej w r. 1843) otrzymuje oprócz obrazów piekła, także sceny „czyśćca dni teraźniejszych." „Podziemia weneckie" powstały później; na końcowych obrazach wybił swe piętno rok 1846-y, a przemówienie poety demokratycznego Julinicza, będące streszczeniem wiersza „Do autora Trzech Psalmów", musiało, naturalnie, powstać w r. 1848-ym. Ale nie później — nie można bowiem przypuścić, aby Krasiński mógł ośmieszać dawnego przyjaciela po jego śmierci, on, który stale trzymał się zasady: *De mortuis nil nisi bene.* Ale poza tem żółwiem posuwaniem pracy naprzód wracał raz po raz do ustępów dawniejszych, przerabiał je, uzupełniał i przepisywał. Tę żmudną pracę poznać można po stylu wtrącanych w dzieło słów i zdań, noszących na sobie wyraźne ślady maniery lat późniejszych.

Wszystkie ważniejsze postaci, występujące w „Części pierwszej", wzięte są z życia. Więc Młodzieńcem jest sam Krasiński, Aligierem K. Danielewicz, Juliniczem Słowacki, księciem-Bankierem bankier Torlonia [25]), prezesem chóru polskiego Pankracy. Ironja losu sprawiła, że brak tu tylko tej, która miała być „królową" całego dzieła, Delfiny Potockiej. Księżna Rahoga, którą widzi Młodzieniec przechodzącą przez plac św. Marka, przemieniona z p. Bobrowej w D. Potocką, nie przemawia ani jednego słowa. Główny i może jedyny cel dzieła pozostał nieurzeczywistniony.

Układ pozostałego fragmentu świadczy, że Krasiński szedł początkowo po linji najmniejszego oporu, łącząc napisane poprzednio urywki odrębnie pomyślanych utworów i że później zabrakło mu już zarówno inwencji, jak autokrytycyzmu, aby nadać dziełu cechę jednolitości. Tylko w ten sposób można wyjaśnić istnienie w tem niedokończonem dziele aż dwu obrazów wizyjnych tak obszernych, że zajmują blisko trzy czwarte całości, a ułożonych na zasadzie jakiejś dziwnej logiki. Młodzieniec bowiem w pierwszej wizji, w „Śnie", ogląda stosunki współczesne, w drugiej zaś dzieje świata od czasów najdawniejszych aż do XIX-go wieku, przyczem obraz cierpiącej Polski powtarza się w obu widzeniach. Dodajmy, że wizja druga ma formę dialogiczną, dostosowaną do dramatycznego charakteru całości, podczas gdy pierwsza włączona została w dawniejszej postaci opowiadania ciągłego, a będziemy mieli wymowny przykład poprostu niedołęstwa artystycznego, widocznego w tem obszernem dziele.

Największą wartość posiada „Sen", przypominający stylem i strukturą „Trzy myśli" i „Pokusę." Dzieli się on na dwie części: pierwsza, znacznie obszerniejsza, zawiera w ośmiu obrazach „piekło dni teraźniejszych" Europy, druga, znacznie krótsza, przedstawia w jednym obrazie „czyściec" Polski. Siłą, wywoływującą je w oczach Młodzieńca, jest postać Dantego, którą przybiera Aligier, uprosiwszy u Boga władzę „stworzenia wiotkich postaci", w których będzie „prawda wiekuista" i „prawda doczesna." Piekło rozpoczyna się obrazem militaryzmu: szeregi żołdaków, spełniających, jak automaty, wolę przełożonych. „Gdzie każą, iść musim — przeciw Bogu, a idziemy, przeciw braciom, a idziem" — mówią ci biedacy, nazwani przez Dantego „bydlętami wojny." Po nich zjawia się tajna policja z rojem szpiegów, zmuszonych do zdradzania nawet przyjaciół i najbliższej rodziny. To podziemia świata; z nich wychodzi Młodzieniec na ziemię bez Boga, a hołdującą złotu. Najpierw widzi gromady wyrobników z obłąkanym wzrokiem, krzyczących: „Jeśliście bogi lub czarty — a wszystko nam jedno — złota dajcie, złota!" Dalej, w ogromnem zagłębieniu, jakiś przywódca wycina tłumom nędzarzy na zgarbionych plecach słowa: „równość" i „wolność", a krew ich zbiera do czary, aby ją potem sprzedać kupcom. Najwięcej miejsca zajmuje w tym opisie piekła sprawa wyzwolenia kobiet, w którą wplecione są losy Delfiny Potockiej, nazwanej „Czarną panią." Po raz pierwszy chyba w literaturze naszej poruszono tu kwestję emancypacji z taką powagą i z taką wiarą w zupełne zrównanie obu płci. Następne sceny odbywają się w „godzinie giełdy i targów." Na wysokiem sklepieniu siedzą na tronach kupcy, otoczeni worami złota, i przyjmują królów i książąt, rękodzielników, wyrobników i „starej szlachty ostatnich potomków", a wszyscy sprzedają im wyroby rąk własnych lub „ostatnie ślady starożytnej chwały." Wreszcie kupują

kupcy czarę krwi robotników od ich przywódcy i ogłaszają światu długi pokój i zupełne bezpieczeństwo.

Po tych obrazach piekła prowadzi Dante Młodzieńca na chmurach do „czyśćca dni teraźniejszych.“ Widać tłumy ukrzyżowanych — „to naród cały, w chrystusowej męce rozwieszon nad własną ziemią swą.“ Ukoronowany kat kusi umęczonych, aby wyrzekli się „przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga“, a w zamian da im „jadła i napoju i wszelkiej obfitości moc“ — ale ukrzyżowani odpowiadają pogardliwem milczeniem. Wreszcie zjawia się w górze postać Polski, z ranami na dłoniach i stopach, z koroną cierniową na głowie — poczem całe widzenie znika. Młodzieniec prosi Dantego, aby mu pokazał także niebo, ale Dante wyjaśnia mu, że dotychczas niema go na ziemi — dopiero kiedyś stworzy je miłość. Młodzieniec budzi się.[26])

Tu kończy się „Wstęp“, a następują sceny, noszące tytuł: „Weneckie podziemia“.

W czasie karnawału na placu św. Marka w Wenecji widzi Młodzieniec księżnę Rahoga i odtąd o niej tylko marzy. Aby go odwieść od spraw osobistych, Aligier wprowadza go w podziemia pałacu weneckiego, gdzie zbiera się tajne towarzystwo, mające „wypracować w swym duchu“ przyszłość świata. Kandydat na jego członka musi jednak najpierw dokładnie poznać przeszłość — więc przed oczyma Młodzieńca zaczynają przesuwać się obrazy minionych wieków: Babylon, Egipt, misterja eleuzyjskie z „boskim“ Platonem, pierwsi zakonnicy Karmelu, wreszcie kraj szaty zmartwychwstającego Chrystusa. To przełom w dziejach ludzkości. Kościół chrześcijański wrasta, obejmuje świat; ale bogactwa wzbijają go w dumę i „jęk ludzki zaczyna skarżyć się nań“. Młodzieniec ogląda wytępienie Albingensów i Templarjuszów, którzy niespełnione swe zadania oddają z kolei Różokrzyżowcom, a ci „braciom Mularzom“. Nastają czasy gwałtu, męczeństwo Polski, rewolucja francuska, Napoleon i „święte przymierze“ mocarstw zaborczych. „Ślub ich nierozerwalny, ale zaślubieni poginą.“

Dopiero po takiej poglądowej lekcji dziejów ludzkości zostaje Młodzieniec członkiem tajemniczego towarzystwa. Uroczystość przyjęcia odbywa się wobec „chórów“ narodów europejskich;

chórowi polskiemu przewodniczy Pankracy. Kiedy Prezes poucza Młodzieńca, czego potrzeba, aby na ziemi nastała trzecia epoka, czasy wiecznego szczęścia, i podkreśla konieczność miłości, przerywa mu Pankracy oświadczeniem, że najpierw trzeba skończyć z szlachtą polską i wytępić ją doszczętnie. Powstaje długi spór, w którym biorą udział z jednej strony Aligier, z drugiej oprócz Pankracego poeta ludowy Julinicz i Blauman. Symbolicznym pogrzebem wykluczonego z towarzystwa Pankracego i jego zwolenników kończy się utwór.

Ostatnie ustępy dzieła nie przynoszą podniety dla uczuć i pokarmu dla wyobraźni — są to suche rozumowania, a raczej wykład historjozoficzny, rozdzielony pomiędzy kilka osób bezbarwnych, pozbawionych wszelkiej indywidualności, poprostu papierowych. Szukać tu można jedynie wyrazu zapatrywań, ale i one nie są nowe i od poglądów, wyrażonych w „Psalmach Przyszłości“, różnią się zaledwie w drobnych szczegółach. Najbardziej może interesującem jest stanowisko, zajęte tu wobec urzędowego kościoła katolickiego. Krasiński sądzi go tak surowo, że w przeglądzie dziejów ducha ludzkiego, potępiając kościół, opowiada się otwarcie całem sercem po stronie zwalczanych mieczem herezyj.

Gdy rojenia o wielkich dziełach w tak smutny sposób unicestwiała niemoc twórcza, zdobywał się jeszcze Krasiński raz po raz na drobniejsze utwory wierszowane niepospolitej wartości artystycznej. W r. 1851-ym wykańcza rozpoczęty jeszcze przed r. 1846 [27]) „Ułamek, naśladowany z glozy św. Teresy“, będący najpiękniejszym zapewne w literaturze naszej wyrazem mistycznej miłości do Chrystusa. Język tu dziwnie świeży i podatny, a składa się w akordy słów tak harmonijne, miękkie i subtelne, jak za dawnych, dobrych czasów. Widocznie poprawki ostateczne były nieznaczne.

Jeszcze wyżej stoi pod względem artystycznym wiersz „Do Elizy“, napisany w pierwszych miesiącach r. 1852-go w Rzymie. W obszernym wstępie, którego każdy ustęp zaczyna się skierowanemi do żony słowami „O piękna moja...“ lub „O Polko moja — bądź błogosławiona!“, charakteryzuje w sposób znany już, ale w dosadnych, silnych wyrazach położenie Polski:

O Polko moja, bądź błogosławiona,
Bo wszystkim biada, co wznieśli ramiona
Przeciw Twej Matce, rozbitej na krzyżu!
Czy zwą się „czarni“, czy zwą się „czerwoni“,
Czy zaufali w nożach, czy w dział spiżu,
Czy w carów wierzą, czy republikanie —
Biada im wszystkim, ludziom krwawej dłoni,
Bo Bóg piorunem z świata ich wygoni
I śladu po nich w świecie nie zostanie!

Dowodu prawdziwości słów swoich szuka teraz poeta w otaczających go ruinach:

Patrz! Wokół ciebie na rzymskiej równinie
Co zostało z dumy?
Pośród pustyni mętny Tyber płynie,
Wkoło zwalisk rumy.
I tu chadzali w purpurze i złocie
Niesprawiedliwości,
A dziś ich świątyń marmury śpią w błocie
Nad prochem ich kości.
I tu mawiali: „Wytracim narody,
Roma jedna będzie!“ —
Patrz, po ich cyrkach jak pasą się trzody
I bluszcz pełza wszędzie!
A tchnęli jednak tą siłą bez granic,
Co światu przykładem,
Ale przepadli, bo struli się na nic
Własnych zbrodni jadem.
Wyczytaj z gruzów tej Kampanji Rzymu
Że Polska nie zginie!
Moc bez miłości podobna do dymu:
Nie my — ona minie.

Ten prosty, naturalny sposób rozumowania, oparty na plastycznych, wymownych przykładach ma piętno nieoczekiwanego w tej epoce realizmu, z którym sprzecza się jedno tylko zdanie, powtarzające ulubione pojęcie Krasińskiego: wyjdziemy z grobu „nieśmiertelni klęską“.

Chwile wzlotów były już jednak coraz rzadsze. Zły stan zdrowia uniemożliwiał je. Bezczynność na niwie poetyckiej wynagradzał sobie Krasiński działalnością inną, która dawała mu wiele miłych złudzeń — działalnością polityczną. Rzecz prosta, że nie były to płomienne wybuchy Mickiewicza, rwącego się do czynu z sztandarem legjonowym w ręku; była to pewnego rodzaju agitacja publicystyczna, przedsiębrana wśród rodzin panujących dla dobra Polski. Zaczęła się wkrótce po wypadkach r. 1846-go memorjałem, napisanym dla francuskiego ministra spraw zagranicznych, Guizota. Czy brak wyrobienia politycznego, czy zaślepienie partyjne, lub może jedno i drugie razem sprawiły, że w piśmie tem znalazło się oskarżenie demokracji emigracyjnej tak swobodne i tak lekkomyślne, jak te, które zamieszczał w listach do przyjaciół. „Ideałem tego stronnictwa — pisał — jest terroryzm roku 1793-go... Jest rzeczą więcej, niż pewną, że rząd rosyjski potrafił rzucić między nich swoich płatnych agentów, a tym udało się obłąkać naszych rewolucjonistów aż do szaleństwa.“ Niewątpliwie nie zdawał sobie Krasiński sprawy z tego, jakie skutki mogło mieć tego rodzaju oskarżenie rodaków przed rządem, który ich w swem państwie tolerował — ale tem wymowniejszy to przykład, jak bardzo się do takiej akcji dyplomatycznej nie nadawał.

W r. 1847 wydał jako bezimienną broszurę list otwarty do hr. Montelemberta i do Lamartina, dziękując pierwszemu za mowę, wygłoszoną w izbie parów w obronie Polski, drugiemu wytykając niesprawiedliwe słowa o Polsce XVIII wieku, zawarte w jego „Dziejach Żyrondystów“. W następnym roku napisał memorjał do Piusa IX, wykazujący konieczność „odbudowania Polski“ jako środka przeciw zradykalizowaniu Europy. Charakterystyczne jest zakończenie tego pisma:

„Z głębi przepaści wołamy: Zlituj się nad nami!

„W przedśmiertnej walce z agonją, wołamy: Przyjdź nam na pomoc!

„Ty nam zrobisz znak jakiś, ty nam rzucisz jakieś słowo, ty w nas tchniesz cnotę, ty nam ześlesz promień światła. W tem świetle będzie nasze zmartwychwstanie.“ [28])

Słowa te pochodzą z grudnia 1847-go roku, a więc wyprzedzają wydanie dwu ostatnich „Psalmów“. W jakże rażącej są z niemi dysharmonji!

Zamach stanu Napoleona III przywitał wybuchem młodzieńczej niemal radości. Było w tym entuzjaźmie coś więcej, niż ukochanie krwi napoleońskiej — była wiara, że nowy władca Francji unicestwi „czerwonych". „Wyrwał ojczyznę rzezi społecznej" — pisał do Cieszkowskiego.[29])

W czasie wojny Krymskiej, kiedy Mickiewicz organizował w Turcji legjon polski, starał się Krasiński za pośrednictwem wielkiej księżny badeńskiej Stefanji, ciotki Napoleona III, wpłynąć na politykę cesarza; chodziło naturalnie o odbudowanie Polski.

Śmierć Mickiewicza odczuł szczerze a bardzo boleśnie. Słowa, które pod wrażeniem tej wieści pisał do przyjaciół, świadczą, że wielkość i znaczenie twórcy „Pana Tadeusza" rozumiał lepiej, niż ktokolwiek może inny w całej Polsce. Jakby tłumacząc się z niedawnych ataków na „czerwoność" Mickiewicza, pisał do Cieszkowskiego: „Za życia można o błędach czyich mówić. Lecz śmierć ma dłuto nieśmiertelne i rzeźbi człowieka w posąg biały, czysty, idealny, na którego kształtach marmurowych tylko piękno ducha jego odbić się powinno. Niech więc taki posąg z niego stanie, wzniesion pamięcią plemion słowiańskich — bo to nie tylko narodu polskiego, ale wszystkich plemion słowiańskich był największy wieszcz." [30])

Przeżył więc obu swych wielkich współzawodników i sam jeden pozostał na czele literatury jako wódz duchowy pokolenia — ale w jakże smutnym był stanie! Choroba gnębiła go bezustannie, przerzucając się na coraz to inne części organizmu, zmieniąc go na pewne okresy czasu niemal w kalekę i niszcząc powoli ciało. Rzecz jasna, że odbijało się to fatalnie także na duchu. „Nie wystawisz sobie — pisze do Cieszkowskiego w r. 1855-ym — czego doznaję, jakich zjawisk mózgowych, jakich okropnych i okrutnych skotomatów (omroczeń) ducha. Wciąż mi się wydaje, żem otoczon dokoła złemi duchy. Cierpię, a cierpię nieskończenie... Od rana do wieczora niezgłębiona melancholja mnie dręczy i ostatnie siły moje wyniszcza. Nic mi otuchy nie przynosi." [31])

Przyłączały się do tego także cierpienia moralne. Patrzał w swą przeszłość z wysokości tych lat, które dla innych rozpoczynają dopiero wiek męski, i zdawało mu się, że składała się z samych tylko błędów i pomyłek. „Masz prawdę — spowiada się przyjacielowi — *oravi*, ale nie *laboravi*. Ale czyż mogłem, od lat tylu pozbawiony i ócz i mózgu? Walczyłem, walczyłem, aż teraz doszedłem do strasznych otchłani. Ach, żebym miał tę pociechę, którą mnie cieszyć chcesz! Żebym mógł sobie samemu poświadczyć, żem *miłował* wiele! Lecz powiedz mi, co? Ojca? Nie mogłem nawet teraz doń pojechać, gdy był paraliżem... tknięty. Eliza pojechała. Eliza, co przy mnie, błaźnie, wygląda, jak archanioł. Kogoż? Dzieci? Nie mogę się trudnić niemi. Kogoż? Kraj? Cóżem kiedy dla kraju istotnego uczynił? Kochałem, co mi się podobywało, ale nie to, co należało." [32])

Spóźniona skrucha — to odwieczna tragedja ludzka; ale, chociaż nie naprawi błędów przeszłości, działa ożywczo na przyszłość, bo uszlachetnia. W ostatnich latach życia Krasińskiego widać zmianę zwłaszcza w stosunku do żony i do Delfiny Potockiej. Uczucie dla „Beatryczy" wygasało coraz bardziej, a równocześnie rosła miłość do żony i nabierała cech uwielbienia. W trzynaście lat po owym zimnym i wprost obrażającym wierszu ślubnym napisał w dniu jej imienin:

W duszy mi kwiaty wciąż ku tobie rosną
Śród zim boleści, boś ty moją wiosną,
Boś życia mego ty ostatniem słońcem:
Wszystko mnie zwiodło przed dni moich końcem.
...Niech więc kolana me przed tobą klękną,
Niech ci me ręce podadzą te kwiaty
I niech me usta zbolałe wyjękną,
Szukając kornie brzegu twojej szaty:
„Tyś piękną!"

A w rok później, również w dniu imienin żony, spowiada się jej ze wzruszającą szczerością i skruchą:

Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
Jam czuł się w natchnień nieskończonych niebie,
A jednak w niwecz przemarniłem życie
Dlatego tylko, żem nie kochał ciebie.

O, biada sercom, którym się wydaje,
Że grzechu żary młodości płomieniem —

Bo sperzynieją ich nieba i raje
I gorycz wieczna będzie im istnieniem!

O, biada sercom przenamiętnym — zginą!
Choć i zestąpi anioł do ich doli,
Przyszłość ich struta przeszłości ich winą
I samo szczęście anielskie je boli.

O, biada sercu mojemu, że żyło
O cierpkim, szału łzą zroszonym chlebie!
Mów mi, jedyna dziś duszej mej siło,
Czemu ja dawniej nie kochałem ciebie?

...I nieraz patrzę rozpaczy oczyma
W mą przeszłość, trupim leżącą powałem,
Z której mi czynów nieśmiertelnych niema
A zato tylko, że cię nie kochałem.

...Za to, żeś duszą z światłości uwiana,
Żeś cała sercem, prawdą zamieszkanem,
Żeś przenadobna i niepokalana,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

Po tym hołdzie dla żony nie zdołał już wykończyć żadnego utworu. Pozostały jedynie fragmenty jakiegoś poematu, który zapewne miał być jego poetyckim testamentem. Treścią swą nie wychodzą one poza przykazania, dane Polsce w „Resurrecturis“ i w „Psalmach“, które czasem wprost parafrazuje:

Wytrwaj, o wytrwaj w tym strasznym pochodzie
Śród dziejów świata, mój polski narodzie!
Bądź męstwem wielki, cierpliwością święty,
Bądź przed wrogami wolą nieugięty,
Niechaj ci z serca nie wydrze ojczyzny
Żaden gwałt ziemski ni żadna pokusa —
Nie wierz w podrzuty pychy ni wścieklizny,
Wierz tylko w słowo i przykład Chrystusa.

Jeden tylko fragment przynosi coś nowego: próbę nakreślenia owej wyczekiwanej w utęsknieniu trzeciej epoki



Eliza Krasińska z dziećmi
1853

dziejów. Po raz pierwszy pisze o niej jako o fakcie dokonanym:

W Ducha Świętego trzeciej błyskawicy
Wyjrzał Syn Boży z głębin tajemnicy
I zasiadł, jasny, na ludów stolicy.
Przeminął ucisk, uciekła precz trwoga,
Ludzkość już patrzy twarzą w twarz—w twarz Boga,
Wie, że już kwieciem ciernista korona
I krzyż Golgoty kwieciem porośnięty...

Ale po tym dosyć mglistym obrazie następują już tylko rozumowania, a ostatnie słowa fragmentu cofają nas wstecz:

Śpij jeszcze, ziemio! Wnet Pan twój cię zbudzi.

Na wykończenie dzieła zabrakło sił, bo rozstrój organizmu postępował już szybko naprzód — ku końcowi. Lekarze napróżno wymyślali coraz to nowe środki lecznicze i coraz to inne miejscowości kuracyjne. Wszystko napróżno.

Wśród tego powolnego ale stałego zbliżania się do katastrofy zdarzały się radości i smutki. Wielką pociechą było dla niego, że ojciec jego, mianowany namiestnikiem Królestwa, podczas kilkumiesięcznego urzędowania zdołał rozumnem i taktownem postępowaniem przejednać i trochę życzliwiej dla siebie usposobić opinję społeczeństwa. Ale w listopadzie r. 1858-go jenerał Krasiński po krótkiej chorobie umarł. Pomimo zupełnego wyczerpania, ostatkiem gasnących sił syn zabiera się natychmiast do rehabilitacji ukochanego ojca i zaczyna pisać jego życiorys. Nie zdołał go już wykończyć. 23-go lutego 1859-go roku zakończył życie w Paryżu. Zwłoki, zabalsamowane, przewieziono do kraju i złożono w kościele opinogórskim.

* * *

ZAKOŃCZENIE.

Rozwój twórczości Krasińskiego, linja, po której ona się wznosi i opada, i czas, w którym się to odbywa, jest chyba w historji literatury unikatem. Wszyscy wielcy poeci — Dante, Shakespeare, Byron, Goethe, Schiller, Kochanowski, Słowacki, Mickiewicz (nawet Mickiewicz, pomimo wczesnego załamania się) — wszyscy oni rozwijają się normalnie, stopniowo, zdolności ich z biegiem lat rosną, pogłębiają się i ogarniają coraz szersze horyzonty. Gdzież jednak znaleźć drugiego poetę, któryby w 24-ym roku życia był autorem swych arcydzieł, zrównał się z największymi, a w kilka lat później stał już nad ruinami swego genjalnego talentu?

Krasiński ma lat 21, kiedy w wyobraźni jego powstają w krótkich odstępach koncepcje „Irydjona“ i „Nie-Boskiej Komedji“, dzieł o olbrzymiej rozpiętości horyzontów poetyckich; dwa lata wystarczają mu na ich szczegółowe wykończenie, a każde z nich otrzyma oryginalny, odrębny charakter. Późniejsze dzieła zasklepiają się w coraz mniejszych obrębach architektoniki poetyckiej, unikają jaśni słonecznej i zadawalają się mdłem światłem księżyca; zamiast bujnego życia — sen, zamiast rzeczywistości — marzenie o niej, zamiast walki sprzecznych potęg — sprawozdanie z pola bitwy. Staranne, subtelne ich opracowanie przypomina koronkę wieżycy gotyckiej, będącej ich symbolem — ale nie przyjdzie nam nawet na myśl, że rzeźbiło ją to samo dłuto, które niedawno zaludniło Forum Romanum postaciami przyjaciół i wrogów Irydjona.

I oto jesteśmy już u kresu twórczości wielkiej, tej twórczości, która wymaga orlich wzlotów wyobraźni. Kres ten zaznacza sam Krasiński, kiedy w r. 1840-ym, postanowiwszy uczcić ukochaną wielkiem dziełem poetyckiem, nie widzi innego sposobu dokonania tego, jak tylko cofnięcie się wstecz do pierwszego swego znakomitego dzieła i dorobienie do niego wstępu i zakończenia. Jest to wyraźne, choć może wówczas nieświadome, przyznanie się do niemocy twórczej. I istotnie, biorąc ściśle, od r. 1841-go, w którym powstaje wiersz „Na skale“, wyobraźnia Krasińskiego nie stworzy już ani jednego

obszerniejszego obrazu, bo „Przedświt“ jest w swej kompozycji tylko transpozycją motywów osobistych wspomnianego wiersza na polityczne, a „Psalmy przyszłości“ operują jedynie uczuciem i retoryką. W 29-ym roku życia zamiera w nim poeta — pozostaje tylko retor.

To dziwne napozór zjawisko wyjaśnić można tylko przemęczeniem a przez to i wyczerpaniem wyobraźni.

Podłożem psychiki Krasińskiego jest niezwykła, wybujała namiętność. Objawia się ona we wszystkich niemal sprawach: w miłości, w nienawiści, nawet w przyjaźni; mniej jaskrawo, ale równie silnie występuje ona w jego stosunku do poezji.

Już jako kilkunastoletni młodzieniec poświęca całe noce realizowaniu swych naiwnych pomysłów literackich, podtrzymując siły paleniem tytoniu i czarną kawą i — niszcząc nerwy. W okresie genewskim widać ze zwierzeń, zawartych w listach do Reeve'a, z jaką pasją „poetyzuje“, jak wytrwale i uporczywie wyzyskuje i nagina wszystkie ważniejsze szczegóły swego życia dla swej twórczości. Jest w tem już wtedy coś więcej, niż zabawa czy zamiłowanie. Ale po roku 1831-ym położenie się zmienia. Pobyt w kraju, zajęcie w nim jakiegokolwiek stanowiska było niepodobieństwem; spadłaby na niego zapewne część tej pogardy, którą darzono ojca, a od której nie potrafił się zabezpieczyć udziałem w powstaniu. Stąd pochodzi ciągłe przebywanie wśród obcych, za granicą, gdzie nikt go nie znał i gdzie nie czytano z jego twarzy hańby rodzinnej. Aby ją zmazać, pozostawała jedyna droga, jedyne zresztą zajęcie: twórczość poetycka i zdobyta przez nią sława. Odtąd poświęca tej twórczości całe swe życie, wszystkie swe siły, wszystkie marzenia. Namiętna, zmysłowa miłość splecie się z kultem poezji w nierozerwalną całość — będą się nawzajem podsycać, będą dla siebie jednocześnie środkiem i celem, ofiarą i nagrodą. Ale wybuch rozpaczy i nienawiści, nagromadzonych warunkami życia, tak szerokim strumieniem objął to życie w „Nie-Boskiej Komedji“ i w „Irydjonie“, że młody poeta niewiele miał już po tych dziełach do powiedzenia o sobie. Równie tragicznych motywów życie już nie dostarczało — zaczął ich więc mozolnie szukać. Obserwacja otoczenia daje materjał przeważnie humorystyczno-satyryczny („Herburt“, „Rozpacz — Szyderstwo — Wiara“, „Rok 1846“)

— to, co sam przeżywa, wystarcza tylko na małe obrazki („Noc letnia“, „Pokusa“). Trzeba więc zmusić wyobraźnię, trzeba wykrzesać z niej choćby przemocą materjał poetycki. Listy Krasińskiego do Delfiny Potockiej świadczą, że ta praca zmuszania wyobraźni była niemal codziennym jego chlebem. Dla Mickiewicza natchnienie było cudownym darem opatrzności, rozjaśniającym szarzyznę życia — Krasiński, zaznawszy rozkoszy prawdziwego natchnienia w „Nie-Boskiej Komedji“ i „Irydjonie“, nie oczekiwał spokojnie jego powrotu, lecz szukał go — zgodnie z poglądami romantyków niemieckich — w sztucznych marzeniach. Rzeczywistość staje mu się stopniowo niemiłą, niemal wstrętną — marzenie najwyższem szczęściem, które zdobywa sobie prócz innych podniet także eterem. „Wszelka dyskusja, wszelka rozmowa mnie zabija — spowiada się przyjacielowi — widok wielu ludzi razem wprawuje mnie w rozdraźń szaloną; chciałbym jamy, nory, jaskini wiecznie ciemnej i tam przy lampie jednej marzeń jakich, lepszych, niż to, co dać może rzeczywistość obrzydliwa świata, pozostawać.“ [1]) Można sobie łatwo wyobrazić, jak takie upodobania wpływały na zmechanizowanie wyobraźni i jej osłabienie i ile na tem cierpiały nerwy, tem bardziej, że znękane były chorobą.

Sprawa tej choroby, ciągnącej się niemal od dzieciństwa, jest niejasną i doprasza się o analizę lekarską. W części było to nieszczęście odziedziczone po matce, zmarłej na suchoty. Ulubiony lekarz Krasińskiego, Dr. Chelius z Heidelbergu, upatrywał przyczynę jego cierpień w „namiętnych podrzutach ducha“ czyli w nienormalnej pracy umysłowej, ale jej widocznie nie określał choremu. Choroba ta, atakująca raz po raz oczy, to znowu mózg, odejmująca władzę w nogach, niema z pewnością nic wspólnego z suchotami, są w niej natomiast typowe objawy histerji. „Chodzić wcale nie mogę — spowiada się przyjacielowi. — Skoro chcę, zawrót — i nogi skiełzem suwają się po ziemi. Czuję, jak z mózgu przez kość pacierzową aż do stóp niemoc promienisto spływa... Najleksza myśl już gromem mi w tę pajęczynę, na którą wyrobił się systemat nerwowy mózgu mojego.“[2]) „Padłem na ziemię pozawczoraj — pisze w tydzień później — za dotknięciem się kości pacierzowej najlekszem przez palec Cheliusa. Dostałem machania rękami i nogami, jak u trupów zgalwanizowanych. Ryczałem, płakałem, tarzałem się i podrzucałem z kwadrans.“[3])

Tak wyglądają ostatnie stadja — cóż dziwnego, że poprzednie, choć nie tak jeszcze groźne, najpierw utrudniały, a potem udaremniały wszelką pracę twórczą.

Nie tylko jednak wysokie wzloty wyobraźni uniemożliwiały mu zrujnowane nerwy — nawet drobiazgowa praca nad sformułowaniem obmyślonego już obrazu była dla niego — bezpośrednio niemal po stworzeniu „Irydjona“ — trudem niezwykłym i męką. Krasiński niszczył widocznie wszystkie bruljony swych utworów; pośród mnóstwa rękopisów, przepisanych starannie „na czysto“, dochował się jeden tylko fragment, autograf początkowego stadjum pracy, t. zw. pierwszego rzutu; jest to fragment „Snu“ — więc w nim jedynie możemy znaleźć przykład rodzaju tej pracy. Warto mu się przypatrzeć. Oto mały ustęp, w którym wyrazy i zdania przekreślone ujęte są w nawiasy:

„Mistrz (nie odwracając) nie odwracając (się) się, (lecz idąc wciąż naprzód) wskazał ręką na wzgórza one i rzekł (Tam za niemi leży) Za temi szczytami czysca równina“ i (nie odwracając się) szedł dalej ku nim aż (stanął dopiero).

(I szedł zielonym obszarem milcząc wciąż — aż owoż zdało mi się, że stanął nad płowym).

(I nie odwracając się szedł dalej, aż stanął nad płowym ugorem i zdało mi się, że pochylił głowę jakoby bliski smutku wielkiego) (aż stanął nad szarą przestrzenią pola niby) (po nad) (nad płowym odłogiem i pochylił głowę jakoby bliski smutku wielkiego i zapytał się mnie:)

(I nie odwracając się szedł dalej, aż nad szarą przestrzenią pola, nad płowym odłogiem zatrzymał się — i pochylił głowę jakoby bliski smutku wielkiego) (i zdało mi się) i (że) zapytał się mnie: „Azaż (nic ty) nic nie widzisz) (a gdy)

(I szedł dalej nie odwracając się) (Zatrzymał się) Przybył nad szarą przestrzeń(ią) niezmiernego pola; (zdało mi się, że nad płowym) (niby) który wydał mi się pustym odłog(iem)iem — a tu pochylił głowę jakoby bliski smutku wielkiego i zapytał (się): „nicże nie widzisz“...

Przez tyle zmian, tyle drobiazgowych poprawek przejść musiało to proste zdanie, zanim Poeta uczuł się zadowolonym!

Oto znowu jedno zdanie z tego samego bruljonu; wypowiada je obudzony z snu śmierci Stefan Batory:

„Elekcje (swawola) (złota równość) sejmiki — zajazd — pospolite ruszenie — złota wolność (szlachecka) swawoli — a dziś żelazna (równość) (zaguby) jassyru — kajdany — (więzy) jarzmo — (bicze) (biczowanie) (więzienie) (pustynia) tułactwo (wygnanie) lub (niewola) (ucisk) niewola — i hańba lub zgon!"

Widać tu wyraźnie mozolne szukanie odpowiedniego dla myśli wyrazu. Ale ta myśl, pomysł, jest już widocznie gotów, wyobraźnia skończyła już swoją pracę, bo poprawki dotyczą nie obrazu, lecz jego formy. Rzecz charakterystyczna, że następują one bezpośrednio jedna po drugiej, że poeta nie prędzej przechodzi do nowego szczegółu opowiadania, dopóki nie znalazł zupełnie odpowiedniej formy dla pierwszego. Mickiewicz i Słowacki tworzyli inaczej; oni najpierw pisali jednym tchem to, co im dyktowało natchnienie, a dopiero potem zajmowali wobec utworu rolę krytyków, usuwali jedne ustępy, dopisywali nowe, poprawiali zwroty i wyrażenia. Krasiński jest twórcą i krytykiem jednocześnie. Pochodzi to najwidoczniej stąd, że przystępował do pisania dopiero wtedy, gdy plan cały miał już zupełnie gotowy, albo — jak w fragmentach „Wandy" — spisany na kartkach papieru, albo przynajmniej zapisany dobrze w pamięci. Dlatego podczas pisania mógł myśleć wyłącznie o tem, *jak* wyrazić myśl lub ująć obraz, a nie potrzebował już zastanawiać się nad tem, *co* pisać.

W utworach wierszowanych praca idzie mniej więcej tym samym torem: pomysł powstaje łatwo, artystyczne opracowanie go jest długim mozołem. Jako charakterystyczny przykład posłużyć może wiersz „Pod obrazem Franceski da Rimini", tj. pod obrazem Ary Scheffera „Francesca da Rimini". Krasiński zobaczył w „sklepie kopersztychów" reprodukcję tego słynnego obrazu i pisze o tem do Delfiny Potockiej: „Skorom spojrzał, uczułem *the perfect beauty* i zaraz cztery wiersze przyszły mi na myśl:

I w piekle nie jest bez bożej opieki,
Kto z ukochaną, choć w piekle, na wieki.
Bo, choć szatanów lud nad nim się sroży,
Gdy kochać może, w nim żyje duch boży.

Z czterowiersza tego powstał następujący wiersz:

I w piekle nie jest bez Boga opieki,
Kto z ukochaną, choć w piekle, na wieki.
Bo wyższem szczęściem, niźli samo szczęście,
Dla kochających wieczne dusz zamęście.
Niech lud szatanów nad niemi się sroży,
Gdy kochać mogą, w nich żyje duch boży.
Patrz, w tym burzliwym potępienia lesie
Wszyscy na dole jęczą obaleni —
Tych jednych dwoje w powietrza przestrzeni
Powiew miłości nieśmiertelnej niesie.
Mimo łez gorzkich, mimo krwawych znamion
Coś zbawionego wygląda z ich twarzy,
Tak, że myśl twoja wokoło ich ramion
Skrzydła anielskie, których brak im, marzy.

Rzecz charakterystyczna: czterowiersz początkowy wchodzi w skład wiersza bez zmiany i stanowi jego najważniejszą, zasadniczą myśl; reszta, to akcesorja, które mają pomysł główny tylko uwydatnić. I one zresztą zawarte już były w liście („gdy wszyscy inni potępieńcy ... leżą przykuci do dna piekła, oni jedni ... unoszą się w powietrzu"...) — brak im było tylko formy rymowanej. Mimo to wiersz nie powstaje odrazu, chociaż od chwili zobaczenia obrazu do napisania listu upłynęło, jak się zdaje, kilka dni. List nosi datę: 31 sierpnia 1844, autograf zaś całego wiersza datę: 1845. Jeżeli ta druga data nie jest pomyłką Poety, to mały ten utwór przybrał ostateczny kształt w ciągu co najmniej pięciu miesięcy — jeżeli pomyłką, to w każdym razie czas ten wynosiłby tygodnie.[4])

Większe utwory wierszowane zapewne niewiele różniły się pod tym względem od małych. Przeważnie powstawały najpierw ich części, jako odrębne fragmenty, a potem dopiero łączył je jakiś pomysł artystyczny w jedną całość. Druga część wiersza „Do Elizy" („O piękna moja...") stanowiła początkowo odrębny poemat („Patrz, wokół ciebie..."), dedykowany

Delfinie Potockiej i wpisany do jej albumu; potem dopisał Krasiński część pierwszą i całość dedykował żonie. Niektóre części „Psalmu Żalu" i „Dnia Dzisiejszego" istniały jako odrębne wiersze okolicznościowe — w tym ostatnim utworze są ich niemal całe pokłady. Można stwierdzić, że żaden z utworów wierszowanych, choćby najmniejszych, którego dzieje można oznaczyć przy pomocy autografów, nie powstał odrazu, pod wpływem chwilowego natchnienia.[5])

Ta garść szczegółów świadczy raczej o tem, jak Krasiński pokutował „za winę ojców i za własną winę", niż o jego właściwej, istotnej organizacji twórczej, zwłaszcza z czasów rozkwitu. W tej najświetniejszej epoce, o ile można sądzić na podstawie listów, bo autografy nie dają prawie żadnej odpowiedzi, twórczość jego szła normalnym, zwykłym torem, znanym nam z życia jego wielkich rówieśników.

Jaki był jednak rdzeń jego talentu? Jaki kierunek twórczości wskazywały mu wrodzone uzdolnienia? Czy była to epika, liryka czy dramat?

Jeżeli jako kryterjum genjuszu lirycznego przyjmiemy zdolność zamieniania pojęć abstrakcyjnych w plastyczne obrazy, a genjuszu dramaturgicznego przedstawianie charakterów w jędrnych, zwięzłych ustępach zapomocą akcji i jeżeli zastosujemy to kryterjum do dzieł Krasińskiego, pokaże się, że jest on urodzonym dramaturgiem. Na tem polu przewyższa on nie tylko Mickiewicza, który w zakresie dramatu nie sięgnął poza mierność, ale nawet Słowackiego.

Że tak jest istotnie, dowodzi przedewszystkiem „Nie-Boska Komedja". Roi się ona od scen, w których genjusz dramaturgiczny wytryska w niepokalanej czystości, bez przymieszek lirycznych czy retorycznych. Tylko najgłębsze, niedostępne dla nikogo, a więc niemożliwe do jasnego uwydatnienia w akcji, tajniki duszy bohaterów objawiają się w dialogach i monologach — poza tem wszystko występuje w prostej, jędrnej akcji. Wystarczy przypomnieć sobie sposób charakteryzowania hr. Henryka (scena balowa), jego żony (scena w ogrodzie, scena chrztu), arystokracji (dziedziniec Św. Trójcy) — a zwłaszcza scenę w lochach podziemnych z Orciem, aby dać się olśnić genjalności tego wyjątkowego, urodzonego dramaturga. Odmienny charakter „Irydjona", jego stylizacja i retoryczność, przysłaniają sobą i zakrywają te właściwości — ale i tu można je odnaleźć, zwłaszcza w scenach, objawiających uczucia osobiste bohaterów. Bądź co bądź, „Nie-Boska Komedja" jest wystarczającym dowodem, że najrzadszy i najdrogocenniejszy z talentów, talent dramaturgiczny, był główną, zasadniczą częścią składową organizacji psychicznej Krasińskiego.

Lirykiem w istotnem, najwyższem tego słowa znaczeniu nie jest. Brak mu, jak sam powiada, „tej anielskiej miary, bez której ludziom nie zda się poeta" — brak mu formy wierszowanej swobodnej i pięknej. Wersyfikacja jego jest uboga i banalna, operuje nią jednak nieraz z wielką zręcznością, kombinując rozmaite formy wierszy i unikając w ten sposób jednostajności (np. „Resurrecturis"). Rymy również są pospolite, prawie wyłącznie gramatyczne, a więc rzeczownik rymuje się z rzeczownikiem, przymiotnik z przymiotnikiem. Wyjątkowo dużo ma rymów męskich, stosowanych nieraz w całych utworach z konsekwencją i uporem, ale bez dodatniego rezultatu.[6]) Co jednak najważniejsza, mało w nich jest obrazowania i barwności, zbyt zaś wiele abstrakcyj, a liczba ich rośnie gwałtownie wraz z latami.

A jednak, mimo tych wad i braków, liryka jego ma wartość niepospolitą. Sprawia to przedewszystkiem silne, często potężne uczucie, wyrażone poprostu, jędrnie i dosadnie. Kierują niem raczej zasady retoryki, niż poetyki — ale siła wyrazu i logiczność wywodu, podniesione koturnowym patosem, przemawiają często do uczucia wymowniej i skuteczniej, niż gdyby były przybrane w misterne cacka sztuki poetyckiej. Widać to zwłaszcza tam, gdzie wybucha namiętna miłość zmysłowa lub nienawiść. A nikt z naszych poetów nie umiał tak nienawidzieć, jak Krasiński; wiersz „Do Moskali" lub ustęp „Przedświtu". „O wy niscy, o wy ciemni"... są w naszej poezji objawami najbardziej wybujałej, niemal chorobliwej nienawiści narodowej.

Od słońca z wami wolę ciemność trumny,
Od twarzy waszych — szkieletów robaki.
Gdybym was zdusić mógł w jednem objęciu
I strącić wszystkich do jednej otchłani,
Chciałbym po waszem zostać wpiekłowzięciu

I żyć na ziemi dla mej drogiej Pani.
... z mlekiem wyssałem,
Że was niecierpieć jest święcie i pięknie —
I ta nienawiść mojem dobrem całem.

Trudno chyba posunąć się dalej. Warto porównać z tym namiętnym, zapalczym wybuchem spokojny, mądry i sprawiedliwy wiersz Mickiewicza „Do przyjaciół Moskali“. Odsłonią się przed nami dwa światy; w jednym będzie kawał życia, w treści swej tak prawdziwy, że aż niemal banalny, podniesiony uczuciem i artyzmem twórcy na wyżyny najdoskonalszej sztuki, w drugim tylko prawda subjektywna, pod względem formy artystycznej słaba, chropawa, ale wyrażona z taką siłą namiętności, tak bezpośrednio wprost z duszy poety przemawiająca do duszy czytelnika, że porywa go i czaruje.

Ta właśnie bezpośredniość i siła uczucia nadają lirycznym utworom Krasińskiego ich niezwykłą wartość i stanowią całe niemal ich piękno. Bo z niemi łączy się aż nadto często „retoryka, czczy patos, przesada bez smaku, poprostu ordynarność w zespole z niezgrabnością, a często i z mimowolnym komizmem, w które popycha go uniesienie, bez instynktu, wrodzonego urodzonym z natury wierszopisom“.[7])

Nie tylko jednak w drobnych utworach lirycznych, które są jakby poetycznym pamiętnikiem, widać ścisły związek z życiem Krasińskiego i z jego uczuciami — egotyzm jest w mniejszym lub większym stopniu podstawą całej jego twórczości. Słowacki stwarzał sobie świat swój poetycki wyobraźnią, Mickiewicz czerpał go z życia i ozłacał poezją, Krasiński wydobywał go przedewszystkiem z serca. Mickiewicz z tłumu znanych sobie postaci wybierał bohaterów przy pomocy instynktu, który mu wskazywał ich poetyczność — Krasiński wyszukiwał ludzi, których kochał lub nienawidził, a dopiero około nich pozwalał niekiedy grupować się obojętnym sobie figurom drugorzędnym. Od „Aga-jHana“ aż do „Ostatniego“ bohater albo jest Krasińskim, albo posiada przynajmniej cząstkę jego duszy — jeżeli zaś poemat nie ma bohaterów, wtedy ożywia ideę jego serce. W tej twórczości nie był możliwy ani „Pan Tadeusz“, ani „Król-Duch“, ani tem mniej zimna „Grażyna“; „Wanda“, która wypłynęła z podziwu dla „Balladyny“, pozostała fragmentem. Piękno pomysłu, niezwykłość sytuacyj, barwność postaci, wszystko to, co dla Słowackiego jest podstawą i warunkiem twórczości, było dla niego sprawą podrzędną, dodatkiem tylko — punktem wyjścia była zawsze miłość lub nienawiść, a najczęściej jedno i drugie równocześnie.

Wybujała namiętność była zatem głównym motorem twórczości Krasińskiego, a zwykle także jej treścią — formę poddawały współczesne prądy literackie, najpierw walterskotyzm i byronizm, później przedewszystkiem romantyzm niemiecki. Wśród mnóstwa wzorów, których te prądy dostarczały, wyborem kierowały upodobania, wypływające z psychiki młodego autora. Więc najpierw rozstrzygnął pytanie zasadnicze: wiersz czy proza? Wybrał prozę. Mówi się zwykle, że prozą pisał z powodu braku zdolności do formy wierszowanej. Nie jest to ścisłe. Wiersz dedykacyjny, który szesnastoletni Krasiński umieścił na czele „Pana trzech pagórków“, świadczy wymownie, że zdolności w tym kierunku posiadał, że brakło mu tylko wprawy. Technika wierszowania jest rzemiosłem, którego trzeba się uczyć i w którem doskonałość zdobywa się pracą, bez względu na wielkość lub choćby zupełny brak talentu poetyckiego. Otóż tą mozolną pracą nie chciał się młodziutki Krasiński obarczać, nie chciał nią sobie krepować skrzydeł, spragnionych swobodnego lotu na olbrzymich przestworzach wyobraźni i — szybkiego a łatwego tryumfu. Wybujała, pod wpływem Waltera Skotta rojąca eposy rycerskie fantazja jego nie mogła ścierpieć grobli i tam, stawianych jej przez trudy wierszowania — wolał używać mowy niewiązanej, wyrobionej wśród wykształconego, subtelnego otoczenia. Dopiero, kiedy wzloty wyobraźni osłabły, kiedy wypowiedział to wszystko, co mu tragiczne przejścia życiowe poddały jako materjał poetyczny, gdy tempo twórczości zwolniało, wtedy dopiero zwraca się do mowy wiązanej i zaczyna się borykać z jej trudnościami. Było już zapóźno — pierwszorzędnym rymopisem już nie został, ale dzięki temu zdołał położyć podwaliny pod nowożytną, artystyczną prozę polską.

Podobne zjawisko, ale w odwrotnym kierunku, można obserwować w twórczości Mickiewicza. Od bardzo słabych wierszy wznosi się stopniowo i powoli usilną pracą coraz wyżej aż na najwyższe szczyty — ale wtedy, kiedy jest już autorem

„Hymnu na dzień Zwiastowania“ i „Ody do młodości“, jakże dziwnie niedołężną jest jego proza w rozprawie wstępnej „O poezji romantycznej“! I do końca życia Mickiewicz nie stworzył w prozie nic, coby choć w części dorównywało swą formą wartości jego stylu w dziełach rymowanych. Miła prostota „Ksiąg pielgrzymstwa“ jest nadto bliska biblji, aby mogła zaprzeczyć temu faktowi.

Proza poetyczna Krasińskiego obejmuje cały łańcuch odcieni o rozmaitem zabarwieniu. W „Nie-Boskiej Komedji“ jest tak prostą, że zbliża się do codziennego, potocznego języka, w „Agaj-Hanie“ stroi się we wschodnią przesadę, w „Irdyjonie“ wstępuje na koturny, a w „snach“ przejściowej epoki staje się miękką, słodką, niekiedy prawie aż ckliwą. Jakikolwiek jej typ weźmiemy pod uwagę, znajdziemy wszędzie ten nowożytny wiew, który niewielu tylko współczesnym stylistom jest wspólny, a który, zrywając z wpływami francuskiemi, rozpoczyna nowe, świetne etapy w dziejach naszego języka. Duszą języka jest składnia — a właśnie w zakresie składni jest Krasiński niezrównanym mistrzem; przy jej pomocy stwarza efekty, o których proza polska przed nim nawet nie śniła. Pomimo ogromnego rozwoju naszego języka w drugiej połowie XIX w. i z początkiem w. XX proza jego nic nie straciła z swej doskonałości i nawet wobec takiego mistrza, jakim jest Żeromski, zachowała swą świeżość i wysoką wartość. Uroczysty, patetyczny, żarem uczucia przepojony styl „Irydjona“ do dnia dzisiejszego pozostał nieprześcignionym i niedosiągalnym wzorem. Dopiero w ostatniej epoce życia psują ten styl fatalne neologizmy i maniera.

Z pomiędzy form poetyckich najbardziej upodobał sobie Krasiński formę wizji. Zjawia się ona już w najwcześniejszych jego utworach zwykle jako naiwny motyw dodatkowy; dopiero poznanie „Snu“ Byrona nadaje jej formę wysoce artystyczną („Sen Elżbiety Pileckiej“), która z niewielkiemi odmianami pozostanie schematem wszystkich późniejszych tego rodzaju utworów. Od tego czasu niema prawie dzieła, w którem by wizja nie odgrywała mniejszej lub większej roli, od roku zaś 1840-go przeważna ich część („Noc letnia“, „Pokusa“, „Sen Cezary“, „Legenda“, „Przedświt“) są w całości pomyślane jako wizje.

Nie ulega wątpliwości, że Krasiński przeżywał podobne sny na jawie czyli halucynacje i że je, rozkochawszy się w nich, sztucznie wywoływał. Składały się na to i fizyczne i moralne warunki jego życia. Choroba oczu, zmuszająca go raz po raz do długiego przebywania w ciemnym pokoju, przemęczenie nerwowe i umysłowe i rozwijająca się na tem tle coraz bujniej i straszliwiej histerja umożliwiały lub ułatwiały przeżywanie halucynacyj, wstręt zaś do rzeczywistości zachęcał do jak najczęstszego ich przeżywania. Jaki był stosunek zjaw przeżywanych do utworów poetyckich, mających ich formę, niepodobna określić. Najprawdopodobniej pomysł literacki stawał się psychiczną podnietą do wizji rzeczywistej, poddawał jej treść i nastrój ogólny — wywołane zaś w ten sposób marzenia halucynacyjne przynosiły z sobą szczegóły formy i charakterystyczne zabarwienie. Tak mogło być z halucynacjami dobrowolnemi, wywołanemi przy pomocy silnych narkotyków — nie jest jednak wykluczonem, że takie marzenie senne na jawie, spowodowane przemęczeniem lub chorobą, stawało się podkładem wizji literackiej. Wszak podobnym halucynacjom podlegały nawet natury tak zdrowe i silne, jak Goethe.

Nie wchodząc w labirynty tego interesującego zagadnienia, wystarczy tu zaznaczyć, że to upodobanie w wizjach nadaje silne, charakterystyczne piętno całej twórczości Krasińskiego, a odbija się pośrednio z niemałą siłą na wszystkich jej odłamach i kategorjach artystycznych.

Przedewszystkiem i najsilniej musiał ten wpływ objawić się w stosunku do przyrody. Utwory z okresu warszawskiego, a więc najwcześniejsze, zawierają sporo opisów przyrody, zrazu pospolitych, literackich, później coraz pełniejszych życia i prawdy, a co najważniejsza, coraz lepiej chwytających i odtwarzających barwność przyrody.[8]) Autor ich rozwijał się i wyrabiał na kolorystę. W „Śnie Elżbiety Pileckiej“, w pierwszej wizji Krasińskiego, następuje jakby załamanie się tego rozwoju: przyroda kreślona tu jest z wielką subtelnością, ale z natury rzeczy barwy jej są przyćmione, bo oglądane w świetle księżycowem, i barwny szkic malarski przetwarza się w wypieszczony rysunek. Odtąd już nie zmieni się

ten charakter opisów przyrody: będą niemal bezbarwne, prawie zawsze będą tylko rysunkiem, nigdy obrazem.

Fakt ten wyjaśnia się zwykle chorobą oczu, której Krasiński od r. 1832-go raz po raz podlegał. Nie była to jednak choroba stała, nie uniemożliwiała bynajmniej obserwacji, czego mamy liczne dowody w listach, a gdyby nawet zmuszała go do przeżywania wyłącznie wspomnień, to w tych wspomnieniach było również obszerne miejsce dla kolorystyki.[9]) Przyczyna leży więc w czemś innem: w patrzeniu na przyrodę oczyma wizjonera. Zżywszy się z ukochanemi marzeniami sennemi, odwróciwszy się od rzeczywistości, popada w manierę i używa wizyjnych obrazów nawet wtedy, kiedy mówi nie o śnie, ale o jawie.

Najfatalniej odbiło się to na barwności i plastyce stylu w utworach późniejszych. Pozbawione tego najistotniejszego punktu oparcia, jakim jest obserwacja przyrody, ogołocone z uplastyczniających porównań, stają się jego opisy bezbarwnemi, martwemi, toną w abstrakcjach, dla poezji zawsze zabójczych. Nawet w najświetniejszych ustępach, tam, gdzie zdobywa się na wielką siłę wyrazu, np. w obrazie antenatów w „Przedświcie“:

Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość.
Lwi się szlachty stara śmiałość,
I niewoli wzgarda bucha —

albo w takim ustępie:

Patrzą na mnie ci umarli,
Jak półbogi — a z ich lica
Patrzy wieków tajemnica
I z nich każden ją rozumie —

przemawiają do nas tylko piękne, oryginalne zwroty („lwi się... śmiałość“), ale żaden z nich nie tworzy plastycznego obrazu. Czyż można wyobrazić sobie, jak „bije iskra ducha“ albo jak „patrzy wieków tajemnica?“ Nie są to formy stylistyczne, wynikające z istoty wizji księżycowej — to skutki zatracenia bezpośredniego związku z przyrodą. A jednak to, co widział w niej szesnastoletni autor „Władysława Her-

mana“, pozwalało spodziewać się w nim z biegiem lat dojścia do plastyki mickiewiczowskiej.

Kto wie jednak, czy nie więcej jeszcze przyczyniło się do osłabienia siły wyrazu poetyckiego zajmowanie się filozofją. Nieszczęsna manja tworzenia „traktatów filozoficznych“ ze słów katechizmu i biblji, przy pomocy dialektyki heglowskiej i sztuczek scholastycznych, nie mogła przynieść dodatnich rezultatów. Dawała mu wprawdzie radosne chwile odkrywania bardzo wątpliwych prawd, ale odstręczała go od poezji i sprowadzała ją na fałszywe tory. Ona to zasypała abstrakcjami tak realistyczny poprzednio styl, barwne zaś obrazy zastąpiła czczą, suchą retoryką. A czy może pogłębiła przynajmniej jego utwory? Wprost przeciwnie: uczyniła je płytszemi, bo symbole zastąpiła rozumowaniem. Wszak nikt nie nazwie „Przedświtu“ i „Psalmów Przyszłości“ głębokiemi, a „Nie-Boska Komedja“ długo jeszcze nęcić będzie nierozwiązanemi zagadkami.

I w twórczości Słowackiego poczyniło podobne zamiłowanie poważne szczerby — ale jego chroniła od upadku dziwna, wyjątkowa organizacja psychiczna. On musiał wszystko, „co pomyśli głowa“, przetworzyć w swej wyobraźni — i dlatego „Genesis z ducha“ jest nie rozprawą, lecz jednym z najpiękniejszych jego poematów. Krasiński z taką namiętnością utonął w łatwem a efektownem filozofowaniu, traktował je tak poważnie, z takiem namaszczeniem kapłańskiem, że nie tylko nie poddawał go pod panowanie poezji, ale uczynił ją jego sługą. Jak ona na tej służbie wyszła, świadczą wymownie „Psalmy przyszłości“ i „Dzień dzisiejszy“: poniosła w tym zespole klęskę.

Rzecz charakterystyczna, że ustawiczna, wytężona praca umysłowa, pochłanianie mnóstwa dzieł filozoficznych i pseudofilozoficznych nie przynosi mu w rezultacie tego, co odznacza każdego prawie z wielkich poetów nowożytnych: własnego poglądu na świat. Kierownikiem jego zasadniczych zapatrywań jest katechizm katolicki. Odbiega od niego w „Synu cieniów“ i przejmuje się panteizmem, którego przymieszka — u Goethego, czy u Shelleya — zawsze oddziaływała na poezję niezwykle dodatnio, ale zaraz, klnąc na „panteistów Niemców“, wraca do zasad katechizmowych. Możnaby to

łatwiej zrozumieć, gdyby to był powrót do prawomyślności katolickiej — ale tak nie jest. Wszakże do końca życia będzie oczekiwał runięcia kopuły św. Piotra i powstania kościoła miłości, będzie stawiał ciężkie zarzuty oficjalnemu kościołowi, będzie otwarcie głosił swą nienawiść ku jezuitom, a t. zw. filozoficzne jego pisma uznają reprezentanci kościoła poprostu za kacerskie.[10]) Zszedł zatem, nawet dosyć daleko, z linji, którą wskazywał kościoł, ale nie wyszedł poza obręb materjału, którym się posługuje ortodoksja — poza katechizm i biblję. Ewangelję św. Marka zastąpił ewangelją św. Jana i na tem poprzestał. Jeżeli dodamy do tego, że nawet w zakresie mesjanistycznym rezultaty jego wysiłków są niezmiernie nikłe, bo dają tylko teoretyczne uzasadnienie stworzonych przez Mickiewicza obrazów, otrzymamy obraz bardzo żałosny.

Zresztą filozofowanie nie wyczerpywało bynajmniej obszaru zainteresowań Krasińskiego. On sam, prosząc Gaszyńskiego o nowe książki z Paryża, skreślił żartobliwie zakres swych upodobań: „Przepatrz, jakie nowe ukazały się książki w rodzaju moim, wiesz: filozoficzno—polityczno—mistyczno — historyczno — Lapradowo — uniwersalnym.“ [11]) Był uniwersalistą, w tem znaczeniu, że czytał mnóstwo dzieł, potem pisał o nich w listach do przyjaciół, a zwykle pisał świetnie. Krytyka literacka, to obok poezji najświetniejsza cząstka jego twórczości. Jest on niewątpliwie najgenialniejszym naszym krytykiem z epoki romantycznej, a może nawet wogóle, bo i w czasach późniejszych nie ma literatura nasza nikogo, ktoby go przewyższył bystrem orjentowaniem się w współczesnej twórczości. Walka, którą — sam jeden podówczas — prowadził z swem całem otoczeniem i z opinją publiczną o wielkość Słowackiego, jest tego dowodem, a laury, które mu jest winna krytyka literacka, nie są bynajmniej mniejsze, niż te, które na polu poezji zdobył „Irydjonem.“ [12])

Tak często zaznaczał Krasiński konieczność wcielania poezji w czyny, że z natury rzeczy wyłania się pytanie, czy sam umiał w swem życiu pogodzić teorję z praktyką? Niestety, nie umiał, a w części nie mógł. Było to może największą tragedją jego życia, że od ukochanej swej, ubóstwianej niemal twórczości musiał „oddzielić się przepaścią słowa.“ Jego wola była najpierw skrępowana, a później ubezwładniona — może więcej ubezwładniona pamięcią długotrwałych więzów, niż chorobą. Nakoniec choroba się wzmaga i unicestwia ją zupełnie.

Musimy wierzyć mu, że z natury był energiczny, że był w nim trybun ludu; że nie mógł tej energji rozwinąć i w czyny zamienić, było winą jego ojca. Posłuchajmy, jak sam to wyjaśnia swej Beatryczy: „Co ty mówisz o powinności mojej do szczęścia wewnętrznego? Nie znajdziesz na kuli całej duszy wewnętrznie nieszczęśliwszej! Na powierzchni tylko duszy mej rodzą się idee i przebywają natchnienia czasami, ale głąb sam czarny, jak noc wieczna... Nigdy w sobie samym pociechy nie znalazłem za grosz... w samej głębinie, w samej wewnętrznej przepaści ducha mego niema dla mnie schronienia — i zaraz ci to wytłumaczę. Tam albowiem bywa kuźnia energji, tam bohatyrskie harty woli, tam postanowienia, co, gdy wyjdą z duszy, jak lwy po ziemi chodzą i zazierają oko w oko tygrysom, ziemią władnącym. Otóż mogłem-że kiedy dojść do takiego postanowienia, do takiego czynu? Mogłem-że kiedy wszystko porzucić i pójść za Chrystusem? Mogłem-że? Nie byłbym, tak czyniąc, zabił tych, których zabijać nie powinienem i nie mogę, których zabicie zgryzotami-by mi serce zaludniło? Bo mam serce — i ono mnie zgubiło. Więc-em zawsze pozostał zawieszon — prawdziwy wisielec — między ziemią a niebem: zanadto powietrzny, bym mógł być ziemnym, zanadto serdeczny i kochający chodzących po ziemi, bym mógł być niebieskim — słowem: wisielec z sznurem losów, uwitym z fałszywych położeń, okręconych około gardła. Oto tajemnica i braku energji we mnie, energicznie stworzonym, i nieszczęścia wiecznego, wewnętrznego, skorom nie pijany ideami, pomysłami, dźwiękami, barwami, chodzącemi po powierzchni mego ducha.“ [13])

Wyznanie to ma wszelkie znamiona bezwzględnej szczerości, choćby dlatego, że porusza sprawę, ukrywaną zawsze w głębi duszy nawet przed najbliższymi, sprawę stosunku do ojca. Bo „ci, których zabijać nie powinien“ — to jenerał Krasiński, a liczba mnoga służy tu jedynie do osłabienia skargi, którą mu trudno sformułować brutalnie.

Istotnie, jenerał Krasiński zaciężył, jak zły duch, na całem życiu syna. Nie zdołał go nakłonić do zdobywania, jak on to

czynił, łaski casrkiej za cenę pogardy społeczeństwa, ale opętał mu duszę i skrępował jego wolę. Cała energja syna przelała się w twórczość, która była głośnem *veto* przeciw postępowaniu ojca i świadczyć miała, że syn z szlachetniejszego odlany kruszcu. Na inne protesty brakło już siły — a protestem i klęską dla jenerała byłby każdy udział syna w akcji patrjotycznej, w „pójściu za Chrystusem.“

Ten tragizm położenia Krasińskiego, przypominający żywo sytuację Szczęsnego w „Horsztyńskim“, odbił się na jego życiu i twórczości zapewne o wiele więcej, niż można sądzić na podstawie wydanych dotychczas materjałów. Twórczość jego byłaby prawdopodobnie inny miała charakter, gdyby nie konieczność wyrażania w niej manifestacyjnie właśnie i przedewszystkiem uczuć patrjotycznych. A kto wie, czy w niechęci do powstania listopadowego i we wstręcie do wszelkich rewolucyj nie kryje się przypadkiem zapał do czynów niedostępnych, wzbronionych, i wskutek tego wkońcu znienawidzonych? Przyjąwszy to dziwnie brzmiące przypuszczenie jako podstawę rozumowania, moglibyśmy wyjaśnić wiele pozornych sprzeczności, widocznych w listach, np. ową chęć chwycenia za karabin w r. 1848 i wkrótce potem nerwowe, histeryczne wymyślania na tych, którzy to uczynili. Wyjaśnienia tej interesującej zagadki dostarczyć może chyba tylko korespondencja z ojcem.

Można wytłumaczyć zmorą ojcowską bezczynność całego życia Krasińskiego, jednej tylko sprawy wyjaśnić i usprawiedliwić nie można: stosunku do uwłaszczenia chłopów. Teorytecznie uznawał konieczność uwłaszczenia, nie tylko w korespondencji, ale np. w memorjale do Guizota, gdzie konstatował, zgodnie z zasadą Towarzystwa Demokratycznego, że Polska nie odzyska wolności, „jeżeli nie polepszy niedoli ludu i nie przygotuje go do życia politycznego“ [14]) ale sam nie uczynił w tym kierunku nic. W posiadaniu rodziny są listy do rządców dóbr; poleca w nich obchodzenie się ludzkie z chłopami, na karanie ich chłostą dozwala tylko w razie koniecznej potrzeby. Od przeciętnego hreczkosieja nie możnaby zapewne wymagać więcej — ale dla autora „Przedświtu“ jest to stanowczo za mało. Od r. 1843-go był panem licznych włości i od niego tylko zależało przeprowadzenie we własnych

dobrach uwłaszczenia chłopów — uważał je za konieczne dla sprawy niepodległości, a jednak nie uczynił tego. Czy wola jego była już tak unicestwiona, że nie potrafiła przełamać jakichś drobnych przeszkód, czy też nie chciał tego, aby nie zmniejszać swych ogromnych dochodów? Przypuszczenie bardzo przykre — czem jednak wyjaśnić tę przepaść między słowami a czynem, tym razem możliwym?

Jedno jest niewątpliwe: położenia ludu nie znał widocznie i dlatego nie wziął go sobie do serca, to bowiem, co mu poruszyło serce, przemawiało łatwo do jego woli i zwykle objawiało się czynem.

Świadczy o tem nie tylko stosunek do Delfiny Potockiej, ale może w wyższym jeszcze stopniu do przyjaciół. Czy to jest Danielewicz, którego opłakuje, jak kochankę, czy Gaszyński, Sołtan, Cieszkowski czy Małachowski, ludzie o rozmaitych poglądach i temperamentach, każdy z nich zawsze i wszędzie dysponować może skarbami jego duszy. Tkliwość, z jaką odnosi się do nich, serdeczna pamięć o nich w najcięższych nawet chwilach życia, myśl o ich potrzebach i upodobaniach są naprawdę wzruszające. Dopóki żyje z funduszów, przysyłanych przez ojca, dzieli się niemi z Gaszyńskim — później zapewnia mu wygodny byt. Mickiewiczowi, Norwidowi, Trentowskiemu przesyła anonimowo subsydja — gdzie odczuje biedę lub usłyszy o niej, spieszy z pomocą, a zawsze z wielką subtelnością, aby nie zranić dumy wspomaganych. Są to rzeczy drobne — ale tam, gdzie brak czynów wielkich, należy je wziąć pod uwagę, bo one bądź co bądź świadczą, że niemoc, która objęła jego wolę, nie dotknęła jego serca.

Czy jednak godzi się i czy wolno żądać od poety czegokolwiek, co wykracza poza granice twórczości poetyckiej? Jedyna energja, jakiej od niego żądać możemy, to energja twórcza. Jeżeli dla wyjaśnienia tej twórczości zaglądnęliśmy do sanktuarjum duszy Poety, mając nadzieję, że zobaczymy tam harmonijne piękno bujnego życia, a znaleźliśmy rozterkę i dramat, wypada nam cofnąć się dyskretnie i rozważyć to tylko, co nam pozostawił w spuściźnie.

Tylko część tej spuścizny zachowała do dziś swój świetny blask. Pozostało w większej może jeszcze aureoli genjuszu to wszystko, co z duszy twórcy wydobyło szczere natchnienie

poetyckie, liczące się jedynie z koniecznością wypowiedzenia się i ze względami artystycznemi — to zaś, co stworzyła tendencja, choćby najszlachetniejsza, co wywołała zewnętrzna potrzeba, a nie wewnętrzna konieczność, straciło swe barwy i wraz ze zmianą stosunków zmieniło swe oblicze, okryło się patyną czasu. Wszystkie te dzieła, w których wyrażała się teorja mesjanistyczna — właśnie te, które współcześni stawiali najwyżej — straciły dla nas, na szczęście, swą siłę emocjonalną. Ani „Księgi pielgrzymstwa“, ani „Psalmy Przyszłości“ nikomu już nie wycisną z oczu łez rozczulenia, losy zaś hr. Henryka i syna Amfilocha Greka wzruszać będą czytelników przez długie jeszcze wieki.

Ale siła, tkwiąca w przepojonej mesjanizmem części działalności poetyckiej Krasińskiego, nie poszła na marne i nie zginęła. Weszła ona w rdzeń naszej nowszej poezji, wypełniła sobą całą ideologję Ujejskiego, owładnęła Asnykiem, wybiła swe piętno na Konopnickiej i wielu, wielu innych. Bezpośrednio więc i pośrednio oddziaływała na całe pokolenia, a dziś cząstka jej tkwi w nas już jako bezimienna spuścizna. Ale ta cząstka jest tylko resztką tej siły, która wraz z innemi wielkiemi duchami pracowała nad wykuciem z bezkształtnej w epoce rozbiorów bryły marmuru polskiego posągu z napisem „Naród.“ Któż dziś zdoła obliczyć, ile ten posąg zawdzięcza Mickiewiczowi, pod którego dłutem wystąpiły jego pierwsze zarysy, a ile jego towarzyszom i następcom? W każdym jednak razie udział Krasińskiego w tem wielkiem dziele był bardzo wybitny. I to pozostanie chwałą jego na zawsze.

W spuściźnie jego jest jednak coś, co ma swoje znaczenie odrębne i wartość wyjątkową: jego etyka.

Żaden z naszych poetów nie zajmował się sprawami etycznemi tak gorliwie, tak uporczywie i z tak wyraźnym celem podniesienia jej, jako sztandaru, na czoło twórczości. Słowacki i Mickiewicz dochodzą do niebywałych wyżyn duchowej doskonałości, ale w ich dziełach wzloty te są tylko artystycznem podłożem, nie zawsze łatwo uchwytnem, i nie krystalizują się w zasadach, we wskazówkach. Krasiński nie cofa się nawet przed pewną prozaicznością formułowania dekalogu narodowego, staje się nauczycielem swego społeczeństwa i w tem widzi w ostatniej epoce życia swe posłannictwo. Katechizm

to twardy, do wprowadzenia w praktykę życia wprost niemożliwy, bo czerpany z krainy ideału, ale tak wzniosły, że godzien tego, aby przyświecać narodowi i stać się jego drogowskazem. Zwłaszcza teraz, w czasach powojennego, bolesnego upadku wszelkich zasad etycznych, poezja ta, która głosi, że

Nikt nie tworzy gmachu z błota

i że

...najwyższy rozum — cnota,

— cnota obywatelska naturalnie — może i powinna odegrać rolę dźwigni moralnej i nastroić nasze społeczeństwo na ton wyższy, szlachetniejszy.

Byłby to najpiękniejszy pomnik dla autora „Przedświtu.“





PRZYPISKI.

I.

[1] DR. ANTONI J. (ROLLE): „Babka poety“. „Opowiadania historyczne“. Serja VII. Lwów, 1891, str. 270 i n.

[2] JÓZEF KALLENBACH: „Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych“ (1812—1838)“. Lwów, 1904, t. I., str. 36.

[3] Tak przynajmniej było przed laty, kiedy, dzięki uprzejmości wnuka poety, ordynata Adama Krasińskiego, danem mi było spędzić kilka tygodni w dworze opinogórskim na studjach nad autografami poety.

[4] Drukowane w „Przeglądzie polskim“ w r. 1872—1873, t. IV, str. 72—81.

[5] J. KALLENBACH, *op. cit.*, str. 110 i n.

[6] J. KALLENBACH (*op. cit.* t. II, str. 429) podaje jako czas powstania „Polski“ r. 1829-y, również na podstawie podobieństwa pisma.

[7] Wydanie jubileuszowe, t. I, str. 45.

[8] Por. „Dzieła A. MICKIEWICZA“. Wyd. Tow. lit. im. A. M-cza, t. I, Lwów, 1896, str. 236.

[9] Por. JAN BOŁOZ ANTONIEWICZ: „Z. Krasiński i dzieło St. Tarnowskiego“, „Przegląd polski“ 1896, zeszyt kwietniowy.

[10] ROGER ŁUBIEŃSKI przedstawia tę sprawę inaczej: „Generał W. Kr., dowiedziawszy się o zamierzonej manifestacji studentów, zakazał już w wilję dnia tego swojemu synowi w niej uczestniczyć. Zygmunt jednak oświadczył, że żadna groźba ani zakaz nie potrafi go wstrzymać od poddania się woli jednomyślnej kolegów i że na pogrzeb z nimi pójdzie. Ojciec, widząc bezskuteczność słów swoich, kazał syna dnia tego zrana przemocą w piwnicy (!) pałacu na klucz zamknąć i dopiero po skończonym obrzędzie pozwolił go wypuścić.“ („Generał Tomasz Łubieński“, Warszawa, 1899, t. I. str. 505). — Opowiadanie to mało wiarygodne.

[11] Por. raport inspektorat uuniwersyteckiego, cyt. w dziele KALLENBACHA w t. I, str. 79—80.

II.

[1] Cytow. u KALLENBACHA, *op. cit.* t. I, str. 133 i n.

[2] Zob. *ibidem*, t. II, str. 413—14.

[3] Por. „Bibljoteka Warszawska“ 1901, t. I, str. 35.

[4] *ibidem*, str. 39—40.

[5] Wydanie jubileuszowe, t. VIII. 2, str. 58—59.

[6] *ibidem*, str. 66—67.

[7] Por. J. KLEINER: „Z. Krasiński. Dzieje myśli.“ Lwów, 1912, t. I, str. 34 i n.

III.

1) Por. SZCZERBATOW, „Kniaź Paskiewicz", t. IV, str. 197, 238, 257 i V, str. 45—6. — Cytat ten zawdzięczam uprzejmości jen. MARJANA KUKIELA.
2) DR. ANTONI J (ROLLE), *op. cit.*, str. 276.
3) „Bibljoteka Warszawska", 1901, t. I, str. 50—51.
4) „Correspondance de S. KRASIŃSKI et de HENRY REEVE". Paris, 1902, t. I, str. 16.
5) *ibidem*, str. 34.
6) *ibidem*, str. 39.
7) *ibidem*, str. 41.
8) *ibidem*, str. 45.
9) *ibidem*, str. 47—48.
10) cyt. u KALLENBACHA, *op. cit.* t. I, str. 232—37.
11) *Correspondance*, t. I, str. 66—7.
12) *ibidem*, t. I, str. 360 i n.
13) *ibidem*, str. 364 i n.
14) *ibidem*, str. 193.
15) *ibidem*, str. 227.
16) *ibidem*, str. 183—190.
17) *ibidem*, str. 371.
18) *ibidem*, str. 237—239.
19) *ibidem*, str. 266.
22) *ibidem*, str. 250—251.
21) *ibidem*, str. 305—6.
02) *ibidem*, str. 372.
23) *ibidem*, t. II, str. 3.
24) *ibidem*, t. I, str. 380.
25) *ibidem*, t. I, str. 280—84.
26) *ibidem*, t. I, str. 288—9.

IV.

1) *Correspondance*, t. II, str. 55.
2) *ibidem*, t. I, str. 371.
3) *ibidem*, t. I, str. 191—2.
4) *ibidem*, t. II, str. 11.
5) Por. J. KALLENBACH, *op. cit.*, t. II, str. 23.
6) „Rozmaitości", 1834, str. 63, — por. W. BRUCHNALSKI, „Historja Rozmaitości", Lwów, 1912, str. 153.

V.

1) Listy Z. KRASIŃSKIEGO do K. GASZYŃSKIEGO, Lwów, 1882, str. 6.
2) *ibidem*, str. 8—9.
3) *ibidem*, str. 10.
4) *Correspondance*, t. I, str. 133.

5) *ibidem*, str. 138—9.
6) Listy do GASZYŃSKIEGO, str. 11—12.
7) *ibidem*, str. 25.
8) *Correspondance*, t. II, str. 7.
9) *ibidem*, t. II, str. 14.
10) *ibidem*, t. II, str. 30—31.
11) *ibidem*, t. II, str. 32—33.
12) J. KALLENBACH, *op. cit.*, t. II, str. 418.
13) (ST. MAŁACHOWSKI), Krótki rys życia i pism Z. KRASIŃSKIEGO. Kraków, 1876, str. 15—16.
14) *Correspondance*, t. II, str. 44—45.
15) *ibidem*, t. II, str. 60 i n.
16) *ibidem*, t. II, str. 68—69.
17) *ibidem*, t. II, str. 43.
18) *ibidem*, t. II, str. 49—50.
19) J. KALLENBACH, *op. cit.*, t. II, str. 58.
20) Listy do GASZYŃSKIEGO, str. 37.

VI.

1) Pisma Z. KRASIŃSKIEGO, Lwów, 1904, t. I, str. 323.
2) Por. wspomnienie Z. KACZKOWSKIEGO, cytowane w dziele A. KRECHOWIECKIEGO „Z. Kaczkowski i jego wiek", Lwów, 1918, str. 164.
3) *Correspondence*, t. II, str. 3.
4) Listy do K. GASZYŃSKIEGO, str. 39.
5) Por. Pisma, j. w., t. I, str. 324.
6) Por. moją rozprawę „Dwaj poeci filozofowie", Lwów, 1900, str. 30.

VII.

1) (J. KOŹMIAN) „I zbliska, i zdaleka". Poczet stu fejletonów, umieszczonych w Kurjerze Poznańskim. Poznań, 1881, str. 194.
2) *Correspondance*, t. II, str. 31 przypisek.
3) J. KALLENBACH, *op. cit.*, t. II, str. 215—225.
4) Głównemi argumentami, na których prof. Kallenbach opiera swe twierdzenie, są słowa poematu: „Tu miał być koniec pielgrzymki Twojej — stąd miałeś pojść, gdzie miljony" i analogiczne do nich wzmianki o „śmierci na wieki" i „potępieniu wiecznem". Rzecz prosta, że słowa te zawierają nie przyznanie się poety, że on miał w ten sposób zakończyć swój poemat, lecz tylko przypomnienie tego, co miało się stać na podstawie umowy, którą Irydjon zawarł z Masynissą: „Mnie Rzym, tobie dusza moja". Oprócz aluzji do tego układu słowa te absolutnie nic więcej nie zawierają. Co do rezygnacji chrześcijańskiej, jaka ma być wyrazem odkrytej przez prof. Kallenbacha „Syntezy" (utwór ten znany był zresztą z wszystkich zbiorowych wydań pism Krasińskiego, lecz pod innym tytułem), można

o niej mówić tylko wtedy, jeżeli się przemilczy najważniejszy ustęp końcowy, będący niemal apoteozą zemsty. „Biada tym, którzy panują, biada olbrzymom złości i szyderstwa; podstawa ich — błoto, gmach ich — kurzawa! Biada im, że mnie odepchnęli od bitej drogi, którą stąpa ród człowieczy, i przymusili iść po ścieżkach, kędym obleczon jest ciemnością. To, co innym narodom życie dawa, niechaj im przyniesie zagubę!" „...ród ich niech przepada, język niech zatracon będzie!"....iżby go ludzie potomni przeklinali po wszystkie dni swoje aż do końca świata." Czy to istotnie „duch rezygnacji chrześcijańskiej"?

Nie może również przekonywać twierdzenie, że jenerał Krasiński mógł tylko „chrześcijańskie" zakończenie „Irydjona" nazwać „pięknem". Czyż można poważną miarę przykładać do słów człowieka, który tylko przy pomocy wyrafinowanej obłudy mógł ukryć przed synem istotę swej wartości moralnej?

[5]) Szczegóły w mojej rozprawie „Studjum nad genezą Irydjona", Lwów, 1899, str. 24—47. — Nadto por. W. HAHN: „Tło historyczne w Irydjonie", Lwów, 1898 — i T. SINKO: „Rzym pogański w Irydjonie", „Pamiętnik literacki" 1912, str. 10—56.

[6]) Por. A. DROGOSZEWSKI: „Krasiński i Ossjan", „Pamiętnik literacki" 1905, str. 287 i n.

[7]) W wybornem a cytowanem powyżej studjum o „Rzymie pogańskim w Irydjonie" wytyka prof. SINKO raz po raz Krasińskiemu pewne niedokładności w kreśleniu tła historycznego. Ponieważ jednak praca ta oparta jest na najnowszych wynikach badań, których Krasiński naturalnie przeczuć nie mógł, więc skonstatowanie z tego stanowiska jakichś usterek i drobnych anachronizmów nie przesądza sumienności poety, nie dowiadujemy się bowiem ze studjum prof. Sinki, czy anachronizmy te nie były właściwe całej współczesnej Krasińskiemu nauce.

[8]) Por. DROGOSŁAW: „Massynissa, Irydjon, Kornelja". „Ateneum", 1895, t. I, str. 278 i n.

[9]) Szczegóły i zestawienia w mojej rozprawie „Studjum nad genezą Irydjona", str. 48—74.

VIII.

[1]) Por. DR. ANTONI J. (ROLLE): „Z życia Z. Krasińskiego." Pierwsza miłość i jeden z pierwszych przyjaciół". „Świat", Kraków, 1890, str. 463 i n.

[2]) Por. moją broszurę: „Świeżo ogłoszone utwory pośmiertne Z. Krasińskiego". Lwów, 1902, str. 11 (odbitka z „Kwartalnika Historycznego").

[3]) J. KLEINER: „Z. Krasiński. Dzieje myśli", t. I, str. 254 i n.

[4]) por. cyt. broszurę moją, str. 12—15.

[5]) Listy do K. GASZYŃSKIEGO, str. 116.

[6]) Listy Z. Krasińskiego, t. III, str. 194.

[7]) Listy do A. Sołtana, str. 111—12. — Por. W. BRUCHNALSKI: „Wizja Krasińskiego", „Pamiętnik literacki", 1913, str. 34—35.

[8]) Sprawa jest niejasna i niepewna. Wydanie jubileuszowe podaje tę wiadomość na podstawie jakiegoś nieokreślonego i niedrukowanego „Dzienniczka" — podczas gdy przedmowa tego wydania zapewnia, że obejmuje ono wszystkie bez wyjątku pisma, pozostałe po Krasińskim.

[9]) J. KALLENBACH, *op. cit.* t. II, str. 391 i n.

[10]) ST. MAŁACHOWSKI, *op. cit.*, str. 16.

IX.

[1]) Por. W. SCHERER: „Geschichte der deutschen Litteratur", Berlin, 1908, str. 614 i n. — Z. ŁEMPICKI: „Renesans — Oświecenie — Romantyzm", Warszawa-Lwów, 1923, str. 193 i n. i E. PORĘBOWICZ: „Tryady Z. Krasińskiego", Lwów, 1900, str. 11.

[2]) Szczegółowy wykaz lektury filozoficznej Krasińskiego i drobne nawet jej ślady w jego utworach podaje J. KLEINER w cytowanem dziele.

[3]) Por. J. KLEINER, *op. cit.* t. I, str. 320 i ST. DOBRZYCKI: „Sen Cezary (Krasiński i Jean Paul)". „Pamiętnik literacki, 1905, str. 292 i n.

[4]) Por. E. PORĘBOWICZ, *op. cit.*, str. 13—15; M. ZDZIECHOWSKI: „Filozofja Krasińskiego", „Pam. liter." 1907, str. 46 i n.; J. KLEINER, *op. cit.* t. I, str. 333—65.

[5]) Por. E. PORĘBOWICZ, *op. cit.*, str. 18 i n. i A. KRASIŃSKI: „Dzień Ducha świętego", „Biblj. Warszawska", 1903, t. II, str. 205 i n.

[6]) E. PORĘBOWICZ, *op. cit.*, str. 28 i n.

[7]) Por. R. HAYM: „Die romantische Schule", „Berlin, 1870, str. 465.

[8]) M. CARRIERE: „Sztuka i literatura w XVIII i XIX w." Warszawa, 1879, cz. II, str. 62.

[9]) *ibidem*, str. 85. — HAYM, *op. cit.*, str. 626 i n.

[10]) Siły dośrodkowa i odśrodkowa są tu tezą i antytezą — brakuje jednak syntezy. Prof. KLEINER (*op. cit.* t. II, str. 14—15) domyśla się nie bez słuszności, że Krasiński sobie przeznaczał ujęcie w dalszej twórczości całości życia.

[11]) Cyt u J. KALLENBACHA, *op. cit.* t. II, str. 290—97.

X.

[1]) Por. I. CHRZANOWSKI: „Mowa Brodzińskiego O narodowości Polaków". „Z epoki romantyzmu", Kraków, 1918, str. 127 i n. — Jest tu nader bogaty materjał porównawczy tła uczuciowego dla przyszłego mesjanizmu. Prof. Chrzanowski myli się jednak, przypisując Brodzińskiemu, że on właśnie „po

raz pierwszy wypowiedział myśl chrystusowej ofiary Polski" (str. 164). W „Mowie" jest tylko na wstępie niejasna nieco wzmianka, że naród polski „będzie sławnym, dla ludzkości w Chrystusie cierpiącym", później zaś nazywa go Brodziński „uczniem Chrystusa". Że w wzmiankach tych nie było intencji zestawiania Polski z Chrystusem, czynienia jej „Chrystusem narodów", dowodzi choćby następujące zaraz porównanie jej z Piotrowinem. Nie można być równocześnie wskrzeszanym i wskrzeszającym! Obie więc te wzmianki oznaczają poprostu tylko wysoki poziom etyki chrześcijańskiej, jaki w dziejach Polski widzi Brodziński.

[2]) Definicja to może nieco za ciasna, bo np. wyłącza Słowackiego poza zakres mesjanizmu, pozwala jednak na jasne i dokładne wyodrębnienie z poezji naszej prądu, sięgającego od Garczyńskiego aż do Wyspiańskiego, który go z literatury usunął. W dotychczasowych definicjach, stanowczo zbyt obszernych, zarysy tego prądu zupełnie się rozpływają. Zdaniem mojem, mesjanizm w poezji, mający swe odrębne cechy, wymaga też odrębnego ujęcia w definicję; z tego poglądu wynikło powyższe określenie.

[3]) Zob. J. KALLENBACH: „Towianizm na tle historycznem". Kraków, 1926, str. 59—64.

[4]) F. HOESICK: „U Juljana Klaczki." — „Szkice i opowiadania historyczno-literackie". Warszawa, 1900, str. 474—476.

[5]) SZ. ASKENAZY: „Ordynacja Opinogórska". „Tygodnik illustrowany", 1912, I, str. 131.

[6]) Listy do A. CIESZKOWSKIEGO, t. I, str. 79.

[7]) Por. Pisma, wyd. jubileuszowe, t. VI, str. 175—96. — Wiersz „O, mówcie, ludzie", ogłoszony w tem wydaniu jako odnoszący się do A. Załuskiej, był napisany niewątpliwie dla D. Potockiej. Koperta z adresem, w której utwór się przechowuje, nie jest żadnym dowodem — treść zaś nie pozostawia co do adresatki najmniejszej wątpliwości.

[8]) Listy do A. SOŁTANA, str. 299—302.

[9]) Wydanie jubileuszowe t. V, str. 364.

XI.

[1]) Zob. B. LIMANOWSKI, „Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej". Zürich, 1901, str. 288—291.

[2]) „O prawdach żywotnych narodu polskiego" przez FILARETA PRAWDOSKIEGO, Bruksela, u Jana Nepomucena Mładeckiego, 1844, 8⁰ str. XV + 441.

[3]) „Prawdy Żywotne", str. VI—VII.

[4]) *ibidem*, str. 63.

[5]) *ibidem*, str. 65.

[6]) str. 142.

[7]) str. 139.



[8]) str. 141.

[9]) str. 320.

[10]) „Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego" przez FILARETA PRAWDOWSKIEGO. Paryż, 1845, 8⁰, str. 120.

[11]) „Katech. Dem.", str. 63.

[12]) „Prawdy Żywotne", str. 179.

[13]) Były one gotowe już w połowie maja 1844 r.; por. „Listy do A. SOŁTANA", str. 305. — „Prawdy Żywotne" mógł Krasiński poznać dopiero po wyjeździe z Warszawy zagranicę, a więc najprędzej w listopadzie tegoż roku.

[14]) „Prawdy Żywotne", str. 175.

[15]) „Listy do A. SOŁTANA", str. 302.

[16]) J. TRETIAK („J. Słowacki", t. II, str. 208—209) a za nim J. Kleiner („Z. Krasiński. Dzieje myśli", t. II, str. 147—148) rozumieją słowa zakończenia „Psalmu Miłości": „Dać żniwiarzom wszystkim grunt" dosłownie: dać chłopom grunty pańskie. Jest to przykra pomyłka, spowodowana prozaicznością wiersza Krasińskiego. Z treści wynika jasno, że żniwami jest powstanie, „żniwiarzem" zatem powstaniec; dać im grunt znaczy: dać im miejsce, dopuścić do udziału w powstaniu wszystkich. Tę samą myśl zawiera w innej formie zdanie następne: „Rozpłomienić święty bunt".

[17]) Por. „Prawdy Żyw.", str. 159: „organizacja (powstania)... wybije cechę właściwą za niepodległość Polski walczącemu wojsku i odróżni je od wszelkich innych wojsk, dotąd widzianych". Zaprzeczenie hasła zemsty, przygotowawcza „robota ducha" poruszone w „Prawdach Żyw." w wielu miejscach.

[18]) Prawdopodobnie jest w drugim wierszu „Odpowiedzi" *lapsus calami* Poety; wiersz ten powinien zapewne brzmieć: „Cnotą mamy znieść niewolę", a nie „Cnotą naszą znieść niewolę".

[19]) Rzecz dziwna, że w tem określeniu ostatniego szlachcica wszyscy biografowie Słowackiego widzą postać — ks. Adama Czartoryskiego, gdy tymczasem jasnem jest, że może być tu mowa jedynie o Kościuszce. W jaki sposób mógłby poeta mówić o człowieku żyjącym „poszedł gnić między królami"? Natomiast zarówno to określenie, jak wszystkie inne szczegóły tego ustępu stosują się dokładnie i bez sztucznych interpretacyj do czczonej zawsze przez Słowackiego postaci Kościuszki.

[20]) Por. STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI: „Z przeszłości Galicji (1772—1862)", Lwów, 1895, str. 417 i n. — oraz B. LIMANOWSKI, *op. cit.*, str. 320 i n.

[21]) „Listy do ST. MAŁACHOWSKIEGO", str. 64—5.

[22]) „Listy do A. CIESZKOWSKIEGO", t. I, str. 178.

[23]) por. ST. TARNOWSKI: „Z. Krasiński", Kraków, 1912, t. II, str. 263.
[24]) por. J. TRETIAK: „J. Słowacki", t. II, str. 404 i n. J. KLEINER, *op. cit.*, str. 201—210.
[25]) Por. J. CHRZANOWSKI: „Resurrecturis" i „Psalm Dobrej Woli" („Z epoki romantyzmu." Studja i szkice. Kraków, b. d., str. 295—322.

XII.

[1]) Por. J. KLEINER, *op. cit.*, t. II, str. 180 i n.
[2]) Listy do GASZYŃSKIEGO, str. 21.
[3]) Listy do A. SOŁTANA, str. 299—301.
[4]) Por. J. KALLENBACH: „Anhelli i Ostatni". „Księga pamiątkowa ku czci B. Orzechowicza". Lwów, 1916, t. I, str. 434—448.
[5]) JAN BOŁOZ ANTONIEWICZ: „Ostatni" Z. Krasińskiego. Lwów, 1889. — Twierdzenia ST. KOTOWICZA („Ostatni" Z. Krasińskiego. — „Pamiętnik Literacki" 1912, str. 105—135) o fazach pomysłu tego poematu nie są dostatecznie uzasadnione.
[6]) Listy do A. CIESZKOWSKIEGO, t. I, str. 233.
[7]) J. B. ANTONIEWICZ, *op. cit.*
[8]) K. KWIECIŃSKI: „Ostatni" Z. Krasińskiego. „Przewodnik Naukowy i Literacki", 1908, str. 856—74 i 948—960.
[9]) Listy do MAŁACHOWSKIEGO, str. 141—2.
[10]) Listy do A. CIESZKOWSKIEGO, t. II, str. 3.
[11]) Listy do MAŁACHOWSKIEGO, str. 118.
[12]) *ibidem*, str. 155.
[13]) *ibidem*, str. 160.
[14]) J. KALLENBACH: „Towianizm na tle historycznem". Kraków, 1926, str. 95 i n.
[15]) Listy do CIESZKOWSKIEGO, t. II, str. 13.
[16]) *ibidem*, str. 23—24.
[17]) *ibidem*, str. 23.
[18]) Listy do ST. MAŁACHOWSKIEGO, str. 146.
[29]) Pisma, wyd. jubileuszowe, t. VI, str. 369.
[20]) J. CHRZANOWSKI, „Resurrecturis i Psalm dobrej woli". „Z epoki romantyzmu", str. 304.
[21]) Wydanie jubileuszowe zawiera po „Resurrecturis" jeszcze 25 utworów lirycznych, chronologicznie późniejszych.
[22]) Listy do GASZYŃSKIEGO, str. 116 i 144.
[23]) Pisma, wydanie jubileuszowe, t. V, str. 351—356.
[24]) ADAM KRASIŃSKI: „Z. Krasińskiego nieznany pomysł trylogji". „Pamiątkowa księga 1866—1906. Prace byłych uczniów St. hr. Tarnowskiego", Kraków, 1914, t. I, str. 227 i n.
[25]) Szczegóły w rozprawie mojej „Z. Krasińskiego t. zw. Niedokończony Poemat". Lwów, 1896.

[26]) Wiele interesujących szczegółów przynosi rozprawa Prof. EUGENIUSZA KUCHARSKIEGO: „Do genezy Snu w I. części Nieboskiej". „Pamiętnik literacki", 1912, str. 157—174.
[27]) Por. listy do SOŁTANA, str. 326 z dn. 9. stycznia 1846: „Za rzuciłem św. Teresę — gdzieś gnije w stoliku".
[28]) Pisma, wyd. jubil. t. VII, str. 428.
[29]) Listy do CIESZKOWSKIEGO, t. II, 297.
[30]) *ibidem*, str. 364.
[31]) *ibidem*, str. 358.
[32]) *ibidem*, str. 361.

ZAKOŃCZENIE.

[1]) Listy do ST. MAŁACHOWSKIEGO, str. 248.
[2]) Listy do A. CIESZKOWSKIEGO, t. II, str. 244—245.
[3]) *ibidem*, str. 247.
[4]) Wydanie jubileuszowe, t. VI, str. 359—60.
[5]) Por. mój szkic p. t. „Z pracowni poety", „Pamiętnik literacki", 1902, str. 273 i n.
[6]) JAN ŁOŚ: „Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju", Warszawa, b. d., str. 249 i n.
[7]) K. TETMAJER: „Liryka Z. Krasińskiego". „Tygodnik illustrowany", 1912, t. I, str. 132.
[8]) STEFAN VRTEL: „Przyroda w warszawskim okresie twórczości Z. K-go". „Księga pamiątkowa", Lwów, 1912, t. II.
[9]) Wartoby pod tym kątem widzenia zbadać utwory ślepego poety, ST. BARĄCZA („Impresje", Lwów, 1901).
[10]) Por. Pisma, wyd. jubil., t. VII, str. 616—17.
[11]) Listy do K. GASZYŃSKIEGO, str. 243.
[12]) Por. A. G. SIEDLECKI: wstęp do „Myśli o sztuce Z. K-go", Lwów, 1912. „Symposion".
[13]) J. KALLENBACH: „Towianizm na tle historycznem", str. 85 do 86.
[14]) Pisma, wyd. jub., t. VII, str. 441 i 511.



SPIS ILUSTRACYJ.



TREŚĆ.


Gimnazjum Koedukacyjne im. Augusta Witkowskiego
w Skarżysku-Kamiennej


Podgórzna Biblioteka Wojewódzka
Radom